



# SZCZURZYCA

seria:

ZIEMIA  
WINOJĄCÓW

Anna S. Cichosz

# SZCZURZYCA

SERIA:

ZIEMIA  
WINOJACÓW

To jedynie fragment powieści.

Całość znajdziesz na stronie:

<https://www.strefa-cichosza.pl/sklep-online/>

Wydawca  
STREFA CichoSZA

© Anna Strzelczyk-Cichosz, 2024  
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja  
Julia Diduch-Stachura  
([www.slownosc.com](http://www.slownosc.com))

Korekta  
Pracownia Muz  
Alicja Szalska-Radomska  
([www.pracowniamuz.pl](http://www.pracowniamuz.pl))

Skład e-booka  
Anna Strzelczyk-Cichosz

Projekt okładki  
Katarzyna Druszcz  
([druszczkatarzyna@gmail.com](mailto:druszczkatarzyna@gmail.com))

Druk i oprawa  
Drukarnia WDS Sandomierz  
([www.drukarnia.wds.com.pl](http://www.drukarnia.wds.com.pl))

Wydanie pierwsze.

ISBN 978-83-962089-7-2

Alicji Szalskiej-Radomskiej  
– matce chrzestnej tej książki –  
w podziękowaniu za wszystkie rzeczy, które zrobiłaś  
i za, mam nadzieję, jeszcze więcej tych, które przed nami.

Pełna wersja mapy na stronie  
[www.strefa-cichosza.pl/mapy/](http://www.strefa-cichosza.pl/mapy/)



# SPIS TREŚCI

PROLOG.....	7
ROZDZIAŁ PIERWSZY.....	27
ROZDZIAŁ DRUGI.....	96
ROZDZIAŁ TRZECI.....	132
ROZDZIAŁ CZWARTY.....	187
ROZDZIAŁ PIĄTY.....	238

## PROLOG

Policzek Lidii swędział coraz mocniej, mimo iż drapała go nieustannie od dłuższej chwili. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że komar, który chwilę wcześniej nie dawał jej spokoju, dopiął jednak swego i zdążył ją ugryźć. Zdusiła w sobie chęć głośnego przeklęcia owada i wyładowała złość zamaszystszyimi machnięciami miotły.

Karczma jej ojca, jak ciągle zwykła myśleć o gospodzie, którą odziedziczyli z mężem, świeciła pustkami. Nie było to zaskakujące, bo tawerna mieściła się z daleka od głównej drogi, na obrzeżach dzielnicy portowej. Gośćmi przybytku nie bywali zatem przygodni przechodnie. Zazwyczaj wchodził w jej progi ktoś, kto dobrze wiedział, dokąd zmierza: stali pracownicy biedniejszych kutrów, pijaczkowie z pobliskich domów i ci, którzy spłukali się w centrum miasta i skrupulatnie wywiedzieli się, gdzie jest najtaniej oraz najciemniej. Zwłaszcza ta ostatnia cecha lokalu Pod Trzema Mieczami podobała się gościom mającym na pieńku z władzą. Lidia z ulgą przyjmowała fakt, że jej ojciec nie dożył czasów, w których jego ukochana knajpa stała się meliną dla kryminalistów.

Senny klimat gospody doszczętnie zrujnowało wybiegające z kuchni dziecko. Dziewczynka potknęła się o nogę śpiącego przy stoliku mężczyzny i upadła płasko na ziemię. Chudy chłopak, który czyścił w tym czasie szynkwias, zaśmiał się krótko na ten widok.

– Nie rechocz – skarciła go Lidia z westchnieniem. – Pomóż siostrze.

Chłopak miał prawie siedemnaście lat, ale wyglądał na znacznie mniej. Dziadek Henrick zawsze narzekał, że niestety jego wnuki z urody wdały się w ich babcię – wątłą i drobną. Lidia za-

wsze wtedy dopowiadała w myślach, że całe szczęście dzieci nie wdały się w swojego ojca. Ku jej uldze, nie tylko nie przypominały go z wyglądu, ale co najważniejsze, również z charakteru.

Dziewczynka podniosła się z podłogi przy pomocy ramienia brata i od razu podbiegła do mamy. Ta pozwoliła córce wtulić się w swoją spódnicę i pogłaskała dziecko po jasnych włosach – tak podobnych do jej własnych.

– Już dobrze, Lili – mruknęła kobieta odruchowo. – Nie płacz. Simmon, jak szklanki?

Nastolatek odetchnął głęboko i wrócił za szynkwias.

– Kilka wytarłem – rzucił niechętnie. – Więcej nie będzie potrzeba.

Lidia skarciła go spojrzeniem.

– Trochę optymizmu. Z takim podejściem nie zatrzymasz żadnego gościa na dłużej.

Simmon założył ręce na piersi.

– Najpierw musi przyjść ktoś warty zatrzymania – odpysknał.

Lidia nic nie powiedziała na te słowa. Nie wzięła ich też zbyt mocno do siebie. Wiedziała, że sama była sobie winna. Wypowiadając głośno opinie przy dzieciach, szybko przekazała im swój punkt widzenia.

– Już dobrze, Lila? – zwróciła się do córeczki, która brudną rączką wycierała łzy, zostawiając na policzkach ślady palców.

Mała pokiwała głową i czknęła cicho.

– Stella kazała powiedzieć, że kapusta się zepsuła.

Tym razem Lidia nie powstrzymała przekleństwa. Liliana wciągnęła głośno powietrze i spojrzała na brata. Ten uśmiechnął się pod nosem, ale nie skomentował wybuchu matki.

– Poradzimy sobie – powiedziała gospodyni, przywołując się do porządku. – Mało to jedzenia się wędzi? Po kapuście chłopcy tylko powietrze nam psują.



Liliana zaśmiała się na te słowa i zaczęła naśladować odgłosy wydawane przez pijanych gości podczas wspomnianego zanieczyszczenia powietrza.

– Wystarczy – przerwała jej matka i machnęła ręką w stronę kuchni. – Pomóż Stelli wyciągnąć mięso z piwniczki. I nie biegnij już! – rzuciła za córką pospiesznie.

Dziewczynka pamiętała o przestrodze przez pierwszych kilka kroków. Zanim jednak dotarła do drzwi kuchennych, nabrała już normalnej dla siebie prędkości.

Lidia westchnęła, pokręciła powoli głową i wróciła do prze-rwanej pracy.

– Chyba nie będę dzisiaj potrzebny? – zaczął po chwili Simmon niefrasobliwym tonem, czym natychmiast wzbudził podejrzenia matki.

– Dlaczego pytasz? I dlaczego miałbyś nie być potrzebny? – dodała szybko.

Syn spojrzał na nią znacząco.

– Mamuś – jęknął. – Jest środek tygodnia. Nie będzie tłumy. Nie to, żeby kiedykolwiek przewalały się tabuny – dodał ciszej. – Ale dziś na pewno sobie poradzisz...

– Dokąd chcesz iść? – weszła mu w słowo Lidia i oparła spracowane dłonie na biodrach.

Nastolatek wyraźnie się zmieszał i zaczął unikać jej wzroku.

– Czy ze wszystkiego muszę ci się tłumaczyć? – zaczął pokrętnie. – Nie mam już pięciu lat.

Kobieta odstawiła miotłę i podeszła do szynkwasu. Wychyliła się przez blat i chwyciła syna za podbródek, zmuszając go do spojrzenia w swoje oczy.

– O tej porze chcesz iść do Dany?

Chłopak zmarszczył czoło i się wyszarpnął.

– O jakiej porze? Jeszcze słońce nie zaszło.

Lidia pokręciła głową i fuknęła niezadowolona.

– Że też jej ojciec jeszcze cię nie przegonił. – Nie mogła zrozumieć swobodnego podejścia sąsiadów do wychowania córki. – Co ty w ogóle w niej widzisz?

Simmon zachnął się i z hukiem odstawił czyszczony kufel.

– Ty znowu swoje? Mamuś, nie wszyscy muszą być omnibusami.

– Ale czy naprawdę musisz iść w drugą skrajność? – Lidia czuła, że jej głos niebezpiecznie się podwyższa z emocji. – Ta dziewczyna nie wie nawet, kim był Karol Ostenhell. To cud, że słyszała o Diego Kazamie.

Simmon zacisnął pięść i uderzył się nią w czoło.

– Po co Danie taka wiedza? – próbował tłumaczyć. – Świetnie radzi sobie w piekarni.

– I w tej piekarni zostanie do śmierci – warknęła Lidia. – To nie towarzystwo dla ciebie. Nie chcę, żebyś się do niej przywiązał. Po co ci to? I tak niedługo wyjedziesz.

Simmon jak zwykle, gdy matka poruszała ten temat, wyrzucił oczami.

– Mówiłem ci – zaczął ciszej i mniej pewnie. – Nie wiem jeszcze, czy chcę wyjechać.

Lidia przymknęła powieki i odetchnęła głęboko, próbując nie stracić panowania nad sobą.

– Bo masz nadal pstro w głowie i głupie pomysły się ciebie czepiają – zdiagnozowała.

– Byłaś w moim wieku, kiedy sama...

Lidia uniosła dłoń w uciszającym geście. Simmon posłał jej harde spojrzenie. Dokładnie takie, jakie lata wcześniej wielokrotnie oglądali rodzice Lidii u swojej córki.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć – zaczęła, otwierając szeroko oczy. – Że ty i Dana... że wy już...

Simmon poczerwieniał nagle, przez co chuda twarz skonstrastowała się z przydługimi włosami w kolorze słomy.

– Nie bój się, mamuś. Nic się nie bój. Dana jest... To porządna dziewczyna.

W uciekającym wzroku syna Lidia łatwo poznała, że mówił prawdę. Ulżyło jej, ale tylko na chwilę.

– Za smarkaci jesteście na takie rzeczy – powiedziała po chwili spokojniejszym tonem. – I skończ już z tymi fochami o wyjazd. To nie podlega dyskusji. Tyle pieniędzy na naukę wydałam i miałbyś tu utknąć jak ja? Niedoczekanie twoje. – Wróciła do zamiatania, mamrocząc pod nosem: – Nie po to wypruwam sobie flaki i goszczę w karczmie meneli. Żeby to tylko menele byli. Kryminaliści tu nocują, żebyś mógł się uczyć i wyjechać stąd, zabrać siostrę i żyć. Żyć, smarkaczu, a nie wegetować. Zobaczyć świat, poszerzyć horyzonty, a nie tylko tyle co dzielnica portowa i rynek. – Nie wiedziała, kiedy jej oczy zaszyły łzami, a słowa zmieszały się z urywanym szlochem.

Simmon odrzucił szmatkę, którą czyścił kufle, i podszedł do Lidki. Mimo oporów kobiety objął ją ramieniem i przytulił.

– Mamuś – jęknął. – To nie tak.

Nic więcej nie zdołał wymyślić, więc tylko pogłaskał matkę po jasnych włosach i utulił ją w milczeniu. Lidia szybko wracała do równowagi. Otarła oczy i spojrzała na syna w zamyśleniu.

– Młodzi zawsze mają swoje plany – stwierdziła. – Tatko mi wiecznie powtarzał, że doczekam zapłaty od losu za to, co im wywinęłam. Zdaje się, że miał rację.

Simmon uśmiechnął się, ukazując niezbyt proste zęby. Znał dobrze historie rodzinne. Matka wielokrotnie przywoływała je jako przestrozę.

– Ty i Lilka to jedyne dobro, co wynikło z mojego wywijania – mruknęła Lidia bardziej do siebie niż do syna. Nagle jej wzrok się

ocieplił i pieśczośliwie uszczypnęła Simmona w policzek. – Dlatego nie dam zmarnować waszego życia. Nawet wam samym.

Chłopak znów przewrócił oczami, ale nie skomentował ostatniego zdania matki. Zamiast tego poruszył poprzedni temat.

– To mogę iść?

Lidia długo nie odpowiadała, tylko coraz zamaszyściej zamiatła podłogę. Spojrzała na śpiącego przy stoliku mężczyznę i sprzątnęła pustą butelkę stojącą przy jego głowie.

– Mamuś, to jak będzie? – zniecierpliwił się Simmon.

– Zrobiłeś zadania od mistrza Kiliana? – zapytała nieco ostrzej, niż planowała.

– Pytałaś już dwa razy. Zrobiłem wszystko przed obiadem.

– Powinieneś przeczytać na geologię...

– Przeczytam jutro. Mamuś, nie opuściłem się w nauce ani o jotę.

Lidia wyprostowała się i spojrzała w błagalne oczy syna.

– Tylko do zachodu – powiedziała z rezygnacją. – Potem i tak ojciec Dany cię wyrzuci.

– Nie będziemy u niej. Idziemy wszyscy do portu. Dziewczyny chcą zobaczyć wojskowych z kontynentu.

Lidia z zaskoczoną miną przyjęła szybki buziak w policzek i wzruszyła ramionami.

– Możesz im powiedzieć, że to nic specjalnego – mruknęła, ale Simmon już jej nie słuchał. Minął się w drzwiach z nowym gościem i wybiegł na dwór.

– Niezły tu macie ruch – zażartował mężczyzna, rozmasowując łokieć, o który zahaczył go wybiegający Simmon.

– Taaa... – westchnęła Lidia i omiotła wzrokiem prawie pustą gospodę. – Może znajdzie się jakieś miejsce.

Mężczyzna zaśmiał się i podszedł bliżej.

Lidia zmrużyła oczy, by przyjrzeć się nieznajomemu. Był wysoki i dobrze zbudowany. Ubranie miał porządne, choć niezbyt strojne. Zdjął skórzane rękawice i położył je na stoliku w rogu. Twarz osłaniał sztywnym kołnierzem i ciemnym szalem. Lidia знаła ten typ. Wyglądało na to, że przybył do niej kolejny rzeźmieszek szukający cienia, w którym nie znajdzie go straż albo wierzyciele.

– Kto wam polecił moją gospodę? – zapytała, omiatając szmatką najwyraźniej wybrany przez mężczyznę stolik. – Mówiłam, że trzeba się chwilę wstrzymać z odwiedzinami.

– Słucham? – zapytał mężczyzna, siadając przy swoich rękawicach.

– Mogę was nakarmić i napoić, ale z nocowaniem to bym uważała. Ostatnio kręci się tu sporo straży. Pokój mam, mogę dać. Ale śpicie na własne ryzyko. Ja już więcej na łapówki nie mam. Za ostatnie mi nie pooddawali.

Mężczyzna spojrział na kobietę zaciekawiony. Po raz kolejny poznała, że się uśmiechał, choć nie widziała jego ust, a jedynie oczy.

– Moja droga, za to, co właśnie usłyszałem, mógłbym cię z marszu aresztować.

Zmarszczyła czoło i założyła ręce na piersi, a następnie spojrziała na niego wyczekująco. Nie była bojaźliwa. Nie raz miała też do czynienia ze strażą. Tajemniczy gość zaczął działać jej na nerwy. Przychodzili do niej różni i radziła sobie z każdym lepiej lub gorzej. Ale szczególnie mocno irytowali ją cwaniacy uznający, że wszystko załatwią urokiem osobistym lub, dla odmiany, groźbą.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy się spoufalali... mój drogi – dodała znacząco.

W oczach gościa pojawiło się lekkie wahanie, które momentalnie ustąpiło miejsca zdecydowaniu.

– Ja za to doskonale to pamiętam – mruknął cicho i odwinął szal, ukazując twarz.

Lidia otworzyła usta, żeby zripostować, ale zamarła z tym grymasem na twarzy na długie sekundy. Bezwiednie osunęła się na krzesło naprzeciwko mężczyzny i nie odrywała od niego wzroku.

– To... ty... – wydyszała, odzyskawszy wreszcie głos.

Uśmiech Ramona Tilgi był sympatyczny, ale Lidia wyczuwała w nim wyraźny dystans. W jednej chwili zaczęła dotkliwie czuć każdą fałdkę pozostałą po ciążach. Przeklinała się w duchu za włożenie sukienki z widoczną łąką na rękawie, za brudny fartuch, w który wytarła nóż po krojeniu ziół ze Stellą, za niechlujny koczek, który zrobiła przed pracą, i za to nieszczęsne rozdrapane ugryzienie komara na policzku.

– Ramon – zaczęła niepewnie, rozpaczliwie próbując przybrać nieco godniejszą pozę. – Co za niespodzianka.

– To był twój syn? – odezwał się z nadal niewzruszonym dystansem.

Lidia uśmiechnęła się lekko zakłopotana. Zaskoczyła ją własna reakcja. Dzieci były jej największą dumą, pomimo okoliczności, w jakich pojawiły się na świecie – każde z nich zupełnie innych, choć trudno było ocenić, które w bardziej dla niej przykrych.

– Simmon – odpowiedziała. – Tak, to mój starszak. Mam też córeczkę – dodała żywiej. – Lilianę.

Tilga pokiwał powoli głową.

– Po twojej mamie – odpowiedział z nostalgią. – Cudowna kobieta.

Lidia poczuła lekkie ukłucie w piersi z powodu wspomnień, które zaczęły zalewać jej umysł na widok starego znajomego.

– Słyszałem o twoich rodzicach – kontynuował z powagą. – Moje kondolencje.

– Na każdego przychodzi czas. – Machnęła ręką, ale niezbyt przekonująco. – Mamuś była chorowita, a tatko bez niej nie umiał sobie znaleźć miejsca. Ludzie mówią, że mu serce pękło z tęsknoty – burknęła, nabierając nieco pewności siebie. – Durnie. Zerowa znajomość medycyny.

Ramon Tilga uśmiechnął się odrobinę ciepłej.

– Nic się nie zmieniaś – wyrwało mu się.

Lidia spojrzała na niego kpiąco. Szersze biodra i fałdki na brzuchu paliły ją coraz dotkliwiej.

– A ty? – zaczęła nieco swobodniej. – Chciałeś mnie aresztować, więc zakładam, że nadal jesteś wojskowym?

Odpowiedziało jej kiwnięcie krótko ostrzyżoną głową.

– Awansowałem – rzekł lakonicznie.

– Nie jestem zaskoczona – odparła na to grzecznie.

Nastąpiła cisza, którą przerywało chaotyczne pochrapywanie śpiącego mężczyzny i stłumiona krzątanina w kuchni. Kiedy milczenie zrobiło się nieznośne, sytuację uratowała Liliana. Wparowała do izby, zwinnie przeskoczyła nad nogami pijaka i zatrzymała się dopiero w połowie pomieszczenia, widząc, że mama z kimś rozmawia. Na jej czole zdążył wykwitnąć dorodny siniak – pamiątka niedawnego kontaktu z podłogą. Dziewczynka posłała mamie pytające spojrzenie. Wiedziała, że nie należało przeszkadzać dorosłym w rozmowie i to Lidia zdecydowała, czy osoba, z którą akurat załatwiała interesy, była dostatecznie „bezpieczna”.

Tym razem matka zachęcająco uśmiechnęła się do córeczki, więc ta natychmiast podbiegła do stolika, przy którym siedzieli dorośli.

– Stella mówi, że posmaruje mi siniaka maścią, ale w kuchni już nie ma zapasu. Pyta, czy możemy wziąć z góry nowy dzban.

– Cały dzban? – zdziwiła się Lidia.

Mała wzruszyła ramionami.

– Stella mówi, że cały zapas idzie na moje siniaki i że jak tak dalej pójdzie, to zabraknie mi skóry na nowe zadrapania i żebym przestała tak ciągle biegać, i...

– Już dobrze – przerwała jej matka, a dziewczynka wzięła łapczywy wdech. – Może coś w tym jest. Nie znoś go sama. Niech Stella ci pomoże. Weźcie kluczyk z haczyka i...

Liliana zamaszycie pokręciła głową i odwróciła się na pięcie.

– Stella mówi, że tatko wziął klucze i nie oddał.

– Lila, poczekaj!

Było już za późno. Dziewczynka swoim zwyczajem w mgnieniu oka przecięła pomieszczenie i dopadła śpiącego przy stoliku pijaka.

– Tatko – pisnęła, szturchając go w ramię.

Jedyną reakcją mężczyzny było przeciągłe warknięcie i poprawienie swojej pozycji.

Lidia zacisnęła zęby i wstała z godnością.

– Poczekaj – powiedziała do Ramona bezbarwnie i podeszła do córki.

Bez słowa odsunęła ją od śpiącego mężczyzny i zaczęła przeszukiwać mu kieszenie. Nie zważała na jego pijackie odzywki rzucane ze złością zaspanym głosem. Miała wrażenie, że poszukiwania trwały wieczność, podczas której, była pewna, Ramon Tilga przyglądał się bez przerwy jej poniżeniu.

Kiedy Lidia wreszcie poczuła pod palcami metalowy pęk, natychmiast zostawiła pijaka na stoliku, gdzie od razu zasnął, i wręczyła klucze córeczce. Powtórzyła cicho, żeby nie dźwigała maści sama, a gdy dziecko zniknęło za kuchennymi drzwiami, powoli wróciła do stolika gościa i usiadła. Czowała, że policzki miała tak czerwone, że ugryzienie komara stało się całkowicie niewidoczne.

Milczenie powróciło i gęsto wypełniło przestrzeń między gospodynią a jej gościem.



– Twój ojciec naprawdę to zrobił. – Kiedy wojskowy wreszcie się odezwał, Lidia zauważyła jedną pozytywną rzecz: dystans w jego spojrzeniu zniknął. – Zmienił nazwę karczmy, tak jak nam obiecywał – podjął nowy temat z uśmiechem.

– Oczywiście – potwierdziła szybko, czując na twarzy gorący rumieniec kwitnący na wspomnienie okoliczności, w których nastąpiło przemianowanie lokalu. – Zmienił szyld zaraz po waszym... – umilkła.

– Myślałem, że miało być „Trzy wojaki” – zagadał szybko Ramon, wyciągając kobietę z niekomfortowej ciszy. – Ale faktycznie „Pod Trzema Mieczami” brzmi bardziej poetycko. I... sentymentalnie. To dlatego później nie zmieniłaś szyldu pod siebie? – dodał zaczepnie.

Lidia uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Prawda była taka, że nigdy nie chciała przejmować interesu po ojcu. Dlatego zostawiła starą nazwę. Dzięki temu łatwiej było jej się nieco dystansować od tego miejsca, a także od poczucia, że należy ono do niej. A właściwie, że ona należy do niego.

– Twój ojciec to był równy gość – podjął Tilga swobodnie, wrywając rozmówczynię z zamyślenia. – I znacznie lepiej od ciebie sprawdzał się jako gospodarz.

Lidia zmarszczyła brwi i prychnęła, ale zanim zdążyła się na głos oburzyć, Ramon poklepał blat stołu i pochylił się nad nim.

– On nigdy nie kazał swoim gościom tak długo siedzieć o suchym pysku.

Lidia uśmiechnęła się do niego złośliwie.

– Zanim cokolwiek wyjął z piwniczki, upewniał się, że klient ma czym zapłacić.

Ramon sięgnął za pazuchę i położył na stole dużą sakiewkę, która zabrzączała donośnie. Lidia nie ukryła zaskoczenia.

– Mówiłem, że awansowałem – powiedział Ramon, widząc jej minę.

Kobieta wstała bez słowa.

Więc przyszedł tu kłuć mnie w oczy bogactwem – pomyślała. – Chce mi pokazać, co straciłam.

Nie zdołała odejść, bo żołnierz chwycił ją za dłoń. Natychmiast wyswobodziła rękę. Nie dlatego, że dotyk tego mężczyzny był dla niej nieprzyjemny. Po prostu nie chciała, żeby poczuł, jak szorstkie od pracy stały się jej palce.

– Lidka – odezwał się miękko, a ona zamarła.

Powoli odwróciła na niego wzrok.

– Zimna wódka, prosto z piwniczki – powiedziała oschle. – Czy coś się zmieniło w twoich upodobaniach? Coś do jedzenia? Polecam... kapustę.

Jego wzrok ją rozpraszał i peszył. Nie znosiła tego uczucia.

– Nie o to chodzi – odparł łagodnie. – Pomyślałem... tyle lat minęło. Chciałbym z tobą porozmawiać. Dowiedzieć się, jak żyjesz. Może... usiądziesz ze mną? Napijemy się?

Wahała się i wcale nie próbowała tego ukrywać.

– Przecież nie masz dziś gości – zauważył trafnie.

Wzruszyła ramionami, ale już wiedziała, że się zgodzi. Kiedy pół godziny i ćwierć flaszki później siedziała naprzeciwko Ramona, postanowiła zadać pytanie, które od dłuższego czasu ją gryzło.

– Jesteś tu co najmniej od tygodnia – powiedziała z nutą oskarżenia. – Wtedy przyplłynął ostatni statek z kontynentu. Czemu przyszedłeś dopiero dzisiaj?

Ramon uzupełnił ich kieliszki i się uśmiechnął.

– Przecież wiesz.

Pokręciła głową i założyła ręce na piersi.

– Podejrzewam – sprostowała. – Mam kilka różnych teorii. Chciałabym wiedzieć, która jest prawdziwa.

Wojskowy oparł się wygodniej na krześle.

– Zapewne każda po trochu – stwierdził swobodnie, ale wzrok kobiety uświadomił mu, że nie wywinie się od odpowiedzi tak łatwo. Westchnął i uniósł kieliszek. Kiedy wypili, skrzywił się lekko i kontynuował: – Niepewność. Tak, wiem, że to niewiele mówi. Ale to jest odpowiedź na twoje pytanie. Nie wiedziałem, co tu zastanę. Czy spodoba mi się to, co zobaczę. I czy będę po zobaczeniu tego spokojniejszy. Czasem lepiej nie burzyć obrazów z przeszłości. Ten lokal... To miejsce... było mi bliskie. A w pamięci często idealizujemy to, co nam się podobało. Bałem się, że przychodząc tutaj, utracę ten wyidealizowany kącik, który tak dobrze mi się kojarzył.

Przez chwilę milczeli zamyśleni, a potem Ramon uśmiechnął się i pochylił do kobiety przez stół.

– No a poza tym chciałem się odpowiednio przygotować, żeby zrobić na tobie wrażenie. – Zaśmiał się krótko.

– Wiedziałam! – rzuciła rozbawiona. – Przez tydzień zbierałaś te miedziaki w sakiewce?

Ramon otworzył woreczek i pozwolił, żeby kilka monet wysypało się na stół i zalsniło złotem.

– Radzę sobie – oznajmił niedbale, ale uważnie przyglądał się reakcji kobiety. Ta pokręciła głową ze złośliwym uśmiechem.

– A był z ciebie taki sympatyczny gołodupiec.

Oczy błyszczały im od alkoholu i nie tylko. Lidia nie czuła się tak dobrze od lat. Cieszyła się jednak, że miarowe pochrapywanie męża przypominało jej o rzeczywistości.

– Ja też sobie radzę – powiedziała po chwili i rozejrzała się po karczmie. – Może dzisiaj nie jest zbyt reprezentacyjnie, ale w dni targowe potrafi być pełno. Raz nawet mieliśmy tu koncert barda. Trafił się taki, co zgodził się wystąpić za jedzenie i picie. A ja tak bardzo potrzebowałam kontaktu ze sztuką – westchnęła. – Co

prawda po trzech balladach upił się ze Skyllem i zaczęli śpiewać świńskie przyśpiewki. Ale najważniejsze, że gościom się podobało. Wtórowali i chętnie płacili za kolejne kufle.

W opowieści kobiety brzmiała wyraźna nutka zgorzknienia. Nie czekając na towarzysza, wypila szybko zawartość swojego kieliszka, który natychmiast został przez Tilgę uzupełniony. Kiedy spojrzała na rozmówcę ponownie, nie uśmiechała się już. Jej twarz była spokojna, ale przygnębiona.

– Znam cię trochę – podjął łagodnie Ramon. – Nie ma rzeczy, z którą nie dałabyś sobie rady. Może i nie trafiłaś najlepiej z pewnymi wyborami, ale jesteś silna. Na szczęście masz gospodę, więc Simmon i Liliana będą mieli dach nad głową...

Lidia przerwała mu nagłym ruchem ręki i zamaszycie pokręciła głową.

– Nie ma mowy. Oni tu nie zostaną – zawyrokowała ostro. – Wykształcę Simmona i wysłę na kontynent. A jak Lila podrośnie, Simmon zabierze ją ze sobą. Zadba o jej naukę.

– Wykształczisz? – zapytał zaciekawiony wojskowy. – W jakim sensie?

– Najlepszym – odpowiedziała bez zastanowienia. – Ile dałam radę, tyle nauczyłam go sama, ale nauka poszła do przodu, odkąd ja poznawałam świat. Książki Skylla są przestarzałe. Przy najmniej niektóre. Simmon uczy się u guwernanta de Grissów.

Ramon Tilga nie krył zaskoczenia na tę nowinę.

– Przecież to musi cię kosztować majątek.

Pokiwała głową z westchnieniem.

– Nigdy nie będę szczydziła pieniędzy na przyszłość dzieci. Wyjadą i będą żyły. Naprawdę żyły.

– A ty, Lidka? Co z tobą?

Zmieszała się i spuściła wzrok. Wzruszyła ramionami, a potem zerknęła na męża śpiącego przy stoliku nieopodal.

– Ja tu zostanę. I tu będę żyła. Przynajmniej do czasu, aż... – urwała, jakby przestraszyła ją myśl, która przysłała jej do głowy. – Niektóre decyzje nie są może dobre, ale są moje. I konsekwencje też są moje.

W oczach Ramona pojawiły się ciepłe iskierki. Na ten widok Lidia uniosła dostojnie głowę.

– Dumna jak zawsze, co? – zapytała.

– Raczej uparta jak zawsze – odparł i uśmiechnęli się do siebie z wyraźną nutą goryczy. – Ale powiedz – podjął po chwili niepewnie. – Wtedy, lata temu... czekaj, ile to już?

– Simmon niedługo skończy siedemnaście – odpowiedziała.

– Aż tyle? Z całym szacunkiem, ale nie wygląda na swój wiek. Lidka poląła im szczodrze.

– Taka jego uroda.

– Więc to on się wtedy urodził? – zapytał ostrożnie. – Przepraszam. To nie moja sprawa, po prostu jak go zobaczyłem, to wydał mi się za młody i... no wiesz... twoja matka miała problemy.

Gospodyni zrozumiała, o co chodziło, i spuściła wzrok.

– Nie odziedziczyłam po niej tych... problemów. Wręcz przeciwnie. Żadnej ciąży nie poroniłam. Tylko... – dodała cicho i urwała, zamykając powieki.

Poczuła dłoń Tilgi na swojej. Nie odsunęła ręki. Nie myślała już o tym, jak wyglądała jej szorstka skóra.

– Lidka? – mruknął łagodnie, a ona czuła, że coś się w niej łamie.

– Chciałeś o coś zapytać. – Z trudem panowała nad głosem. – Kiedy zastanawiałeś się, ile to już lat minęło.

Ramon nie nalegał na kontynuowanie tematu.

Jak zawsze – pomyślała. – On nigdy nie nalegał. Do niczego nie zmuszał. Szybko odpuszczał. Za szybko.

Pokiwał głową.

– Chciałem zapytać – zaczął, cofając rękę z jej dłoni. – Czy wtedy ci pomogłem?

Blady i nieszczerzy uśmiech wstąpił na twarz Lidki, gdy uniosła jasne oczy na mężczyznę.

– Tak, oczywiście. Zachowałeś się bardzo szlachetnie. Dałeś mi wybór. Bardzo wielkoduszny i zupełnie niezasłużony...

– Lidka – przerwał jej zrezygnowany. – Ty nadal sądzisz, że to było z litości, co? Zresztą... nieważne. – Machnął ręką. – Ja nie o tym. Pytam o to, co zrobiliśmy potem. Kiedy zdecydowałeś się zostać przy Skyllu, a on nie chciał się żenić...

– I wtedy ty z kolegami z wojska go do tego zmusiliście – dokończyła sztywno, ale bez złości. – Pamiętam. Chcesz wiedzieć, czy mi wtedy pomogłeś? Przecież to jasne. Uratowaliście moją rodzinę przed hańbą. Dzięki temu oberwało się jedynie mnie, trochę ojcu. Ale ludzie pogadali i przestali. Simmon urodził się już w małżeństwie i nie dotknęły go żadne przykrości. Za to, Ramon... ja ci się nigdy nie zdołam odwdziżyć.

Cisza przerywana pochrapywaniem Skylla była inna niż do tej pory. Jakby lżejsza i cieplejsza. Nie wadziła im, dlatego nie szukali na siłę okazji, by ją zburzyć. Napili się. Pozwolili, żeby alkohol wypalił ich gardła, a także przytłumił troski.

– A właśnie... – zaczęła po długiej chwili Lidia, uśmiechając się przyjemnie. – Co u chłopaków? Wiesz, jak się ma Rudy?

Tilga pokręcił głową.

– Po wyjeździe stąd nasze drogi się rozeszły. Wiem tylko, że ogolił się na łyso po tym, jak mu po pijaku opalili kawał czachy. Nic mu nie jest – uspokoił Lidę, bo na jej twarzy wykwitł niepokój. – Ale jako łyso był jeszcze mniej wyglądnym.

– A mój ulubieniec? – zapytała z przekąsem. – Wiecznie za-rośnięty Hunbert?

Ramon zaśmiał się krótko.

– Jego straciłem z oczu nieco później. Zdaje się, że walczył pod Frontir i tam go dowództwo nauczyło dyscypliny.

Lidia otworzyła szeroko oczy i usta.

– Nie gadaj. Ogolił się?

– I ostrzygł – odpowiedział z uśmiechem wojskowy. – Choć tak się zarzekał, że nigdy tego nie zrobi. Tutaj nikt go nie pilnował. Zajęci byliśmy sprawami w dolinie. Ale tam służył pod Leonidasem Franckiem. Założę się, że wiesz, o kim mowa.

Lidce zaświeciły się oczy i pochyliła się do rozmówcy, opierając twarz na splecionych dłoniach. W tej chwili przywodziła na myśl dziewczynę sprzed siedemnastu laty, która z zapalem opowiadała o tym, co nowego przeczytała w książkach do geologii.

– Oczywiście. Skyll jeszcze przez jakiś czas po ślubie trzymał rękę na pulsie, jeśli chodzi o historię najnowszą. A to jedno mu trzeba przyznać, że zawsze umiał dotrzeć do prawdy. Czy to badając teorie naukowe, czy wysłuchując plotek z frontu.

– Zatem wiesz, jak było z Franckiem – ciągnął Tilga, uzupełniając kieliszki. – On miał posłuch. To sztywniak, ale zaciekły jak cholera. To się wojakom podobało. Był konkretny i osiągał faktyczne sukcesy. Stał się gwiazdą frontu.

– Gwiazdą, która w końcu spadła – zauważyła kobieta. – I to z niezłym hukiem.

Tilga pokiwał głową.

– Kolos na glinianych nogach – wyjaśnił. – Nie miał pleców. Nie umiał się ułożyć z kim trzeba. No i z jednej strony właśnie dlatego tak go pokochali żołnierze, ale i z tego samego powodu tak szybko go sprowadzili do parteru dowódcy.

Lidka uśmiechnęła się nagle inaczej i spojrzała na towarzysza z zainteresowaniem.

– Nie poznaję cię – zaśmiała się dźwięcznie. – Tak chętnie opowiadasz. Kiedyś nie dało się z ciebie wyciągnąć tajemnicy wojskowej nawet torturami.

Ramon się wyprostował.

– Historia Francka to żaden sekret. – Wzruszył ramionami.

– Prawda. – Pokiwała głową, a następnie pochyliła się i posłała mężczyźnie zalotne spojrzenie. – Za to obecność Armii Królewskiej na Aldenie jest owiana aurą tajemnicy. Wiem, że nie powiesz mi, co tu robicie. Ale zdradź chociaż, czy to, co się słyszy na mieście, ma choć ziarno prawdy?

Jeżeli Ramon Tilga w tym momencie przeżywał jakieś emocje, to nie dał ich po sobie poznać.

– A co mówią na mieście i od kiedy wierzysz plotkom?

– Nie wierzę, zanim ich nie potwierdzą – powiedziała hardo. – I właśnie to robię. A co mówią? Na pewno słyszałeś. Podobno... – Lidia ściszyła głos, choć byli sami, nie licząc kompletnie pijanego Skylla. – Znaleziono Morvena de Grissa.

Mina Tilgi wyrażała spokojne zaśłuchanie. Uśmiechnął się lekko.

– No cóż... Masz rację – zaczął powoli. – To tajemnica wojskowa – dokończył z przekąsem.

Lidia pokręciła głową z przekornym uśmiechem i uniosła swój kieliszek. Wypili szybko i od razu napełnili szkło. Butelka błysnęła pustką i nastał ten krępujący moment, w którym należało zaproponować kolejną, ale mogło się to skończyć odmową ze strony mężczyzny i jego odejściem. Lidia nie chciała wyjść na desperatkę i usilnie namawiać towarzysza do pozostania. Postanowiła więc nie poruszać tematu alkoholu i wydłużyć tę chwilę jak tylko się da.

– Słyszysz się o znalezieniu Morvena – podjęła po chwili namysłu. – Czyli kłątwa może niedługo upaść. A potem najeżdża się tu wojska z kontynentu. Nietrudno połączyć fakty. Ktoś musi przygotować obronę, gdy kłątwa zniknie. Ale ty nic mi nie powiesz.

Tilga pokręcił głową, obserwując kobietę w zamyśleniu.

– Wódka się skończyła – powiedział cicho, nie patrząc na butelkę. – Pójdę już.



– Poczekaj... – zaczęła nagle Lidka, ale urwała, przestraszona, że ujawni zbyt wiele emocji. – Odprowadzę cię.

Wypili po ostatnim kieliszku i niespiesznie ruszyli w stronę drzwi. Kiedy wyszli na zewnątrz, ogarnął ich chłód przedsiennego wieczoru. Lidia zaśmiała się cicho. Ramon spojrzał na nią pytająco, na co machnęła ręką.

– Simmon zabrał się z przyjaciółmi, żeby popatrzeć na wojskowych z kontynentu. Jakby mnie posłuchał, to mógłby sobie jednego żołnierza obejrzyć bardzo dokładnie.

Uśmiech Tilgi był krótki i nie objął oczu. Myślał o czymś intensywnie. W pewnym momencie oboje spojrzeli na ciemną uliczkę między karczmą a sąsiednią zagrodą dla świń, gdzie Lidia od lat zwykła wynosić zlewki.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa na ten temat, ale oboje doskonale wiedzieli, że wróciło do nich to samo wspomnienie.

Lidia otuliła się szczelniej cienkim kocykiem, który na siebie narzuciła przy wyjściu, i zadarła głowę, by spojrzeć w oczy wysokiego żołnierza. Czuła, że alkohol przyjemnie dopingował ją do wypowiadania kolejnych słów, które następnego dnia z pewnością przyprawiają ją o poczucie wstydu.

– Przyjdziesz jeszcze? – zapytała cicho z wyraźną nadzieją w głosie. Tę nadzieję będzie sobie wypominała bardzo długo. Jeszcze dłużej będzie wypominała sobie to, że pozwoliła ją usłyszeć Ramonowi.

Pożaluje mnie – przyszło jej do głowy. – Tak jak wtedy, gdy zaproponował, że się ze mną ożeni i uzna nieślubne dziecko, które nosiłam pod sercem.

To politowanie, które jej wtedy okazał, paliło ją przez wszystkie lata, a teraz, podsycone alkoholem, nabrało świeżości.

– O świcie ruszam z oddziałem do Velde.

– Zabezpieczać wejście do Kazamatów? – zapytała z wyraźnym niezadowoleniem. To niezadowolenie też będzie sobie wypominała, wiedziała o tym.

Tilga nie zmienił poważnego wyrazu twarzy.

– Tajemnica wojskowa – odparł spokojnie.

– Tak czy siak – westchnęła i opuściła wzrok – coś się kroi. Albo są jakieś plany związane z doliną, albo w jej wnętrzu się zagotowało.

– Lidio – zaczął z wyraźnym wahaniem, a ona poczuła, że mięśnie jej zeszywniały. Tylko raz zwrócił się do niej pełnym imieniem. – Wiem, że nie zechcesz, ale... – sięgnął za pazuchę i wyciągnął gruby mieszek.

– Przestań – zaoponowała. – Dziś ja stawiam. Po starej znajomości.

– Lidka, ja nie o tym. Weź to. Dla Simmona. Myślę, że wystarczy na nauczyciela od de Grissów.

Kobieta poczuła, że oczy zaszczyły jej łzami. Była wściekła.

Litość – pomyślała. – On nadal ma dla mnie tylko litość.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

3 miesiące później

Krew na jej palcach parzyła oczy żywą czerwienią. Nie była lepka ani gęsta, ale im bardziej próbowała ją zmyć, tym gorszy uzyskiwała efekt. Szkarłat łączył się ze stopionym na dłoniach śniegiem i gnijącymi liśćmi. Upiorna mieszanka spływała po rękach, dosięgała łokci, a od zamaszystego wycierania krople przyskały na twarz i koszulę. Na policzkach mieszały się ze łzami.

To przez te łzy nie dostrzegała wyraźnie ani rąk, ani otoczenia. Nie musiała jednak nic widzieć, bo doskonale wiedziała, co się stało... co zrobiła. Wciąż czuła w mięśniach wysiłek, który włożyła w dźganie mężczyzny nożem.

Zabiła go. Zamordowała. Z furją. Albo ze strachem. Nie była pewna. W tym momencie czuła tylko przerażenie. Obraz przed oczami był rozmazany. Otarła twarz z łez, ale to tylko pogorszyło sprawę, bo krwiste smugi przesłoniły jej widok.

Coś się poruszyło. Wzdrygnęła się i jęknęła. Siedziała na ciele martwego mężczyzny. Ciele, które zaczęło się poruszać i stękać.

Nie wiedziała, skąd w jej ręku pojawiło się ostrze.

Kłuła gęsto i mocno. Czarna plama wiła się pod nią i bulgocząc obrzydliwie, łapała powietrze. Nóż gładko wchodził w klatkę piersiową.

Zbyt gładko – pomyślała. – A co, jeśli za słabo go ranię? Jeśli wstanie i mnie dopadnie?

Całkowicie poddała się furii. Rozrywała ciało już nie tylko ostrzem, ale i gołymi palcami. Ciemna plama pod nią roztapiała się w czerwieni, która coraz mocniej paliła w oczy. Urywane jęki i gardłowy szloch, które z siebie wydobywała, ogłuszały ją.

Nagle przypomniała sobie, za co właściwie wymierzała karę.

– Trzeba było mnie zabić – wykrzyczała z wściekłością i dźgnęła Kirka po raz ostatni.

\* \* \*

Sen skończył się niespodziewanie, tak jak zazwyczaj. Sheila wzdrygnęła się i instynktownie rozejrzała na boki. Nagły ruch zdrętwiałego karku przyplącała przesywającym ukłuciem w szyi.

Syknęła i pomasowała newralgiczne miejsca skostniałymi od zimna palcami. To przyniosło szybką ulgę.

Powoli zaczęło jej się wszystko przypominać. Spojrzała na swoje dłonie. Pomijając ziemię pod paznokciami, były czyste. Nie znalazła na nich ani jednej kropli krwi.

– Oczywiście, że nie.

Przymknęła powieki i czekała, aż jej oddech się wyrówna.

To był już rytuał. Nagłe przebudzenie z koszmaru, potem uspokajanie nerwów i na koniec długie przekonywanie samej siebie, że to nic takiego i należy jak najszybciej zapomnieć o tych snach.

Kiedy poczuła, że ręce przestały drżeć ze stresu, a zaczęły z zimna, uznała, że może bezpiecznie wrócić do normalności.

Tym razem rozejrzała się ostrożniej. Znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna – na grubym konarze starego drzewa, na którym podczas polowania czekała na zwierzynę.

Zasnęła. Zaskoczyło ją to, bo nadal było na tyle zimno, że na ziemi zdołała utrzymać się cienka warstwa śniegu. Odkąd zamieszkała na Zarzeczu, doświadczała w zasadzie tylko trzech rodzajów pobudek. Ciężko było określić, którą nienawidziła najbardziej. Zwłaszcza na początku to właśnie chłód był pierwszym powodem jej rannego wstawania. W czasie ponurej jesieni oraz wilgotnej zimy dziewczyna chodziła nieustannie chora. Kiepsko

jadła, kiepsko spała, kiepsko się czuła. Z czasem jednak udało jej się nieco okrzepnąć w nowym miejscu. I kiedy przyszła kolejna ponura jesień i nieco mniej wilgotna zima, była już lepiej przygotowana. Zdążyła dorobić się kilku futer zwierzęcych i porządniejszego ubrania. A co najistotniejsze, całkiem niezłe poznała specyfikę swojego nowego terytorium i w konsekwencji polepszyła dietę. Przybranie na wadze pomogło jej stanąć na nogi.

Sheila dźwignęła się ostrożnie i niespiesznie zeszła na ziemię. Wyciągnęła do góry ręce i wygięła obolały kręgosłup. Kości i mięśnie zeszywniały od niewygodnej pozycji oraz zimna. Zdjęła z pleców rideadański łuk, który szczerze uwielbiała, i ruszyła po własnych śladach w las.

Na Zarzeczcu wciąż było biało, choć powietrze nieustannie balansowało na granicy mrozu. Nie ułatwiało jej to zadania. Na zmianę zamarzający i rozpuszczający się śnieg głośno trzeszczał pod stopami dziewczyny. To właśnie z jego powodu, jeśli chciała coś upolować, musiała przerzucić się na długie czekanie i chowanie się na drzewach. Pod tym względem najbardziej sprzyjająca była wiosna, najlepiej zaraz po deszczu. Mokry mech z powodzeniem tłumił kroki i znacznie łatwiej podkradała się do zwierzyny.

Chmury tego dnia nie przesłaniały całkiem słońca, więc bez problemu poznała, że wciąż było rano. A to oznaczało, że przysnęła tylko na chwilę.

Wystarczająco długą, by przyszły koszmary – westchnęła w duchu i skrzywiła się z goryczą.

To był właśnie drugi z najczęstszych powodów jej przedwcześniejszych pobudek. I niestety, w przeciwieństwie do zimna, z tym drugim problemem Sheila nie poradziła sobie aż do tej pory.

Wzdrygnęła się na wspomnienie snu i jak zwykle postanowiła go nie roztrząsać. Przyzwyczała się do kiepskiego sypiania. Mimo wszystko dawała radę funkcjonować, a to było dla niej naj-

ważniejsze. I tak wypoczywała lepiej niż po nocnych wspomnieniach o domu, które nawiedzały ją przed rokiem.

Natychmiast porzuciła tę myśl. Wiedziała, że poprowadzi ją ona do kolejnych rozważań, na które w obecnej sytuacji nie mogła sobie pozwolić.

William znowu by mi wałnął kazanie – pomyślała z niezadowoleniem, które szybko zastąpiło przyjemne ciepło na myśl o przyszwanym bracie.

Ciepło to jednak ulotniło się prawie od razu. Tak już było w jej życiu ostatnimi czasy – zarówno dobre, jak i złe myśli nie utrzymywały uwagi dziewczyny na zbyt długo.

Podeszła do pułapki, którą zastawiła dwa dni wcześniej. Wciąż nic się w nią nie złapało. Wymieniła przynętę na świeżą i niespiesznie ruszyła dalej.

Niemal od razu poczuła, że ma towarzystwo. Spojrzała w bok i zobaczyła kreaturę, która była najbardziej niezwykłym zjawiskiem na świecie i jednocześnie najbardziej powszechnym w miejscu, gdzie Sheila się znajdowała.

Trupioblada zmora jak zwykle patrzyła na dziewczynę ciekawie, wodząc za nią wzrokiem. Sheila spojrzała w dobrze znane pozbawione tęczówek wyłupiaste oczy. Przestała się już wzdrygać na widok tych stworów. Widywała je każdego dnia i nie groziło jej z ich strony niebezpieczeństwo, przywykła więc do ich obecności, a wręcz bardziej niepokoiła ją ich nieobecność.

– To dlatego tak tu cicho? – zapytała Sheila, gdy pokraczny stwór zaczął iść obok niej. – Znowu wystraszyłaś mi Rumaczka?

Zmora, rzecz jasna, nie odpowiedziała. Przez chwilę kroczyła dostojnie, niczym towarzysza dziewczyny, a potem odbiła w las i zniknęła w zielonej mgle. We mgle, której Sheila z przyzwyczajenia już prawie nie zauważała, a która nigdy nie opuszczała tego

terenu. Ta właśnie mgła – poniekąd śmiercionośna dla wszystkich mieszkańców doliny – Sheili dawała schronienie.

\* \* \*

Leonidas Franck czuł, że każda jego komórka w ciele buntuje się przeciwko temu, co zamierzał zrobić. Nigdy nie żałował trzymania się zasad, a teraz musiał złamać jedno ze swoich najtwardszych postanowień. I choć najchętniej okręciłby się na pięcie i wrócił do siebie, stał twardo i czekał na spotkanie ze swoim wrogiem.

Ludzie, którzy mu towarzyszyli, z trudem kryli niepokój. Leo żałował, że nie było z nim Reivena. On znacznie lepiej radził sobie z negocjacjami i polityką. Leo za to polityki szczerze nienawidził.

– Spóźnia się – warknął niezadowolonym głosem do najbliższej stojącego mężczyzny.

Bruce pokiwał głową, ale się nie odezwał. Skontrolował spojrzeniem drużynę. Czuł napięcie towarzyszy, którzy rozglądali się na boki, wypatrując przybyszów.

– Nie pojawi się – zawyrokował Syrius, jeden z buntowników, i poprawił swój znak rozpoznawczy: długie blond włosy.

– Przyjdzie – powiedział przysadzisty mężczyzna o ciemnej karnacji. – To on ma interes – dodał z krótkim rechem.

– Zamknij się, Carlos – skarcił go Leo w obawie, że wysłano zwiad, który mógł ich podsłuchiwać.

Mężczyzna niechętnie zamilkł i pogładził się po okazałym brzuchu.

– Może coś kombinuje – mruknął jeden z oprychów obok. Wyglądał, jakby zdążył wytrzeźwieć w ostatniej chwili przed wyjściem na spotkanie. – Albo strach go obleciał.

– O to to – podchwycił jego kolega. Ten z kolei wyglądał, jakby nie zdążył wytrzeźwieć. – Pewnie po drodze narobił w gacie z nerwów.

Niewiele osób zawtórowało mu śmiechem. Leo posłał Carlosowi znaczące spojrzenie i ten uciszył swoją nieokrzesaną zgraję. Zrobił to w ostatniej chwili, bo zza zakrętu wyłonił się wyczekiwany orszak.

Pierwsi szli żołnierze. Wilgotna od roztopiającego się śniegu ziemia tłumiła nieco ich marszowy krok. Leo szybko policzył, że było ich tylu, ilu powinno być wedle ustaleń. Nie zdziwił się. Miał w Twierdzy swojego człowieka, który uprzedził go, że spotkanie nie będzie w żaden sposób sabotowane z ich strony.

– Sukinsyn przyjechał na koniu – mruknął prawie niesłyszalnie Bruce, a jeden z ludzi Carlosa splunął pogardliwie.

Leo nie ruszał się z miejsca, kiedy żołnierze rozstawili się sprawnie po bokach, odsłaniając w pełni postać, z którą się umówił. Zlustrował przenikliwie męczyznę w galowym mundurze, ten uczynił to samo w stosunku do niego.

– Leonidas Franck – powiedział przybysz, prostując się w siodle i wypinając pierś z kilkoma zmatowiałymi orderami. – Dowódca Wolnej Kompanii i, nie boję się tego przyznać, żywa legenda. O naszym spotkaniu bardowie będą śpiewali pieśni.

– Generał Kiernan de Verrad – odparł dowódca bez entuzjazmu, nie dodając żadnych tytułów.

Wojskowy niespiesznie zszedł ze swojego wierzchowca i oddał wodze jednemu z żołnierzy. To samo uczynił drugi jeździec.

– Pamiętasz kapitana Sinnda? – zapytał generał kurtuazyjnie, wskazując na swojego towarzysza.

Leo rzucił mężczyźnie krótkie spojrzenie, nie chcąc zdradzić jakimś gestem, że doskonale znał tego człowieka. Prawdopodobnie o wiele lepiej niż sam generał.



– Że też chciało ci się fatygować, kapitanie – mruknął dowódca buntowników, na co Gregor Sinnd uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

– Nie oszukujmy się – podjął zapytany. – Ktoś musi przypilnować naszych ludzi przed skoczeniem sobie do gardeł, podczas gdy będziecie gadać – zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Widzę, że ty też masz kogoś na podorędziu – wtrącił generał wyprostowany i pewny siebie. – Sierżant Adderroff, zgadza się? Bruce Adderroff?

Wywołany mężczyzna zdawał się nieco zmieszany nagłą uwagą, która się na nim skupiła.

– O tak. Mam pamięć do ludzi – odpowiedział generał na niezadane głośno pytanie. – Kojarzę tych, którzy pode mną służyli. Nawet krótko.

– Możemy przejść do rzeczy? – zniecierpliwził się Leo i założył ręce na piersi.

Generał przeniósł na niego mniej przyjemny wzrok. Żaden z nich nie grzeszył łatwym charakterem, a negocjacje wychodziły im co najwyżej średnio. Ale Verrad postanowił się tym razem naprawdę postarać. W końcu miał w tym spotkaniu konkretny cel.

– Jak zawsze w gorącej wodzie kąpany. – Zbliżył się do przewróconych pni, na których zalegały resztki brudnego śniegu. Usiadł ciężko na jednym z nich i wskazał Franckowi miejsce naprzeciw siebie.

Dowódca Wolnej Kompanii przysiadł bez ociągania. Ani na moment nie ocieplił swojego spojrzenia, ale zerknął znacząco na żołnierzy z Twierdzy.

– Będziemy rozmawiali przy nich? – zapytał bez krępacji i oparł się na kolanach.

Verrad uśmiechnął się lekko, ale nieprzyjemnie.

– Nie ufam ci, Franck. A ty nie ufasz mnie. Po co się rozpraszać ciągłym zerkaniem na dłonie rozmówcy? Lepiej skupić się na naszych sprawach, mając za plecami ludzi, ja swoich i ty swoich.

Leo wzruszył ramionami. Normalnie nie byłby zadowolony z takiego obrotu sprawy. Stanowczo wołał unikać ciosów mieczem, niż lawirować w gierkach dyplomatycznych przeciwnika. Ale tym razem dokładnie takiej sytuacji się spodziewał i co więcej, była mu ona na rękę. Nie tylko Verrad miał w tym spotkaniu interes.

– Czego chcesz? – zaczął bez ogródek dowódca Wolnej Kompanii.

Verrad rozłożył ręce i westchnął przeciągle.

– Naprawdę nie zamienimy nawet paru zdań na przełamanie lodów? – odparował. – Widać całkiem już wypadłeś z formy. Zapomniałeś o etykiecie wojskowej?

Leo wyprostował się i założył ręce na piersi. Zaśmiał się krótko i bez humoru, po czym pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czyli przestałem być zdrajcą i wichrzycielem, a zostałem kolegą po fachu? – W jego oczach błysnęła irytacja.

Czuł, że Bruce go obserwował. Wiedział, że jego człowiek obawiał się, czy dowódca zdoła zachować spokój, bo choć buntownicy wiele dobrego mogli o Leonidasie Francku powiedzieć, to każdy z nich dobrze wiedział, że miał on niezwykle krótki lont i niewiele było potrzeba, by wprawić go w furję.

Leo po raz kolejny przeklął się w duchu, że pozwolił Reivenowi wykpić się od tego spotkania.

Generał uśmiechnął się wymuszenie.

– Zdrajcą zostałeś z wyroku królewskiego, nie mojego – rzucił niby od niechcenia. – Nie wiem, jak tam dokładnie było pod Frontir. Nasłuchałem się opowiadań i bajek. Dziwić, to ci się nie dziwię, że cię tam wkurw wzięła na Salamandra. Ale ja nie jestem

od dyskusowania z wyrokami królewskimi. – Wzruszył ramionami. – Dlatego mało mnie teraz obchodzi, coś ty tam nawywiąjał. Może i miałeś trochę pecha. Może i sporo brawury... bezczelności... – wymieniał, bacznie obserwując reakcję rozmówcy.

Leo zacisnął nieco ręce na skrzyżowanych ramionach, a twarz mu stężała. Nie odezwał się jednak, co wyraźnie zawiodło generała. Okazał to bez krępacji, rezygnując z krzywego uśmiechu i pochylając się do Leo prostacko.

– Taaa... – mruknął wrogo. – Zdrajcą stanu zostałeś z młodzieńczej głupoty. Ale więziennym wichrzycielem jesteś z wyboru. I to już mnie trochę bardziej interesuje, bo to na moją dupę spadają cięgi za twoje harce.

Leo pokiwał głową w zamyśleniu.

– Zalażem ci za skórę – powiedział nieco spokojniej.

Verrad machnął ręką.

– Wkurwiasz mnie, to fakt – przyznał. – Ale nie tym, że sobie urządziłeś Wolną Kompanię i masz mnie w dupie. Nie, Franck. Nie wkurwia mnie twoja zgraja. Powiem ci całkiem szczerze, że ja to cię nawet trochę podziwiam. Ha, wiedziałem, że się na mnie tak głupio spojrzysz, jak to powiem – rzucił generał dziarsko i kontynuował swobodniejszym głosem: – Zrobiłeś coś dużego, Franck. Nie jestem na tyle durny, by temu zaprzeczać. Chcesz wiedzieć, co tak naprawdę mi w tobie wadzi?

Leo został uczulony przez Reivena na to, żeby nie wyrażał zbyt szczerych opinii o generale, przynajmniej dopóki nie uda się załatwić sprawy, z którą buntownicy przyszli na spotkanie. Mimo to Leo postanowił odpowiedzieć na pytanie Verrada, choć wiedział, że było ono retoryczne.

– Myślisz, że gdyby obchodziło mnie, co o mnie sądzisz, to przez te wszystkie lata odsyłałbym z kwitkiem każdego z twoich posłów?

Twarz generała stężała, a w oczach błysnęły złe ogniki. Nie znosił niepoważnego traktowania.

Gregor Sinnd doskonale wiedział, że jego dowódca, jak i Franck wbrew pozorom byli do siebie niezwykle podobni, a podobieństwo to najjaskrawiej objawiało się w ich uporze i chorej dumie. Dlatego właśnie podszedł do nich i odezwał się stanowczo do Leo:

– Tobie się chyba zdaje, że przychodząc tu, robisz generałowi łaskę. Ale czas pokaże, kto komu okazuje litość, chcąc się porozumieć.

Mina generała zdradzała, że jego złość odrobinę zelżała. Nie wiadomo było tylko, czy spowodował to akt poparcia Gregora, czy skroń Francka, która zaczęła lekko pulsować. Buntownik niecierpliwił się, a to poprawiło Verradowi humor i dodało pewności siebie.

– Z całym szacunkiem, kapitanie – zaczął Leo tonem, w którym mogło być wszystko, ale na pewno nie szacunek. – Pozwól, że ocenię sytuację, kiedy ją poznam. Bo na razie zanudzany jestem tylko częstą gadaniną, która do niczego nie prowadzi. Generał mówi o wszystkim, tylko nie o najważniejszym. I najwyraźniej ma mnie za idiotę. – Chociaż zwracał się do Gregora, Leo nie odrywał wzroku od Verrada. – Te ciągi, o których wspomniał generał, jakoś niespecjalnie mnie poruszają.

– Zauważyłem – odparł Verrad z lodowatym opanowaniem.

Leo się zniecierpliwił.

– Nie jest żadną tajemnicą, że od dawna macie w poważaniu króla i jego pretensje. Cięgi i baty. Dobrze sobie. Klątwa de Grissa skutecznie chroni twój tyłek, generale.

W powietrzu natychmiast narosło napięcie. Zarówno żołnierze z Twierdzy, jak i buntownicy spijali każde słowo z ust swoich dowódców. Jedynie kilku oprychów pozostających pod pieczęcią Car-

losa zdawało się mniej zainteresowanych rozmową, a bardziej prowokowaniem przeciwników wulgarnymi gestami. Ci jednak zupełnie nie zwracali uwagi na zaczepki, przez co pierwsi stawali się coraz bardziej nerwowi.

– Te ciągi, o których mówiłem – zaczął generał – to prawda, że średnio je odczuwam, będąc tutaj, w Kazamatach. Król jojczał od czasu do czasu, że nie umiem sobie z tobą poradzić. Do tej pory się tym nie przejmowałem, ale teraz sytuacja ulega zmianie.

Leo uśmiechnął się zimno.

– Po tylu latach wreszcie mamy okazję porozmawiać, a ty marnujesz ten moment na opowiadanie mi bajek o znalezieniu Morvena de Grissa?

– Zgaduję, że ty wolałbyś spożytkować energię na wzajemne wyzwiska – prychnął Gregor i wymienił z Leo ciężkie spojrzenie.

Generał nie krył zadowolenia, że udało mu się dojść do kluczowego dla niego momentu rozmowy.

– Franck, Franck – zaczął przeciągle. – Znamy dobrze retorykę, którą stosujesz uparcie od lat. Ale nie możesz być tak naiwny, by sądzić, że każdy jeden buntownik ślepo wierzy w te wszystkie nowiny na mój temat. Ustaliliśmy, że nie jestem święty. Ale robienie ze mnie potwora i wierutnego kłamcy za każdym razem, gdy coś idzie nie po twojej myśli, jest... troszeczkę dziecinne – zakończył z kiepsko udawaną troską. – Z tego, co wiem, nigdy nie byłeś dobry w dyplomacji. Nic zatem dziwnego, że tak skończyłeś. – Generał rozłożył bezradnie ramiona. – Ale może jednak spróbujesz nieco zmienić strategię? Jak myślisz? Jak długo jeszcze twoi ludzie będą cię uważali za swoją nieomylną wyrocznię? Rozumiem, że szlag cię trafił, gdy to my znaleźliśmy de Grissa, a nie wy. I rozumiem, że próbujesz jak najdłużej utrzymać swoich ludzi w ryzach, bo nagle twoja pozycja mocno się osłabiła. Ale...

Leo nie pozwolił mu skończyć wywodu.

– Daruj sobie szczucie moich ludzi – warknął i skinął ręką w stronę przysłuchujących się rozmowie buntowników. – To nie są idioci, którym możesz wcisnąć propagandę o niechybnym wyzwoleniu z Kazamatów. Swoją rozsądek udowodnili w momencie, gdy postanowili uciec z Twierdzy.

Tym razem Verrad nie wyglądał na zdenerwowanego, a raczej na rozbawionego.

– Słyszałeś, Gregor? – rzucił z ożywieniem. – On myśli, że te ucieczki to sprawa polityczna. Jemu się wydaje, że zwyrodnialcy i kryminaliści, którzy u nas siedzieli, pewnego dnia uznali, że nie zgadzają się z moimi poglądami, i dlatego odeszli – zaśmiał się oschle. – Jeszcze trochę i stracę do ciebie te resztki szacunku, które się we mnie ostały – dodał poważniejszym tonem. – Wierz mi, Franck, że ta twoja zgraja w większości przypadków ma w dupie to, kto ma nad nimi władzę. Nie są z tobą z przekonania, a jedynie z wygody – cedził mocniej. – Zapewniasz bandytom swobodę, której w Twierdzy nie mają.

– Akurat bandyci mają w Twierdzy całkiem sporo swobody – wtrącił się Leo, niezbity z tropu.

Efekt był zauważalny. Żołnierze królewscy poruszyli się niespokojnie, a na twarzach co niektórych pojawiły się buntownicze grymasy.

– Łatwo przyszło ci ośmieszyć moją wypowiedź. – Leo poczuł się nieco pewniej. – Ale umówmy się, nie było to wybitnie wymagające, jeśli weźmiemy pod uwagę wspomnianych przez ciebie kryminalistów. Co jednak z żołnierzami, którzy z własnej woli przeszli pod moją jurysdykcję, wypowiadając tym samym posłuszeństwo królowi i tobie? Zrezygnowali zatem z bezpiecznego lokum i legalnego zarobku. Oni też przyszli do Wolnej Kompanii z wygody?

Oprychy Carlosa posłały mężczyznom z naprzeciwiaka wyzywające spojrzenia i kpiące uśmiechy. Bruce spojrział na żołnierzy królewskich i się zamyslił. Na słowa Francka wojskowi się wyprostowali i zachowali godną podziwu powagę.

Nie przyprowadził byle kogo – pomyślał z uznaniem Leo. Wiedział jednak, że generał nie był w stanie dopilnować wszystkiego, gdy jeden z jego najbliższych współpracowników działał na rzecz Wolnej Kompanii. Leo tylko dlatego zdecydował się na to spotkanie.

– Ludzie, o których mówisz, nie są już żołnierzami – powiedział Verrad po chwili, nie tracąc pewności siebie. – Co więcej, na każdym z nich ciąży teraz wyrok za dezercję. Możemy się licytować, ale w ostatecznym rozrachunku wychodzi na to, że wszyscy twoi ludzie to skazańcy. Na takiej podstawie nigdy nie przekonasz nikogo do tego, żeby traktował cię poważnie w legalnych negocjacjach.

Leo nie od razu odpowiedział. Pokręcił szyją, udając, że kark mu zeszywniał od siedzenia w niewygodnej pozycji. Przy okazji zerknął po twarzach swoich ludzi. Jego uwagę przykuł Bruce. Wydawał się pogrążony we własnych ponurych rozważaniach. Leo wolałby, żeby ten człowiek bardziej skupił się na doglądaniu buntowników niż rozstrzyganiu w głowie dylematów moralnych swojej sytuacji.

– A jednak ty podjąłeś negocjacje – zauważył w końcu Franck, poprawiając kołnierz kurty. – Próboweś negocjować praktycznie od samego początku. No to jak to w końcu jest?

Tym razem odpowiedział kapitan Gregor, poprawiając pas na nieco wystającym brzuchu.

– Na pewno nie tak, jak tobie się wydaje, Franck – zakpił i pokręcił głową z politowaniem. – To nie były próby negocjacji, a raczej...

Gdy Gregor szukał odpowiednich słów, generał popatrzył na rozmówcę tajemniczo.

– To okazanie łaski – powiedział powoli i uśmiechnął się niepokojąco. Niektórzy buntownicy zaśmiali się drwiąco. Żołnierze z Twierdzy natomiast wyglądali na zaskoczonych. – Nie, nie mojej łaski – dodał szybko generał, gdy Leo popatrzył na niego z politowaniem. – Ja to bym cię powiesił. Zresztą król pewnie ostatecznie też to zrobi, jak już będzie miał okazję. Wiesz o tym doskonale. – Po czym dodał głośniej i wyraźniej: – I dlatego wcześniej nie podjąłeś ze mną rozmów. Bo ta łaska nigdy nie była przewidziana dla ciebie.

Szereg buntowników zafalował niespokojnie od nagłego poruszenia. Leo wytrzymał zadowolone spojrzenie Verrada, ale nie odezwał się ani słowem. Generał wykorzystał to i swobodnie kontynuował, wyciągając rękę do jednego ze swoich żołnierzy:

– Skoro sobie już tak szczerze rozmawiamy, to powiem ci, że wcale się nie dziwię, że odsyłałeś moich posłów z kwitkiem. – Wojskowy rozwinął podany mu przez podwładnego rulon ozdobnego pergaminu i pokazał go buntownikom. – Dobrze widzicie, panowie. To królewska pieczęć. – Spojrzał na Leo i odchrząknął teatralnie, zerkając na pismo. – Tak jak było w liście, który niedawno ode mnie otrzymałeś. Uważam, że w obliczu zmiany sytuacji należy wreszcie zaprowadzić w Kazamatach porządek.

– Tak – mruknął Leo i pokiwał głową z zastanowieniem. – Coś takiego właśnie napisałeś.

– Ale ty mi nie wierzysz – stwierdził generał. – Dlatego daję ci to. – Wskazał na pergamin i wręczył go Franckowi. – Warunki pokojowego rozwiązania tej twojej zgrai – wyjaśnił. Przybrał godną postawę oraz ton i zaczął mówić jeszcze głośniej i wyraźniej: – Najważniejsze z nich są na samej górze. Buntownicy, którzy opuścili szeregi naszej straży, nie poniosą kary za dezercję.



Zaczyna się niezłe, co? Oczywiście muszą dobrowolnie przyjść do Twierdzy, wyrzec się Wolnej Kompanii i złożyć nową przysięgę. Po weryfikacji będą mogli wrócić do służby, a w ich papierach nie pojawi się wzmianka o tej zdradzie.

Buntownicy nie zdołali ukryć poruszenia usłyszaną informacją. Bruce jedynie odrobinę zmarszczył brwi, ale Syrius i jego koledzy popatrzyli na siebie z zaskoczeniem. Oprychy Carlosa wreszcie zaprzestały głupkowatego zachowania i skupiły się na rozmowie dowódców. Po drugiej stronie Gregor Sinnd natychmiast uciszył podniecone szeptu swoich żołnierzy.

Verrad nie krył zadowolenia z efektu, jaki wywołał. Widać było, że dokładnie o to mu chodziło. Leo wiedział, że nie spodziewano się w Twierdzy, że jakiegokolwiek warunki rozejmu zostaną przyjęte. Tak naprawdę całe spotkanie odbyło się tylko po to, żeby buntownicy usłyszeli nowiny, które właśnie padły z ust generała. Franck pozwolił mu kontynuować. Dokładnie tak, jak pouczył go przed wyjściem Reiven.

– Potem jest trochę oficjalnych zwrotów i nieistotnych szczegółów – ciągnął z ożywieniem Verrad, wskazując palcem kolejne akapity dokumentu. – O, tutaj. – Zatrzymał gruby palec pośrodku arkusza. – To może zainteresować co poniektórych. – Patrzył na Leo, ale wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę chciał, by słyszeli go buntownicy. – Skazańcy, którzy opuścili Twierdzę i dołączyli do Wolnej Kompanii, nie zostaną obciążeni dodatkowymi restrykcjami za ucieczkę – wyrecytował. Po krótkiej pauzie dodał swobodniejszym tonem: – Jak łatwo się domyślić, oznacza to, że ci, którzy odbyli wyroki, będą mieli czystą kartę.

– A jeśli odbyłem wyrok w Wolnej Kompanii? – wtrącił się niespodziewanie jeden z oprychów Carlosa. – To wtedy też się liczy?

Generał skrzywił się lekko. Odpowiedzi na to pytanie udzielił Gregor, zwracając się do buntownika z wyraźną pogardą.

– Miejscem odbywania kary jest Twierdza. Każdy odbędzie tylko tyle wyroku, ile mu zostało w momencie opuszczania więzienia.

Bandzior wydał z siebie odgłos ostentacyjnego niezadowolenia i machnął ręką.

– To pocałujcie mnie w dupę – rzucił niedbale i spojrzął na kolegę obok w oczekiwaniu na aprobatę.

Ten jednak nie zarechotał tak, jak się tamten spodziewał. Wyglądał na zmieszanego i wyraźnie unikał wzroku znajomego. Leo wiedział dlaczego. Z całą pewnością mężczyźnie musiało pozostać niewiele kary, kiedy zdecydował się na ucieczkę.

– Skończyłeś? – zapytał dowódca buntowników spokojniej, niż spodziewał się tego Verrad. – Jeśli tak, to pozwól, że powiem, co myślę o tych warunkach.

– Szczerze mówiąc, bardziej interesuje mnie, co o nich myślą twoi ludzie. – Tym razem to Verrad postanowił zakpić z Francka.

Leo uśmiechnął się chłodno.

– Domyślam się. Ale muszę cię rozczarować. Moi ludzie są lojalni. Zrobiłeś na nich wrażenie, to prawda. Co więcej, zrobiłeś wrażenie również na mnie. Ale te przewspaniałe propozycje są gównem. Bo wszystko i tak się rozбивa o to, czy kiedykolwiek wyjdziemy na wolność. Co z tego, że jeden z drugim będą mieli czyste dokumenty, skoro i tak przyjdzie im spędzić życie w twojej celi? To, co proponujesz, byłoby najlepszą kartą przetargową, o jakiej słyszałem, ale nie jest, bo ostatecznie sprowadza się do tego samego, co ci ludzie mieli wcześniej.

Generał pokręcił głową.

– Aż tak mało informacji do was dochodzi? – próbował zakpić. – Obecnie w Twierdzy przeżywamy rewolucję biurokratyczną. Po kolei rewidujemy wyroki i aktualizujemy dokumentację. Osoby po odbytej karze nie będą prowadzone zwykłym trybem więziennym. Ich praca będzie wynagradzana.

– Głodową stawką – warknął Leo.  
– Wystarczającą do czasu uwolnienia – rzucił w odpowiedzi Gregor.  
– Nie będzie żadnego uwolnienia. A to – wskazał na dokument królewski – nie jest żadna łaska, tylko zwykła przynęta. I to, muszę przyznać, bardzo kiepska. Nabrałyby wartości, gdyby klątwa została zdjęta.

Verrad zaśmiał się swobodnie, złowrogo. Leo mógł przysiąc, że odkąd spotkał się z generałem, to była pierwsza szczerza emocja, jaką ten okazał.

– Obudź się, Franck – zniecierpliwił się wojskowy. – Jak klątwa zostanie zdjęta, to nikt z wami nie będzie gadał. Nawali się tu wojska i kamień na kamieniu nie zostanie z tej waszej śmiesznej wioski. Każdy co do joty zostanie stracony, bez względu na to, czy zostało mu coś do odsiedzenia, czy biedak od dekady już jest po wyroku.

– Skoro taki jesteś pewny, że po złamaniu klątwy ot tak nas zdmuchniecie, to dlaczego tak ci zależy na dogadaniu się? – Leo wyzywającym pytaniem przerwał krótkie, ale ciężkie milczenie. Nie pozwolił generałowi odpowiedzieć. Spojrzał znacząco na wojskowych stojących za plecami jego rozmówcy. – Są dwa możliwe powody – ciągnął, ciesząc się, że wreszcie doszedł do momentu, dla którego pojawił się na spotkaniu. – Nie jest dla nikogo tajemnicą, że na wolności nie przyjmą cię z otwartymi ramionami. A już najmniej ucieszy się król i jego świta. To logiczne, że próbujesz posprzątać ten cały burdel, który rozkręcałeś przez prawie dekadę. Załatwienie sprawy Wolnej Kompanii prawdopodobnie się opłacić i przydać do negocjacji z królem. Może nawet liczysz na to, że cię z marszu nie zetnie za zdradę stanu. – Dowódca buntowników zaśmiał się nieprzyjemnie i przeniósł ostry wzrok na generała. – To byłaby doprawdy niezwykła ironia losu, gdybyśmy w ostatecznym rozrachunku zostali straceni za tę samą zbrodnię. Oczywiście wcale ci się nie dziwię, że cię... jak to

było? Że cię wkurw wziął na monarchę. Miałeś trochę pecha. Może i trochę bezczelności...

Generał poczerwieniał na twarzy i mocniej zacisnął szczękę. Leo przybrał swobodną pozę i oparł łokcie na kolanach.

– To logiczne zagranie, kiedy ma się w swojej celi Morvena de Grissa – powiedział odrobinę ciszej, ale nadal pilnował, by słyszeli go żołnierze z Twierdzy. – Albo kiedy chce się przekonać innych o tym, że się go ma.

– Tak, tak, Franck. – Verrad odchrząknął, machnął ręką i natychmiast podjął temat, jakby miał przygotowaną formułę na tę okoliczność. – Znamy to wszyscy. Te twoje błazny ciągle o tym paplają, kiedy grzeją tyłki w Twierdzy...

Leo nie dał się tym razem przegadać. Gdyby był Reivenem, zapewne nieco dłużej bawiłby się z generałem i zbywał jego słowa trafnymi ripostami. Był jednak Leonidasem Franckiem i dlatego szybko odechciało mu się urządzania podchodów. Zareagował ostro i konkretnie.

– Przestań pieprzyć – warknął. – Dobrze wiesz, że ten gość, którego u siebie trzymasz, to nie jest Morven. Jak argumentujesz jego więzienie? Zapewnieniem bezpieczeństwa? To doprawdy wygodne wytłumaczenie, ale obaj wiemy, że chodzi ci tylko o to, żeby twoi ludzie nie rozpoznali Zyghara, który był jedynie przydupasem prawdziwego de Grissa. Jedyne, czego możesz nie wiedzieć, to to, że faktyczny Morven od ponad roku nie żyje.

Poruszenie wśród żołnierzy przez chwilę nasiliło się, ale karzący wzrok kapitana Sinnda zdołał nieco ich poskromić. Verrad zmrużył oczy i mierzył Francka nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Pominę fakt, że przez jakiś czas miałeś Morvena w swojej Twierdzy i się nie zorientowałeś – powiedział kpiąco Leo. – Ale ostatecznie Dziadek, czyli domniemany de Griss znajduje się u nas. A w zasadzie to, co z niego zostało.

Leo sięgnął za pazuchę i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni bełt do kuszy. Verrad wyprostował się machinalnie, zapewne obawiając się nagłego ataku. Dowódca buntowników od niechcienia rzucił metalowy pocisk Gregorowi. Ten w ostatniej chwili zdołał go złapać.

– Za uśmiercenie Morvena odpowiada ktoś z waszych. Z tego, co wiem, ustrzelili Dziadka podczas jego ucieczki z Twierdzy.

Gregor spojrział szybko na bełt, a potem wręczył go Verradowi. Generał niechętnie przejął przedmiot i zerknął na niego z ociąganiem. Szybko dostrzegł symbol stylizowanej róży, która była godłem Livii, a tym samym znakiem rozpoznawczym jego żołnierzy.

– To ma być niby jakiś dowód? – Verrad prychnął z coraz większą irytacją. – Twój ludzie co rusz wykradają coś z Twierdzy. Mogli zabrać również ten bełt. Krew na nim równie dobrze może należeć do zająca albo któregoś z was.

Leo wzruszył ramionami.

– Nie muszę nic udowadniać – stwierdził poważnie. – Jedynie cię informuję.

Generał dobrze wiedział, że tak naprawdę owa informacja była skierowana do jego żołnierzy.

– Morven na niewiele się zda. Wielebny Lasota nakazał go pochować. Po raz drugi – dodał ciszej. – Za pierwszym razem zajęli się tym twoi ludzie, chcący ukryć zamieszanie, które miało miejsce w noc niedoszłej ucieczki Dziadka.

Gregor skrzywił się z pogardą.

– Widzę, że nie ma już dla ciebie żadnych świętości, Franck – wycedził. – Zatem teraz Wolna Kompania zajmuje się odkopywaniem zwłok?

Generał spojrział na swojego podwładnego z nagłym zainteresowaniem, a kapitan natychmiast pożałował ostatniego zdania, które wypowiedział. W Twierdzy nie mówiło się o Wolnej Kom-

panii. Mówiło się o „szczurach Francka” albo o samym Francku, dodając zazwyczaj jakiś niewybredny epitet do jego nazwiska. Verrad nie tracił jednak czasu na upominanie kapitana. Wyglądało na to, że sam również zniecierpliwiał się nieco całą rozmową i najchętniej znowu przejąłby kontrolę nad tematem.

– Morven de Griss nie żyje – powiedział Leo dobitniej. – Wiesz o tym, generale. Wiesz, że nasz los został przypieczętowany, a skoro tak, to podlizywanie się królowi jest tylko mydleniem oczu. Zatem powód, dla którego próbujesz dogadać się z Wolną Kompanią, może być tylko jeden: boisz się nas.

Generał nie zaśmiał się ani nie spróbował podważyć słów, które padły z ust Francka. Patrzył na swojego wroga, a w jego wzroku na chwilę znowu błysnął podziw.

\* \* \*

Kiedy Sheila usłyszała znajome ujadanie, poczuła dreszcze na plecach. Zakląła. „Te jebane gońce”, jak zwykła pieszczotliwie mówić o najgorszych w jej mniemaniu mieszkańcach Zarzecza, raczyły ją swoją kakofonią każdego dnia, a także nocy. To właśnie był trzeci najczęstszy powód ciągłych pobudek i nerwów.

Pierwszy raz spotkała te wynaturzone zwierzęta ponad rok wcześniej, kiedy razem z Leo przemierzali Północną Puszcę. W miejscu, w którym obecnie się znajdowała, gońce spotykała na każdym kroku. Te wyrosnięte ponad wszelką miarę psy gromadziły się w watahy i stada. Sheila nie miała pojęcia, po co robią, skoro nieustannie się między sobą żarły, bez względu na porę. Niestety wiele z tych szczekliwych bójek musiała wysłuchiwać i nie było to ani ciekawe, ani przyjemne. Zwłaszcza że z jakiegoś powodu pozostałe osobniki ze stada upodobały sobie głośne dopingowanie pojedynkowniców. A przy-

najmniej tak tłumaczyła to ich donośne ujadanie i wycie w czasie śmiercionośnych zawodów.

Swoim rozsądnym zwyczajem Sheila zmieniła kierunek marszu i obrała bezpieczniejszą, czyli cichszą, drogę. Wiedziała, że spotkanie z pojedynczym osobnikiem oznaczało dla niej często paskudny, ale sycący obiad. Z całą watahą nie miała szans.

Rumaczek – wynaturzony, olbrzymi dzik, którego oswoiła – był tego samego zdania i chętnie poddał się zmianie kierunku.

Dziewczyna na chwilę zwolniła, by odyniec ostrożnie pokonał schodki, które dawno temu ułożyła mu z kamieni. Dzięki temu bez schodzenia z grzbietu zwierzęcia mogła się dostać na niewysoką skalną ściankę i ruszyć szeroką półką ciągnącą się wzdłuż pasma gór.

Śnieg tutaj był dobrze wydeptany, bo wielokrotnie wydłużali sobie podróż, wchodząc ponad linię lasu. Ostre i poszarpane skały powyżej układały się w nieprzystępną grań. Wysokie i chude wierzchołki przypominały wąskie wieżyczki. Z tego powodu – jak opowiedział jej Will – nazwano to pasmo Igliczką. Chłopak o mało nie dostał zawału, gdy dowiedział się, że jego przybrana siostra wdrapała się tam po raz pierwszy. Z polanki, na której zazwyczaj się spotykali, widać było zarys Igliczki – z tej perspektywy sprawiała wrażenie nie do pokonania. Sheila pamiętała, że widziała kiedyś tę grań ze skały, na której rozmawiała z Leo. Nigdy nie pomyślałaby, że dane jej będzie dotykać własnymi dłońmi tych ostrych głazów. Po wiośnie i lecie spędzonych na ciągłych wspinaczkach mogła śmiało stwierdzić, że strach przed Igliczką był mocno przesadzony. O ile znało się odpowiednie przejścia, można było pokonać grań w miarę bezpiecznie. Przynajmniej w porównaniu z drogą przez las. Ostatecznie wołała skrócić kark i zginąć od upadku ze skały niż być pożąrtą przez gońce. W puszczy tej bowiem bez szybko uciekającego Rumaczka nie przeżyłaby zapewne nawet miesiąca.

Sheila zostawiła swojego towarzysza na polance u podnóża góry. Miał tam wygodną jamę za zaroślami, dzięki której dziewczyna nie drżała zbyt o jego bezpieczeństwo. Nieco wyżej znajdowała się jej jaskinia. Nie miała jednak jeszcze ochoty do niej wracać.

Drogi wiodącej po skałach nie dało się pokonać szybko, dlatego i tym razem Sheila nie spieszyła się ze wspinaczką. Po kilku podsadzeniach się na rękach mogła podziwiać poniżej las skąpany w zielonej mgle i jak zwykle stwierdziła w duchu, że choć trochę ponury, był to widok absolutnie zjawiskowy.

Przyklejona do skały posunęła się o kilkanaście metrów. Widząc znajomą szparę w kamiennej ścianie, zrobiła swój ulubiony manewr – postawiła nogę na półce obok i odepchnęła się lewą ręką, by sekundę później efektownie chwycić prawą dłonią wypust w sąsiedniej skałce. Ta figura wydawała jej się niezwykle widowiskowa, gdy patrzyło się na nią z boku, ale prawda była taka, że gdy ją robiła, przez cały czas miała podparcie.

Nie wiedziała, kiedy dało znać o sobie krótkie ukłucie żalu, że nikt nie mógł tego zobaczyć i wyrazić podziwu dla jej udawanych akrobacji. Odrzuciła te myśli równie szybko, jak uspokajała się po koszmarach. Ostatnimi czasy niewiele emocji utrzymywało się w niej na dłużej – chyba że złość spowodowana chaotycznym ujadaniem gońców.

Sheila wiedziała, że tym razem nie uda jej się pokonać całej Igliczki górą, bo nagie palce szybko drętwiały z zimna. Rękawice, które otrzymała od Willa na początku jesieni, były ciepłe, ale zbyt obszerne, by bezpiecznie się w nich wspiąć.

Wiedziała, że wystarczyłoby podejść jeszcze kilkanaście metrów, by mogła zerknąć na drugą stronę górskiego pasma. Z rozmysłem wycofała się zawczasu, bo dobrze wiedziała, jaki widok tam zastanie. Gęsty las łysych drzew byłby piękny w swojej surowości, ale od dawna unikała zerkania w tamtym kierunku.



Zeszła prawie truchtem nieco wygodniejszą ścieżką naturalnie ułożoną przez kamienie i ruszyła dalej, z zadowoleniem przyjmując fakt, że szczekanie gońców zastąpił szum wiatru. Otuliła się kurtą, ale w tym momencie blade słońce nieśmiało wyłoniło się zza chmur i odrobinę zniwelowało chłód.

Uśmiechnęła się na znajomy widok, który zazwyczaj mogła oglądać w cieplejsze miesiące. Normalnie mgła przypominała jej płynny atlas, ale kiedy słońce zaczynało ją oświetlać, nabierała niebieskich i fioletowych refleksów. W takich, trzeba przyznać, nielicznych momentach, faktycznie wyglądała na efekt zaklęcia. I chociaż Sheila wiedziała, że klątwa, która przywołała mgłę, miała raczej ponurą historię, to w tych krótkich chwilach nie mogła nazwać tego widoku inaczej jak zachwycającym.

Słońce szybko zniknęło, jak miało tu w zwyczaju – w Kazamatach niebo było nieustannie pokryte chmurami. Z tego powodu nieliczne uśmiechy światła nigdy nie uchodziły uwadze mieszkańców tej doliny.

Gdy zrobiło się pochmurno, ponownie wzmógł się chłód. To przekonało Sheilę, by przed pójściem do Willa jednak zahaczyć o jaskinię, w której mieszkała od ponad roku.

\* \* \*

Reiven Scott był cierpliwy. To jedna z nielicznych jego cech, które uznawał za zalety. Drugą było to, że potrafił reagować szybko i bezbłędnie, gdy wyczuł dla siebie dogodną szansę na działanie. Połączenie tych dwóch rzeczy stanowiło dla niego główny powód do zadowolenia. Z racji, że w Kazamatach nie było zbyt wielu okazji do odczucia tego rodzaju, Reiven nadrabiał zadowoleniem z samego siebie.

Już dawno dowiedział się, że siedzenie w lesie nie należało do jego ulubionych czynności. Jedyne, czego nie wiedział, to czy

gorzej znosił otoczenie krzaków zimą, czy latem. Komary i ro-  
bactwo doprowadzały go do szaleństwa, ale chłód bywał dla nie-  
go równie dokuczliwy.

Gregor pojawił się spóźniony, jak zawsze. Machnął Reivenowi  
na przywitanie i usiadł ciężko obok buntownika.

– Odmarzną nam tyłki na gołej ziemi – sapnął, odginając się, by  
wyciągnąć z kieszeni papierosa. – Mogłeś zabrać coś do siedzenia.

Reiven wzruszył ramionami i wziął proponowanego mu papierosa.

– Nie przyszedłem tu biwakować – odpowiedział i po chwili  
zaciągnął się dymem.

Gregor rzucił mu kilka paczek skrętów, które Reiven natych-  
miast schował do kieszeni. Przez chwilę obaj mężczyźni rozko-  
szowali się zapachem tytoniu, aż wreszcie odezwał się kapitan.

– Czemu cię nie było? – zapytał z pretensją w głosie.

– Wykpiłem się – odparł Reiven bez przejęcia. – Miałem coś  
do załatwienia.

Gregor zaklął i zakaszłał.

– Miałem nerwa, jak zobaczyłem, że Leo jest sam.

Buntownik pokręcił głową.

– Nie był sam. Bruce miał na niego oko.

– Gówno prawda! Jakby się Leo zapieklif, to Bruce by nic z  
tym nie zrobił. No i się w sumie zapieklif.

Reiven poprawił cholewkę buta.

– To Leo – stwierdził nieco zniecierpliwionym głosem fał-  
szerz. – Wiadomo było, że go poniesie. Ale nie jest kretynem.  
Załatwił sprawę?

Gregor niechętnie kiwnął głową.

– Taaa – westchnął. – Nawet mu to wyszło. Żołnierze całą  
drogę powrotną szeptali między sobą, a Verrad o mało nie kojf-  
nął z wkurwienia. Ale ile się stresu najadłem, to moje.

Reiven był przyzwyczajony do tego, że jego szpieg przy każdej okazji marudził na wszelkie zadania, jakie mu przydzielano, ale od dawna już się tym nie przejmował.

– Wyszło lepiej – skwitował buntownik po chwili i pstryknął palcami, by efektownie wyrzucić niedopałek papierosa. Usłyszeli ciche syknięcie, gdy śmieć przygasł w małej plamie starego śniegu. – Żołnierze powinni widzieć Leo przegadującego Verrada, a nie chowającego się za mną jako swoim posłańcem. Wyszło lepiej – powtórzył z naciskiem.

– Może i tak – rzucił Gregor wyraźnie nieprzekonany. – Co w zasadzie miałeś do załatwienia? – zapytał z nagłym zainteresowaniem.

Reiven nie odpowiedział, co nie zaskoczyło kapitana. Nie zamierzał jednak się tym zrażać i pochylił się do rozmówcy.

– I tak wiem – powiedział z nutą oskarżenia. – Głupi jesteś, słowo daję. A akurat tego to żem się po tobie nie spodziewał. Już prędzej po Francku...

– Daruj sobie – warknął Reiven wyraźnie rozeźlony. – W dupie mam, co myślisz. Rób swoje i daj mi robić moje.

Gregor wyglądał, jakby chciał kontynuować dyskusję.

– Szkoda tylko, że te twoje fanaberie mogą mnie kosztować głowę. Coś ty się nagle taki sentymentalny zrobił, co?

Reiven, który bezwiednie bawił się szyszką podniesioną z ziemi, rzucił nią przed siebie nieco mocniej, niż planował.

– Gównu cię to powinno obchodzić, skoro nie zamierzasz mi pomóc.

Gregor zachnął się ostentacyjnie.

– W tym na pewno nie – zapewnił. – Już i tak się jakoś gorąco robi. Dzisiaj się Kiernan tak na mnie spojrział, jak palnąłem jedno zdanie. Nie będę twoim łącznikiem z Nikkiem. Ani z tym adeptkiem.

Reiven wyglądał na coraz bardziej zniecierpliwionego.

– Przecież wcale cię o to nie proszę – zauważył nieprzyjemnie. – Po prostu daj sobie spokój z kazaniami. Tylko tego od ciebie potrzebuję.

Nie był pewny, czy kapitan tym razem faktycznie da mu spokój. Nie wyglądało na to.

– Powiedz lepiej: jak ostatecznie wyszło spotkanie na szczycie? – Reiven postanowił zmienić temat.

Sinnd spojrział na niego ostro i sięgnął po kolejnego papierosa. Tym razem nie poczęstował towarzysza.

– Leo nie spierdolił – warknął. – Co tu więcej gadać? Powiedział, co miał powiedzieć. Verrad powiedział swoje i tyle. Zostało jedynie czekać. Niedługo przekonamy się, czyje nowiny będą się szybciej rozprzestrzeniać.

Reiven milczał przez dłuższą chwilę, a potem westchnął i po kiwał głową.

– Teraz już nie ma odwrotu.

Gregor fuknął i oparł się wygodniej o pień drzewa za sobą.

– To żeś powiedział mądrość – zakpił. – Nie jesteś w formie, Reiv. Mówię ci to po przyjacielsku. Nie jesteś w formie. A jak ty nie jesteś w formie, to Franck też zaczyna się motać. Jego trzeba pilnować, kiedy w grę wchodzi negocjacje i to, kurwa, z Verradem. Jeden i drugi potrzebuje aby iskry, żeby się zapienić i wtedy łatwo o rozwalenie planu w drobny mak.

– Nie dramatyzuj – rzucił nieco luźniej buntownik. – I już nie rób z Leo takiego nieudacznika. Ostatecznie to na nim to wszystko stoi.

– I właśnie dlatego się martwię – mruknął żołnierz poważnie. – Wchodzimy w niespokojny czas. Dużo się dzieje i jeśli dobrze nie rozegramy tej partii, to będziemy w niezłej dupie. A ty zamiast potraktować sprawę poważnie, ganiasz za tą swoją mrzonką i narażasz mnie na wykrycie.

– Przecież mi nie pośredniczysz. Mówiłem ci, przestań przeżywać.

Sinnd zaklął i zgasił na korze szybko wypalonego papierosa.

– Łatwo ci mówić. Ciebie i tak czeka stryczek. A ja to się może jakoś uchowam, jeśli nam się to wszystko uda.

Po raz pierwszy podczas tego spotkania Reiven się uśmiechnął i spojrzął na towarzysza przyjaźniej.

– Jeśli nam się to wszystko uda – zaczął raźniej. – To stryczek mamy murowany.

\* \* \*

– Błado wyglądasz.

To były pierwsze słowa, jakie Sheila usłyszała od Willa zaraz po tym, gdy wypuścił ją z długiego uścisku.

– A tobie rośnie brzuch – zauważyła złośliwie. – Służy ci bycie ulubieńcem kapłanów.

William nie odpowiedział na tę jawną zaczepkę dotyczącą jego protektorów. Pokazał na spory tobołek, który leżał obok pobliskiego drzewa.

– Ciebie też musimy podtuczyć.

Sheila wzruszyła ramionami, ale z chęcią podbiegła do paczki i ją otworzyła. Szynka była dla niej błogosławieństwem i wspa-  
niałą odmianą.

– Ciągle to powtarzasz – zauważyła i wpakowała sobie kawałek różowego mięsa do ust.

Powiedziała coś jeszcze, Will nie mógł jednak tego zrozumieć, bo przeżuwanie zniekształciło przekaz. Uśmiechnął się ciepło i usiadł obok niej, poprawiając koc, który przyniósł z Twierdzy.

– Nie udław się – pouczył, ale posłała mu tylko krzywe spojrzenie.

To był jej pierwszy posiłek tego dnia. Od kilku tygodni nie miała szczęścia do polowań, a pułapki świeciły pustkami.

– Jak Rumaczek? – zapytał chłopak, kiedy Sheila przełknęła duży kęs mięsa.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i sięgnęła po woreczek z suszonymi ziołami.

– Jak zwykle. Co to?

William machnął ręką i zrobił głupią minę.

– No wiesz... – zaczął niepewnie. – Mistrz Atay chciał ci ulżyć w tych snach...

– Aha – mruknęła i odrzuciła nieznaną mieszankę na bok.

William podniósł ją i zaczął chaotycznie miętosić w rękach.

– To tylko parę ziół – próbował ją przekonać, ale umilkł, kiedy posłała mu ostre spojrzenie.

– Czy my zawsze musimy odbywać tę samą rozmowę? – zniecierpliwiła się. – Mówiłam ci już. Żadnych eliksirów. Żadnego zielska. Ty w ogóle przekazałeś tę informację Atayowi czy on myśli, że ja biorę te jego specyfiki?

William opuścił nieco wzrok.

– Przekazałem – przyznał. – Ale on, tak samo jak ty, ma gdzieś, co do niego mówię. Chce, żebym spróbował cię przekonać.

– W porządku. – Wzruszyła ramionami. – Spróbowałeś.

Adept westchnął, ale nie odłożył ziół.

– Może spałabyś dzięki temu trochę lepiej? – zagaił cicho. – Uspokoilibyś się i odpoczęła. Może... tylko może... odprężylabyś się i...

Sheila nie pozwoliła mu dokończyć. Odwróciła się do niego i spojrzała prosto w jego sympatyczne oczy.

– Ja nie mogę się odprężyć – powiedziała stanowczo. – Nie wolno mi, rozumiesz? Chyba jednak nie – mruknęła, kiedy pokręcił głową.

Nie drażyła. Nie chciała po raz kolejny tłumaczyć tego samego. Sięgnęła po następny kawałek szynki.

– Ale za mięcho to koniecznie wyściskaj Ataya – rzuciła, z nadzieją, że tym zdaniem trochę udobrucha brata. – Albo jestem wyjątkowo wygłodzona, albo macie coraz lepsze to żarcie.

Will uśmiechnął się lekko, lecz bez przekonania.

– Jesteś głodna – skwitował. – Żarcie nadal takie sobie.

– Wybredny się zrobiłeś. – Sheila pokręciła głową z niezadowolaniem. – Za dobrze ci chyba u kapłanów.

Była to jawna zaczepka i William o tym wiedział. Mimo wszystko pozwolił się sprowokować.

– Taaa – westchnął ponuro.

– Wyczuwam w tobie brak pokory, synu. – Sheila próbowała podrobić poważny ton mistrza Ataya, wiedząc, jak bardzo drażniło to Willa.

– Zamknij się – rzucił i odepchnął ją delikatnie, momentalnie się czerwieniąc. – Ja nie mówię... To znaczy... To musi trwać.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Jak dla mnie to Rig miał rację i dajesz się wykorzystywać – powiedziała bez ogródek.

William otworzył usta w oburzonemu grymasie.

– Zaraz. Od kiedy to Rig stał się jakimś autorytetem? Jego poglądy z góry powinny być uznane za kretyńskie. Niech spoczywa w pokoju – dodał, na moment truchlejąc, a potem szybko wrócił do poprzedniej postawy. – Ścieżka kapłana to nie kariera rolnika. Nie wystarczy dać motykę i oto mamy gotowego pracownika. To droga na całe życie. W tej perspektywie rok w jedną czy drugą stronę nie robi aż takiej różnicy.

Sheila pokręciła głową, nieco się niecierpliwiać.

– I to całkiem w porządku, że od dwóch lat Atay obiecuje ci wyświęcenie, a ciągle nie przyjął cię nawet do oficjalnego nowicjatu?

– Jestem w nowicjacie – obronił się szybko. – Jestem adeptem. Wszyscy łącznie z mistrzem tak się do mnie zwracają.

– Mówi tak na wszystkich swoich sługusów.

– Ale tylko mnie uczy – zaperzył się chłopak. – Jeszcze nie wszedłem oficjalnie w struktury zakonne, ale to nie takie proste tutaj, w Kazamatach.

Sheila naprawdę życzyła przyszywanemu bratu spełnienia jego największego marzenia, ale coraz bardziej przekonywała się o tym, że mistrz Atay specjalnie przeciągał inicjację Willa, jak tylko się dało. Wcześniej wymówką był wyrok chłopaka. Od niedawna jednak William teoretycznie był czysty, bo odbył przypisaną mu karę za napady, a w zasadzie za donosicielstwo. Mimo to arcykapłan z Twierdzy nie kwapił się, żeby popchnąć sprawę Williama do przodu. Ewidentnie wygodnie było mu z oddanym sługą, któremu płaci się za lojalność jedynie podsycaniem marzeń. Ich faktyczne spełnienie ciągnęłoby za sobą więcej konsekwencji i prawdopodobnie nie byłoby tak łatwo się już z tego wycofać. Na razie William wypełniał wszystkie polecenia co do joty, bo każdy błąd mógł go kosztować utratę szansy na zostanie kapłanem.

– Powinieneś się postawić – powiedziała Sheila pewnym siebie głosem. – Atay się złamie, jestem pewna.

– Mistrz Atay – poprawił ją machinalnie adept i pokręcił zrezygnowany głową.

– Postaw się – przekonywała. – Przecież on nie znajdzie tu nikogo lepszego niż ty. Ogarniasz kapłanom wszystkie sprawy, a do tego jesteś na każde skinienie. No i robisz to z przekonania, a nie z przymusu. Atay to wie.

– MISTRZ Atay – powiedział dobitniej. – A niby gdzie miałbym pójść? Do celi w Twierdzy? Kopać w glinie albo w kamieniu? Robić strzały czy pilnować kur? Nie mam dokąd iść. To akurat mistrz



Atay też wie. Nie, Sheila. Nawet jeśli bym chciał, a nie chcę – dodał z naciskiem – to i tak nie mam karty przetargowej.

Dziewczyna nieco się uspokoiła.

– Nie doceniasz się – stwierdziła i spojrzała na brata łagodniej. – Nie mówię, że to żadne ryzyko. Po prostu sądzę, że Ata... że mistrz straci dużo na twoim odejściu i on doskonale zdaje sobie z tego sprawę. A poza tym... mógłbyś pójść... no wiesz.

William rozumiał, że Sheila miała na myśli Wolną Kompanię, ale nie wiedzieć czemu zawsze unikała wypowiedziania tej nazwy. Podejrzywał, że zniechęcił ją do tego na początku ich spotkań, kiedy jeszcze głęboko przeżywała niemożność poinformowania przyjaciół o swojej lokalizacji. Wtedy skutecznie kończył temat wzbudzaniem w niej wyrzutów sumienia i przypominaniem, jak wiele ryzykował, organizując dla dziewczyny bezpieczne schronienie. Nie był z tego dumny i w pewnym momencie ją za to przeprosił. Jej podejście jednak zostało bez zmian i Will musiał przyznać, że mocno ułatwiało mu sprawę.

– Przestań żyć moim życiem – rzucił ze śmiechem.

Odwzajemniła uśmiech i wzruszyła ramionami.

– Moje nie jest zbyt pasjonujące. Chociaż ostatnio odkryłam nową trasę na Igliczce. Zbadam ją, jak się zrobi trochę cieplej. To chyba szlak, którym przechodziła ekspedycja Kazamy.

Will z ulgą przyjął fakt, że głos jego rozmówczynie przybrał znajomy ton ekscytacji. Wiedział, że odkrywanie reliktyw i pamiątek po słynnej wyprawie było jedną z nielicznych rzeczy, które ostatnimi czasy interesowały dziewczynę. A właściwie jedną z nielicznych, które mogły ją interesować bez narażania się na wysłuchiwanie kazań i pouczeń.

Jej pasja pojawiła się wraz z latem. Ośmielona i zadomowiona na Zarzeczcu, zaczęła wypuszczać się dalej ze swoimi wycieczkami. Wtedy to trafiła na pierwszą pamiątkę tragicznego finału

ekspedycji. Kilkanaście ofiar miejscowych drapieżników stało się już tylko porozrzucanymi kośćmi, gdy Sheila na nie trafiła. To, co dla tamtych ludzi było pechem, jej przyniosło szczęście. Spieniężyła większość złomu, który zdołała unieść i przekazać Willowi. Zostawiła sobie jedynie smukły miecz. Co prawda nie potrafiła się nim posługiwać, ale uważała, że całkiem nieźle komponował się z jej biodrem.

Długo zajęło dziewczynie odrzewienie broni i choć nadal była tępa jak maczuga, to Sheili się podobała i nosiła ją przy sobie głównie dla ozdoby i lepszego samopoczucia. Chętnie zrobiłaby z miecza lepszy użytek, ale nie miała nikogo, kto nauczyłby ją walki. Will znał tylko jeden rodzaj ataku i ćwiczenie powtarzającej się identycznie sekwencji kroków mocno ją już nużyło. Mimo to podejmowała ten prostacki trening za każdym razem, gdy brat się na to godził.

– Wycofaj się! – rozkazał krótko Will, gdy po długich dyskusjach i kilkunastu partyjkach w pokera ponownie dał się namówić na ćwiczenia. – Nie zostawaj tu! Cios i odskok! Brat mi zawsze mówił, że jak komuś przypieprzę, to mam się zmywać bez względu na to, czy trafię, czy nie.

Sheila wirowała nieco zdyszana wokół adepta, próbując znaleźć lukę w jego obronie. Mimo że Will był zupełnie beznadziejny w walce i tak nie było łatwo zadać mu cios. Miecz jej ciążył i drażniło ją, że partner nie był w stanie udzielić żadnej rady na to, jak lepiej wyważyć ułożenie rąk.

– Mocniej! – rzucił. – Ale od razu odskakuj! – warknął zniecierpliwiony.

Przerwał walkę. Sheila otarła czoło z potu i spojrzała na zmęczoną twarz towarzysza. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie zatrzymywała się tuż przed nosem przeciwnika? W normalnych warunkach mógłby cię zabić już z piętnaście razy.

Czuła lekką irytację, ale nie chciała wywoływać sprzeczki. Zależało jej na tych ćwiczeniach.

– Poprawię się – powiedziała stanowczo.

Kącik ust Willa drgnął lekko, a potem jego twarz się nieco rozpogodziła. Klepnął ją swoją delikatną dłonią w ramię.

– Coraz lepiej ci idzie.

Westchnęła. Ten chłopak nie potrafił być wymagającym nauczycielem. Nigdy nie pozwolił, by zbyt długo była przygnębiona.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się nieco wymuszenie.

William pokiwał głową z zamyśleniem.

– I tak nic z tego nie będzie, dopóki nie nabierzesz sił.

Jęknęła. Ciągłe słyszała tylko o tym. Jej ramiona od podciągania się na skałach i wymachiwania orężem stały się już umięśnione i twarde. Podejrzewała jednak, że nigdy nie da rady osiągnąć takiej siły, jaką mieli mężczyźni.

– Wiesz, mój tyłek byś skopała, bo jestem słabeuszem. Niestety normalny facet jedynie zaśmieje się na to twoje machanie. Ale jest już lepiej – dodał szybko, żeby nie sprawić jej przykrości. – Kończmy na dziś. Mamy sprawy, a robi się późno. Za długo dawałem ci się ogrywać w karty.

Sheila dobrze wiedziała, z czego wynikała ta dobra passa w pokerze. William ewidentnie się podkładał i choć było to irytujące, nie potrafiła nie rozczulić się nad postawą brata. Niepokoiło ją tylko to, że ze spotkania na spotkanie Will zdawał się jej dogadzać coraz bardziej, co niechybnie mogło oznaczać, że ukrywał przed nią jakieś nieprzyjemne informacje.

Nie było trudno domyślić się, o co mogło chodzić. Od miesięcy nie posunęli się specjalnie w odkryciu, co było przyczyną anomalii, które wywoływała i – co ważniejsze – znaczenia jej osoby dla złamania klątwy.

Will wydawał się sądzić, że ta kwestia zajmuje Sheilę znacznie mocniej, niż faktycznie ją interesowała. Jednak prawda była taka, że dziewczyna nie przykładła wagi do badań Ataya. Tak jak w przypadku innych spraw, ta również od dłuższego czasu nie wywoływała w niej zbyt wielu emocji.

Kiedy usiedli na wilgotnym kocu, Sheila bez zwłoki podciągnęła rękaw koszuli. Szybko robiło jej się zimno, a pot na ciele dodatkowo potęgował uczucie chłodu. Powstrzymała dreszcze i przez chwilę uspokajała oddech, obserwując parę wydobywającą się z ust przy każdym oddechu. Will za to skupił się na przygotowywaniu igły.

– Wiem, że to uwielbiasz – mruknął przepraszająco.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu rób swoje.

Pobieranie krwi poszło szybko, bo puls nadal miała przyspieszony po treningu. Kiedy adept szczelnie zakorkował i zapłombował fiolkę z krwią, spojrzął na dziewczynę troskliwie.

– Odpocznij – poprosił.

Sheila naciągnęła kurtę na ramiona i zgięła łokieć, by przytrzymać mały opatrunek w miejscu wkłucia. Z nudów zaczęła przeglądać pozostałości z paczki, którą przyniósł Will. Wcisnęła do kieszeni niewielki mieszek z zapłatą za trofea zwierzęce.

– Mówiłam, że nie chcę pieniędzy. Na Zarzeczu nie ma sklepów.

Will również sięgnął do tobołka.

– Wydałem, ile się dało – tłumaczył. – Ale nie mogę wychodzić z Twierdzy z wielką wałową na plecach, kiedy oficjalnie idę tylko po zioła.

– Hm... i tak tym razem całkiem sporo mi przyniosłeś – zauważyła z wdzięcznością.

William z jakiegoś powodu zmieszał się na te słowa.

– No tak. Dziś było łatwiej – odparł lakonicznie, ale wzrok Sheili nie pozwolił mu się wykić tylko tym wyjaśnieniem. – Trochę się dzieje. Nikk był zajęty z geszefciarzami, a reszta dowodzących... mieli sprawę do załatwienia i nie było ich w Twierdzy.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Że niby Verrad i jego świta ruszyli tyłki z siedziby? No jeszcze Gregor albo Danteil to rozumiem. Ale generał? Co się stało?

William zaśmiał się nerwowo.

– Chodzi o to ciągle gadanie na temat Morvena – wyjaśnił niepewnie. – No wiesz, sieje propagandę na ten temat, więc ma sprawy na zewnątrz.

– Jakieś poselstwa? – nie dawała za wygraną dziewczyna.

– Coś takiego – odparł szybko i sięgnął do tobołka. – A właśnie. Mam coś dla ciebie. Trzymaj – mruknął, wyciągając z zawiniątka niewielką książkę.

Sheila chwyciła stary wolumin i pogładziła wyblakłą okładkę. Przewertowała strony i szybko natrafiła na rozdział, którego szukała.

– *Historia Silviamont* – przeczytała na głos. – Ściągnąłeś to z zewnątrz? – zapytała, patrząc na adepta z wdzięcznością.

– Było w naszej biblioteczce. – Machnął niedbale ręką, ale w jego wzroku błyszczała duma. – Mówiłem, że mamy tu wszystko, co wydano na temat tego miejsca.

Sheila pokiwała głową i znowu zerknęła na okładkę. Znała tę książkę, bo Benn miał jeden egzemplarz. Nie powiedziała o tym Willowi, bo podejrzewała, że może nie zechcieć go dla niej zdobyć. Starał się, jak mógł, aby zapewnić siostrze spokój, a wspomnienia o domu łatwo mogły przywołać dawne sny. A te mocno nadwyręzały nerwy i organizm dziewczyny. Sheila wiedziała, że na nic zdadzą się tłumaczenia, iż książka ma zaspokoić jedynie jej ciekawość badawczą. Miała nadzieję lepiej poznać Zarzecze, bo nudne życie w tym miejscu ostatnimi czasy zdawało się nudne jakby trochę bardziej.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna i odłożyła książkę do tobołka. – Kiedy muszę oddać?

Will wzruszył ramionami.

– Nie ma pośpiechu. Raczej nikt nie zwróci uwagi na jej zniknięcie. To zbyt ogólne opracowanie. Mówi o całej wyspie, a kapłanów interesują pozycje poświęcone srebrnemu żelazu albo samej Dolinie Kazamy.

Oboje czuli, że robiło się późno. Sheila z chęcią odwlekałaby pożegnanie, bo wiedziała, że następne spotkanie z bratem czekało ją dopiero za kilka tygodni.

– Odprowadzę cię – zaproponowała jak zwykle, przewiązując tobołek przez ramię.

– Nie – odparł szybko adept i otrzepał wilgotny koc z resztek śniegu i trawy. – Mówiłem ci, że sporo się dzieje. Verrad jest na zewnątrz. Nie wiem, kiedy dokładnie wróci.

Sheila wyraźnie spochmurniała. Domyśliła się, co niepokoiło jej brata. Przy takiej okazji jak ta, kiedy generał opuszczał na trochę Twierdzą, można było urządzić kolejną ucieczkę skazańców. Will ewidentnie bał się, że Sheila spotka jakichś buntowników w okolicy więzienia. Nawet jeśli nie da się złapać, to z całą pewnością wzbudzi w niej to nostalgię i zaburzy spokój, a tego adept chciał uniknąć.

– No to chociaż kawałek – wyjęczała błagalnie. – Tak rzadko wychodzę poza Zarzecze. Miło popatrzeć na las nieskąpany wiecznie w zielonej mgle.

– Tylko do mostu – powiedział Will po chwili namysłu tonem, który chyba miał być stanowczy, ale w jego wykonaniu wypadł raczej zabawnie.

– Powinieneś się ostrzec – stwierdziła, gdy przed ich oczami ukazała się najstarsza kładka prowadząca na Zarzecze. Był to fragment rzeki położony najbliżej Twierdzy.

Will się uśmiechnął.

– Mistrz Atay też mi o to suszy głowę. Pewnie wkurza go, że jestem rudy.

Sheila prychnęła i zaśmiała się cicho.

– Jesteś przewrażliwiony. Wcale nie jesteś rudy, tylko... ruda-wy – tłumaczyła niezdarnie. – A nawet jakbyś miał marchewkowe włosy, to co z tego?

Will nie odpowiedział na to pytanie. Zatrzymał wzrok na jej krótkiej i krzywo ostrzyżonej czuprynie, którą regularnie ciosała nożem. Nie skomentował tej fryzury, ale Sheila wiedziała, co najchętniej by powiedział. Jednak oboje zdawali sobie sprawę, że utrzymywanie włosów dziewczyny w obecnym stanie było wskazane ze względu na niebezpieczeństwo odkrycia jej tożsamości.

Żegnali się niespiesznie, a ta chwila i tak minęła im zbyt szybko. Kiedy Sheila patrzyła na odchodzącego Williama, który jeszcze długo odwracał się do niej i machał szczupłą ręką, myślała o tym, że będzie za nim potwornie tęsknić. Przez chwilę wizja samotności zabolęła ją, mocno kłując w serce i chwytając za gardło. Ale ten moment minął szybko, a wraz z nim to silne uczucie, które – tak jak wiele innych uczuć w ostatnich miesiącach – przytłumiło się, zmatowiało i w końcu zniknęło.

\* \* \*

Śnieg był tutaj inny. Stare zasy pokryte wilgotnymi skorupami poszarzały i skostniały nieładnie. Na drzewach pozostało niewiele białych śladów. Sheila musiała przyznać, że Zarzecze pomimo swojej ponurości znacznie lepiej prezentowało się wizualnie.

Jednak mimo ewidentnej przewagi estetycznej tego miejsca dziewczyna zdecydowała się pokonać część drogi drugim brzegiem rzeki, by jak najdłużej pozostać na terenie nieobjętym zielonką

mgłą. Oddalała się tym samym od Igliczki i swojej jaskini, ale postanowiła przed wieczorem sprawdzić jeszcze jedną ze swoich pułapek.

Szła wzdłuż rzeki, tak jak kiedyś z Etainem, kierując się na północ. Nie zdążyła ująć nawet kilkuset kroków, gdy usłyszała znajome ujadanie gońców. Od razu napięła wszystkie mięśnie i sięgnęła po łuk.

Zakłęła.

– Wszędzie ich pełno – warknęła. – Już wolę te wielkie pająki. Przynajmniej tak nie ujadają.

Normalnie poszłaby w innym kierunku, rezygnując ze spaceru, ale tym razem, oprócz irytującego szczekania, usłyszała coś jeszcze. Ten dźwięk zjeżył jej włosy na głowie. To był ludzki krzyk.

Podbiegła do wielkiego pnia powalonego drzewa. Na widok rozgrywającej się za nim sceny musiała zakryć sobie usta dłonią, żeby okrzykiem nie zdradzić swojej pozycji.

Kilkanaście metrów od niej cztery wielkie psowate potwory obgryzały ciało. Jednak mężczyzna pojękiwał i wił się, co znaczyło, że wciąż żył. Sheila z najwyższym trudem powstrzymała odruch wymiotny i napięła łuk. Nie zastanawiała się długo. Ustrzeliła pierwszego psa, potem następnego. Trzeci dostał w kręgosłup i padł jak pozostałe. Czwarty natomiast, wyczuwając zagrożenie, uciekł w najbliższe krzaki, a potem mignął między drzewami.

Sheila pobiegła w stronę rannego i rzuciła się na kolana przy jego ciele. Nie знаła go. Poszarpane ubranie sugerowało, że był to skazaniec z Twierdzy. Spojrzała na pokrwawioną twarz mężczyzny. Wybałuszał oczy i próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie, bo z jego szyi zionęła wielka, krwawa dziura. Gońce zdążyły odgryźć sporo mięsa.

– Spokojnie – powiedziała, nie wiedząc, jak się zachować.

Machinalnie otarła mu czoło. Mężczyzna nie przestawał otwierać ust, ale wydobywały się z nich jedynie rżęzenie i skrzek.



– Nic nie mów. Coś poradzimy – próbowała go uspokoić. – Nie ruszaj się. Pomogę ci.

Szarpnął się mocno w panice. Nagle złapał jej łokieć. Zrobił to tak mocno, że syknęła z bólu. Patrzył na nią błagalnie, coraz bardziej zdesperowany.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytała niepewnie. – Potem się tym zajmiemy. Teraz najważniejsze...

Nie dała rady dokończyć wypowiedzi.

To pojawiło się nagle i wyrwało ją z tego miejsca i czasu. Nie była już nad rzeką, ale w lesie, znacznie bliżej Twierdzy. Znała to miejsce. Ranny skazaniec był sprawny i uciekał przed czymś. Tuż za nim biegł inny więzień. Sheila słyszała zdyszane krzyki obu mężczyzn.

– Szybciej, Fox! – zawołał pogryziony przez gońce mężczyzna.

– Są tuż za mną! Nie mogę szybciej!

Nagle rozległ się zbolaty jęk i Sheila zobaczyła, jak Fox złapał się niskiego konaru i zawisł nad ziemią. Jego kompan obejrzał się za siebie i przystanął, ale towarzysz wspiał się szybko wyżej i pogonił go ręką.

– Zatrzymam je tutaj! Uciekaj!

Nieznany skazaniec zawahał się, ale ujadanie zbliżających się gońców przekonało go do dalszego biegu.

Sheila widziała, jak uciekał ile sił w nogach. Dzikie psy były szybsze. Bestie dorwały skazańca i wlekły w głąb lasu. Gryzły go i drapały...

Nagle wszystko się urwało. Sheila znowu była obok rannego mężczyzny, który patrzył na nią jeszcze bardziej przerażony niż wcześniej. Nie wiedziała, czy poczuł to samo co ona.

– To... – sapnęła i schowała twarz w dłonie. – Co to było, do cholery?

Mężczyzna oczywiście nie odpowiedział, ale kiedy spojrzała na niego ponownie, wyglądał, jakby zobaczył ducha. Bezskutecznie próbował się od niej odsunąć, a z jego przekrwionych oczu zionęła panika.

Sheila próbowała go uspokoić, głaszcząc zarosnięty policzek skazańca.

– To nic takiego – powiedziała, sama w to nie wierząc. – Ja tylko...

Nie wiedziała, jak wytłumaczyć minione zdarzenie, więc szybko porzuciła temat, by nie stresować nieznanego jeszcze bardziej.

– Twój przyjaciel – zaczęła po chwili chaotycznie. – Ocalił cię. To mi chciałeś powiedzieć? On potrzebuje pomocy.

Ranny komunikował się z nią jedynie poprzez jeszcze mocniejsze wybałuszenie oczu.

– Na pewno nic mu nie jest, jeśli nie zszedł z drzewa – uspokajała więźnia, choć widziała, że to wcale nie było takie pewne. – Pomogę mu – zapewniła.

To zdanie chciał usłyszeć. Sekundę później jego uścisk zelżał, a z szeroko otwartych oczu odpłynęła obecność.

\* \* \*

Biegła z naciągniętym na głowę kapturem. Dziwnie czuła się w tym miejscu. Po raz ostatni przemierzała drogę między Twierdzą i rzeką w towarzystwie Leo i Reivena, gdy wracali od koczowników. We wspomnieniu nieznanego skazańca rozpoznała miejsce, które wtedy mijali.

Podążała niewyraźną ścieżką, bardziej skupiając się na wyężaniu słuchu niż wzroku. Była wrażliwa na każdy odgłos przypominający szczekanie lub wołanie o pomoc. W wizji zobaczyła niewielkie stadko gońców, które pędziło wściekle na dwóch mężczyzn. Cztery z nich dopadły zmarłego już więźnia, przy niejakiem Foxie musiała więc

pozostać garstka zwierząt. Nie robiły zatem na Sheili wrażenia, zwłaszcza po roku spędzonym na Zarzeczcu. Znacznie bardziej przejmowała się tym, że po raz pierwszy od dawna zapuściła się tak głęboko w cywilizowaną strefę Kazamatów.

Nagle to usłyszała. Daleko, między drzewami ktoś pojękiwał.

Zwolniła nieco i odciążyła krok. Wilgotna ściółka delikatnie szeleściła pod jej stopami, kiedy dziewczyna skradała się, omijając nieliczne płaty brudnego śniegu. W końcu ukryła się w zaroślach i stamtąd próbowała rozeznac się w sytuacji.

Daleko przed nią majaczyły psowate stwory. Wiedziała, że gdyby podjęła bezpośrednią walkę, zagryzłyby ją w kilka sekund.

Sheila zmrużyła oczy i podeszła nieco bliżej.

Zobaczyła Foxa siedzącego na jednej z niższych gałęzi. Zdawało się, że jedyną bronią, którą miał, był niewielki kilof. Niestety dla skazańca, sterczał on z głowy martwego gońca pod drzewem i mężczyzna nie miał do niego dostępu. Co więcej, z nogi mężczyzny obficie tryskała krew. Był w kiepskim stanie.

Pomimo dramatycznej sytuacji Sheila nie mogła powstrzymać się przed docenieniem ironii losu. Brakowało jeszcze próby rzużenia w psy kamieniem.

Gońce krążyły pod drzewem, co rusz przystępując do ataku. Zdawało się, że tylko wilgotna kora pnia uratowała skazańca z kopalni, bo zwierzęta ześlizgiwały się po niej niezgrabnie.

Sheila zastanowiła się nad strategią, ale nie widziała innego wyjścia, jak wykończyć osobniki z łuku.

Napięła cięciwę i wycelowała w największego potwora. Świsł przeciął powietrze. Goniec zakotłosał się i upadł, jeszcze mocniej wbijając sobie grot w ciało. Fox zachwiał się i o mały włos nie spadł z gałęzi.

– Co?! Kto tam?! – zachrypiał, rozglądając się na boki.

Tak jak to było do przewidzenia, pozostałe dwie bestie poderywały się nagle do biegu, szczerkając zajadłe. Sheila oddała kolejny

strzał, który nie trafił do celu. Wysłała zza krzaka, by lepiej się przymierzyć i szybko wypuściła kolejną strzałę, tym razem dosięgającą głowy najbliższego psa. Fox zrozumiał, że ktoś go broni. Ostatni goniec zawył złowrogo, ale zrezygnował z walki w pojedynkę. To było typowe dla tego gatunku.

Mężczyzna sturlał się na ziemię z okrzykiem bólu. Sięgnął po kilof i zamachnął się na najmniejszego gońca, który nagle wyskoczył z krzaków. Jednak zadał mu tylko powierzchowną ranę i po chwili ostre zęby potwora kłapnęły bardzo blisko szyi więźnia. Sheila podbiegła i swoim myśliwskim nożem przebiła zwierzęciu kark.

Nie czekała, aż przerośnięty pies upadnie na ziemię. Odwróciła się w stronę szarżującego w jej stronę zwierzęcia, które postanowiło jednak zawrócić. Oglupiałe paniką i złością jazgotało w zniechęcony przez Sheilę sposób.

Wydobyła swój zupełnie tępy miecz. Klinga nie błysnęła w bladym popołudniowym słońcu, bo była matowa i nadal lekko pordzewiała. Jednak najbardziej niepokoiło dziewczynę, że ostrze zachybotowało lekko, niepewnie trzymając się w rękojeści.

Sheila zamachnęła się i naparła do przodu tak, jak uczył ją Will. To proste uderzenie nie wyglądało spektakularnie, zwłaszcza że na końcu lekko straciła równowagę, ale przyniosło skutek. Nie zraniła gońca, dotkliwie uderzyła go jednak w pysk. Z satysfakcją obserwowała, jak bestia uciekała, skamłając żałośnie.

Rozejrzała się. Choć nadal słysząc było poszczekiwanie, to nigdzie w pobliżu nie było potworów. Ostatni przeciwnik oddalał się szybko, co pozwoliło uznać, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Spojrzała na skazańca, który utkwiał w niej osłupiałe spojrzenie. Po chwili odzyskał świadomość i zaczął masować swoje ranne udo. Sheila podeszła do niego niepewnie.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho.

– Eee... ta. Chyba ta. – Fox nie ukrywał zainteresowania jej osobą. Dyszał i pojękiwał delikatnie, bezskutecznie próbując zatamować krwawienie dłonią. Sheila uklękała przy nim i oderwała mankiet swojej koszuli, co nie było łatwe przez sztywny materiał kurtki na wierzchu, i szybko przewiązała go nad raną. Efekt był zadawalający. W tym momencie twarz dziewczyny znajdowała się bardzo blisko twarzy mężczyzny. Ten natomiast bez skrupowania przyglądał się jej, najwyraźniej na chwilę zapominając o swojej sytuacji.

Kiedy skończyła opatrywać mężczyznę, spojrzała na niego. Marszczył czoło, zastanawiając się nad czymś intensywnie. Przestraszyła się, że rozpoznał w niej dziewczynę. W końcu jednak skazaniec pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Znam cię – mruknął. – Ale to niemożliwe.

Poczuła, że serce jej przyspieszyło.

– O co ci chodzi? – próbowała zabrzmieć naturalnie.

Więzień zmrużył oczy.

– Wyglądasz jak... Ta blizna... – Wskazał na cienką linię jaśniejącą na wardze Sheili. – Myślałem, że zginąłeś.

Zrobiło jej się gorąco, ale mimo to wzruszyła ramionami.

– Mało to ludzi z bliznami? Nie wiem, o co ci chodzi. Jestem buntownikiem.

Fox jej nie słuchał.

– Jasne, że to ty – rzucił bardziej do siebie. – Robiliśmy razem u Fabiana. Potem cię złapali i spłonąłeś... tak powiedzieli.

Sheila znieruchomiała na chwilę.

Muszę go zabić – wkradło się do jej głowy i ta myśl natychmiast ją przeraziła.

Skazaniec wyglądał, jakby nagle uświadomił sobie swój błąd. Widocznie coś w jej wyrazie twarzy dało mu do zrozumienia, że stał się dla niej niewygodny.

– Nic nie powiem – zadeklarował z przejęciem.

Miała dylemat. Mogła iść w zaparte i być może udałoby jej się przekonać Foxa, że się pomylił. Jednak on mógł jedynie udać, że wierzył w te słowa, by ratować skórę. Była też druga opcja. Tylko pozbycie się mężczyzny gwarantowało bezpieczeństwo.

Wyciągnęła niewielki nóż, który niegdyś dostała od Gregora Sinnda, i przystawiła go skazańcowi do gardła. Wiedziała, że tym samym przyznała mu rację, ale i tak już nie miała szans udać, że była kimś innym.

– Nic nikomu nie powiem! – jęknął przestraszony. – Mam u ciebie dług! Przecież mnie uratowałeś. Teraz mnie zabijesz?

Sheila patrzyła na niego z gonitwą myśli.

– Przykro mi – mruknęła i docisnęła ostrze do jego skóry.

Wzdrygnął się i wytrzeszczył na nią oczy.

Na pewno komuś o mnie wspomnisz – stwierdziła w duchu, próbując przekonać samą siebie.

Ręka jej zadrżała i nagłym ruchem odsunęła broń od szybko pulsującej tętnicy. Przymknęła oczy. Usłyszała westchnienie ulgi i urywany oddech Foxa. Kiedy spojrzała na niego po chwili, ze zdziwieniem zarejestrowała, że jego wzrok utkwiony był w czymś, co miała za plecami. Odwróciła głowę i od razu poderwała się na nogi.

Kilkanaście metrów od nich stał mężczyzna, najpewniej zwaibiony wcześniejszymi krzykami Foxa. Zupełnie nie zwracał uwagi na skazańca, tylko wwierał spojrzenie w Sheilę. Był niewiele wyższy od niej. Jego przystojną twarz znaczyła blizna na prawym policzku, ginąca w schludnie utrzymanej bródce. W ustach przygryzał dymiącego papierosa.

Fox wykorzystał okazję i z jękiem rzucił się do ucieczki. Głęboka rana nie pozwalała mu jednak na szybkie przemieszczanie. Sheila błyskawicznie dogoniłaby utykającego mężczyznę, gdyby

podjęła taką próbę. Ona jednak stała sparaliżowana naprzeciwko Reivena Scotta.

Patrzyli na siebie, nie wiedząc, jak zareagować. Sheila czuła narastającą panikę, kiedy fałszerz z Wolnej Kompanii powoli uniósł rękę do ust i wyciągnął z nich skręta. Serce biło jej jak oszalałe, tak, że słyszała każde głucho uderzenie w piersi. Mężczyzna energicznie rzucił niedopałek na ziemię. To ją otrzeźwiło.

Ruszyli w tym samym momencie. Biegła szybko, ale czuła, że mogła dać z siebie jeszcze więcej. Reiven ją doganiał, więc przyspieszyła zdenerwowana. Przeskoczyła nad powalonym drzewem, podtrzymując się ręką. Niestety nadgarstek jej się ześlizgnął z wilgotnej narośli, przez co boleśnie obtarła skórę. Zachwiała się i upadła kolanem na ściółkę. Czując pieczenie na rękę, strzepnęła śnieg, który się do niej przyczepił, i pobiegła dalej. Szybko zerknęła przez ramię i dostrzegła, że Reiven, korzystając z jej doświadczenia, nieco ostrożniej pokonał przeszkodę w postaci kłody.

Wiedziała, że na nic się zda ucieczka, skoro i tak została rozpoznana. Mogła spróbować porozmawiać i poprosić znajomego o dochowanie tajemnicy. Poważnie rozważała tę ewentualność, ale wołała przeprowadzić rozmowę w bezpiecznej odległości od mężczyzny. Bała się, że zechce jej zabrać łuk.

Przyspieszyła, zgrabnie omijając drzewa i przeskakując nad konarami. Nie mogła stracić broni. Pamiętała, że niegdyś bawiło ją przywiązanie Leo do swojego miecza, ale odkąd żyła na Zarzeczcu, rozumiała, że uzbrojenie było jedyną szansą na przetrwanie.

Przebiegła jeszcze kilkanaście metrów, aż w końcu między drzewami zamajaczyła rzeka. Zawahała się. Nie wiedziała, jaka decyzja była rozsądniejsza, ale nie miała czasu się porządnie zastanowić. Przyspieszyła do granic swoich możliwości.

– Nawet o tym nie myśl! – krzyknął za nią Reiven, przewidując, co chciała zrobić.

Udało jej się zbudować nieco większą przewagę. Dobięła do brzegu, a potem z całej siły wyskoczyła przed siebie. Przez chwilę leciała w powietrzu, czując na kolanach małe kropelki rwącej wody. Niezgrabnie wylądowała na głazie po przeciwnej stronie rzeki, o mało nie ześlizgując się po oblodzonym brzegu prosto do strumienia. Przed nią była już tylko skała, po której musiałaby się wdrapać, by wrócić na Zarzecze. Nagłe pojawienie się obcych zbudziło sępicę, którego gniazdo znajdowało się w niszy skalnej powyżej. Przerośnięty ptak wzbił się w powietrze i zaczął krążyć w zasięgu wzroku.

Sheila nie rzuciła się do dalszej ucieczki, tylko spojrzała przez ramię, a następnie odwróciła się do nadbiegającego mężczyzny. Przez chwilę zdawało się, że ten spróbuje powtórzyć jej akrobację, ale kątem oka zerknął na rwący nurt i w ostatniej chwili wyhamował. Utkwił świdrujące spojrzenie w Sheili i krzyknął do niej zdyszany, zagłuszając szum wody:

– Nikt mi nie wierzył, kiedy mówiłem, że dałaś nogę.

Dziewczyna oddychała ciężko, lecz nie tyle ze zmęczenia, co ze zdenerwowania. Czuwała w gotowości, na wypadek gdyby Reiven jednak podjął próbę przedostania się na jej stronę. Wyglądało jednak na to, że nie zamierzał ryzykować złamania karku lub porwania przez nurt do wodospadu.

– Masz mi coś do powiedzenia? – rzucił zdyszany. Poślała mu pytające spojrzenie, więc westchnął i dokończył: – Zdaje się, że ten łuk nie należy do ciebie.

Nie powstrzymała lekceważącego wzruszenia ramionami.

– Skoro go mam, to chyba jednak należy – stwierdziła z ironią. – Zdaje się, że na tej samej zasadzie byłeś jego właścicielem przez kilka lat. Nie ukradłeś go czasem Nikkowi?



Zauważyła, że kącik jego ust lekko się uniósł. Pokręcił głową z niedowierzaniem i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął kolejnego skręta i od razu go odpalił.

Sheila prychnęła.

– Nic dziwnego, że masz taką słabą kondycję, skoro wciąż palisz to świństwo. – Założyła ręce na piersi.

Zmarszczył brwi i wycelował w nią palec wskazujący.

– Nie pyskuj – warknął. – No dobra. Koniec zabawy. Wracaj na tę stronę.

Posłała mu kpiący uśmieszek.

– Chyba nie wierzysz, że to zrobię?

Jego oczy błysnęły złowieszczo. Ten znajomy widok wywołał ciepły ucisk w jej klatce piersiowej. Szybko jednak przywołała się do porządku.

– Dobra. I tak nigdy cię nie lubiłem. – Machnął ręką i zaciągnął się szarym dymem. – Oddaj łuk i możesz spadać.

Spojrzała na niego wyzywająco.

– Przyjdź i go sobie weź.

– Nie chcesz, żebym cię dorwał – ostrzegł. – Skopię ci tyłek i ogolę na łyso.

Uśmiechnęła się i rozłożyła bezradnie ręce.

– A wyrobisz się w tym tygodniu? – zadrwiła.

Czuła to i widziała. Oczy Reivena błyszczały zawadiacko. Cieszył się na jej widok, choć zapewne nie do końca jeszcze potrafił zrozumieć całą sytuację. W niej też kumulowała się energia, która próbowała znaleźć ujście. Tak dobrze było go widzieć, rozmawiać z nim, przekomarzać się. Chciała, żeby to trwało jak najdłużej, ale inne kwestie były ważniejsze.

– Zamierzasz się jakoś wytłumaczyć? – Założył ręce na piersi i patrzył wyczekująco.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem przywidzeniem? Wizją, wywołaną ziółkami, które popalasz, albo alkoholowym widem? Wybierz sobie.

Jego wzrok nabrał nieco ostrości.

– Wiesz, co przeżywał Lasota?

Zaskoczył ją. Nagle spoważniała i poczuła tępy ból w klatce piersiowej. Odwróciła wzrok od fałszerza.

– To cios poniżej pasa – burknęła.

– Powinnaś mu była powiedzieć – ciągnął dobitnie.

Westchnęła i spojrzała na niego spokojnie.

– Nie. Nie powinnam – rzekła twardo.

Przez chwilę milczeli, a potem mężczyzna podrapał się po bródce.

– Co się stało w Twierdzy? – zapytał bez ogródek.

– Lepiej do tego nie wracać.

Zmarszczył brwi.

– Mnie się wydaje, że to jednak ważna sprawa.

Zaczęła się już nieco niecierpliwić. Z jednej strony cieszyła się na spotkanie znajomego, ale wiedziała też, że to niosło ze sobą duże komplikacje.

– Nie twierdzą, że to nieważne. Po prostu nie chcę o tym mówić. Nie możesz udać, że nic się nie stało?

Ich spojrzenia się spotkały, a Sheila całą siłą woli powstrzymała obawę, która się w niej rodziła.

Will się wścieknie – pomyślała.

– Mogę to zrobić – odparł poważnie, zaskakując ją. – Ale... naprawdę tego chcesz?

Poczuła ucisk żalu. Prawda była taka, że nie podobała jej się wizja ponownego odejścia w zapomnienie. Wiedziała jednak, że tak trzeba.

Jak długo utrzyma w tajemnicy swoją obecność w Kazamatach, jeśli zacznie się spotykać ze znajomymi? Każdy, kto ją rozpozna, będzie zaskoczony co najmniej tak jak Reiven. W końcu uznano ją za zmarłą nie bez powodu.

– Tak będzie lepiej – stwierdziła, siląc się na pewny siebie ton. Reiven westchnął i zaciągnął się dymem.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Ale w porządku. Rozumiem.

Nie była pewna, czy faktycznie rozumiał, ale jego słowa i tak sprawiły, że przyjemne ciepło wypełniło jej płuca.

– No to chodź się jeszcze uściskać na pożegnanie i możesz iść – rzucił od niechcienia.

Nie powstrzymała śmiechu. Reiven też się rozpogodził. Mimo blizny wyglądał przystojnie i energicznie.

– No dalej – zachęcił ją zadziornie. – Obiecuję, że cię nie ogolę.

Nie mogła się nie uśmiechnąć na jego słowa. Tęskniła za nim. A także za Lasotą i Leo. Za dezerterami, którzy przygarnęli ją do swojej kompanii i dzielili się jedzeniem. Reiven stojący po drugiej stronie rzeki i rzucający na ziemię wypalonego pospiesznie papierosa był reprezentantem tego wszystkiego, czego brakowało jej podczas samotnych chwil na Zarzeczu.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. – Zawahała się. Poczowała niechciane łzy i wiedziała, że powinna jak najszybciej zniknąć mężczyźnie z oczu. – Muszę iść.

Na jego twarz powrócił cień niepokoju.

– Poczekaj – zaczął, ale chyba sam nie wiedział do końca, co chciał powiedzieć. – Nie uważasz, że to dla mnie jednak zbyt duże obciążenie psychiczne? – mówił coraz śmielej. – Każdy myśli, że nie żyjesz. Szukałem informacji o tobie od tak dawna. Wszyscy pewnie już dawno uznali, że mam na twoim punkcie chorą obsesję. Przez ciebie straciłem respekt i pozycję – kontynuował z teatralnym dramatyзмом. – Jednak wyszło na moje, a ja mam udawać, że nie wiem, jaka jest prawda? Teraz to już na pewno się rozpiję.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Jestem pewna, że sobie poradzisz. – Wzruszyła ramionami i nieco złagodniała. – Przecież to nie była moja zachcianka. Nie mam wyboru, Rei. Nie zdradź mnie, proszę.

– No przecież nie zdradzę – stwierdził po chwili niezadowolony. – Ale muszę wiedzieć jedno. – Sheila kiwnęła głową z rezygnacją, a Reiven kontynuował: – Kto, oprócz Willa, wie o tym, że żyjesz?

Zaskoczył ją, co zapewne wyczytał z jej twarzy, bo wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Skąd wiesz o...? To aż tak oczywiste?

– Że pomaga ci twój kochany kapłański sługus? No raczej, że oczywiste.

– On nie jest zwykłym sługą. Wiesz, jest jakby trochę adeptem... – poprawiła go machinalnie.

Reiven machnął ręką.

– Nieważne. Pytam, kto oprócz niego wie. W swojej odpowiedzi skup się głównie na osobach z Wolnej Kompanii.

Sheila nieco się uspokoiła. Spojrzała na Reivena w taki sposób, że bez problemu odgadł, jaka była odpowiedź. Wiedziała to po współczuciu, które natychmiast wymalowało się na jego twarzy. Ta emocja w jednej chwili ustąpiła miejsca zaskoczeniu.

– Cholera! Uważaj!

Zauważyła to w tym samym momencie. Tuż obok jej twarzy chlasnęły szpony wielkiego ptaka. Sępic, którego wypłoszyła z gniazda, postanowił jednak zaatakować.

Sheila przyłgnęła plecami do skały, by uchronić się przed drugim atakiem ostrych szponów. Ze wszystkich wynaturzonych stworów, jakie spotkała w Kazamatach, tego widywała najczęściej. Od gońców stroniła, bo dało się je usłyszeć z daleka, inne gatunki były rzadsze i kryły się w głębi puszczy. Za to sępic chętnie gnieździły się w okolicy rzeki.

Potwór ponownie zanurkował z powietrza prosto w stronę dziewczyny, jednak ona nie traciła czasu. Zdjęła z pleców łuk i napięła cięciwę.

Dwie strzały przebiły ciało bestii jednocześnie. Sheila trafiła w podniebienie przez otwarty dziób, przebijając tym samym głowę ptaka na wylot. Strzała Reivena uderzyła prostopadle do jej pocisku i sterczała z długiej szyi zwierzęcia.

– Nieźle – skomentował mężczyzna, opuszczając broń. – Nie jest z moim wzrokiem jeszcze tak... ZA TOBĄ!

Ostrzeżenie nie pomogło. Wielkie cielsko drugiego sępicia wyłoniło się zza skały w mgnieniu oka, a jego szpony pół sekundy później zatopiły się w plecach Sheili, tworząc trzy głębokie szramy.

Dziewczyna zawyła z piekącego bólu i upadła na kolana. Oczy natychmiast wypełniły jej się łzami. Wszystko wydarzyło się niespodziewanie szybko. Tobołek od Willa nie wytrzymał starcia z pazurami ptaka. Wszystkie rzeczy wysypały się z niego na kamienną półkę i poturlały w stronę wody. Nad głową Sheili świsnęła strzała, wywołując głuchy skrzek ranionego potwora. Ten spadł prosto na dziewczynę, która w panice próbowała ratować swoje rzeczy przed zmoczeniem. Pod ciężarem martwego zwierzęcia ręka, którą się przytrzymała, ześlizgnęła się z mokrej krawędzi skały, a Sheila zachwiała się i wpadła do wody. Zdążyła jeszcze usłyszeć siarczyste przekleństwo Reivena, zanim porwał ją zimny nurt.

Rozpaczliwie wymachiwała kończynami, ale siła lodowatej rzeki była zbyt duża. Czowała, jak woda miażdżyła jej klatkę piersiową. Zimna ciecz wdzierwała się do gardła i płuc, kiedy w panice próbowała złapać oddech. Znosiło ją w stronę niewielkiego wodospadu. Próbowała złapać się czegośkolwiek, ale zaciskała pięści jedynie na ostrych falach.

Nagle coś mocno uderzyło ją w głowę i z zaskoczenia wzięła oddech pod wodą, co skończyło się zachłyśnięciem.

Dotarła do krawędzi. Woda popchnęła ją w dół. Prawie w tym samym momencie, w którym zaczęła spadać, poczuła mocne szarpnięcie. Przez chwilę wisiała bezwładnie, a potem silne ramię wciągnęło ją do góry i ułożyło na trawie.

Nie mogła zahamować ataku kaszlu. Wypluwała wodę z płuc i tchawicy. Reiven pomógł jej pochylić się do przodu i klepnął ją w plecy. Syknęła z bólu, ale on nie zwracał na to uwagi, tylko uderzał dalej, dopóki nie wypłuła całej cieczy. Kaszłała jeszcze chwilę, ale wyglądało na to, że sytuacja była opanowana. Wciąż przecierała oczy, ale nie otwierała ich. Ciałem dziewczyny wstrząsnęły dreszcze. Oddech miała urywany. Czują dłoń Reivena na plecach. Kiedy się wyprostowała, fałszerz podtrzymał ją tak, że mogła przez chwilę oprzeć się o jego ramię.

Skóra na całym ciele piekła ją nieprzyjemnie, ale najboleśniej odczuwała rany na plecach, które zdawały się płonąć żywym ogniem. Zęby Sheili szczykały tak, że obawiała się o ich nadkruszenie.

– Oddychaj powoli – powiedział jej towarzysz zaskakująco łagodnie.

Nagle zdała sobie sprawę, że cały czas trzymała w zaciśniętej dłoni łuk. Z trudem rozluźniła palce i wypuściła broń na trawę. Po raz kolejny otarła twarz i ostrożnie otworzyła oczy.

Reiven klęczał przy niej. Sheila uniosła lekko głowę, by spojrzeć na jego twarz. Brwi miał zmarszczone i przyglądał jej się uważnie.

– W porządku? – zapytał.

Kiwnęła głową i spróbowała samodzielnie utrzymać pion. Syknęła, kiedy jej plecy przestały się stykać z ręką mężczyzny. Reiven spojrzał na swoją dłoń i przedramię, które były umazane rozcieńczoną przez wodę krwią. Sheila się skrzywiła.

– Czuję, jakby ktoś mnie obdarł ze skóry – przyznała zachrypniętym głosem.

– I mniej więcej tak to właśnie wygląda – stwierdził. – Dasz radę siedzieć?

Kiwnęła głową i odgarnęła włosy z czoła. Zakaszła jeszcze kilka razy i odchrząknęła.

– Moje rzeczy – jęknęła i pomimo bólu okręciła się w stronę skalnej półki, z której spadła. Po jedzeniu nie było śladu. Przepadło w rzece. Tak samo jak pieniądze, które zarobiła na trofeach. Kilka drobiazgów, mających umilić jej czas na wygnaniu, kołysało się niebezpiecznie na brzegu. Sheila jednak szukała wzrokiem tylko jednego.

– Gdzie książka? – jęknęła i próbowała się podnieść, ale Reiven ją powstrzymał.

– Książka? – zapytał niepewnie.

Sheila schowała twarz w dłonie. Chciała płakać. Nie ze smutku, tylko z wściekłości. Drżała z zimna, ale nie zwracała na to uwagi.

– Szlag by to! – wycodziła i pochyliła się mocniej do przodu, co przypłaciła bolesnym rwaniem w zranionej łopatce. – Szlag! – syknęła, zdając sobie sprawę, że szpony sępica rozdarły gruby materiał jej okrycia. – Lubiłam tę kurtkę. – Następnie spojrzała na mężczyznę z wyrzutem. – Przez ponad rok dawałam sobie świetnie radę, a wystarczyło jedno spotkanie z tobą, żeby wszystko się spieprzyło. Ja naprawdę nie powinnam się z wami zadawać.

Wiedziała, że takie zachowanie było niesprawiedliwe, i po kilku sekundach zdążyła go pożałować. Reiven przyglądał jej się badawczo i trudno było odgadnąć, co mu chodziło po głowie.

– Nic się nie zmieniłaś – powiedział wreszcie nieco pogodniej. – I to nie jest komplement.

Prychnęła cicho i zaszczękała zębami.

– Przepraszam – rzuciła zmieszana. – I dziękuję – mruknęła ciszej.

Mogła przysiąc, że kącik jego ust lekko drgnął. Wydawało się, że nieco ochłonał. Usiadł wygodniej obok niej.

– Nie ma sprawy. Chociaż właściwie... prawdopodobnie uratowałem ci życie. Wrodzona szlachetność nie pozwala mi przyjmując nagrody za mój wspaniały czyn – powiedział z przekąsem. – I szczerze mówiąc, nie jestem na tyle naiwny, by się takowej po tobie spodziewać. Ale nie odmówię chwili pogawędki, gdy będziesz dochodziła do siebie. Z grzeczności pozwolę, żebyś to ty mówiła. Szczególnie pożądane są tematy dotyczące twojej rzeckomej śmierci. Pochyl się.

Westchnęła i wykonała polecenie. Reiven delikatnie zdjął z jej pleców rozdartą kurtę i to, co zostało z tobołka, a następnie podniósł tył postrzępionej koszuli. Podtrzymała materiał przy szyi i oczekiwała na ból. Nie zaskoczyło jej, gdy mężczyzna wyjął zza pazuchy małą buteleczkę rumianówki. Rzuciła mu znaczące spojrzenie, ale on wzruszył ramionami i nie wyglądał na zmieszanego.

– Noszę to na czarną godzinę. Taką jak ta. Będzie bolało – uprzedził bez ogródek.

– Domyślam się.

Zacisnęła pięści i zęby, kiedy Reiven odkorkowywał trunek. Mężczyzna zaczął przeszukiwać kieszenie. Sheila domyśliła się, czego potrzebował, i z trudem wyciągnęła ze spodni chusteczkę, którą przyzwyczaiła się nosić przy sobie. Nieraz przydawała jej się podczas polowań do wycierania czoła i rąk z potu i krwi. Nie bez znaczenia było też to, że ten kawałek jedwabiu z wyszytą w rogu szkarłatną różą był jedną z nielicznych pamiątek, jakie miała po Leo.

Reiven spojrział na mokrą chusteczkę i fuknął prawie niezauważalnie.

– No jasne – skomentował pod nosem, ale Sheila postanowiła nie podejmować tematu.



Fałszerz obficie zmoczył materiał alkoholem, ale zanim przyłożył go do skóry dziewczyny, spojrzał na nią samą znacząco.

– Nie słyszę opowieści – rzucił z ironią.

Sheila wzruszyła ramionami.

– Co tu mówić? Pewnie większości się już domyślasz. Musiałam zniknąć. Auć! – jęknęła, kiedy nasączony materiał dotknął rany.

– Nie marz się – rzucił Reiven bez litości. – Jak udało wam się to wszystko ukartować?

Sheila opowiadała, nie wdając się w szczegóły o tym, jak William i Nikkoi wyciągnęli ją z celi. Nie było sensu ukrywać zbyt wiele. Reiven prawie nie przerywał, jedynie czasem dopytywał o drobne szczegóły, bo jej relacja była często urywana przez syknięcia i ciche pojękiwania.

Wiedziała, że starał się być delikatny, ale wołała, żeby działał szybciej, nawet kosztem większego bólu.

– Więc Nikk też wie, że żyjesz? – zapytał buntownik, nie kryjąc irytacji.

– Nie. Will odstawił niezłe przedstawienie – wyjaśniła lakonicznie.

Reiven, nie przerywając odkażania ran, pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Brzmi jak niezła przygoda. Aż trochę mi szkoda, że tego nie widziałem.

Rzuciła mu krzywe spojrzenie.

– Nie możesz się wygadać – powiedziała poważnie.

– Masz mnie za idiotę? – zachnął się.

Wzruszyła ramionami, co było błędem, bo przeszył ją ostry ból pleców, gdy w tym samym momencie Reiven dotknął jej rany.

– Nie ruszaj się – rzucił niepotrzebnie. – Jeszcze chwila.

Starła się posłuchać polecenia.

Powoli zaczęło do niej dochodzić, co się wydarzyło i jakie niosło to za sobą konsekwencje. Nie chciała drażnić Reivena, ale wołała się upewnić, że znał powagę sytuacji.

– To naprawdę ważne – powiedziała spokojniej. – Wiem, że chcecie dobrze, ale im mniej osób wie, że żyję, tym lepiej. Chodzi szczególnie o Nikka.

Reiven przerwał opatrywanie jej pleców i spojrzął na nią poważnie.

– Rozumiem – zapewnił, patrząc prosto w oczy dziewczyny. – Powiedziałem przecież, że cię nie wydam. Nie zdradzam tajemnic. Gotowe.

Podał jej brudną od krwi chusteczkę, a Sheila wcisnęła ją do kieszeni. Coś sobie przypomniała. Spojrzała na Reivena uważnie. Zapomniała, że miał szare oczy.

– To prawda, że trudno coś z ciebie wyciągnąć – przyznała powoli. – Słowem nie zająknąłeś się o tym, że Logan był szpiegiem i donosił ludziom Verrada.

– Skąd o tym wiesz? – Buntownik wydawał się zaskoczony, ale szybko odzyskał pewność siebie.

Wzruszyła ramionami.

– Czy to ma znaczenie? Byłam w Twierdzy dość długo, by usłyszeć to i owo.

Nie chciała wydać myśliwego, który nieopatrznie wyjawiał ten sekret. Nie była pewna, czy przekonała fałszerza, ale na szczęście nie drażył tej kwestii.

– Sporo o tym myślałam – kontynuowała ostrożnie. – Zastanawiałam się, dlaczego nie próbowałeś się wytłumaczyć, kiedy zarzucałam ci bycie egoistą i... no cóż...

– Pozbawionym moralności śmieciem? – dokończył, a ona poczuła, że uszy jej się lekko zaczerwieniły.

– Po czasie przyszedł mi do głowy dwa rozwiązania.

Mężczyzna uśmiechnął się na bok, tak jak miał w zwyczaju.

– Umieram z ciekawości.

– Jedna możliwość jest taka, iż po prostu uznałeś, że to nie moja sprawa. – Zignorowała jego ironiczne spojrzenie i pokonując niepewność oraz strach przed odpowiedzią, dokończyła swoją myśl. – Ale to nie tłumaczyło, dlaczego trzymałeś to w tajemnicy przed resztą. Dlatego przyszło mi do głowy, że może... Logan nie był jedyny.

Bystry wzrok Reivena nieco ją onieśmielał, ale mimo to podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Wciąż uśmiechał się lekko.

– Faktycznie to nie twoja sprawa – powiedział w końcu.

Skrzywiła się, ale widziała, że nie był zbyt poważny. Dopiero po chwili nieco się zreflektował.

– No dobra. Niech ci będzie. – Potarł oczy i westchnął zrezygnowany. – Skoro i tak już wiesz... To prawda, że Logan nie działał w pojedynkę. Któryś z moich ludzi donosił razem z nim, ale zdaje się, że po tamtej akcji złapał cykora. Mimo to wolę trzymać rękę na pulsie. Zadowolona?

Zawahała się, ale stwierdziła, że może nie mieć już więcej okazji do zadania tego pytania.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wydawało jej się, że mężczyzna milczał bardzo długo. W końcu jednak odpowiedział:

– Po prostu... Nie chciałem, żebyś wiedziała.

Zaskoczył ją. I rozczarował.

– Żebyś czego nie wiedziała? Że poczuwasz się do odpowiedzialności? Że znasz się na swojej pracy? Czy może tego, że jesteś, o zgrozo, nawet całkiem moralny?

Prychnął. Tym razem wyglądał na szczerze zniecierpliwionego.

– Nie rób tego – rzucił nieprzyjemnie i pokręcił głową zrezygnowany. – Nie spodziewaj się po mnie zbyt dobrych rzeczy, o ile nie chcesz wyjść na idiotkę.

Zabolał ją ten ton, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Reiven postanowił kontynuować:

– Właśnie dlatego ci nie powiedziałem – stwierdził ostrzej. – Myślisz, że w tej sytuacji już jestem wybielony?

– Po prostu teraz potrafię zrozumieć, co tobą kierowało... i nawet uważam, że to było słuszne. To naprawdę takie straszne, że w czymś się zgadzamy? Rei, ja już od dawna mam cię za, wbrew pozorom, całkiem porządnego człowieka. Wiem, że można na tobie polegać i...

Ponownie prychnął, tym razem mocniej.

Wyglądał, jakby to, co powiedziała, go rozdrażniło.

– Jesteś naiwna – skwitował. – I wiesz... ja właśnie tego chcę uniknąć. Polubiłaś mnie, więc teraz szukasz dla mnie usprawiedliwień. Bez względu na to, jak to sobie tłumaczysz, fakt jest taki, że zostawiłem ciebie i Marsona na pastwę losu z człowiekiem, który sprzedawał swoich kolegów żołnierzom.

– Przecież Marson wiedział, że Logan donosił...

Przerwała, zdając sobie sprawę z tego, co zrobiła. Zakłęta cicho, a w oczach Reivena pojawiły się znajome błyski satysfakcji. Sprowokował ją. Była głupia. Chciał sprawdzić, skąd dowiedziała się o wszystkim.

– To nie była jego wina – zaczęła tłumaczyć myśliwego. – To naprawdę było nieporozumienie. Dowiedziałam się przez przypadek.

Uniósł lekko rękę.

– Zostawmy to.

Zawahała się, ale jego wzrok powstrzymał ją od dalszych wyjaśnień tej kwestii. Czowała się podle. Obiecała Marsonowi, że nie zdradzi go przed szefem, a dała się podejść jak dziecko.

– Jednak wyszłam na idiotkę – mruknęła zrezygnowana.

Reiven potrząsnął buteleczką z alkoholem, sprawdzając, czy coś w niej jeszcze zostało. Następnie upił łyk i podał naczynie

Sheili. Wzruszyła ramionami i skorzystała z propozycji. Zapomniała już, jak mdląca potrafiła być rumianówka w pierwszej chwili po napiciu się.

– Tak czy siak, nie doszukuj się zbyt dużo szlachetności w moim zachowaniu – podjął z ociąganiem Reiven. – Logan był zdrajcą. Miał szczęście, że dopadli go ludzie Verrada, bo u nas czekałaby go znacznie gorsza śmierć.

Sheila poczuła dreszcz, kiedy przypomniała sobie, z jaką furją buntownicy rozprawili się z Kirkiem.

Niespodziewanie fałszerz zaczął zupełnie inny temat.

– Nie drażmy tego. – Machnął ręką. – Powiedz lepiej, co właściwie wydarzyło się z tym skazańcem.

Spojrzała na niego zaskoczona. Zupełnie zapomniała o Foxie.

– Cholera – sapnęła. – Wiesz, on... Cholera.

Opowiedziała Reivenowi pokrótce o dziwnej wizji, jakiej doświadczyła. Następnie szybko opisała, jak pomogła Foxowi i ten ją rozpoznał.

– Skojarzył, że to ja jestem tym gościem z Twierdzy, o którym było tak głośno. Przestraszyłam się i pomyślałam...

Nie mogła dokończyć. Wiedziała, że Reiven był świadkiem ostatnich chwil, które spędziła z więźniem.

– Jeśli naprawdę zależy ci na zachowaniu tajemnicy, to powinnaś była go zabić – powiedział poważnie, ale zaskakująco łagodnie.

Zmarszczyła czoło.

– Nie jestem zaskoczona twoją opinią. Ale ja... – Wzięła głębszy wdech i dokończyła ostro. – To, co się stało z Owenem, nie oznacza, że teraz będę zabijać każdego, kto jest dla mnie niewygodny.

Reiven jak zwykle nie dał się zbić z tropu. Przyglądał jej się intensywnie, doszukując się w twarzy dziewczyny więcej, niż chciała pokazać. W milczeniu opuścił jej koszulę na plecy. Starła się nie okazywać bólu, który tym sprawił.

– Powiedz – zagaił po chwili nieco swobodniej. – Naprawdę spaliłaś Verradowi stajnię?

Spojrzała na niego i zobaczyła zadziorny błysk w jego oczach. Zawahała się. Podejrzewała, że dla członków Wolnej Kompanii byłaby bohaterką, gdyby przypisała sobie tę zasługę. Postanowiła jednak odpowiedzieć szczerze.

– Byłam świadkiem, jak jeden ze strażników po pijaku podpalił siano i...

Reiven uśmiechnął się z satysfakcją.

– Wiedziałem!

Posłała mu wyzywające spojrzenie.

– Żeby odzyskać ten łuk, zakradłam się na wewnętrzny dziedziniec Twierdzy. Przemierzyłam cały plac pod samym nosem żołnierzy. A ostatecznie uciekłam Verradowi z celi, pozorując własną śmierć. To mało?

Posłał jej znaczące spojrzenie.

– Z tego, co mówiłaś, to ten adept i Nikk odwalili całą robotę. A znając ciebie, zapewne zamiast pomagać, raczej sprawiałaś kłopoty. To cud, że Williamowi udało się wyciągnąć cię z tego cała. A co do twoich przekradanek, dobrze, że o tym wspomniałaś. – Nagle chwycił łuk, który upuściła na ziemię i wstał, przyglądając się mu. – Nie wpakowałabyś się w to wszystko, gdybyś lepiej pilnowała mojej własności. Cholera... Co to za rysa?

Sheila odrzuciła pustą butelkę po rumianówce. Podniosła się z bólem i zmierzyła Reivena ostrym spojrzeniem.

– Oddawaj – wycedziła.

Sapnął, zerkając na nią z ukosa.

– Masz tupet – stwierdził. – Mogłabyś być grzeczniejsza, zważywszy na to, że przywłaszczyłaś sobie moją broń.

Sheila poczuła, że szybko rośnie w niej panika. Potrzebowała łuku, bez względu na to, czy jej roszczenia były słuszne, czy nie.

Nie przetrwałyby bez niego na Zarzeczu nawet jednego dnia. Wiedziała, że poturbowana nie miała szans na dogonienie Reivena, gdyby zechciał uciec z bronią. Zerknęła na ziemię i szybko chwyciła miecz leżący koło stopy. Mężczyzna patrzył z politowaniem, jak wyciągnęła ostrze i wycelowała je w niego z determinacją.

– Odłóż to – powiedział lekceważąco, ale ona jeszcze wyżej uniosła klingę. – Mówię poważnie. Nie chcę cię obezwładniać, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Ostrzegam, że to zaboli.

Wahała się, ale była zbyt zdesperowana, żeby łatwo zdecydować się zaufać Reivenowi. On natomiast szybko zniecierpliwił się brakiem reakcji z jej strony. Pewnym ruchem wyciągnął z kołczanu strzałę i napiął cięciwę, celując w serce dziewczyny.

– Odłóż to – powtórzył.

Tym razem się nie zawahała. Przybrała hardy wyraz twarzy.

– Strzelaj – wycodziła.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, a potem Reiven nieco unióś łuk i wypuścił strzałę, która świsnęła niedaleko jej lewego ucha. Sheila instynktownie uchyliła się w prawo i na sekundę zamknęła oczy. Ten moment wystarczył buntownikowi, żeby rzucić łuk na ziemię i wytrącić miecz z dłoni dziewczyny. Zanim ostrze dotknęło ziemi, Reiven zdążył siłą odkręcić Sheilę plecami do siebie i unieruchomić ramieniem.

Jęknęła z bólu, kiedy docisnął do torsu jej zranioną skórę. Poczowała tytoń, pieprz i mdlący zapach rumianówki, którą niedawno wypili.

– Ostrzegałem, że będzie bolało. Nie szarp się. Nie puszczę cię, dopóki się nie uspokoisz.

Przez chwilę wierciła się, ale jego uścisk nie ustępował. Swoimi ruchami potęgowała jedynie ból łopatki. W końcu odpuściła, wściekła i zrezygnowana.

– W porządku? – zapytał, a ona rzuciła mu w odpowiedzi przekleństwo.

Zaśmiał się krótko i nadal jej nie puszczał.

– Uspokój się i posłuchaj – powiedział stanowczo. – Myślałaś, że zabiorę ci jedyną broń, jaką umiesz się posługiwać?

Nie odpowiedziała. Zdawało się, że Reiven całkiem nieźle się bawił. Pomyślała, że zawsze się tak zachowywał i być może zupełnie błędnie zinterpretowała jego żarty na poważnie.

– Naprawdę, nie strasz ludzi mieczem, bo się zdradzasz – wyjaśnił. – Po samym chwycie zorientowałem się, że nie masz pojęcia, jak tym machać. A ja jestem raczej kiepskim szermierzem. Bruce na ten widok umarłby ze śmiechu.

– Miałaś mnie puścić, a nie pieprzyć do ucha – warknęła.

Zaśmiał się.

– Zdaje się, że nawet rok w dziczy nie dał rady złagodzić twojego wrednego charakteru.

Puścił ją, a ona odeszła od niego na odległość kilku kroków. Reiven spokojnie podszedł do łuku i schylił się po niego.

– Tobie nie pomogła dekada w Kazamatach. – Wzruszyła ramionami.

Uśmiechnął się i podał jej broń.

– Możesz go zatrzymać. I tak nie mógłbym się z nim pokazać w Wolnej Kompanii, bo ktoś mógłby skojarzyć, że przecież ty go miałaś.

Sheila chwyciła broń i zawiesiła sobie na plecach, ignorując ból.

– A już sądziłam, że jednak odezwało się w tobie dobre serce.

– Mówiłem, żebyś nie myślała o mnie dobrze – rzucił lekceważąco.

– Nie martw się. Więcej się nie pomylę.

Czuła złość i poniżenie. Reiven bawił się tą sytuacją. Prowokował i z premedytacją wywoływał u niej zdenerwowanie. Kie-



dyś jej to nie przeszkadzało. Ale tym razem w grę wchodziło przetrwanie.

– Ktoś powinien cię nauczyć posługiwania się mieczem – stwierdził, a ona nie była pewna, czy nadal się nie nabijał.

Schyliła się po ostrze i zaklęła głośno na widok zniszczonego oręża. Klinga i rękojeść leżały obok siebie. Starcie z ziemią okazało się ostatnią potyczką miecza. I jego ostatnią porażką.

– Dzięki za troskę, ale nie musisz się o mnie martwić – warknęła dziewczyna, zniechęcona uszkodzeniem broni.

Reiven spojrział na nią i zmarszczył brwi.

– O co się obrażasz? Nie dałaś mi wyboru – zaczął się tłumaczyć, jakby szczerze dziwiło go, dlaczego była na niego zła. – Chciałaś mnie zaatakować. Jeśli mam być szczerzy, trochę mnie to wkurzyło.

– Gówny prawda – warknęła oskarżycielsko, podchodząc do niego bliżej. – Dobrze się bawiłeś.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią zaskoczony. Jego zmieszanie wyglądało na szczerze i Sheila ze złością musiała przyznać, że szybko dała się udobruchać temu niewinnemu wyrazowi twarzy.

– Posłuchaj – zaczęła pojednawczo. – Nie planowałam tego, jasne? Wierz mi, że ze wszystkich osób w Kazamatach to ja jestem najmniej zachwycona faktem, jak potoczył się mój los. Przekazałam Willowi pieniądze. Opowiedział jakąś bajkę Eliasowi i ten postarał się, żeby miecz trafił do ciebie. To miała być rekompensata za broni.

Reiven spojrział na nią zaskoczony, a potem coś sobie przypomniał.

– Chcesz mi powiedzieć, że Eli sam pozwolił się oskubać w karty?

Mimo wszystko Sheila nie powstrzymała lekkiego uśmiechu.

– Podłożył się, żeby te pieniądze trafiły do ciebie – wyjaśniła.

– Cholera. Czyli to nie mój spryt wtedy zaważył?

Jeżeli próbował poprawić jej humor, to mu się udało. Rozluźniła się nieco i popatrzyła na niego łagodniej.

– Przykro mi, że zburzyłam tę iluzję.

Posłał jej srogie spojrzenie, ale tym razem rozpoznała znajomy błysk w jego oku.

– Nieważne – mruknął konspiracyjnie. – Nikt nie może się o tym dowiedzieć, jasne?

Westchnęła z politowaniem. Wyraz jego twarzy powoli łagodniał. Spojrzał w stronę zachodzącego słońca.

– Co zamierzasz? – zapytał, a ona poczuła ukłucie żalu na myśl, że za chwilę przyjdzie jej się rozstać z towarzyszem i powrócić do swojej samotni. – Ten skazaniec jest już daleko stąd. Kto wie co i komu rozpowie.

Wzruszyła ramionami.

– Nic już na to nie poradzę. Wrócę do siebie i poczekam na spotkanie z Willem. Do tego czasu nie jestem w stanie za wiele zdziałać. Ale może Fox mnie nie wyda. W końcu uratowałam mu życie.

Po minie Reivena poznała, że nie wierzył w dobrą wolę mężczyzny.

– Może uda mu się uciec do was – ciągnęła Sheila. Wiedziała, że ta ewentualność wcale nie była dla niej o wiele lepsza. – A jeśli nawet Fox coś o mnie powie, jest spora szansa, że i tak nikt mu nie uwierzy.

Reiven pomógł dziewczynie założyć kurtkę na przemarzniałe, mokre ciało i też intensywnie zastanawiał się nad zaistniałą sytuacją.

– Dziś miałyby spore szanse na dotarcie do buntowników – mruknął bardziej do siebie niż dziewczyny.

Posłała mu pytające spojrzenie, na które w pierwszej kolejności odpowiedział wzruszeniem ramion, a potem zaczął niespiesznie tłumaczyć:

– Leo spotkał się rano z Verradem. Hm... po twoich komicznie wybałuszonych oczach wnioskuję, że to dla ciebie niespodzianka.

Sheila szeroko rozwarła nie tylko powieki, ale i usta.

– Żartujesz? – zawołała oszołomiona. – Przecież Leo zarzekał się, że nigdy nie podejmie negocjacji z generałem.

Reiven pokiwał głową.

– Trochę się pozmieniało – odparł lakonicznie.

Dziewczyna przez chwilę próbowała sobie poukładać wszystko w głowie.

– Czemu Will mi nie powiedział? Przecież widzieliśmy się dzisiaj – mruknęła, a po chwili zmarszczyła brwi. – To dlatego nie chciał, żebym go odprowadzała. Ciekawe, co jeszcze ukrył. – Spojrzała na rozmówcę błagalnie. – Rei, mogę cię prosić o przysługę?

Mężczyzna pokręcił głową.

– To się nie uda – powiedział stanowczo.

– Nie wiesz, o co chciałam...

– Nie skontaktuję cię z Willem – wszedł jej w słowo, udowadniając, że jednak wiedział, o co chciała go zapytać.

– Dlaczego nie chcesz?

Reiven zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi:

– Nie o to chodzi. Od roku próbuję pogadać się z tym twoim adeptem. Bez skutku. Ignoruje mnie i zbywa formułkami o rzekomym odcięciu się kapłanów od Wolnej Kompanii.

– Czego od niego chcesz? – zapytała podejrzliwie i zmierzyła Reivena baczny spojrzeniem.

Mężczyzna wyprostował się i popatrzył na nią z góry.

– To moja sprawa – uciął i zmienił temat, zanim Sheila zdołała coś powiedzieć. – Sporo się dzieje w Kazamatach i nie tylko tutaj. O czym wy gadacie z Willem, skoro o najważniejszym ci nie powiedział?

Sheila musiała przyznać, że było to całkiem trafne pytanie. Zacisnęła zęby i milczała twardo, próbując nie poddać się złości, która ją ogarniała.

– Naprawdę chciałaś mnie prosić o załatwienie ci szybszego spotkania z braciszkiem? – zapytał. Brzmiał przy tym miękko i niewinnie, co zazwyczaj oznaczało, że trzeba mieć się na baczności. – To się chyba wyklucza z twoją poprzednią prośbą, w której miałem się trzymać z daleka. Obawiam się, że musisz zdecydować się na jedno.

Sheila spojrzała mu prosto w oczy i poczuła, że emocje odrobinę w niej opadły. Reiven miał rację. Musiał zapomnieć, że ją widział, i żyć tak, jakby nie wiedział o jej istnieniu.

Powstrzymała sentymentalne westchnienie i zmusiła się, żeby zabrzmieć poważnie.

– Powinnam już iść – powiedziała wbrew temu, co czuła. – Rei... jeszcze raz ci dziękuję.

Widziała, że myślał nad czymś intensywnie.

– Tak – mruknął w końcu i założył ręce na piersi. – Robi się późno. Zawahała się.

Wiedziała, że ten człowiek jej nie zdradzi. Coś sprawiało, że ufała mu w tej kwestii. Zastanawiała się, czy mogłaby się czasem z nim spotkać w zupełnej tajemnicy. Nie chciała znowu odchodzić w niepamięć.

Odetchnęła z rezygnacją.

– Nie zobaczymy się już – oznajmiła.

Ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Chyba masz rację, że tak będzie lepiej. Spotkaliśmy się przez przypadek i skoro o to prosisz, mogę utrzymać to w sekrecie. Ale regularne widywanie się w tajemnicy przed resztą to co innego. Nie chcę być nie w porządku wobec Lasoty. No i Leo. Nie byłby zadowolony, wiedząc, że wolisz utrzymywać kontakty ze mną niż z nim.

Poczuła lekkie przyspieszenie tętna na wspomnienie dowódcy.

– To nie tak – mruknęła zmieszana. – Wyjaśniłam ci swoją sytuację.

– Myślę, że byłoby prościej, gdyby to on znał prawdę, a nie ja.

Sheila spojrzała na mężczyznę.

– Między mną a Leo nie ma tego, co sugerujesz. Nawet jeśli faktycznie coś się zaczynało dziać, to ostatecznie nic się nie wyklarowało. I jeśli o mnie chodzi, to wcale nie żałuję, że spotkałam dzisiaj ciebie. – Machnęła ręką.

Reiven przez chwilę milczał, a potem podszedł do niej spokojnie i położył ręce na jej ramionach.

– Wiesz – zaczął, a do jego oczu wrócił ciepły błysk. – Mimo wszystko to całkiem nie najgorzej, że jednak żyjesz.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Mistrz komplementów, jak zwykle.

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem od prawienia ci komplementów.

– Tak, pamiętam – rzuciła z przekąsem. – To się przydaje tylko, jak chce się zaciągnąć dziewczynę do łóżka.

Buntownik wyszczerzył zęby.

– Faktycznie powiedziałem coś takiego? Widzisz, czasem zdarza mi się palnąć coś mądrego. No to co? – zapytał nagle. – Będzie ten uścisk na pożegnanie?

Uśmiechnęła się i objęła jego tors. Poczowała, że ostrożnie położył ręce na jej plecach, z rozmysłem omijając rany. Kiedy znowu na siebie spojrzeli, zorientowali się, że pomarańczowe słońce w połowie zniknęło już za horyzontem.

– Gdybyś jednak czegoś ode mnie potrzebowała – zaczął, a potem uśmiechnął się wrednie. – To zapomnij. Nie będę cię niańczył.

Zaśmiała się krótko i pozwoliła objąć się ramieniem, kiedy ruszyli w drogę powrotną. Nie uzgodnili tego na głos, ale Sheila wiedziała, że chce go odprowadzić.

– Nie będę cię niepokoić – powiedziała łagodnie. – Może cię to zaskoczy, ale całkiem dobrze sobie radzę.

– No właśnie widzę – odparł ironicznie, za co uszczypnęła go w bok, śmiejąc się cicho.

Szli niespiesznie w głąb puszczy, zostawiając za sobą szum rzeki. Sheila czuła przyjacielskie objęcie Reivena i myślała o tym, jakby to było, gdyby nie zawróciła, tylko pozwoliła mu zaprowadzić się do buntowników. Szybko odgoniła od siebie tę myśl.

– Dlaczego tak naprawdę nie chcesz się zdradzić? – Reiven wyrwał Sheilę z rozmyślań. – Faktycznie tak obawiasz się Nikka?

Dziewczyna nie potrafiła odpowiedzieć konkretnie na to pytanie, ale nie chciała zbywać towarzysza byle czym.

– Sama nie wiem. Czasem myślę, że Atay przesadza. Może Nikk naprawdę wie coś przydatnego, co pomoże w zbadaniu mojego przypadku. Na razie mistrz, pracując samodzielnie, ponosi jedynie porażkę.

– Nie wolałabyś, żeby Lasota cię badał?

– Nie – odparła natychmiast, sama zaskoczona swoją reakcją. Szybko się jednak zreflektowała. – To znaczy, nie chodzi o Lasotę.

– Martwisz się, jak Leo zareaguje na te nowiny? Przede mną niczego nie ukryłaś.

Mijali drzewa, które wcześniej stały im na przeszkodzie podczas gonitwy. Tym razem Sheila potrafiła udzielić konkretnej odpowiedzi i postanowiła to zrobić:

– Tobie mogę powiedzieć. Bo... bo kiedy dowiedziałeś się o mojej dziwnej wizji, zareagowałeś tak, jak trzeba. Czyli w ogóle – doprecyzowała i spojrzała na buntownika z boku.

Uśmiechnął się tym swoich charakterystycznym uśmiechem, zawadiackim i delikatnie skrzywionym.

– Tak naprawdę zrobiło to na mnie spore wrażenie – przyznał, a Sheila zaśmiała się swobodnie. – Chociaż oczywiście nie zamierzam nad tym gdybać dniem i nocą, jak zapewne zrobiłby Lasota. Chyba rozumiem, o co ci chodzi.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż dotarli do przewalonego pnia, na którym Sheila się potknęła podczas ucieczki. Instynktownie wyczuli, że to odpowiednie miejsce na rozstanie, bo zbyt blisko siebie do głównej drogi łączącej Twierdzę i Wolną Kompanię.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się utrzymać ten twój mały sekrecik? – zapytał Reiven, gdy przystanęli i zwrócili się ku sobie.

– Muszę próbować. Zwłaszcza teraz. Ta wizja – powiedziała dobitniej. – To było coś niesamowitego. Widziałam wspomnienie tego zmarłego skazańca – dodała szeptem, choć mogły ich usłyszeć tylko nieliczne ptaki pochowane w zaroślach.

Reiven pokiwał głową i objął dziewczynę mocno. Sheila jeszcze tyle chciała mu powiedzieć i o tak wiele zapytać, ale wiedziała, że nie było już na to czasu. Słońce się schowało i tylko rozjarzone pomarańczem chmury dawały światło. Nagle coś przykuło uwagę łuczniczki.

– Rei – szepnęła i uwolniła się z uścisku. – Przepraszam za to, co mówiłam w emocjach. To nieprawda, że przyniosłeś mi pecha. A przynajmniej nie tylko.

Podeszła do przewróconego konaru, który poprzednio przysporzył jej sporo bólu, i schyliła się po zawilgotniałą książkę. Najwyraźniej wypadła z tobołka podczas upadku.

Buntownik podszedł i pokiwał powoli głową.

– Wiesz, że to wszystko twoja wina? – rzucił do niej zaczepnie. Trzeba było mi nie uciekać.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że historia z okresu tzw. Burzy Narodów długo czekała na odkrycie. Niedostatek kronik i artefaktów z okresu sprzed rządów zasłużonego rodu Godomidów to jeden z największych żali, jaki możemy mieć do przodków. Nie znamy zatem szczegółów naszej dawnej historii ani wierzeń, które kulturowano niegdyś na terenie Livii. Wiemy za to, że rozprawiono się z nimi bardzo sprawnie. Nie do przecenienia zatem była II Rewolucja Kulturalna, którą to zaprowadził Stehun III Obrainczyk<sup>1</sup> z linii Godomidów. Misję oświecania Livijczyków z powodzeniem kontynuuje jego syn – Mirrion<sup>2</sup>, który już zdążył dorobić się przydomku Światły. Dynastia Godomidów oddała tym samym niezaprzeczalną przysługę towarzystwu naukowemu, jak i całemu społeczeństwu.

W tym świetle wysoce nieszczęśliwym trafem zdaje się fakt, że wyprawa Diego Kazamy – jedna z najważniejszych ekspedycji badawczych w znanej nam historii – miała miejsce w najciemniejszych oraz pozabawionych nacisku na naukę czasach Burzy Narodów i to u samego jej schyłku, tuż przed tym, jak tron wrócił w prawowite ręce rodu Godomidów. Niestety, pomimo ich odnowy kulturalnej w późniejszych latach wyprawa owego geologa nadal owiana jest aurą tajemnic i domysłów. W rozwianiu większości z nich z pewnością pomogłoby odnalezienie dziennika wyprawy. Niestety zarówno ten, jak i sam geolog przepadli w Silviamont<sup>3</sup> bez śladu. Królewscy skrybowie uczynili, co mogli, by skompletować informacje na temat Kazamy, a i ja dołożyłem tu swoją nieskromną cegiełkę.

<sup>1</sup> Stehun III Obrainczyk z dynastii Godomidów (panował 687 – 691 r.k.g.) – syn Godomida I Groźnego; ojciec Drugiej Rewolucji Kulturalnej.

<sup>2</sup> Mirrion I z dynastii Godomidów (miłościwie nam panujący od 691 r.k.g.)

<sup>3</sup> Silviamont to świeży tytuł, który powstał na fali rewolucji nazewniczej Felixa Emmellintera, proponującego, by wszystkie naukowe terminy sprowadzić do języka starodarrethańskiego. Miejscowi nazywają to miejsce Góry Srebrne, a wcześniej określali je jako Północne Skąły. Na kontynencie oraz w literaturze nadal funkcjonuje nazwa Góry Aldenskie.



Sheila przerwała lekturę i potarła zmarznięte palce. Chociaż od ostatniego spotkania z Willem minęły trzy tygodnie, zdążyła przeczytać tylko niewielki fragment książki. Dość długo zeszło jej z doprowadzeniem woluminu do stanu używalności. Suszenie ośnieżonych kartek w zimnej i wilgotnej jaskini nie należało do łatwych zadań. Nie sprzyjała jej też pora roku. Za dnia dziewczyna starała się zdobyć jedzenie, bo to, co dostała od adepta, utonęło w rzece podczas ataku sępic. Wolała nie zużywać od razu całego zapasu suszonego mięsa, które miała w swoim skalnym mieszkaniu. Wieczory zimą przychodziły jednak tak szybko, że po powrocie do jaskini Sheila nie miała już światła do czytania. Rzadko też decydowała się na rozpalenie ogniska. Mogła to zrobić jedynie w bardzo pochmurny dzień, żeby nikt na Zarzeczcu nie zauważył dymu. To mogłoby wzbudzić podejrzenia i ciekawość mieszkańców doliny.

Chcąc nie chcąc, Sheili pozostały na lekturę jedynie momenty, które spędzała w lesie w oczekiwaniu na zwierzynę. Lub na Williama, tak jak w tej chwili.

Chuchnęła na ręce, ale niewiele to pomogło. Ochłodziło się, a kilka dni wcześniej spadł świeży śnieg. Marny to był opad, jak przystało na aldeńską zimę. Ale nawet ten lichy mróz był dla Sheili odczuwalny dotkliwie, bo poza pasmami górskimi, tam, gdzie mieszkała całe życie, śnieg padał raz na kilka lat.

Dziewczyna nie zdążyła przeczytać ani jednego zdania z kolejnej strony, bo usłyszała, że ktoś nadchodzi. Podniosła głowę i przez chwilę czekała, aż zza drzew wyłoni się William. Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się lekko. Uroczo wyglądał z zaczerwienionym od zimna nosem.

– Ostrzygłeś się – zauważyła na przywitanie, kiedy odwinął gruby szal z głowy.

Adept podszedł do niej i uśmiechnął się krzywo. Widać było, że miał jej sporo do powiedzenia. Było już całkiem jasne, że jej spotka-

nie z Foxem odbiło się w Twierdzy znaczącym echem. Dziewczyna przytuliła przyszywanego brata mocniej niż zwykle. Wiedziała, że czeka ich trudna rozmowa, być może kłótnia. Tym bardziej postanowiła okazać mu czułość, zanim oboje wyrzucą z siebie pretensje.

Kiedy kilkanaście minut później rozsiedli się na kocach, dziwne milczenie między nimi stało się nie do zniesienia. William bezwiednie dłubał patykiem w ognisku, a Sheila patrzyła w płomienie, przeżuając powoli ziemniaki z zupy, którą przyniósł jej przyjaciel.

– No to kto zacznie? – odezwała się w końcu Sheila niewyraźnie, wciąż nie przełknąwszy sporego kawałka warzywa.

Will spojrzał na nią i się skrzywił.

– Czemu ciągle mówisz z pełnymi ustami? – jęknął nieprzyjemnie. – Nie zawsze tak było.

Zaskoczył ją. Na sekundę zamarła, a potem przełknęła wielki kawał ziemniaka, dziękując w duchu, że był rozgotowany i gładko przeszedł przez przetyk.

– Widocznie zdziczałam – sarknęła. – Nie obracam się w kapłańskich kręgach, w siedzibie generała królewskiego.

Wymienili chłodne spojrzenia, a Sheila poczuła, że złość na nowo ją rozpałała. Zdążyła ochłonać przez dwa tygodnie oczekiwania na spotkanie. Znalazła w głowie sporo argumentów na obronę Willa. Rozumiała, dlaczego ukrywał przed nią większość informacji. Ale nie oznaczało to, że zamierzała biernie zbierać cięgi za zaistniałą sytuację. Pomijając to wszystko, gdzieś w środku poczuła się zawstydzona jego uwagą.

– Czyli ty zaczynasz? – mruknął adept i założył ręce na piersi.

Sheila odłożyła zupę, mimo że smakowała fantastycznie po tygodniach postu.

– Domyślam się, że Fox narobił problemów – powiedziała wyzywająco.

Oczy adepta błysnęły zimno.

– TY narobiłaś problemów – odpysknął. – Jak mogłaś go wypuścić?

Sheila otworzyła usta ze zdziwienia i przez chwilę nie mogła znaleźć odpowiednich słów na opisanie swojego oburzenia. Spodziewała się, że William będzie przejęty całą sprawą. Była gotowa na kazanie o zapuszczaniu się w pobliże cywilizacji i o tym, jak wielkie problemy przez to miał adept u mistrza. Ale co do jednego Sheila nie miała wątpliwości: była pewna, że William pochwali darowanie Foxowi życia. Reakcja chłopaka wprawiła ją więc w osłupienie.

– To jest poważna sprawa – warknął, zanim zdążyła ubrać myśli w słowa, zapewne odczytując jej milczenie jako zlekceważenie sytuacji.

Zmarszczyła brwi.

– Wiem – powiedziała ostrzej, niż zamierzała.

– Możesz mi wyjaśnić, po co się tam pchałaś?

Sheila dorzuciła drewna do ogniska. Snop iskier buchnął ostro w górę, idealnie obrazując atmosferę, która zapanowała między rozmówcami. Dziewczyna resztkami sił starała się nie podnieść głosu.

– Widzisz... Sama nie wiem, co to było...

Chciała wytłumaczyć, co się dokładnie wydarzyło, ale William posłał jej zniecierpliwione spojrzenie.

– To nie są żarty – syknął.

Sheila powstrzymała chęć odpysknięcia chłopakowi i spojrzała na swoje palce, uparcie ścierając z nich okruchy drewna.

– Na szczęście udało się to szybko załagodzić – kontynuował adept ciszej.

Dziewczyna poczuła ulgę, ale zaraz potem przypląw złości.

– W takim razie: o co chodzi?

Will spojrział na nią zaskoczony, a następnie groźnie zmarszczył brwi.

– Naprawdę nie rozumiesz czy tylko udajesz, żeby mnie wkurzyć? – Jego głos zabrzmiał ostrzej niż kiedykolwiek do tej pory. – To chyba oczywiste, że gdyby plotka o tym całym zdarzeniu doszła do Nikka, to od razu zaczęłyby węszyć i szybko domyśliłyby się, że został oszukany.

Dziewczyna rozumiała to wszystko doskonale, ale ton Williama działał na nią jak płachta na byka. Po raz ostatni podjęła próbę uspokojenia siebie i jego.

– Naprawdę myślisz, że bez powodu pchałam się w stronę Twierdzy?

– Próbuję się dowiedzieć, co cię do tego skłoniło, ale do tej pory bezskutecznie.

– Tak? A mi się wydaje, że tylko na mnie warczysz.

Will już otwierał usta, żeby coś ostro odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Odetchnął i na chwilę przymknął oczy. Następnie spojrzał na dziewczynę z urazą.

– Po prostu – syknął z wysiłkiem, który Sheila nie do końca rozumiała. – Przecież wiem, że ty... – mamrotał pod nosem. – Najchętniej poleciałabyś do tej swojej Wolnej Kompanii i wyściskała wszystkich buntowników.

Tym razem Sheila się nie zdenerwowała. Zrobiło jej się zwyczajnie przykro. Poczowała gorzki posmak w gardle i dławiące uczucie niesprawiedliwości. Wyprostowała się z godnością.

– Nie będę przeproszała za to, że tęskni mi się za ludźmi – powiedziała sucho i założyła ręce na piersi. – Za to ty choć raz mógłbyś docenić, że pomimo tych uczuć ostatecznie jednak ani razu nie poleciałam do tej swojej Wolnej Kompanii – sparodiowała nieładnie jego wypowiedź i odwróciła wzrok. – Od roku robię tylko to, na co łaskawie pozwala mi Atay – syknęła ciszej. – Efektów tych jego badań jakoś nie widać. Może już dawno się okazało, że gównu mu da moja krew. Po cholere więc mnie tu trzyma?

William wyglądał na zbitego z tropu, ale gdy padło to pytanie, szybko odzyskał rezon.

– Wiesz, że chodzi o Nikka...

Sheila warknęła głośno i zerwała się na równe nogi.

– Jebać Nikka! – Zaczęła krążyć w tę i z powrotem, czując, że jeśli nie wyleje z siebie nagromadzonej frustracji, to głowa jej wybuchnie. – Atay miał dość czasu, żeby zorientować się, co jest ze mną grane. Może czas najwyższy zapytać Nikkoloaia, co sądzi na ten temat. Jeśli mam co do czegoś pewność, to do tego, że nie zamierzał zrobić mi krzywdy. A przynajmniej nie bezpośrednio – dodała z namysłem, zatrzymując się nagle. – Nieważne – rzuciła i schowała twarz w dłonie. – Chodzi o ciebie, Will. Czego ty jeszcze ode mnie chcesz?

Milczenie trwało długo. Oboje zdążyli poczuć się z nim niekomfortowo. Kiedy Sheila znowu spojrzała na brata, siedział w tej samej pozycji, co poprzednio, ale twarz miał łagodniejszą. Dziewczyna przyglądała mu się uważnie, odczytując w jego wzroku wahanie. Ona również nie była pewna, jak się zachować. Biły się w niej dwie silne i całkiem skrajne emocje. Z jednej strony chciała jak najszybciej wyrzucić z siebie nowiny dotyczące dziwnej wizji, której doznała. Z drugiej jednak czuła bunt przed wprowadzaniem adepta w tę sprawę. Wiedziała, że natychmiast wyśpiewa wszystko swojemu mistrzowi, a obecnie do obu czuła urazę.

W końcu westchnęła zrezygnowana.

– Zdarzyło się coś dziwnego...

William wstał nagle i uniósł rękę w uciszającym geście.

– Poczekaj – powiedział i podszedł do niej. – Nie mogę tak z tobą rozmawiać.

Oczy mu błyszczały. Sheila pokręciła głową na ten widok.

– Nie płacz, Will – ostrzegła. – Wtedy nie będę umiała na ciebie nawrzeszczyć, a nadal jestem zła.

Chłopak poważnie kiwnął głową.

– Spokojnie, nie będę. Masz rację. Ostatnio byłem za bardzo adeptem, a za mało bratem. Przepraszam.

Sheila otworzyła usta, ale od razu je zamknęła. Will przytulił ją i nie wyglądało na to, żeby szybko planował wypuścić z ramion.

– Będę tak stał, dopóki się nie pogodzimy.

Dziewczyna prychnęła cicho.

– Im dłużej mnie trzymasz, tym bardziej się wkurzam.

Will zaśmiał się pod nosem i przytulił się mocniej.

– Nieprawda – przekomarzał się.

Sheila przez chwilę napinała sztywno mięśnie, ale w pewnym momencie odpuściła i również przyłgnęła ciałem do towarzysza.

Jej złość i rozgoryczenie nie odpłynęły nagle. Były bardziej jak spalająca się kartka, której nie trawił ogień, a jedynie czerwony żar na obrzeżach. Trudno dostrzec, jak znika, a mimo to z każdą chwilą w dłoniach zostaje coraz mniejszy kawałek. Aż w końcu palce wypuszczają ostatni skrawek, który żarzy się na wietrze i zamienia w popiół, zanim dotknie ziemi.

\* \* \*

Las był wilgotny od brudnego śniegu, kiedy Reiven kroczył znaną sobie ścieżką w stronę czwartego posterunku. Jak zwykle czuł lekkie rozdrażnienie spowodowane wczesnym wstawaniem. Wiedział jednak, że aby jak najmniej osób zarejestrowało jego wyjście z obozu, musiał wyprzedzić resztę w pobudce. W większości przypadków zadania na zewnątrz zlecał swojej bandzie, ale kilka spraw musiał załatwić osobiście.

Żołnierz, którego spodziewał się zastać w budce wartowniczej, łypnął na zbliżającego się mężczyznę i skinął mu na przywitanie, nie przerywając strugania strzał. Reiven ucieszył się, że nie musiał

czekać w krzakach na zmianę strażnika, jak to czasem miało miejsce. Zatrzymał się obok mężczyzny i założył ręce na piersi.

– Spory zapasik – skomentował okazałą stertę strzał leżącą przy Vesirze.

– Interes się kręci – odpowiedział tamten swoim delikatnym, spokojnym głosem. – Nie uwierzyłybyś, ile tego idzie. Marson się rozleniwiał i zamiast samemu kręcić broń, przysyła do mnie co rusz tego swojego świeżaka. Psia krew, nigdy nie mogę spamiętać, jak mu tam na imię. – Spojrzał na Reivena i zaśmiał się pogodnie. – Pewnie nie powinienem ci tego mówić. Jeśli przywołasz ich do porządku i każesz ruszyć się do roboty, to stracę najlepszych klientów.

Buntownik się uśmiechnął.

– Mogą sobie wydawać pieniądze, na co chcą, dopóki moja dola się nie zmniejsza. W końcu sami stwierdzą, że bardziej kalkuluje im się ruszyć dupę, niż dopłacać do interesu. Jak dotąd żaden nie próbował mnie przekreślić, więc możesz ich doić.

Obaj wiedzieli, że jeśli w Kazamatach mieszkał jakiś zupełnie uczciwy sprzedawca, to był nim właśnie Vesir. Nie bez przyczyny trzymał się na uboczu i zawsze, gdy mógł, brał znienawidzoną przez resztę żołnierzy wartę w budce. Łagodne usposobienie i kompletna obojętność na sprawy polityczne Kazamatów sprawiały, że obie strony miały z nim dobre stosunki.

– Eli się pokazywał? – zapytał Reiven, przechodząc do tematu, który najbardziej go interesował.

Mężczyzna skinął głową w stronę największego drzewa w okolicy. Tyle wystarczyło, by Reiven zrozumiał przekaz i bez słowa odszedł we wskazanym kierunku. Sięgnął głęboko do wąskiej dziupli i wyciągnął niewielki zwitek pergaminu.

Od razu poznał widniejący na nim charakter pisma. Nauczył się go już rozczytywać, choć nie należało to do najprostszyc

Facet zniknął w kopalni i na razie nie widzi mu się stamtąd wychodzić. Nie wiem, co Ci zawinił, ale trzeba to było załatwić od razu.

Lieszę się, żeś wreszcie odpuścił ten łuk, bo coraz mocniej mnie ta sprawa męczyła. A już się więcej zbadać nie dało bez dopytania samego Nikkoliaia, co średnio mi się uśmiecha.

Co do ostatniej kwestii to naprawdę jestem już zmęczony tłumaczeniem Ci, że ten młokos ma w dupie Twoje listy.

Przeczytaną wiadomość Reiven wcisnął do kieszeni. Z drugiej wyciągnął czysty pergamin i bez zwłoki zaczął pisać odpowiedź.

*Wiesz chyba, że nie zawracalbym Ci głowy, gdybym nie uznał tej sprawy za naprawdę ważną. Jeśli młody nie chce ze mną gadać, to spróbuj przynajmniej przekazać mu to zdanie:*

*Arrogancja może i przystoi kapłanowi, ale na pewno nie przysługują się jego podopiecznym.*

*I pozdrów go ode mnie.*

*Dbaj o siebie i wpadnij na partyjkę.*

– Dobre wieści? – zagaił Vesir, gdy buntownik wrócił do niego i wręczył mieszek z zapłatą.

Obaj wiedzieli, że strażnik odezwał się jedynie z grzeczności. Nie interesowały go sprawy Reivena.



– Nic szczególnego. – Falszerz wzruszył ramionami. – Eli jest na posterunku?

Żołnierz odłożył ukończoną strzałę na stosik i popatrzył w oczy rozmówcy.

– Siedzi w Twierdzy od wczoraj. Zawrócił, jak tylko zostawił ci tę wiadomość. Widocznie ma jakąś sprawę na miejscu. Coraz rzadziej się tu pojawia. Mówi się, że może przejdzie na stałe do zamku.

Reiven zmarszczył brwi w zamyśleniu i wrzucił porwany liścik do ognia. Nieobecność Eliasa oznaczała, że jego wiadomość będzie dłużej czekała na dostarczenie.

– Sam prosił o przeniesienie? – zainteresował się buntownik, zakładając ręce na piersi.

Vesir ziewnął przeciągle.

– Z zachowania Eliasa nie wynika, żeby go ta zmiana martwiła, więc nie zdziwiłbym się, gdyby faktycznie tak było. Bardziej zastanawiające jest to, że chyba faktycznie go przeniosą. A stąd jak przenoszą, to raczej prosto do celi.

Reiven uśmiechnął się krzywo.

– No właśnie... Jakież wieści o Harisie?

– Ja tam średnio to śledzę – odpowiedziało mu wzruszenie ramion i ciche mruknięcie. – Ale chyba jakoś mu się żyje na zachodnim posterunku.

Reiven oparł się o drewnianą budkę i patrzył, jak strażnik zwinnymi ruchami obrabiał kolejną strzałę. Potem oderwał wzrok od mężczyzny i odwrócił głowę w stronę niknącej we mgle Igliczki. Uśmiechnął się nieznacznie do swoich myśli, z których wyrwał go głos towarzysza.

– Spieszysz się?

Buntownik wzruszył ramionami.

– Bo co? – mruknął.

Vesir spojrział na niego i uniósł swoje ciemne jak sadza brwi.

- A nic. Pomyślałem, że zechcesz mi pomóc.
- Obaj zaśmiali się krótko.
- Albo możemy się napić – dokończył żołnierz.
- No już prędeej.

\* \* \*

– Reiven mnie szukał? – zapytała Sheila, nie mogąc do końca uwierzyć w to, co usłyszała od Willa. – Naprawdę? Szczerze mówiąc, sądziłam, że sobie żartował.

Poczuła, że policzki jej poczerwieniały. Cieszyła się, że mogła rzucić to na chłód. Przechyliła manierkę i jednym długim haustem wypła resztę zimnej zupy.

– Nie wiem dokładnie, o co chodziło – odparł adept. – Ani razu mu nie odpisałem. Ale fakt, nie dawał za wygraną. Nie wiedziałem, że byliście tak blisko.

Sheila odstawiła manierkę i się zamyśliła.

– Tak – mruknęła miękko pod nosem. – Ja też.

Nie była to odpowiedź dla Willa. Dziewczyna przez chwilę wspominała swoje spotkanie z fałszerzem i nie mogła powstrzymać ciepła, które na tę myśl wypełniało jej płuca. Nie wiedziała, że po rocznej rozłące będą potrafili rozmawiać tak naturalnie. Było to pocieszające.

– Wiem, że próbował też kontaktować się z Nikkiem – ciągnął chłopak, ogrzewając przy ogniu skostniałe palce u rąk.

– Pewnie szukał łuku. – Sheila westchnęła cicho. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Will spojrział na nią znacząco, ale łagodnie. Oboje zdążyli już uspokoić nerwy.

– Przecież wiesz.

Faktycznie wiedziała.

– Masz rację – stwierdziła niechętnie. – Gdybym usłyszała, że Reiven węszy, zapewne ciągle bym o tym myślała.

– Tak jak teraz? – zapytał adept, przyglądając się jej uważnie. Wzruszyła ramionami.

– Nie martw się. – Zmusiła się do swobodnego tonu. – Przejdzie mi. Ale chcę wiedzieć – dodała poważniej i spojrzała mu w oczy. – Co się dzieje w Kazamatach? Dlaczego Verrad spotkał się z Leo?

Will wyglądał na zrezygnowanego i Sheila była pewna, że za moment usłyszy od niego wszystkie odpowiedzi. Oczywistym było również, że jej brat robi to bardzo niechętnie.

– To chwilę zajmie – rozpoczął z ociąganiem. – Sytuacja polityczna się zmieniła.

William napił się wody i zaczął opowiadać.

\* \* \*

Sira siedziała na łóżku całkiem naga. Czesła włosy układające się niesfornie po nocy. Złociste loki spływały jej po ramionach, nie dosięgając drobnych piersi. W ostatnim czasie kobieta schudła. Generał zaczynał się coraz bardziej niepokoić tą obsesją na punkcie wyglądu. Pojedyncze siwe pasma, dobrze mu już znane, zniknęły pod nową warstwą farby zamawianej przez kobietę u geszefciarzy za pośrednictwem Nikka. Jasne oczy Siry błyszczały nienaturalnie mocno i Verrad był pewny, że to zasługa kropel, które jego kochanka aplikowała sobie coraz częściej dla dodania uroku.

Patrzył na nią, zapominając na chwilę o liście, który pisał przy ciężkim biurku po drugiej stronie pokoju. Czekał, aż przyjdzie moment na upinanie loków metalowymi spinkami i uniesione w górę ramiona odsłonią wszystko, co najciekawsze.

– Mam problem z tą nową dziewczyną od Nikka – powiedziała nagle kobieta, wyrывая generała z zamyślenia.

– Słyszałem, że słownictwem zawstydziłaby nawet Gregora – odparł Verrad i pomasaował kark. – Nie z takimi już sobie radziłaś.

Sira skrzywiła lekko drobne wargi i odłożyła zdobioną szczotkę na szafkę nocną.

– Na to potrzeba czasu – zauważyła. – A zanim uda się ją okiełznać, czeka nas co najmniej kilka miesięcy męczarni. To już trzecia dziewczyna w tym roku. Żadnej nie dotknął, od razu odsyłał do mnie.

Verrad skrzywił się zniecierpliwiony.

– Wiesz, że on ma... osobliwy gust. Nigdy nie pokazywał nam, kogo sprowadzał dla siebie. I szczerze mówiąc, lepiej śpię, nie wiedząc o tym za dużo.

Mimo niechęci do mieszania się w tę sprawę Verrad musiał przyznać, że ostatnimi czasy dziewczyny w Twierdzy pojawiały się częściej. Niespecjalnie mu się to podobało.

– Wojsko czeka w Velde – powiedziała niespiesznie kobieta, wyginając się jak kocica, by dosięgnąć ozdób, które planowała tego dnia wpiąć we włosy. Generał nie odrywał wzroku od jej poruszającego się zmysłowo ciała. – Ernst przyśle ci nowych żołnierzy, jeśli będziesz utrzymywał konszachty z więźniami?

Verrad nie od razu odpowiedział.

– Nie mogę zrezygnować z werbowania skazańców do straży i nasz miłościwie panujący monarcha o tym wie.

Sira spojrzała na generała bystro.

– Nikk to nie strażnik – zauważyła spokojnie. – Ma tu władzę. A do tego jest łącznikiem z geszefciarzami. W obecnej sytuacji może rozsądniej byłoby ograniczać kontakty z tymi ludźmi, za to Nikk sprawia wrażenie, jakby stracił umiar. Jest nieostrożny.

Kiernan odłożył pióro i oparł się wygodniej w fotelu. Sira, która kończyła zawijanie kręconego pasma na metalową spinkę, skupiła się całkowicie na tym zadaniu.

– Ernst i tak nam pomoże – stwierdził po chwili mężczyzna, wyrwany z rozmyślań o giętkim ciele kochanki. – Ale ten szcurołap Franck znowu namieszał. Musimy się trzymać sojuszników, których mamy, bo pozyskanie nowych będzie trudniejsze, niż sądziłem. Nikk zostanie z nami. Przynajmniej na razie.

Sira dobrze znała przebieg spotkania Verrada z dowódcą Wolnej Kompanii, bo długo musiała uspokajać nerwy generała, gdy ten przyszedł z lasu.

– Ale wracają – powiedziała lakonicznie, wstając i przeglądając się w lustrze.

Verrad zamyślił się, tym razem ciesząc wzrok zgrabnymi pośladkami swojej kobiety.

– Owszem – mruknął cicho. – Jedni wracają, inni uciekają. Nie ubieraj się jeszcze.

Sira zatrzymała rękę zmierzającą w stronę sukni. Spojrzała na generała. Wyciągnęła z włosów misternie upięte spinki. Nie zdążyła pozbyć się wszystkich ozdób przed tym, jak Kiernan de Verrad chwycił ją w ramiona.

\* \* \*

– Buntownicy wracają do Twierdzy?

Sheila co rusz przeszkadzała Willowi w opowieści, bo każda kolejna informacja była dla niej większym zaskoczeniem.

– I to faktycznie działa? – dopytywała. – To ułaskawienie?

William wzruszył ramionami i zajrzał do małego garnuszka, w którym gotowała się woda.

– Owszem, działa – odparł i ostrożnie zdjął metalowy kubek znad ognia. – Chociaż nie tak kolorowo, jak się niektórym zdawało. Przyszedł taki jeden, któremu się należało uwolnienie. No i faktycznie nikt go do pracy nie zmusza. Ale jedzenia za darmo

też nie dostaje, więc w sumie i tak skończył przy wyrzucaniu gnoju z obory. Tylko że teraz to jest jakby jego decyzja – zaśmiał się.

– A co z tymi, którzy cały czas byli w Twierdzy? – zainteresowała się dziewczyna szczerze. – Przecież wielu z nich już dawno odbyło wyroki.

– To samo.

Will sięgnął do zawiniątka, które przyniósł ze sobą, ale Sheila ubiegła go i wrzuciła do garnuszka swoje zioła. Na ten widok adept pokręcił głową, pokazując, co miał zamiar zaparzyć.

– To czysta herbata. I to całkiem niezła. Z kontynentu.

Sheila zacisnęła wargi i nic nie powiedziała.

– Będzie więcej dla mnie – skwitował chłopak i schował paku- nek z suszonymi liśćmi do tobołka. – Dobrze, że chociaż mięso jesz. – Wskazał na wędzony schab, który miał dla niej tym razem. – Mistrz Atay ciągle mnie wypytuje o twój stan zdrowia. Martwi się.

Sheila dołożyła drewna do ogniska.

– Ostatnie tygodnie faktycznie były ciężkie. Zima w pełni. Ale jest lepiej niż rok temu o tej porze. Przynajmniej mam zapasy suszonego mięsa. No i usypałam sobie taką wielką hałdę śniegu obok wejścia do jaskini, więc mam gdzie trzymać świeżyznę. Naprawdę nie jest źle. W każdym razie mogło być gorzej.

William przyjrzał się uważniej przybranej siostrze.

– Niech będzie. – Uśmiechnął się lekko. – Ale trudno mi ja- dać do syta, spać w normalnym łóżku i modlić się w bezpiecz- nym otoczeniu, kiedy wiem, jak ty tam funkcjonujesz. – Skinął głową w stronę Igliczki.

Sheila zaśmiała się dźwięcznie i ostrożnie podniosła garnu- szek z miętą do ust.

– Pozwolisz, że nie roztkliwię się nad twoim położeniem – za- zartowała przyjacielsko. – Jakoś zniesiesz tę psychiczną niewygodę.

Will zrobił do niej złośliwą minę, co w jego wydaniu zawsze wyglądało rozczulająco, i owinał się szczelniej kocem.

– Czy już... – zaczął niepewnie. – No wiesz... jest w porządku? Między nami – doprecyzował.

Sheila spojrzała na niego zaskoczona.

– Co masz na myśli?

– No – westchnął. – Już się nie kłócimy?

Po sekundzie konsternacji dziewczyna zrozumiała pytanie i machnęła ręką.

– Tak, jasne – zaśmiała się niedbale. – Możesz mnie bez litości wypytywać.

William ożywił się z wyraźną ulgą.

– Świetnie, bo ciekawość mnie zżera – zaczął energicznie i pochylił się do rozmówczynie. – Błagam, powiedz, że to wszystko ma jakieś wytłumaczenie i nie zebrałem opierdzielu za darmo.

Sheila zamyśliła się i zmarszczyła brwi.

– Bądź cierpliwy – poprosiła. – To nie jest łatwe do wyjaśnienia.

Zaczęła spokojnie, starając się nie pominąć żadnego istotnego szczegółu. Dostyc długo miała wrażenie, że Will usilnie ukrywał niezadowolenie. Kiedy jednak doszła do sedna, jego mina wyrażała konsternację i niepewność.

– Coś dziwnego? – powtórzył jej ostatnie słowa, gdy na chwilę przerwała, żeby napić się naparu z ziół, które sama przyniosła.

Kiwnęła głową i syknęła od lekkiego oparzenia wargi.

– Dużo o tym myślałam i nie umiem tego inaczej zinterpretować – podjęła w końcu, obawiając się, że Will weźmie ją za obłąkaną. – Ten skazaniec... Ja jakby... przeczytałam jego myśli.

Cisza, która nastąpiła po tym zdaniu, przerywana była tylko delikatnym szumem ośnieżonych gałęzi, niemrawym trzaskiem ogniska i chuchaniem na gorącą miętę.

Kiedy Sheila ponownie podniosła wzrok na brata, ten był wyraźnie zmieszany.

– No wiesz... – mruknął z zastanowieniem. – To jest... ciekawe, jakby nie patrzeć. A słuchaj... – Podrapał się niezręcznie w głowę. – Coś dało ci taki sygnał... to znaczy nie. Hm... Miałaś jakieś przesłanki, że... no, że to są myśli... znaczy...

– Nie, zupełnie nie – odparła z przekąsem, zniecierpliwiona tym kluczeniem. – Nic na to nie wskazywało i właśnie dlatego przyjąłem takie założenie.

Zmarznięte policzki adepta zarumieniły się jeszcze bardziej. Uśmiechnął się krzywo.

– No tak – bąknął. – Wybacz. To jest po prostu... no wiesz...

– Wiem – powiedziała i przymknęła na chwilę powieki. – I to jeszcze jak. Przez ostatnie tygodnie nie dawało mi to spokoju. Ale to niemożliwe, żeby mi się przywidziało – ożywiła się. – Bo przecież wszystko się zgadzało. Imię Foxa, jego miejsce pobytu, cała sytuacja.

William po pierwszym zaskoczeniu zdołał nieco zebrać myśli.

– No dobra – rzekł stanowczo i przejął od Sheili kubek z miętą. – Opowiedz mi wszystko dokładnie.

Nie było to proste, bo część faktów rozplynęła się już w pamięci dziewczyny. Pozostałe z biegiem dni wydawały się jej coraz bardziej nieprawdopodobne. Kiedy skończyła odpowiadać na pytania chłopaka, przez chwilę oboje milczeli.

– No i co? – zapytała w końcu Sheila i wysiorbała resztkę naparu z kubka. – Słyszałaś kiedyś o czymś takim? – zaśmiała się bez humoru.

Will wzruszył ramionami.

– W sumie to tak.

Sheila odstawiła garnuszek i posłała bratu zaskoczone spojrzenie. Ten w odpowiedzi uśmiechnął się do niej ciepło.



– W bajkach – doprecyzował, na co dziewczyna fuknęła pod nosem. – A w zasadzie legendach.

– Co za różnica? – William już otwierał usta, ale Sheila zaśmiała się i nie pozwoliła mu się wtrącić. – Przecież wiem, czym to się różni. – Pokazała mu język. – Może maniery mi zdziczyły, ale coś tam kojarzę z cywilizowanego świata. W zasadzie to obecnie jestem wykształcona lepiej niż kiedykolwiek. – Wskazała ręką na wolumin leżący na kamieniu. – Dzięki tobie i tym kradzionym książkom z waszej biblioteki.

– Pożyczonym – oburzył się Will, ale Sheila nie przejęła się tym, tylko uśmiechnęła się szerzej.

– Kto by pomyślał, że czytanie będzie mi sprawiało tyle frajdy. Co to miejsce ze mną robi? A właśnie! – Ożywiła się. – Mam pytanie odnośnie do drugiej ekspedycji Kazamy...

William patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Poważnie? I już? Koniec tematu twojej wizji czy co tam to było?

Sheila zawahała się i wzruszyła ramionami.

– A co niby więcej wymyślimy? – zapytała całkiem poważnie. – Nie wierzysz mi, że to było czytanie w myślach. Ja w sumie też nie wierzę, ale nie znalazłam na razie innego wytłumaczenia. Nie mam pojęcia, jak to powtórzyć. Pozostaje zatem czekać na to, co powie Atay. A że do tej pory nic mądrego nie wymyślił na mój temat, to po prostu dopiszemy to pytanie do listy niewyjaśnionych rzeczy związanych z moją osobą.

William zamrugał szybko, zapewne zastanawiając się, czy dobrze usłyszał.

– No – potwierdził, zebrawszy myśli. – Trudno temu odmówić logiki.

Sheila westchnęła łagodnie i dołożyła drzewa do ogniska.

– Przede wszystkim chciałam, żebyś zrozumiał, dlaczego poszłam w tamtą stronę. Wiem, co sobie myślałeś.

William zmieszał się nieco.

– Przepraszam – mruknął cicho.

Sheila wzruszyła ramionami, ale minę miała poważną.

– To ja przepraszam. Wiem, że ciągle narzekam na moje położenie. Mogłeś pomyśleć, że zrobię coś głupiego i nierozważnego. Ale ja tylko tak gadam. Wtedy jest mi łatwiej usiedzieć na Zarzeczu. Kiedy wiem, że ktoś rozumie, jak mnie to męczy.

Will położył jej dłoń na ramieniu. Sheila pozwoliła mu się objąć, przysuwając się bliżej i chowając pod jego koc. Siedzieli przez chwilę w milczeniu i patrzyli na strzelający ogień.

– Z jednej strony rozumiem – zaczął adept po chwili. – Dobrze się stało, że sprawdziłaś, czy ta wizja była autentyczna.

Sheila posłała mu oczekujące spojrzenie, ale nie od razu poznał, o co jej chodziło. Nagle spuścił spłoszony wzrok i zaśmiał się nerwowo.

– To znaczy... To szlachetne, że ruszyłaś Foxowi z pomocą – wyrzucił z siebie pospiesznie. – Ale wiesz, zasadniczo to lepiej by było dla nas wszystkich, gdyby nie gadał o tobie w Twierdzy.

Sheila poczuła ciężar w płucach.

– Więc uważasz, że powinnam była go zabić? – Zaszło jej w gardle.

Will nie od razu na nią spojrział.

– Martwię się o ciebie – przyznał, ale tym zdaniem jedynie ją rozdrażnił.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Założyła ręce na piersi. – Gdybyś był na moim miejscu, poderżnąłbyś mu gardło?

– Nie no... ja nie.

Po nastroju, który między nimi panował chwilę wcześniej, nie było śladu. Sheila odsunęła się od chłopaka i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Co to znaczy, że TY nie? – prychnęła wrogo.

Zerwała się na równe nogi i ruszyła w stronę rzeki. William pobiegł za nią i zatrzymał ją z niemałym trudem.

– Nie miałem tego na myśli!

– Ale czego? – zachnęła się. – Czego nie miałeś na myśli, co?!

Kłuło ją w płucach, a oczy zaszyły jej łzami. William przybrał minę zbitego psa, ale to nie załagodziło złości dziewczyny.

– Przepraszam. Masz rację. Pomyślałem o Owenie. Głupi, beznadziejny przebłysk. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Rozłożył bezradnie ręce i schował twarz w dłonie. Choć po policzkach Sheili popłynęły pojedyncze strużki, dziewczyna nie złağodziła ani trochę hardego wyrazu twarzy. Czowała jednak, że gorycz z niej ucieka. Nie mogła pozostać obojętna wobec szczerości brata.

– Po prostu – zaczęła z trudem, bo głos jej się załamywał. – Musisz mnie zrozumieć. MUSISZ. Mam teraz tylko ciebie.

Po raz drugi tego dnia stali objęci i zapłakani.

– Martwię się – wyszeptał William, kiedy Sheila się uspokoiła. – Tak długo trzymałaś się w ryzach. Wiem to, widziałem. Mam do siebie żal, że na to pozwalałem. Chyba było mi wygodniej z tym, że tłumiałaś swój żal i gniew. Wszystko po tobie spływało tak szybko.

Sheila odsunęła twarz od torsu mężczyzny i otarła policzki.

– Miałaś rację, trzymając mnie z dala od tego wszystkiego – wyznała. – Było jakoś łatwiej nie myśleć o Wolnej Kompanii, o Twierdzy i w ogóle o normalnym życiu, kiedy nie słyszałam nowin na ten temat. – Nagle zaśmiała się ze swojej naiwności. – Miałam wrażenie, jakby poza Zarzeczem nic się nie zmieniło. Czas nie płynął tak dotkliwie, kiedy dni były do siebie podobne, a ja... stałam w miejscu – podsumowała gorzko. – A tu nagle okazuje się, że na zewnątrz życie toczyło się dalej. Tyle się działo. Przyznam się, że to cholernie przygnębiające.

Will poklepał ją po plecach, wziął pod ramię i poprowadził powoli wzdłuż rzeki.

– Chciałem dobrze, to na pewno – oznajmił nieco pogodniej. – Ale to mnie nie usprawiedliwia. Odcięcie cię od informacji to

jedno, ale zgadzanie się na to, żebyś tłumiała swoje emocje... Nie mogę sobie tego darować.

Sheila westchnęła i popatrzyła na wodę szybko prześlizgującą się między kamieniami.

– Krótko mówiąc – powiedziała cicho. – Żadne z nas nie jest idealne. Jestem tym trochę zawiedziona.

Kiedy po niezbyt długim spacerze wrócili do obozowiska, ogień już prawie ugasł. Sheila zajęła się jego podtrzymaniem, a Will na nowo pakował swój tobołek, rozdzielając to, co Sheila miała zabrać ze sobą, od tego, co było przeznaczone dla niego. Kiedy sięgnął po książkę, której czytanie jej przerwał, coś mu się przypomniało.

– Chciałaś o coś zapytać – powiedział do niej, dokładnie oglądając wolumin. – Okładka na pewno nie była tak pognieciona, jak ci to dawałem – zauważył i zmarszczył brwi.

Sheila podbiegła do niego i zabrała książkę z jego dłoni.

– No właśnie – podjęła szybko. – To opracowanie zostało wydane w sześćset dziewięćdziesiątym siódmym. Nasz rocznik – dodała z uśmiechem. – Ten cały Patrik z...

– Z Otevosk – pomógł jej cierpliwie adept.

– No właśnie. On napisał, że drugi dziennik Kazamy zaginął. Ale to była wiedza sprzed ćwierćwiecza. Nic się w tej sprawie nie zmieniło?

William usiadł na kamieniu. Dzielenie się wiedzą naukową i historyczną zawsze sprawiało mu satysfakcję, a przez ostatni rok Sheila dawała mu ku temu sporo okazji.

– Przepadł razem z autorem. Ale sama wiesz, że niewiele osób zdecydowało się zapuścić na Zarzecze, kiedy jeszcze Kazamaty były wolne od kłatwy, a co dopiero potem.

Sheila uniosła głowę.

– Tak myślałam – powiedziała z zadowoleniem. – Pewnie jest przy ciele Diega.

William przewrócił oczami. Znał dobrze obsesję Sheili na punkcie znalezienia ciała popularnego geologa. Nie zamierzał jej odwozić od tego zamiaru, ale zaciętrzewienie dziewczyny zaczęło go już trochę bawić.

– U Patrika z Otevoska nie znajdziesz wiele więcej niż u poprzednich autorów, których ci przynosiłem – stwierdził i wzruszył ramionami. – Co prawda odwiedził Aldenę, ale wątpię, żeby sam zapuścił się na teren Kazamatów. Raczej przepisał to, co wyczytał u innych. To był badacz biurkowy – wyjaśnił adept i machnął ręką. – No wiesz, taki, co to woli czytać o dolinie z dziennika Kazamy, niż sam pójść w trasę i zbadać ślady.

Sheila zmarszczyła brwi w zamyśleniu i spojrzała na zmatowiałą okładkę.

– No ale historię każdej wyprawy chyba najlepiej bada się z jej dzienników? Nie twierdzą, że tylko z nich, jednak to sporo mówi, nie?

Will się zmieszał.

– No tak. Ale dzienniki bywają niekompletne, nieszczegółowe no i... – Myślał intensywnie nad kolejnym argumentem. – Czasem zakłamują rzeczywistość – zakończył z satysfakcją.

Sheila spojrzała na brata podejrzliwie.

– Atay też o tym pisał, co? – zapytała, a mina Willa szybko potwierdziła te przypuszczenia.

– Mistrz Atay jak już. Nie. Ojciec Cesar. Ale on pisał, będąc tutaj, na miejscu.

– I poszedł na Zarzecze? – Tym razem w głosie Sheili nie było drwiny, a podziw.

Will się wyprostował.

– Owszem. Był tam kilka razy.

– No to czemu jeszcze nie przyniosłeś mi żadnych jego książek? – zapytała ze szczerym wyrzutem.

Adept zmarszczył brwi i spuścił wzrok na swoje dłonie.

– No bo... nie ma ich – odpowiedział gorzko. – Nie wydali go. Patrik był w lepszej komitywie z Godomidami.

Sheila natychmiast podchwyciła tę informację.

– O tak! – zaśmiała się. – Wychwała ich, gdzie tylko może.

Will wstał i się przeciągnął.

– Nie całkiem niesłusznie – zauważył niechętnie. – Król Mirrion dotował sztukę i naukę, ale trzeba uczciwie powiedzieć, że swoją hojnością obdarzał głównie klasztory w centrum kraju. Jak na przykład ten w Otevosku, którego tereny obecnie to praktycznie osiedle Rossbergu. Nie wygrasz ze stolicą, jak siedzisz na zadupiu. To znaczy – zmieszał się – nie chcę obrażać Aldeny. Sam też mieszkałem na obrzeżach kraju.

– W porządku. To faktycznie zadupie – rzuciła Sheila pogodnie i usiadła z książką przy ognisku. – Zapomniane i nieistotne.

– Zdaje się, że te czasy minęły – zauważył Will i przysiadł się do dziewczyny. – Kazamaty znowu stają się potrzebne, a Aldena wychodzi z cienia.

Sheila poczuła niepokój na te słowa. Każdy aldeńczyk dobrze wiedział, że zainteresowanie ich wyspą do tej pory oznaczało tylko jedno: wojnę.

– Naprawdę coś się szykuje? – zapytała cicho. – Nigdy nie rozumiałam tej całej afery o Pogranicze. – Nawet nie musiała pytać, bo było oczywiste, że Livia żyła źle tylko z Darrethanem.

Will westchnął i okrył się nieco przemoczonym kocem.

– Historyczne spory – skwitował. – Jak chcesz, to przyniosę ci o tym książkę. Hm... w takich momentach człowiek może docenić zamknięcie – zauważył z gorzkim uśmiechem. – Nawet jak cała Livia zostanie zdobyta, tutaj raczej nikt się nie wedrze.

Sheila nie była tego taka pewna. Darrethan też na pewno miał w społeczeństwie wyrzutków i kryminalistów, których można było wysłać do walki na objętym kłątwą terenie. Nie trzeba by

tych ludzi nawet przymuszać. Wystarczyło dać im pracę i władzę w zdobytej przez nich dolinie. Skoro Verrad tak zrobił, to dlaczego król Darrethanu miałby z tego patentu nie skorzystać?

– No i ma nas kto bronić – kontynuował adept. – Najechało się wojska na Aldenę. Część stacjonuje przy Kazamatach.

Sheila natychmiast ożywiła się na te słowa.

– W Velde? – zawołała.

Will pokiwał głową.

– Mały oddział z misją dyplomatyczną – wyjaśnił, bacznie obserwując reakcję swojej rozmówczyni. – Verrad ciągle z nimi koresponduje.

– Wierzą mu, że znalazł Morvena? – zapytała dziewczyna z ożywieniem. – Nikt im nie dał znać, że to bujda?

William pokręcił głową.

– Verrad nie był na tyle głupi, żeby wyskakiwać z informacją o swoim rzekomym sukcesie – tłumaczył. – No bo co by mu to dało? Wie, że nie ma w celi Morvena, tylko jego pomagiera. Wojskowych może zbywać, ale króla już nie bardzo. W końcu by się wydało, bo przecież Zyghar mu klątwy nie zdejmie.

Dziewczyna podrapała się po brodzie i policzku, pilnie słuchając tego, co mówił jej przyszywany brat.

– No to co właściwie nasz generał powiedział królowi?

William pochylił się do niej i uśmiechnął tajemniczo.

– Nic mu nie powiedział – wyjawił cicho, choć nikt niepożądany nie mógł go usłyszeć. – To król sam wysłał posłów. Sam z siebie – dodał dobitniej.

Wszystko nagle ułożyło się w całość.

– Bo szykuje się wojna – dokończyła Sheila z wyrazem zrozumienia na twarzy. – Cholerny farciarz z tego generała.

Will przytaknął.

– Oczywiście na Aldenie zahuczało od plotek na temat Morvena. Ale to nic nie znaczy, bo gdy tylko coś się dzieje w Kazamatach, zawsze wychodzi ta sprawa. Verrad z Franckiem gadają o de Grissie, ale stawka toczy się o coś zupełnie innego.

– O ludzi – zgadła Sheila. – Verrad będzie potrzebował robotników, żeby zapewnić większe dostawy dla króla na czas wojny. Musi więc odzyskać część tych, którzy uciekli.

– A skoro nie chcą wrócić po dobroci, król w obliczu potrzeby sypnął złotem, by zapłacić im za pracę.

Sheila się uśmiechnęła. W jakiś sposób imponował jej cały ten plan.

– Czyli te uniewinnienia i rewizje wyroków to bujda – mruknęła.

– Owszem – przyznał adept i upił łyk soku, który odkorkował chwilę wcześniej. – Przepychanki z Darrethanem zaczynały się i kończyły. Ta również się kiedyś skończy, a wtedy srebrne żelazo pójdzie w odstawkę i nikt nie będzie chciał płacić skazańcom za pracę. Oswobodzeni pewnie też wrócą do starej pozycji. Generałowi się chyba marzy, żeby do tego czasu zniknęła Wolna Kompania. Ale jak dotąd buntownicy nieźle się bronią. Informacja o śmierci Morvena, która padła z ust samego Leonidasa Francka, rozeszła się po Twierdzy w szaleńczym tempie. Dzieje się, oj, dzieje – dodał William wyraźnie zaniepokojony. – Naprawdę trudno powiedzieć, kto wyjdzie z tej propagandowej potyczki zwycięsko.

Sheila długo trawiła usłyszane informacje, zanim zdecydowała się zadać kolejne pytanie.

– A kapłani? Co z Atayem i ojcem Cesarem?

– Mistrz nieco odżył. Zdaje się, że całkiem dobrze robi mu dyplomacja. Sam też koresponduje z wysłannikami królewskimi. Poinformował Królewską Radę Kapłańską o przypadku Zyghara. Napisał, że miał do czynienia z potencjalnym de Grissem, ale na razie niewiele to dało, bo Verrad zbywa ponaglenia do udostępnienia nam więźnia. – William jak zwykle, gdy mówił o swoim



przełożonym, prostował się nieznacznie. – Mistrz Atay co prawda rozmawiał z Zygharem, ale tylko pod okiem generała. Wiesz, Zyghar cały czas utrzymuje, że jest Morvenem, ale nie wie, jak zdjąć klątwę. Pobieżne badanie go niczego nie wniosło.

Sheila westchnęła i wlepiła wzrok w ogień. Robiło się szaro, co niechybnie zwiastowało zapadnięcie zmroku. William mimo to nie spieszył się z powrotem.

– Sporo informacji – powiedział jakiś czas potem, wrywając siostrę z rozmyślań. – Może gdybym dawkował je po trochu, zamiast wszystko przed tobą ukrywać...

– Daj spokój. – Machnęła ręką. – Przestań się obwiniać. Zamknęliśmy temat. Ale nie przeczę, że jestem nieco skołowana – przyznała z delikatnym uśmiechem. – Nie patrz tak – dodała mocniej. – Nie zrobię nic głupiego.

Will pokiwał głową i zabrał się za pakowanie do tobołka ostatnich kilku przedmiotów, które leżały obok niego. Nagle przerwał i spojrzał na Sheilę bardzo poważnie.

– Kiedy doszły do mnie rewelacje opowiadane przez Foxa – zaczął z wyraźnym wstydem. – Byłem wściekły i przestraszony. Bałem się reakcji mistrza i tego, że Nikk się o tobie dowie, przez co całe nasze wysiłki pójdą na marne... A wściekły byłem na ciebie – dodał ciszej. – O to, że pozwoliłaś mu odejść wolno, że nie powstrzymałaś go, że go nie... nie zabiłaś. Byłem wściekły, bo altruizm, który ocalił Foxa, mógł zaszkodzić wielu innym osobom. Uznałem, że taki altruizm wcale nie jest dobry. Że to tylko udaje dobro, a tak naprawdę jest głupotą, krótkowzrocznością i naiwnym uporem – ciągnął bez litości dla siebie, choć ewidentnie nie czuł się komfortowo z tym, co wychodziło z jego ust. – A potem ta wściekłość i strach zniknęły, bo zakrył je wstyd. Tak wielki, że aż nie do zniesienia. A skoro nie mogłem go znieść, to postanowiłem chwycić się jednak tej wściekłości i stra-

chu, bo one były dla mnie mniej poniżające. Ale prawda jest taka, że postąpiłaś słusznie. Bo ocaleniem jednej osoby nie można usprawiedliwiać krzywdy kilku innych, tak samo jak ocaleniem kilku osób nie można usprawiedliwiać krzywdy jednej. Myślę, że to w ogóle nie powinno podlegać kalkulacjom i wartościowaniu.

– Wreszcie mówisz jak William, którego znam – szepnęła z ulgą. Po jego minie widziała, że miał coś jeszcze do dodania.

– Chciałem w ten sposób powiedzieć, że moim zdaniem zachowałaś się szlachetnie i... niczego innego się po tobie nie spodziewałem. Niczego innego – powiedział z naciskiem. – Ani przez chwilę. Po prostu nie spodziewałem się też tego po sobie, a jednak... – Spuścił na chwilę wzrok. – Nie wiem, jak ja bym się zachował.

Sheila położyła mu rękę na ramieniu i uśmiechnęła się pocieszająco.

– To się tylko wydaje takie łatwe – powiedziała łagodnie. – Potem, kiedy leżałam bezpiecznie w jaskini, kiedy rozmyślałam o całej sprawie czysto hipotetycznie, wiele razy dochodziłam do wniosku, że powinnam była zabić Foxa. Wtedy to wydawało się możliwe. Ale kiedy trzymałam nóż przy jego gardle, nie mogłam. To było takie... definitywne i nieodwracalne. A ja marzyłam o tym, żeby mieć chociaż chwilę na zastanowienie. W stresie i emocjach nie potrafiłam się zdobyć na tak mocny i definitywny gest, bo wiedziałam, że będę żałowała. I jestem pewna, że ty miałbyś tak samo, Will.

We wzroku adepta była wdzięczność, ale Sheila nie była pewna, czy udało jej się całkiem pocieszyć brata. Postanowiła odwrócić nieco uwagę od moralnych zagwozdek.

– No to jak bardzo właściwie Fox nabroił? – podjęła pogodniej. Adept ożywił się nieco na to pytanie.

– Informacja o tobie doszła do mnie już pierwszego dnia – powiedział znacząco. – Ale tylko dlatego, że rannego Foxa przysłali do nas, by dostał profesjonalne leczenie. Propaganda Verrada – wyjaśnił, widząc zaskoczone spojrzenie dziewczyny. – Fox i jego

kumpel uciekli, lecz wrócili. To znaczy: jeden wrócił. No ale zrobił to tego samego dnia, gdy Verrad pertraktował z Franckiem. Pech chciał, że ranny trafił do ojca Cesara. Ten jak usłyszał jego rewelacje, to od razu okazał zaskoczenie. To utwierdziło skazańca w tym, że faktycznie doświadczył niezłej historii. No to opowiadał ją każdemu, kto tylko chciał słuchać. Zanim zdołałem do niego dotrzeć i jakoś zareagować, został przeniesiony do kopalni.

Sheila aż zakrzuszyła się sokiem na te rewelacje.

– A co z propagandą Verrada? – zapytała, gdy uspokoila kaszel.

William wzruszył ramionami.

– Fox nie chciał kłamać, że to buntownicy go zranili, więc został uciszony przeniesieniem. Zmiany w kopalni trwają teraz długo, bo mają tam remont wind i ogólne przygotowanie sprzętu do większego wydobycia. Zanim Fox wróci, sprawa powinna przycichnąć, a i on sam straci pewnie zainteresowanie. Mam nadzieję – dodał ciszej. – Może uda się to jakoś załagodzić, ale jeszcze długo nie będę mógł spać całkiem spokojnie.

Sheila spojrzala na niego ze współczuciem.

– Wiesz, że nie chciałam ci dokładać problemów. To wszystko wymknęło się spod kontroli, ale... – zawahała się, wiedziała jednak, że mimo wszystko z Williamem mogła być szczerą. – Nie powiem, że bym się trochę nie ucieszyła.

Adept spojrzal na nią łagodnie i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ze wszystkich ludzi z Kazamatów musiałaś wpaść akurat na tego, który najszybciej mógł cię rozpoznać? Nie dość, że miałas jego łuk, to na dodatek widzial cię już po ostrzyżeniu.

– Może pocieszy cię fakt, że naprawdę próbowałam przed nim uciec?

– Mam tylko nadzieję, że nie kazałaś mu pozdrowić Francka i Lasoty – zażartował Will i natychmiast uchylił się przed kuksańcem w bok. – Masz, dopij sok. Nie chce mi się go dźwigać z powrotem.

Sheila zamiast tego chwyciła ostatni kawałek schabu. Był lodowaty od leżenia na chłodzie, a mimo to smakował wyśmienicie. Jęknęła w duchu na myśl o powrocie do swojej normalnej diety.

– Słuchaj, Will – zaczęła z pełnymi ustami, ale szybko przeknęła duży kawał mięsa, żeby ponownie nie zostać uznaną za niekulturalną. – Myślisz, że mógłbyś przyjść do mnie nieco wcześniej? Wiesz... za dwa tygodnie jest Srebrna Noc.

Przepraszająca mina adepta odpowiedziała jej szybciej niż jego słowa.

– Widzisz – zaczął ze skruchą. – Mistrz Atay pozwolił mi w tym roku wziąć udział w zakonnych modlitwach z tej okazji.

Przez chwilę trwała cisza, ale Sheila wiedziała, że gdyby pozwoliła na nią jeszcze kilka sekund dłużej, Will na pewno zaproponowałby, że zrezygnuje z tego zaszczytu i dotrzyma jej towarzystwa. Nie zamierzała do tego dopuścić. Wiedziała, ile to dla niego znaczyło.

– No jasne – powiedziała pogodnie i się uśmiechnęła. – Ale przyniesi mi potem coś dobrego.

\* \* \*

**T**rzeba oddać sprawiedliwość Diego Kazamie, że choć marny był z niego geolog, to całkiem sprawnie radził sobie z geografią. Dziennik z pierwszej ekspedycji w szczególowy sposób opisywał teren, po którym poruszała się grupa poszukiwaczy. Wiemy, że podczas pierwszej z wypraw naukowców za przewodników obrał miejscowych chłopów. Przy drugiej ekspedycji, która dysponowała znacznie większym budżetem z powodu nieustalonego do dzisiaj patronatu, zatrudnieni byli geografowie i kartografowie z kontynentu. Może się wydawać, że utworzenie mapy terenu, z którym zaczęto wiązać tak rozległe nadzieje, to rozsądny pomysł. Diego Kazama nie był jednak tak wielkim ignorantem, na jakiego zwykło się go dotychczas kreować w naukowych opracowaniach. Badacz ten rozumiał, że nikt lepiej nie poprowadzi jego grupy niż miejscowy lud.

**Z** zachowanej korespondencji z ówczesnym kanclerzem Aldeny Jovim de Grissem Seniozem można się dowiedzieć, że Diego Kazama usilnie prosił, by przydzielono mu przewodników z wyspy. Problemem nie była zapłata, bo ta rosła z każdym kolejnym listem. Sęk w tym, że po pierwszej ekspedycji nikt z okolicznych nie chciał brać udziału w kolejnej. Jak pisze Jovi w jednym z zachowanych listów: „Za wyznaczoną zapłatę niejeden ze stołecznych kartografów chętnie pójdzie z Panem do doliny. Dopóki jednak będzie się Pan upierał przy mieszkańcach Aldeny, dopóty zostanie Pan bez przewodnika”.

Sheila potarła zmęczone oczy i odłożyła książkę. Nie mogła już dłużej czytać przy tak kiepskim świetle, jakie dawało dogasające ognisko. Pogoda działała na jej korzyść, bo niebo zasnuć było ciężkimi chmurami, dlatego dym pozostawał niezauważony z od-dali. Dziewczyna przykryła się ściślej gończą skórą i nachuchała na zmarznięte palce. Czuła się przeraźliwie samotna. Zwłaszcza w tej chwili, kiedy cały świat się bawił.

Srebrna Noc była jej ulubionym świętem. Sheila poddawała się tej ogólnej swobodzie i euforii, którą prawie namacalnie czuło się w powietrzu. Tańczyła wtedy więcej niż na jakimkolwiek weselu, a zaczepki Krissa Dessderta były dla niej bardziej znośne. Tej nocy nic nie miało znaczenia, bo rozpływało się razem z porankiem. Nikt nie ponosił konsekwencji swoich czynów. Prawda była taka, że wiele z nich w ogóle nie było zapamiętanych, bo alkohol łął się wtedy obficie niż zazwyczaj. Była to noc wolności i lekkiej gło-wy, niestrapionej myśleniem o jutrze. Sheila tęskniła za tym.

Przekręciła się na bok i spojrzała w żarzące się węgielki po drewnie.

W Velde palą się teraz wielkie ogniska – pomyślała z nostal-gią. – A ja mam tu trzy małe płomyczki. O, już tylko dwa.

Zamknęła oczy. Wiedziała, że nie powinna była pograżać się we wspomnieniach i tęsknocie, ale tej nocy nic nie miało zna-

czenia. Obmyła w lodowatej rzece twarz i dłonie, jak nakazywał rytuał Srebrnej Nocy. Zmyła z siebie cały zeszły rok, wszystkie problemy i porażki. Była zatem czystą kartą, którą zacznie zapisywać wraz z nastaniem świtu. A ta noc, cudowna i szalona, była jakby zawieszona w próżni, nienależąca ani do starego, ani do nowego życia.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

Uwielbiała Srebrną Noc.

\* \* \*

– Zabiję go! – warknęła Sheila, szczękając zębami i strzepując z siebie śnieg.

Erinn, która razem z Saebe rzuciła się przyjaciółce na ratunek, wyglądała na szczerze przejętą. Za jej plecami rechotał Andres, któremu wtórowała grupka miejscowych chłopaków. Nie śmiał się jedynie Kriss. Ten stał wyprostowany z założonymi na ramionach rękami i był z siebie wyraźnie zadowolony.

Sheila potknęła się, próbując przejść przez mały płotek, za który chwilę wcześniej przerzucił ją młody Dessdert prosto w słomę przykrytą świeżym śniegiem. Kiss podszedł do ogrodzenia i chwycił dziewczynę za ramię, pomagając przejść po śliskiej desce.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoiła się Erinn, otrzepując płaszcz Sheili.

– Nie przeżywaj – rzucił niedbale Kriss i spojrzął na obie dziewczyny z góry. – To sterta słomy, a nie kamieni.

Sheila posłała mu harde spojrzenie, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Kriss uśmiechnął się zadziornie i chwycił ją w tali, podnosząc wysoko w zgrabnym piruecie.

– Nie krzyw się, brzydulo! – zaśmiał się śpiewnie. – Bo cię takiej nikt nie zechce.

– Na razie to raczej ona nikogo nie chce – zauważyła Erinn, spokojniejsza, gdy okazało się, że jej przyjaciółce faktycznie nic się nie stało.

– Kiepski wybór mamy w Velde – zawołała Sheila, łapiąc równowagę po powrocie na ziemię. – Czemu nie trafiam na porządnym chłopaków?

Siedemnastolatek pstryknął ją w nos.

– Pewnie wszyscy porządni trzymają się od ciebie z daleka – zażartował i sparodiował jej skrzywioną minę. – Chodź, brzyduło. Zatańczę z tobą. Dziś Srebrna Noc. Trzeba być hojnym i wspańiałomyślnym.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę najbliższego ogniska. Sheila nie protestowała. Choć nie wypita nawet jednego pełnego kubka wina podkradzonego z Erinn jej ojcu, to czuła się jak na rauszu. To była Srebrna Noc.

Wirowała z Krissem, czując gorąco od ognia, gdy zbliżali się do płomienia. Potem tańczyła z Andresem, który kilka razy nadepnął jej na stopę, ale zaśmiali się z tego oboje. Saebe tańczył sam, więc Sheila podbiegła do niego i objęła mocno, zmuszając do żywszych obrotów. Zbliżała się północ, wszyscy czuli to w powietrzu.

– Srebrna Nocko! Dobra nocko! – wołał syn Parohala mocno przepitym głosem. – Niech się sąsiad wpieprzy w błocko!

Chlusnął w ognisko alkoholem, a snop iskier wystrzelił w górę przy ogólnej radości.

– Nie marnuj bimbru, imbecyłu! – warknął na niego ojciec, ale było za późno, bo pijani koledzy chłopaka zaczęli powielać jego czyn, wykrzykując jeden przez drugiego, czego sobie życzyli.

– Dosyć, durnowaci! – krzyczały kobiety spod stodoły, ale to tylko rozochociło młodzież.

Kriss, z którym Sheila ponownie tańczyła, nagle uchylił się przed bimbrem. Trunek złożono niecelnie w ofierze z prośbą o „wydupczenie najstarszej Vitosówny”. Przez to cały chlup wylądował na Sheili. Zatrzymała się i przez chwilę próbowała złapać oddech. Zimna ciecz szybko zlodowaciała na skórze. Dziewczyna wytarła czoło i szyję, a potem spojrzała na wyszczerzonego Krissa. Ten przyciągnął ją do siebie i powąchał pasmo włosów mokre od bimbru.

– No – powiedział z zadowoleniem. – Teraz to jesteś nawet smakowita.

Nie przejął się uszczypnięciem w zebro.

– Niewiele ci potrzeba – zauważyła Sheila pogodnie. – Myślałam, że masz większe wymagania.

Kriss nie przestawał się uśmiechać. Pochylił się do niej i odezwał ciszej:

– Wiedziałem, że się nad tym zastanawiasz.

Prychnęła i odepchnęła go, po czym natychmiast odbiegła od ogniska i z impetem usiadła na krześle pod dachem otwartej stodoły, w której biesiadowali wieśniacy. Wraz ze zbliżającą się północą coraz częściej można było usłyszeć nuconą pod nosem piosenkę.

*Srebrna Nocko, dobra nocko,  
z Tobą się nie brata sen.  
Ześlij cuda i peretki,  
gdy nastanie nowy dzień.*

Sheila nuciła razem z mamą Saebe i przez chwilę obserwowała, jak Kriss tańczy z chichoczącą dźwięcznie Erinn. Potem jej uwagę przyciągnął mężczyzna siedzący po drugiej stronie długiego stołu.



– Benn – szepnęła do siebie.

Wstała z zamiarem podbiegnięcia do opiekuna, ale nagle się zawahała. Muzyka stała się jakby odleglejsza i powoli zamieniała się w echo. Benn rozmawiał z Grahamem Dessdertem, a Sheila pamiętała, że podeszła i przerwała tę dyskusję. Przypomniała sobie ich wspólną rozmowę i żartobliwe uzgadnianie jej ślubu z Krissem. Pamiętała, jak pan Dessdert zarzekał się, że zna charakterek Sheili i Benn będzie mu musiał dużo zapłacić, żeby rzeźnik zgodził się na taką synową. Sheila pamiętała też, że śmiała się razem z nimi. To był piękny wieczór.

Ale tym razem nie podeszła i nie przerwała im rozmowy. Z daleka patrzyła na Bennę, czując, że jej oczy zaczynają łzawić. Wiedziała, że powinna się obudzić i nie iść dalej w to wspomnienie. Że każda kolejna minuta w tym towarzystwie będzie dla niej wspanialsza, ale po przebudzeniu stanie się większym ciężarem.

– Muszę się obudzić – powiedziała do siebie z rezygnacją. – Muszę stąd odejść.

Obudziła się i od razu rozplakała.

\* \* \*

Spacer po Igliczce jeszcze nigdy nie był dla niej tak trudny i jednocześnie tak potrzebny. Sheila szła szybciej, niż powinna, zważywszy na oblodzenie i śnieg, który powoli opadał na ostre skały.

Oddychała głęboko, pozwalając, by mroźne powietrze wypełniało jej płuca. To bolało, piekło i dławiło, ale pomagało. Delikatna warstwa śniegu, która osiadła na skałach, sprawiała, że każde załamanie kamienia, każda rysa w grani były doskonale widoczne. Sheila wdrapywała się krok za krokiem, nasłuchując uważnie, by nie zbliżyć się do gniazda sępicą albo jamy jakiegoś górskiego potwora.

To była Srebrna Noc i nie chciała spędzić jej sama w jaskini.

Kiedy dotarła do szczytu grani, zatrzymała się i zamknęła oczy. Odkąd zamieszkała na Zarzeczu, nie zaglądała na drugą stronę.

Jej oddech natychmiast zamieniał się w białą parę. Co chwilę zmieniała rękę, którą trzymała się ściany, bo palce szybko kostniały.

Wreszcie poczuła, że jest gotowa. Dźwignęła się i przełożyła nogę przez ostrą grań. Przez chwilę bezskutecznie szukała dogodnego miejsca do siedzenia. W końcu udało jej się znaleźć płaski fragment kamienia.

Spojrzała w ciemność, która okazała się zaskakująco przejrzysta. Chmury wisiały niedaleko nad jej głową, a przed nią w dolinie rozpościerał się ośnieżony las łysych drzew. Widok ten ocieplały dwie łuny. Jedno światło biło od Twierdzy. Było dalekie i rozmyte. Druga łuna znajdowała się znacznie bliżej.

Sheila przełknęła ślinę i otarła łzy. Tak bardzo chciała być teraz obok ludzi. Nie musiałyby nawet z nimi rozmawiać. Mogliby jej w ogóle nie widzieć. Wystarczyłoby, że słyszy te same przyspiewki, co oni, że grzeje się w tym samym ogniu i dzieli tę samą radość.

Oddychała powoli, głęboko. Śnieg padał leniwie, kołysząc się na delikatnym wietrze, jakby niezdecydowany, czy opadać na drzewa i skały. Białe drobinki nadawały tej niezwyklej nocy dodatkowego uroku. Sheila sięgnęła do tobołka na plecach i wyjęła z niego koc. Okryła się nim szczelnie i położyła na kolanach prowiant, którym zamierzała uczcić Nowy Rok.

Im dłużej trwała cisza, tym głośniejsza się stawała. Sheila nie wiedziała, czy to jej wyobraźnia płatała figle, czy naprawdę słyszała z oddali odgłosy zabawy z Wolnej Kompanii.

– Srebrna Nocko, dobra nocko – zaśpiewała zachrypniętym od zimnego powietrza głosem.

Odchrząknęła i zaczęła nieco głośniej.

*Srebrna Nocko, dobra nocko,  
z Tobą się nie brata sen.  
Ześlij cuda i peretki,  
gdy nastanie nowy dzień.*

*Srebrna Nocko, dobra nocko,  
księżyc Twoim jest kochankiem.  
On za Tobą w świt przepadnie,  
kiedy znikniesz wraz z porankiem.*

*Srebrna Nocko, dobra nocko,  
młoda jesteś, lecz nie zwlekaj.  
Weź pod rękę Stary Roczek,  
bo o wschodzie Nowy czeka.*

**Uniosła manierkę ze słodkim winem, które znalazła w paczce od  
Willa, i uśmiechnęła się w stronę bliższej ze złotych łun.  
– Wasze zdrowie, panowie.**

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ciało Kirka nie stawiało oporów pod naciskiem jej palców. Sheila rozrywała je w panice, wciąż słysząc stęknięcia bólu, które męczyzna wydawał ze zmasakrowanych ust. Łzy i krew przesłaniały dziewczynie widok. Chciała tylko, żeby umarł, przestał oddychać i walczyć. Żeby przestał stękać. Nie chciała już słyszeć odgłosów jego cierpienia.

Albo rozkoszy. Nie była pewna.

I dlatego chwyciła kamień i rozbiła jego czaszkę na czerwoną miazgę.

\* \* \*

Nie zaskoczył ją ani krzyk, który wydała z siebie przy nagłym przebudzeniu, ani pot, który pokrył gęsto całe jej ciało. Od razu wiedziała, że obudziło ją ujadanie gońców prowadzących ostrą wymianę zdań.

Zakłęta i posłała im kilka niewyszukanych inwektyw.

W jaskini Sheili było ciemno, ale szybko zorientowała się, że świtało. Skóry, którymi zakrywała wejście, nie przylegały do skały wystarczająco szczelnie, żeby całkowicie zatrzymać światło.

Dziewczyna usiadła i pozwoliła swojemu ciału na pozbycie się ostatnich dreszczy – pozostałości po koszarze. Jak zwykle najdłużej trzęsły jej się dłonie, ale cierpliwie poczekała, aż i one się uspokoją.

Kiedy po szybkiej toalecie wyjrzała z jaskini, przywitała ją ładny, acz surowy pejzaż. Rozciągnęła się, patrząc na rozpościerający się poniżej las. Poranne powietrze było intensywnie

niebieskie, a przenikająca go zielonkawa mgła nadawała widokowi iluzorycznego klimatu.

Od Srebrnej Nocy minął miesiąc. Śnieg spadł jeszcze tylko dwa razy. Jego ostatnia, cienka warstwa wciąż utrzymywała się na drzewach i skałach. Stracił on jednak na sypkości i zamienił się w skostniałe płaty, które chrupały donośnie pod naciskiem butów, gdy Sheila schodziła po stromej skale. Pospieszne śniadanie dodało jej energii, ale prawdziwie rozbudził ją dopiero szybki marsz w stronę potwora śpiącego u podnóża góry. Wielki odyniec szarpnął się i podniósł, zanim zdążyła go dotknąć.

– No już – westchnęła, przyzwyczajona do niestabilnego zachowania dzika. – Czy znowu musimy przeprowadzać tę rozmowę?

Zatrzymała się o krok od zwierzęcia i podparła boki w oczekiwaniu na jego reakcję. Dzik łypnął na nią krótko, chrząknął i nerwowo zarył w ziemię ryjem, przez co na jego czubku zostało trochę śniegu.

Dziewczyna się nie zraziła. Zdjęła tobołek misternie zawiązany na plecach – od spotkania z Reivenem jeszcze bardziej przykładała się do zabezpieczania swoich rzeczy – i wyciągnęła z niego słoik z kiszonymi marchewkami. Takie specyfiki przygotowywał na jej prośbę William. Rumaczek bowiem był na dziwacznej, jak na swój gatunek, diecie. Dziewczyna nieraz żałowała, że Dziadkowi nie udało się całkowicie zneutralizować jej kudłatego towarzysza. Wtedy jadłby rośliny bez problemu. Niestety proces, jakiemu zostało poddane zwierzę, zatrzymał się w momencie przejściowym. W związku z tym dzik nie rzucał się na mięso tak ochoczo jak wcześniej, ale też nie zdążył stać się całkowitym roślinożercą. Sheila wiedziała, że odyniec najchętniej zatopiłby kły w Gasthonie de Petracku, ale na szczęście udawało się go też udobruchać kwaśnymi potrawami.

Rumaczek przeżuwał kolejną miękką marchewkę, którą dostał od Sheili, i wyglądał na nieco mniej przejętego jej przyjściem. Na koniec szturchnął ją ryjem w ramię i zamruczał znacznie przyjaźniej.

– Wypocząłeś sobie? – zagaiła. Założyła tobolek na ramię i poprawiła przy okazji rideadański łuk na plecach. Pogłaskała odyńca po karku, przemieszczając się w stronę grzbietu. – Znowu cię dziś pomęcę.

Od dawna już nie używała irmizy do zapanowania nad Rumaczkiem. Zazwyczaj akceptował jej towarzystwo i bez tego, a Sheili zależało, by w razie potrzeby dzik był w pełni sprawny i nieogłupiony. Nieraz przydało się to w sytuacji zagrożenia, kiedy musieli uciekać przed drapieżnikami.

Sheila spojrzała w bok.

– O proszę, koleżanka też idzie? – Bez entuzjazmu zwróciła się do białej zmory, która niespiesznie zataczała łuk kilka metrów dalej.

Dzik chrumknął wrogo, ale dotyk dziewczyny szybko go uspokoił.

– No już – mruknęła miękko Sheila i wdrapała się na grzbiet odyńca. – Zaraz sobie pójdzie.

Droga mijała powoli, bo w obawie przed drapieżnikami dziewczyna trzymała się stromego zbocza. Gdy tylko mogła, unikała wchodzenia w las, gdzie roiło się od gońców, przerośniętych żbików, wściekłych łasic i innych okropieństw charakterystycznych dla kazamackiej fauny. Sheila miała w pamięci oraz na swoim ciele sporo śladów po spotkaniach z wrogim zwierzyńcem doliny. Mieszkając na Zarzeczu, łatwo było jej zatęsknić za całkiem zwyczajnymi wilkami, których obawiała się w czasie polowań z Bennem.

Zmora nie spieszyła się z odejściem, ale trzymała się na dystans. Kroczyła powoli skrajem mgły spowijającej las poniżej

zbocza. Co jakiś czas jej trupioblade ciało koślawymi ruchami omijało drzewa, by po chwili wyłonić się jasną plamą gdzieś dalej. Sheila nigdy nie była pewna, czy zmory jej towarzyszą, czy tylko przypadkowo idą czasami w tym samym kierunku. Tym razem stworzenie nie odchodziło wyjątkowo długo.

Wraz ze stopniowym wzrostem wysokości podejście stawało się dla Rumaczka trudniejsze. Jego racice ślizgały się na stromych fragmentach, dlatego Sheila zsiadła i kolejny odcinek pokonała o własnych siłach. Z rzadka trafiali na pozostałości po ekspedycjach Diego Kazamy, których najwięcej było właśnie przy zboczu Igliczki. Sheila dobrze znała rozwalające się drewniane płotki, które zaznaczały odkucia w kamieniu, skąd pobierano próbki skał. Resztki drogowskazów po pierwszej wyprawie badaczy były już ledwo widoczne, za to oznaczenia ścieżki z drugiej ekspedycji nie zachowały się w ogóle. Z tego, co Sheila wyczytała, wszystko wskazywało na to, że druga ekspedycja miała badać najdalej wysunięte pasmo Silviamont, nazwane na cześć Karola Ostenhellta – geografa oddelegowanego z Kazamą, kiedy żaden inny z miejscowych przewodników nie chciał brać udziału w wyprawie.

– Nie dziwię się, że nie mieli chętnych – powiedziała Sheila, prowadząc Rumaczka przez wąski fragment przejścia. – Pieniądze, jakie im proponowano, nawet dzisiaj robią wrażenie, ale jeśli faktycznie większość tej drogi, którą idziemy, przygotowała sobie ekipa Kazamy, to naprawdę nie wiem, jak można było poruszać się tutaj przed nimi. No i drapieżników było więcej. Chociaż – zatrzymała się na chwilę i rozejrzała po majestatycznym lesie – nawet bez tej mgły widok musiał robić wrażenie.

Las faktycznie był piękny w swojej śnieżnej i bezlistnej surowości, ale bez wątplenia również niepokojący. Sheila poczuła dreszcz na plecach i szczerzej naciągnęła kaptur na głowę.

Kiedy dotarli do Pasma Ostenhellta, znajdowali się znowu w zasięgu mgły. Zmora, która szła równoległe z nimi, nie zatrzymała się ani na moment. Powoli ominęła ich i zniknęła między drzewami. Sheila odprowadziła ją wzrokiem i wzruszyła ramionami.

Polana, na której się znaleźli, była maleńka, otoczona skałami i stanowiła najdalszy punkt, do którego udało się dziewczynie dotrzeć. Tak samo jak pierwszej ekspedycji. Cztery usypane z kamieni nagrobki stanowiły tu jedyne ślady cywilizacji. Sheili tylko na jednym udało się znaleźć resztki podpisu, ale niewiele jej to powiedziało o zmarłym, bo przez lata litery uległy niemal całkowitemu zniszczeniu. Niektórym badaczom udało się rozszyfrować, kto leżał pod stosami, ale dziewczyna nie pamiętała tych nazwisk. Minęła kurhany w milczeniu i podeszła do miejsca, które najbardziej ją interesowało.

Przed dziewczyną piętrzyła się prawie pionowa ściana. By wejść na nią od bocznej strony, trzeba było nadłożyć sporo drogi i przejść przez teren gigantycznych pajaków – rozmiarami i zaciekłością przewyższają nawet te, które Sheila miała nieprzyjemność spotkać w Północnej Puszczy. Bliskość ich gniazda była odczuwalna. Dziewczyna szybko dojrzała, że jeden z osobników tego gatunku siedział nieruchomo między drzewami, przysłonięty niezwykle dorodną i rozbudowaną hubą. Sheila od razu przegoniła zwierzę celnie rzuconym patykiem.

Kiedy zorientowała się, że żaden wielki insekt już na nią nie czyha, spojrzała w drugą stronę, gdzie pasmo geografów spotykało się z pasmem Igliczki. Zamyśliła się, wodząc wzrokiem po kamieniach usypanych w tym punkcie. Żleb był stromy i nie wyglądał stabilnie. Ale za czasów Kazamy wcale nie musiało tak być.

Według Ostenhellta – jednego z nielicznych ocalałych – Diego Kazama uparł się, by iść na górę przez teren pajaków i ostatecznie stał się ich paszą, podobnie jak większość jego ludzi. Nie



trafił się nikt chętny do odnalezienia ciał nieszczęśników zaraz po wypadku. Nawet potem, gdy do Kazamatów wysłano tabuny wojska i robotników, Zarzecze niechętnie odwiedzano. Dziksze i bardziej nieprzystępne od reszty doliny, a do tego owiane tajemnicami i czarną historią, było raczej omijane przez wojsko. Srebrnego żelaza w bród było w Pasmie Kazamy, które okazało się zaskakująco dostępne, gdy poradzono sobie z większością drapieżników.

Sheila zapewne nie negowałaby tej wersji historii, gdyby nie to, że z Igliczki widziała więcej. Zwłaszcza gdy w Srebrną Noc poszła na jej najwyższy punkt, by popatrzeć na drugą stronę doliny. Ruszyła powoli ostrą granią, zdając sobie sprawę, że za dnia nie mogła swobodnie eksplorować tej strefy, bo zbyt szybko się odśloniła. To właśnie wtedy znalazła kolejnego członka ostatniej ekspedycji. A w zasadzie to, co z niego zostało.

Sheila kilka razy trafiała na ludzkie kości u podnóża Igliczki. Nie było to jednak częste znalezisko. Tak jak trójkę mężczyzn na Ostatniej Polanie – jak badacze nazwali miejsce, w którym urywał się ślad Kazamy – tak też innych zmarłych towarzyszy chowano na miejscu. Dziewczyna wiedziała też, że jeśli podczas wyprawy zginął mieszkaniec Aldeny, czasami rodzinie udawało się sprowadzić jego ciało. Jedynymi wyjątkami były osoby, które ginęły w wyniku upadku ze stromego zbocza Igliczki. Zanim zakończono przygotowywanie prowizorycznej ścieżki, trudno było dostać się do poszkodowanych. To właśnie ich szkielety sporadycznie napotykała.

Jednak tym razem było inaczej. O świcie zobaczyła kości na szczycie grani, wciśnięte między dwa głazy. Najlepiej zachował się fragment prawej nogi w wysokim, skórzanym bucie. Sheila podejrzewała, że resztę pożarły sępy, bo pozostała część szkieletu, rozrzucona i pokruszona, spoczywała kilka metrów

dalej. Dziewczyna miała szczerą nadzieję, że ktokolwiek ugrzązł w tym miejscu, miał szybką śmierć i nie musiał czekać aż do zagłodzenia.

Jednak to, co było dla niej najcenniejszym odkryciem, znajdowało się we wciśniętej w skałę cholewce. Był to dwukrotnie złożony list owinięty cienką, skórzaną ochronką, która niestety nie zdołała całkowicie zabezpieczyć go przed zniszczeniem. Sheila z największą ostrożnością odgięła kruszący się pergamin, ale tekst był rozmazany. Jedynie sam początek korespondencji dało się rozczytać przy bardzo wnikliwym przyjrzeniu się.

*Dolina, 12 października 625 rkg.*

*Wielce Szanownemu Kanclerzowi Aldenowskiemu*

*Piszę do Waszmożnej Instancji z nadzieją, że uda się zapobiec niegodziwości, której wystąpienie uznaję niestety za coraz bardziej pewne.*

Tyle udało się rozszyfrować, bo dalsza część całkowicie zawilgotniała przez ponad sto przeleżanych w bucie lat. Sheila nie wiedziała zatem, kto napisał list ze skargą lub ostrzeżeniem, ale jednego była pewna: posłaniec z jakiegoś powodu szedł Igliczką, zatem musiał wejść na nią od strony Pasma Ostenhellta. Postanowiła znaleźć tę drogę. To był jej jedyny ślad. Podobnie jak badacze przed nią unikała wejścia na teren pajaków. Kilka ryzykownych ucieczek z obrzeża ich gniazda wciąż przyspieszało jej tętno.

Ruszyła w górę żlebu jeszcze wolniej niż dotychczas. Ruma-czek nie był zadowolony z tej wycieczki, co sygnalizował nie-

ustannym złowrogim pochrumkiwaniem. Sheila wiedziała, że jego racice nie były przystosowane do chodzenia po górach, dlatego cierpliwie czekała, aż jej wielki towarzysz pokona kolejne przeszkody. Dzięki pracy, którą wykonywali wspólnie, odkąd Sheila znalazła pośląca i list, udało im się utworować kilka najmniej stabilnych fragmentów żlebu. Dziewczyna zaznaczała bezpieczną trasę iglastymi gałęziami, bo wszelkie narysowane znaki na kamieniach szybko rozpuściłby śnieg. Nie było łatwo pozyskać patyki, po drodze minęła tylko jedno zarośla.

Im byli wyżej, tym kamienie zastawali większe i stabilniejsze. Coraz rzadziej mieli więc potrzebę przesuwania je z pomocą Rumaczka. Niestety coraz ciężiej było im również zyskiwać na wysokości, bo odnieniec nie był w stanie robić większych kroków. Sheila prowadziła go ostrożnie bokiem, pilnując każdego ruchu zwierzęcia.

– Chyba – sapnęła, sięgając ręką do ostatniego głązu i podciągając się z wysiłkiem – chyba jesteśmy.

Zamarła, oparta łokciami na kamieniu i nogami o skały poniżej. Przełęcz pomiędzy Igliczką i Pasmem Ostenhellta była wąska i kamienista. Nie znajdowało się na niej ani jedno wypłaszczenie. Ostre krawędzie kamieni straszyły i ostrzegały przed nieostrożnymi krokami. Po drugiej stronie żleb był krótszy i kończył się wąską półką skalną. Za nią była już tylko przepaść.

Sheila jednak nie patrzyła ani na przełęcz, ani na żleb w dole. Wbiła wzrok w wodospad, który znajdował się zaskakująco blisko. Znała go. Mieszkała w jaskini za tym właśnie wodospadem przez cały swój pobyt w Wolnej Kompani.

– Ciekawe, co robi Lasota – mruknęła.

Rumaczek chrumknął głośno, co przywołało Sheilę do porządku.

– Idę – zapewniła szybko i cofnęła się o krok, by pomóc towarzyszowi. – Tam na górze nie możemy się ociągać, bo ktoś z Wolnej Kompanii mógłby nas zobaczyć.

Miała na myśli szczególnie Leo albo Lasotę. To głównie oni mogli przebywać w okolicy wodospadu albo na skałce ponad nim.

– Nigdy więcej nie będę cię ciągnęła tą trasą – obiecała dzikowi, kiedy poprowadziła go bocznymi kamieniami na skraj przełęczy. Tam wcisnęła zwierzę za skałę, by osłonić je przed widokiem kogoś z dołu. – Szlak wyznaczony. Dobrze się spisałeś.

Odpoczywali tylko chwilę. Mimo schronienia Sheila wciąż obawiała się wykrycia, dlatego szybko zjadła to, co zostało z jej prowiantu, i z ulgą pozbyła się reszty marchewek dla Rumaczka.

– To musiało inaczej wyglądać – stwierdziła z przekonaniem, patrząc na Igliczkę naprzeciwko. – Poślaniec nie mógłby wleźć na nią od tej strony. – Pokazała palcem na gładką skałę. – Widzisz tamto zarysowanie? Blok skalny oderwał się od lica ściany i rozłupał na kilka części. Teraz jest zbyt pionowo, ale wtedy musiało być łatwiej.

Rumaczek chrumknął, a Sheila przeniosła wzrok na niego.

– Nie usprawiedliwiam się – rzekła z naciskiem. – Pewnie i sto lat temu nie dałabym rady się wspiąć. Ten poślaniec musiał być naprawdę sprawny. Ciekawe, czemu nie wybrał dolnej drogi, skoro dopiero co ją wytyczyli. Albo unikał drapieżników – zastanawiała się. – Albo szedł w tajemnicy – dodała ciszej i uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Nie gadaj, że ponosi mnie fantazja. Zostaw takie teksty Willowi.

Sheila ostatecznie nie przeszkadzała stromość skały. Wiedziała, że prosta linowa drabinka załatwiłaby sprawę.

Rumaczek mruknął nisko i prychnął kilka razy. Wyglądało na to, że utrzymywanie jednej pozycji na nierównym podłożu zaczynało go drażnić. Sheila podniosła się i otrzepała spodnie ze śniegu. Zapakowała tobołek, po czym mocno zawiązała go na ramionach.

– Za to tędy da się wejść – powiedziała z satysfakcją, zadzierając głowę do góry i lustrując chropowatą ścianę Pasma Ostenhella.

Kolejne chrumknięcie było ostrzejsze.

– Nie zostawię cię – uspokoiła dzika. – Wrócę tu jutro. Trochę nam zejdzie z drogą w dół, ale dzięki tobie następnym razem wleżę tu już sama – zaszczębiotała pieszczotliwie i pomiziała zwierzaka po policzkach.

Wzdrygnęła się, gdy obok jej ucha rozbrzmiało donośne krakanie. Zamarła i kątem oka spojrzała na wielkiego czarnego ptaka, który usiadł na łysej gałęzi samotnego, suchego krzaka. Bardzo powoli sięgnęła po strzałę, ale Rumaczek zakwiczął donośnie i podskoczył niespokojnie, co wypłoszyło kruka.

– No wiesz – jęknęła dziewczyna z wyrzutem. – Nie wszyscy lubią kiszonki.

Dzik jednak nie zwracał uwagi ani na nią, ani na swoje zachowanie, które stawało się coraz bardziej niespokojne. Patrzył w stronę zejścia, gdzie na różnych wysokościach przycupnęły mniejsze i większe dzikie pająki. Sheila zmarszczyła brwi i podeszła do odyńca, kładąc mu uspokajająco dłoń na karku.

– Przeprowadził kolegów. – Przełknęła ślinę. – Spokojnie, mamy na nich sposób, pamiętasz?

Rumaczek pamiętał i właśnie dlatego coraz ostrzej wierzgał kończynami. Gatunek tych insektów był niezwykle płochliwy i uciekał na każdy intensywniejszy ruch. Najważniejsze to nie dopuścić, by któryś z przeciwników zdołał ukąsić. W przypadku człowieka kończyło się to prawie zawsze śmiercią. Dla wielkiego odyńca oznaczało chwilowy paraliż, a w konsekwencji pożarcie przez ośmionożne bestie. Te natychmiast dopadały unieruchomioną ofiarę i oplatały silną pajęczyną.

Jedynie tej białej sieci Sheila się obawiała. Jad nie robił jej krzywdy. Była odporna. Tak jak Rumaczek.

Jak na zawołanie poczuła pieczenie w zgięciu łokcia, gdzie tak dawno temu Dziadek wstrzykiwał swoje dziwaczne specyfiki. Tylko jedna dobra rzecz wynikła z jego doświadczeń – jej odporność. Podejrzewała, że w podawanych miksturach musiał znajdować się oczyszczony pajęczy jad. Wcześniej zahartowano nim też koczowników. Mieszkając na Zarzeczcu, szybko nabawiła się ukąszeń tych wszędobylskich potworów i ani razu nie musiała korzystać z antidotum, które dostała od Willa, a w zasadzie od Ataya. Resztką zapasów oczyszczonego jadu, którą mieli wielebnicy od Riga, Sheila uodporniła Rumaczka. Nie chciała, żeby jakieś pechowe ugryzienie powaliło jej towarzysza choćby na chwilę.

Tak, Sheila nie obawiała się trucizny pajaków. Pojedyncza sieć też nie stanowiła dla niej problemu. Kilka potworów mogło przegonić nawet głośniejsze kichnięcie. Problem pojawiał się wtedy, gdy stworzeń było więcej. Wraz z gęstniejącym tłumem nikiemło tchórzostwo pajaków. Sheila z niepokojem obserwowała podnóże góry, daleko w dole, gdzie na skraju lasu pojawiały się kolejne ciemne bestie.

– Myślisz, że zorientowały się, że przychodzimy tu codziennie? – zapytała Rumaczka, którego coraz trudniej było uspokoić. – Zawsze myślałam, że są raczej tępe.

Dzik ryknął doniośle i najbliższy pajak czmychnął o kilka metrów niżej. Sheila z niezadowoleniem musiała przyznać, że sterata kamieni nie stanowiła żadnej przeszkody dla potwora. Ostre krawędzie skał nie spowolniły go ani odrobinę.

– Szlag – syknęła cicho i odetchnęła głęboko.

Schyliła się po niewielki głaz i dźwignęła go z głośnym westchnieniem. Następnie zamachnęła się od dołu i zrzuciła kamień w stronę kolejnego pajaka.

Uciekł na dół, zatrzymując się dopiero w połowie żlebu, gdzie robiło się już gęsto od insektów.

– Cholera, zaraz wszystkie się tam ustawią i zatarasują przejście. A do tego rozwalają naszą pracę – jęknęła na widok podcinanych pajęczymi odnóżami kamieni, które osuwały się w niekontrolowany sposób.

Obejrzała się za siebie, ale zdawała sobie sprawę, że zejście na półkę skalną po drugiej stronie nie było rozwiązaniem. Nie wiedziała, czy poza przepaścią znajdzie tam cokolwiek innego i prawdopodobnie ugrzęźłaby w ślepym zaułku. Ona mogła wdrapać się na Pasma Ostenhellta, ale Rumaczek nie miał na to szans.

– Nie ma wyjścia – warknęła zrezygnowana. – Musimy narobić hałasu.

Rozejrzała się za większym kamieniem. Głaz, sięgający jej do pasa, znajdował się dosyć blisko krawędzi, by dało się go zepchnąć. Sheila trochę po omacku zawiązała wokół niego linę przytroczoną do Rumaczka, wciąż obserwując powiększający się zastęp pajaków na dole. Policzyła do trzech i szarpnęła prowizoryczną uzdę dzika, który wiedział już, co należało czynić na ten znak. Kilka sekund siłowania się ze skałą wystarczyło, żeby głaz wystarczająco się wychylił. Sheila szybko uwolniła Rumaczka, a potem z całej siły napała na chybotający się fragment skały.

Efekt był aż nadto spektakularny. Odłam turlał się bokiem żlebu, wydając przy tym donośne stuknięcia i podcinając inne kamienie. Pająki rozpiezchły się na wszystkie strony. Część nie zdążyła wdrapać się na boczną ścianę i pod naporem pędzącego głazu skończyła jako wilgotna plama. Inne potwory z impetem rzuciły się na drugą stronę żlebu, powodując nagły ruch wielu drobnych kamieni, które zaczęły przeszkadzać w ucieczce insektom znajdującym się poniżej. Po chwili słychać było tylko jeden donośny huk, gdy niewielka lawina przepędzała zwierzęta.

Kiedy hałas ustąpił, a kurz zaczął opadać, pojedyncze pająki biegały w ogłupieniu, nie mogąc się zdecydować, czy uciekać w górę, czy na dół. Inne niemrawo poruszały kończynami, przygniecione co większymi kamieniami. Kilka stworzeń przebiegło przez przełęcz i schowało się z drugiej strony góry.

Sheila z zadowoleniem zarejestrowała dwie rzeczy. Pierwszą był fakt, że zdecydowana większość pajaków wycofywała się szybko w głąb lasu, obserwowana przez jak zwykle nieporuszoną zmorę. Drugą rzeczą, która przyniosła Sheili ulgę, było to, że osyp zniszczył tylko prawą stronę żlebu, przez co większość trasy, którą przygotowywali z Rumaczkiem w ostatnich dniach, została w niezłym stanie.

– Brzmiało to gorzej, niż wygląda – ucieszyła się dziewczyna i odetchnęła. – Nie patrz tak na mnie. Obiecałam, że nie będę cię tu ciągnąć. Następnym razem wezmę drabinkę i przyjdę z gór...

Przerwała na odgłos, który doszedł do niej z dołu. Był to potężny i przeciągły ryk dobiegający z połowy wysokości żlebu. Sheila znieruchomiała i wbiła wzrok w pokryte cienką warstwą śniegu łyse zarośla, które osłaniały fragment skały po lewej stronie.

– Co do chole... KURWA MAĆ!

Zakryła usta dłonią, ale niewiele to pomogło, bo Rumaczek zupełnie nie przejmował się zachowaniem spokoju. Zarośla poruszyły się, a cały śnieg opadł z nich w jednej sekundzie, gdy, niczym taran, wyskoczył zza nich niedźwiedź. Zwierzę to, jak przystało na mieszkańca Kazamatów, a w szczególności terenów zarzecznych, był większy od jakiegokolwiek innego przedstawiciela swojego gatunku.

Sheila instynktownie wskoczyła na Rumaczka w obawie, że ten ucieknie w popłochu. Tak jakby miał dokąd.

Zbudzony z zimowego snu potwór rozejrzał się na boki i zatrzymał wściekle spojrzenie na dziewczynie i dziku, który



wierzgnął rozpaczliwie nogami, o mało nie zrzucając towarzyszkę ze swojego grzbietu. Tylko szybkie chwycenie przytroczonej do niego liny uchroniło Sheilę od upadku na ostre kamienie.

Niedźwiedź ruszył na nich i zanim zdążyli się odwrócić, był już w połowie drogi na górę. Stromy żleb nie stanowił dla niego żadnej przeszkody. Sheila popędziła odyńca, ale miała wrażenie, że dzik i bez tego rzuciłby się do ucieczki na drugą stronę przełęczy. Zrobił to jednak znacznie bardziej koślawo niż jego przeciwnik, przez co po dwóch krokach raczej staczał się po zboczu, niż zbiegał. Kamienie osuwały się pod racicami zwierzęcia coraz szybciej, przepędzając trzy pająki, które poprzednio wybrały ucieczkę w górę. Dwa z nich momentalnie zniknęły za krawędzią, a ostatni został staranowany przez dzika.

Sheila co rusz obijała kolanami o ostre skały. Ryk niedźwiedzia słyszała tuż za sobą. Rumaczek zakwiczał w panice i całkiem stracił kontrolę nad odnóżami. Zjechał po kamienistym żlebie aż do półki skalnej, w ostatniej chwili wyhamowując przed przepaścią. Z głębokich szram na jego boku tryskała krew, ale adrenalina nie przestawała działać ani na niego, ani na jego towarzyszkę. Podnieśli się i ruszyli pędem w dół półki. A ta wcale nie kończyła się za rogiem. Sheila nie powstrzymała wybuchu krótkiego śmiechu na ten widok. W tym momencie liczył się dla niej tylko każdy kolejny metr drogi, którą byli w stanie uciekać.

Kamienna ścieżka była gładka i ośnieżona. Racice dzika ślizgały się na niej niebezpiecznie, a Sheili coraz trudniej było uchylać się przed wystającymi fragmentami skały.

Odyniec zakwiczał przeraźliwie, gdy ostre pazury przeorały jego skórę. Stracił równowagę i o mało nie spadł z wąskiej półki. Sheila nie miała tyle szczęścia i gwałtownie przeleciała przez ostrą krawędź. Chwyciła się skały w ostatniej chwili, ale palce ześlizgnęły się natychmiast z oblodzonego kamienia. Sheila krzyk-

nęła i spadała. Przekręciła się głową w dół i poczuła ostre szarpnięcie. Noga zaplątała jej się w sznur Rumaczka. Ten walczył z grawitacją i próbował podnieść się pomimo ciężającej mu dziewczyny. O dziwo pomógł mu w tym przeciwnik. Niedźwiedź jednym ruchem rzucił dzikiem o ścianę góry. Sheila poczuła kolejne szarpnięcie, ale nie skupiała się na nim. Jedno spojrzenie w dół uświadomiło jej, że nie przeżyje ewentualnego upadku.

Resztką sił zgięła się i próbowała chwycić linę u nogi. Bezskutecznie. Gdy opadła przy kolejnym szarpnięciu, uderzyła plecami o skałę i o mało nie zwymiotowała. Krawędź półki działała na sznur niczym ostrze i z każdym ruchem dzika z liny wystrzeliwało coraz więcej pojedynczych włosów.

Rumaczek nie tylko nie miał szans z niedźwiedziem. On w ogóle nie walczył. Nie potrafił. Stracił instynkt wraz z neutralizacją. Sheila wiedziała, że jej kompan potrafił już jedynie uciekać przed atakami. A teraz nie miał jak uciec. Kwiczał donośnie, stając się zabawką w łapach większego i groźniejszego od siebie potwora.

Sheila z krzykiem bólu zgięła się jeszcze raz i dosięgła liny. Jej instynkt zadziałał prawidłowo, dlatego zaraz potem podciągnęła się i chwyciła krawędzi skały. Zrobiła to poprawniej niż wcześniej. Dziewczynie udało się podciągnąć i zobaczyła kompletnie zmasakrowanego dzika po raz kolejny rzuconego na kamienną ścianę.

Chciała tylko wspiąć się na półkę i przesyć głowę niedźwiedzia strzałą. A potem kolejną i następną. Szyłaby z łuku, ile tylko byłoby potrzeba. Ale nie dane jej było nawet spróbować.

Wielka łapa niedźwiedzia zamachnęła się i zrzuciła odyńca w przepaść, jakby był jedynie bezwładną kukiełką. Sheila nawet nie krzyknęła, bo przerażenie, które ją ogarnęło, odebrało jej władzę we wszystkich mięśniach. Dzik spadał, a lina, która łączyła go z Sheilą, pękła z trzaskiem. Impet, z jakim to się sta-

ło, nie pozwolił dziewczynie utrzymać się na krawędzi. Poleciała szybko zaraz za zwierzakiem, natychmiast przylegając do jego poszarpanego ciała.

Spadali kilka sekund, po czym nastąpiło uderzenie. Sheila usłyszała przeszywający dźwięk łamanych kości i wiedziała, że to nie były jej kości. Upadła na miękki pokrwawiony brzuch odyńca i sturlała się na zimną ziemię. Przez chwilę wzrok dziewczyny się rozmazał, a w uszach doskwierał ogłuszający jazgot przemieszany z szumem. Znowu zwymiotowała, leżąc na boku i walcząc z drgawkami. Dopiero po chwili zdołała dojrzeć zarys otoczenia i usłyszeć ryk niedźwiedzia, dobiegający z góry. Dwa wielkie pająki, które zdążyły już zbiec po pionowej skale na sam dół, w panicznym pędzie czmychnęły w las.

Sheila przewróciła się na plecy i wyteżyła wzrok. Przeciwnik wydał z siebie jeszcze kilka przeciągłych dźwięków i niespiesznie odszedł w górę wąskiej półki. Sheila stęknęła i wypłuła krew z ust. Czuła, że świadomość w każdym momencie może ją opuścić. Zawalczyła z tym i przrzuciła się na drugi bok, by spojrzeć na Rumaczka.

Oddychał płytko i rzeził ochryple. Sheila dźwignęła się na łokciu i podciągnęła się w jego kierunku. Przekrwione oczy skierował w jej stronę, ale nie była pewna, czy ją widział. Płonęło w nich przerażenie. Sheila położyła dłoń na jego policzku i pogładziła jedyne miejsce, w którym nie zionęły szramy po niedźwiedzich pazurach. Otworzyła usta i natychmiast załkała.

Rumaczkiem targnął dreszcz i zwierzę zakwiczało z bólu. Miał złamany kręgosłup, co pokazywała jego nienaturalnie wygięta sylwetka. Następny dreszcz zaowocował kolejnym jęklwym, rozdzierającym serce kwikiem. Sheila chciała go przytulić, ale to sprawiłoby mu więcej bólu.

Zignorowała rwanie we własnych mięśniach. To nie miało teraz znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Sięgnęła do cholewki

i wyciągnęła z niej nóż myśliwski od Gregora. Szlochając, pogładziła Rumaczka po oblepionej krwią szczecinie, a następnie zasłoniła mu oczy ramieniem. Sama też przymknęła mokre powieki i zamruczała uspokajająco, komponując się z delikatnym wiatrem szumiącym w bezlistnych gałęziach.

– Przepraszam – załkała słabo. – Nic dobrego nie przyszło ci z naszego spotkania.

Pogłaskała go po policzku po raz ostatni i wbiła nóż w jego szyję. Agonia trwała jeszcze tylko sekundę, a potem ciało czworonożnego towarzysza zamarło w bezruchu.

Nagły skurcz żołądka zmusił Sheilę do przekręcenia się na drugą stronę, gdzie ponownie zwymiotowała. Nie walczyła już z odpływającą świadomością.

\* \* \*

– Co cię ugryzło? – rzucił Verrad w stronę Nikka i podniósł do ust puchar.

Stół w zamkowej jadalni rzadko bywał pusty. Jednak tego dnia mieszkańcy Twierdzy ucztowali przy jeszcze bogatszym repertuarze potraw niż zazwyczaj. Długo dochodzili do siebie po szeregach popijaw z okazji Srebrnej Nocy, ale wreszcie minął czas ich regeneracji i generał poczuł, że przyda mu się kolejna biesiada.

Nikkolai nie odpowiedział na zadane pytanie, tylko wzruszył ramionami. Zirytowany tym Verrad skrzywił się i zamruczał groźnie pod nosem.

Generał rozejrzał się po towarzyszach. Przez chwilę obserwował dowódcę straży zamkowej. Ten jak zwykle mało mówił, za to dużo pił. Mężczyzna przyglądał się tańczącej kobiecie ubranej w komplet zasłaniający mniej ciała niż zwykła bielizna. Metalowe zdobienia podzwaniały w takt kołysania biodrami, a ciemne

loki podskakiwały sprężystość podczas obrotów. Nowa dziewczyna w Twierdzy robiła wrażenie, ale jej obecność i tak irytowała generała. Była za młoda, a do tego Nikk przyprowadził ją bez konsultacji z kimkolwiek. Samowola tego człowieka coraz bardziej działała wszystkim na nerwy.

Dowódca straży zupełnie nie umiał ukrywać emocji. Patrzył na zgrabne ciało Elessii lubieżnym wzrokiem. Nawet Gregor potrafił zerkać w tamtym kierunku z większą ogładą.

Jednym z dwóch mężczyzn, którzy ignorowali tańczącą piękność, był major Danteil. Jak zawsze wyglądał na zniesmaczonego. Prawdopodobnie najchętniej opuściłby to towarzystwo. Generał nie wiedział, na co Hugo czekał. Nigdy nie robił tajemnicy ze swojego niechętnego stosunku do tego, co działo się w Twierdzy.

Jedynymi przyjemnymi kompanami dla dowódcy byli oficerowie, których coraz częściej zapraszał do zamku.

– Poważnie, Nikk – podjął generał z naciskiem, widząc, że on tak samo jak major nie był zainteresowany dziewczyną, którą przecież sam sprowadził do Twierdzy. – Jakiś przygaszony jesteś. Źle ci tutaj?

Zapytany mężczyzna westchnął i wyprostował się na krześle.

– A komu tutaj dobrze?

Kilka osób zaśmiało się i pokiwało głowami.

– Trudno się nie zgodzić – przyznał generał. – Ale też trudno nie uznać cię za straszego buca, Nikki. Widzisz minę Hugo?

Major Danteil faktycznie skwaśniał jeszcze bardziej i zmierzył kompana pogardliwym spojrzeniem. Jak zwykle nic nie powiedział, tylko upił mały łyk wina.

– Zapewne chętnie porównałby twój los do biednych skazańców – rzucił prześmiewczo kapitan Sinnd, nie przepuszczając okazji, by dokuczyć majorowi.

– I miałby sporo racji – powiedział Verrad. – Akurat Nikk nie powinien narzekać na swój los.

Wszyscy wiedzieli, do czego generał pił. Nikk wytrzymał tę uwagę. Ostatnio często nawiązywano do tego, że był skazańcem. Wznowienie układów z królem nie mogło wyjść mu na dobre. Lepsza opieka monarchy oznaczała, że geszefciarze, z którymi współpracował Nikk, byli mniej cenni w oczach generała.

– Czym się martwisz? – drażył Verrad bez litości. Uczta tego dnia nie była zbyt żywa i zaczynało mu się nudzić. Upatrzył sobie Nikka jako ofiarę do wyładowania złych emocji, zwłaszcza że ten od długiego czasu działał mu na nerwy. – Nie bój się. Nie zostawimy cię teraz na lodzie. Musi być jakiś honor na tym świecie.

Wszyscy czuli, że właśnie to zapewnienie brzmiało bardziej niepokojąco, niż gdyby generał nie powiedział nic.

– Nie jestem bardziej przybity niż Haveken. – Nikk sprawnie odbił piłeczkę, wiedząc, że tylko na jednej osobie generał wyżywał się chętniej niż na nim i Danteilu.

Haveken Sallman drgnął i popatrzył na Nikka ze złością. Nie odważył się jednak powiedzieć ani słowa. Po degradacji i ogromnej dawce strachu, której nabawił się po rzekomym niedopilnowaniu swoich ludzi przeszło rok wcześniej, nareszcie uzyskał zaszczyt, którego tak pragnął. Zamieszkał w zamku w Twierdzy. Od razu jednak wiedział, że nie czekało go tam nic dobrego. I się nie pomylił. Choć ostatecznie generał nie spełnił obietnicy i nie skazał Havekena na śmierć, to nie odmówił sobie przyjemności gnębienia go przy każdej okazji. Upodlony, pozbawiony statusu mężczyzna skończył jako zamkowy pomagier. Jego bezpośrednią przełożoną była Sira, co dodatkowo doprowadzało go do furii. Mało co sprawiało Verradowi więcej satysfakcji niż wściekły, zawstydzony wzrok Havekena Sallmana, który dzierżył najgorsze

i najbardziej niewdzięczne funkcje, i nie mógł na to powiedzieć ani jednego nieprzemyślanego słowa.

– No ale akurat on faktycznie ma powody do niezadowolenia – ryknął Verrad i zaśmiał się razem z innymi.

Oczy byłego strażnika zapłonęły i nieco się zgarbił. Ewidentnie miał wielką chęć opuścić swoje stałe miejsce przy wejściu do kuchni. Nie zrobił tego jedynie ze strachu przed konsekwencjami.

– A właśnie – podjął nieco żywiej generał z nadzieją, że biesiada wreszcie się nieco rozkręci. – Wiecie, że nasz drogi Haveken ostatnio błagał mnie, żebym pozwolił mu pracować w kopalni? – Większość oficerów zaśmiała się na te słowa. – Czy ci skazańcy mają tam lepiej niż tu na zamku? Jeszcze chwila i moje dziewczyny zaczną uciekać do kamieniołomu albo ceglarni.

Nikk nie słuchał rozmowy, która rozgorzała między pozostałymi. Patrzył spokojnie na Havekena. Ten posyłał mu nienawistne spojrzenie.

– Mam nadzieję, że dobrze ryglujesz drzwi na noc – odezwał się półgłosem Danteil, pochylając się odrobinę w stronę Nikka. – On tylko czeka, żeby pchnąć cię nożem.

Łącznik geszefciarzy uśmiechnął się nieprzyjemnie i spojrział na rozmówcę z drwiną.

– Naprawdę, Hugo? – zakpił. – Naprawdę masz nadzieję, że rygluję drzwi dostatecznie dobrze?

Kącik warg majora drgnął nerwowo, a potem ku zaskoczeniu Nikka Danteil uśmiechnął się krzywo.

– Uwierzysz, jeśli ci powiem, że nawet cię trochę szanuję? – Oparł się łokciami na stole. – Nie jesteś hipokrytą jak reszta. Wojskowi zamiast pilnować zasad, rozwalają je w drobny mak i ustalają swoje bandyckie kodeksy. Skazańcy werbowani do straży zachowują się, jakby faktycznie do niej należeli – kontynuował z pogardą. – A ty jedyny nie udajesz, że jesteś

czymś więcej niż karaluchem, który chce po prostu żyć wygodnie w otaczającym go syfie. Jak na karalucha przystało, jest ci dobrze w brudzie i zepsuciu. I nawet nie pozorujesz, że chcesz coś zmienić w tym kazamackim śmietniku. Siedzisz w pleśni i jako jedyny nie udajesz, że ją sprzątasz.

– Niczym robactwo? – zapytał spokojnie Nikk, szczerze zainteresowany rozmową.

Danteil kiwnął powoli głową.

– Niczym robactwo – powiedział dobitnie. – Ale to sprawia, że łatwiej cię znieść.

Nikk się uśmiechnął.

– Na tyle, by martwić się moją śmiercią?

Major zamyślił się, a potem wypił zawartość swojego pucharu do dna.

– Jednak masz rację – przyznał, podnosząc się. – Nie na tyle, by mnie to obeszło.

Szybkie pożegnanie i wyjście Danteila nie zrobiło na nikim większego wrażenia. Kiedy go zabrakło, Nikk poczuł się jeszcze bardziej samotny niż do tej pory. Bez majora tylko on pozostał przy stole skwaszony. Pożałował, że nie usiadł bliżej Gregora, jak miał to w zwyczaju dawniej. Mógłby zająć się rozmową, choćby i płytką.

Kolejne spojrzenie, które posłał mu spod drzwi kuchennych Haveken, nie było ani trochę cieplejsze niż poprzednie. Nikk w odpowiedzi uśmiechnął się do byłego strażnika, z satysfakcją obserwując, jak tamten poczerwieniał z wściekłości.

– Zamierzasz go jakoś ustawić? – zapytał oficer Bordiash, który siedział po drugiej stronie Nikka, gdy dostrzegł, na kogo ten patrzy.

Nowo awansowany na starszego sierżanta Marcus przesiadł się na miejsce po Danteilu, machnął ręką i zaczął napełniać ich puchary winem.



– Szkoda zachodu na tego jebańca – skwitował i klapnął ociężale na swoje nowe krzesło. – Wszyscy wiedzą, że lubuje się w bajkach i teoriach spiskowych.

Nikk zmarszczył brwi i przysłuchiwał się tej wymianie zdań z uwagą.

– Może i tak – przyznał Bordiash i spojrzał na Nikka z ukosa. – Tylko że akurat te bajki to jednocześnie całkiem konkretne oskarżenia. Ja bym nie darował, jakby ktoś tak chlapał jęzorem na mój temat.

Nikk pochylił się nad stołem, ale nie dopytywał. Wiedział, że i tak zaraz dowie się, o co chodziło oficerowi.

– A, bo ty, Oscar, to jesteś wrażliwy na swoim punkcie jak hrabianka na cnotę.

– W tej kwestii hrabianki nie są wcale aż tak wrażliwe – wszedł mu w słowo Nikkolai i obaj jego rozmówcy zaśmiali się gardłowo.

– No nareszcie – zawołał do nich Verrad z drugiego końca stołu. – Myślałem, że zamierzasz tu smęcić cały wieczór – zwrócił się do łącznika geszefciarzy, a następnie ryknął doniośle na całe towarzystwo: – Wprowadzam zasadę: każdy, kto smęci, wypierdala.

Przy stole zahuczało od męskiego śmiechu, a potem szybko wrócono do przerwanych rozmów.

– Nie jestem wrażliwy – zaperzył się Oscar Bordiash. – Dbam po prostu o swoje dobre imię. I nie pozwoliłbym takiemu ścierwu jak Sallman gadać, co mu ślina na język przyniesie.

Marcus oderwał kawałek mięsa od kaczki, która leżała najbliższej niego, i wzruszył ramionami.

– Tak po prawdzie to nie on te plotki rozniósł – zauważył przytomnie.

– Ale je podtrzymuje – upierał się Oscar coraz natarczywiej. – I draży temat. Ja się wcale nie dziwię, że widzi winę swojego upadku w tobie – zwrócił się spokojniej do Nikka. – Ale zaskoczony jestem, że mu to uchodzi na sucho.

Nikkolai się zniecierpliwiał. Wyglądało na to, że jednak nie był w stanie poznać szczegółów bez dopytania.

– O czym w zasadzie mówicie? – rzucił bez entuzjazmu,

Zaskoczenie Bordiasha było tak ewidentnie udawane, że Nikk bez problemu odgadł, iż od początku mężczyzna wyznaczył sobie za cel zaintrygowanie go i wyjawienie postępów Havekena niczego nieświadomemu łącznikowi.

– Naprawdę nie słyszałeś? – zapytał Marcus i po jego minie Nikk już wiedział, że obaj brali udział w tej maskaradzie. – No cóż... Sallman zawsze był cięty na tych szczerzych posłańców.

Nikk prychnął, ale jego wzrok był nieustępliwy.

– Też mi nowina – rzucił i zakrył usta pucharem. – Ale to chyba nie powód, żeby truć mi dupę tym kretynem? Każdy wiedział o jego obsesji.

– Nie do końca mu się dziwię – zamyślił się Marcus, co wydało się Nikkowi całkiem szczere. – Ty nie musisz patrzeć na ich pewne siebie ryje i słuchać, jak domagają się wejścia na teren zamku.

Bordiash się zaśmiał.

– Bez przesady. Tak się odzywał tylko Desmont. Ale on chciał ci zrobić na złość, bo faktycznie, trochę się na niego ostatnio uwzięłeś.

Marcus zaklął pod nosem, ale nie odpowiedział.

Nikk westchnął przeciągle.

– Widzę, że strażnikom wciąż trudno pogodzić się z tym, że po ostatniej wpadce kapłani ciągle przyjmują posłańców Franc-ka? – domyślił się, patrząc to na jednego, to na drugiego.

– A żebyś wiedział – warknął Marcus. – Jak to jest, że jakiś byle szczur włamuje się do zamku, wywołuje pożar, podaje się za posłańca, a i tak nikt nie próbuje naprawić tego systemu?

Nikk wzruszył ramionami.

– Tamten młody nie był posłańcem szczurów. Tylko się za niego podawał. Nie było podstaw, żeby wyciągać konsekwencje wobec kapłanów, bo nie poparli go oficjalnie. Pogódź się z tym wreszcie. Mnie też wkurwiał ten oszust. Ale już go nie ma, a od tamtej pory jest spokój. Dlatego ten system zostanie. Zwłaszcza teraz, kiedy podjęto negocjacje z Franckiem.

Marcus sapnął poirytowany, ale widać było, że już nieco łagodniał.

– Masz rację. Ale czasem dobrze się na kogoś powkurwiać.

Nikk zaśmiał się cicho i na chwilę przerwali rozmowę, by obserwować, jak następowała zmiana tancerki na dobrze wszystkim znaną Fredę.

– Ale wiesz... – zagaił po chwili Bordiash. – Trochę szkoda, że rewelacje Foxa to bujda, bo chętnie urządziłbym temu oszustomi oficjalną egzekucję. Jakby posłańcy zobaczyli go dyndającego nad ziemią, to może szczury Francka nabrałyby pokory.

Nikk zmarszczył czoło.

– O czym ty mówisz?

Marcus machnął ręką, ale ewidentnie doszli wreszcie do punktu rozmowy, o który chodziło mężczyznom.

– Jeden z tych brudasów od Fabiana podobno spotkał w lesie naszego więźnia. Parę tygodni temu. Przeżywał, że to na pewno on, i widocznie uciekł. – Sierżant popatrzył znacząco na łącznika, a potem na drugiego kolegę.

Nikk opuścił wzrok na swój talerz i chwycił sztućce.

– Skąd pomysł, że to był on? – zapytał niedbale.

Oscar wzruszył ramionami.

– Coś mu się widocznie przywidziało – rzucił, czujnie obserwując Nikka. – Mało to w Kazamatach chuderlaków z bliźniami?

– Mówił o bliźnie? – zainteresował się mężczyzna i spojrzał na sąsiada uprzejmie.

Marcus okazał całkowicie udawane zdziwienie.

– Co to za różnica? Przecież sam mówiłeś, że Vito spalił tego szczura na twoich oczach.

Nikkolai nie odpowiedział. Wiedział, że nie musiał. Mężczyźni nie wierzyli w rewelacje rzekomego Foxa. Chcieli jedynie napuścić go na Havekena. Postanowił pozwolić im na dalsze podchody.

– Rozumiem, że Sallmanowi w smak są te rewelacje? – powiedział, po czym włożył do ust ostatni kęs schabu i wytarł usta w serwetę.

Marcus uśmiechnął się i pochylił do niego podekscytowany.

– I to jak! Odgrażał się starym znajomym, że cię załatwi, bo pewnie wrobiłeś go w to gównno.

Oficer Bordiash zaśmiał się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ostatnio chyba zmienił wersję – relacjonował z wyraźną satysfakcją. – Mówił, że całe to schwytnie szczura i trzymanie go w celi to był spisek przeciwko niemu, żeby doprowadzić do degradacji i upodlenia.

Nikk wyprostował się na krześle i patrzył przed siebie w intensywnym zamyśleniu.

– Zawsze przeceniał swoje znaczenie – skwitował w końcu, a następnie popił posiłek łykiem wina.

Do końca wieczoru pozwalał towarzyszom nieskrępowanie opowiadać o wszystkich rzeczach dotyczących miernoty Havekena, brudasa Foxa oraz szczura z Wolnej Kompanii, który przeszło

rok wcześniej narobił sporego zamieszania nie tylko w Twierdzy, ale i życiu Nikka.

\* \* \*

Leo lubił chłód. Był chyba jedynym człowiekiem w Kazamatach, który nie wyczekiwał przyjścia wiosny. Zwłaszcza że miał jeszcze dużo do zrobienia przed nastaniem cieplejszych dni. Bez względu na pogodę i porę roku treningi zawsze zaczynał przed świtem. Tego dnia szło mu wyjątkowo gładko. Powietrze było zimne, ale nie mroźne. Przyjemnie chłodziło jego rozgrzane od wysiłku mięśnie. Nie spieszył się więc z powrotem. Słońce świeciło już wysoko, kiedy szybkim marszem kierował się w stronę swojej siedziby.

U podnóża kamiennych schodków minął podwładnych, którzy skinęli mu na przywitanie głowami. Odwzajemnił ten gest, nie zatrzymując się.

– Jak zwykle.

Odwrócił się na dźwięk znajomego głosu. niespiesznie podchodził do niego Reiven.

– JAK ZWYKLE ja już jestem po treningu, a ty dopiero wstałeś? – zapytał Leo, nie odwzajemniając wyrachowanego uśmiešku, który wykwitł na twarzy jego rozmówcy.

Fałszierz wzruszył ramionami. Ręce miał schowane w kieszeniach ciepłego jak na kazamackie warunki płaszcza.

– Dokładnie – skwitował Reiven bez krępacji.

Dowódca westchnął i ruszył dalej, ale wyglądało na to, że Reiven zamierzał mu towarzyszyć.

– Masz do mnie jakąś sprawę? – zapytał Leo.

– W zasadzie tak – odparł tamten i podrapał się po schludnie utrzymanej brodzie. – Przejdziemy się?

Leo niechętnie zawrócił.

Ruszyli wzdłuż jeziora, oddalając się od grupki buntowników.

– Chodzi o Matteo. – Reiven nie zwlekał z wyłożeniem sprawy. – Podobno chcesz go wcielić w szeregi dezertarów. Swoją drogą, powinni sobie znaleźć nową nazwę. Coraz mniej wśród nich byłych wojskowych.

Leo zatrzymał się i spojrzął na przyjaciela. Jego wzrok się wyostrzył. Założył ręce na piersi. Zignorował ostatnią uwagę fałszerza i przeszedł od razu do rzeczy.

– Owszem. Obserwuję go od dłuższego czasu. Świetnie walczy i ma trochę oleju w głowie. To dobry czas na docenianie zasłużonych ludzi. Niechętnie to przyznaję, ale Verrad zadał nam cios swoimi rewelacjami. A Matteo całkiem spektakularnie sobie ostatnio poczynał. Nikogo nie oburzy jego awans. Dlatego zamierzałem go przyjąć do grona dezertarów... jakkolwiek niewłaściwie brzmi ta nazwa – dodał znacząco.

– Czy on sam do ciebie przyszedł w tej sprawie? – zapytał Reiven, nie wyciągając rąk z kieszeni.

Leo nie krył zaskoczenia tym pytaniem.

– A to jakaś różnica?

– A to jakaś tajemnica? – odbił piłeczkę tamten.

Dowódca szybko poskromił irytację, która się w nim zrodziła.

– Tak, Matteo przyszedł do mnie niedawno i poprosił o przeniesienie do dezertarów. Możesz wreszcie przestać owijać w bawełnę i powiedzieć, o co ci chodzi? Masz jakieś obiekcje co do jego kandydatury?

Reiven wyglądał na całkowicie opanowanego.

– A to akurat jest tajemnica – stwierdził z pogodnym uśmiechem. – Możesz go na razie nie przyjmować? Bez zadawania pytań? – dodał, widząc, że Leo już otwierał usta.

Dowódcy nie uśmiechało się przy braniu udziału w grze Reivena.

– A ty możesz przestać mnie wkurwiać i powiedzieć jasno, o co chodzi?

Po minie fałszerza widać było, że jest to cel nie do osiągnięcia.

– Słuchaj. – Reiven zaczął pojednawczo. – Proszę cię po prostu, żebyś na razie wstrzymał się z tą sprawą. Potrzebuję Matteo u siebie.

Leo zmarszczył czoło.

– Jeżeli za długo nie dostanie zasłużonego awansu, to zacznie się irytować i nie będziesz miał z niego pożytku. Widziałem wielu żołnierzy, których zepsuło zbyt długie przetrzymanie na lichym stanowisku, bo jakiemuś dowódcy się nim dobrze rządziło.

Reiven błysnął byстрыm spojrzeniem.

– Ja znam takich żołnierzy, których szybkie awanse zgubiły.

Leonidas Franck zagryzł zęby i zacisnął wargi. Zdzierzył to ewidentne nawiązanie do swojej historii i jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

Reiven uśmiechnął się z politowaniem na ten widok.

– Nie martw się o Matteo. Jego psychika już dużo bardziej nie ucierpi na tej jakże jawnej niesprawiedliwości. A właśnie... Na razie w ogóle nie poruszaj z nim tego tematu. Jeśli sam zapyta, to powiedz, że nie zdecydowałeś jeszcze, co z nim zrobić. Wymów się jakoś.

Leo westchnął zrezygnowany.

– Jednym słowem, mam nie mówić, że to ty wstrzymujesz jego przeniesienie?

Na twarzy rozmówcy wykwitł szeroki uśmiech, próżno było jednak w nim szukać oznak radości. Wyrażał on raczej satysfakcję. Leo bez słowa odwrócił się na pięcie i ruszył do siebie, ale po dwóch krokach zatrzymał się i obejrzał na fałszerza.

– To poważna sprawa czy coś egoistycznego?

Reiven wzruszył ramionami i podszedł do przyjaciela.

– A co to za różnica? Jeśli powiem, że mam w tym prywatny biznes, to nie przychyłisz się do mojej prośby?

Leo prychnął i razem ruszyli w stronę kamiennych schodów.

– Chyba powinienem to wreszcie kiedyś zrobić.

Reiven westchnął nonszalancko.

– Gdybyś naprawdę uznał, że to tylko egoistyczna zachcianka, to kazałbyś mi iść do diabła.

Dowódca zmierzył go poważnym wzrokiem.

– To prawda. A może tylko pozwalasz mi tak myśleć – zastanawiał się głośno. – Ile czasu potrzebujesz na załatwienie sprawy?

– Nie wiem. Raczej nie spiesz się z przyjęciem powitalnym dla Matteo.

Leo westchnął po raz kolejny, tym razem znacznie spokojniej.

– A już miałem piec tort.

Reiven parsknął dźwięcznym śmiechem i spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem.

– Coś takiego. To ty jednak umiesz żartować? – zakpił.

Franck zamierzał bez zwłoki wrócić do siebie, kiedy grupka dezertersów na czele z ich dowódcą, Bruce'em, wybuchnęła śmiechem. Obaj z Reivenem zwolnili machinalnie.

– Nieźle – skomentował Syrius historię opowiedzianą przez koleżkę.

– Bruce – zaczął Leo, podchodząc bliżej. – Przyjdź do mnie niedługo.

Wywołany mężczyzna nieco spoważniał. Sztywno kiwnął głową, przyjmując polecenie do wiadomości.

Dowódca zdążył odejść kilka kroków, kiedy w grupce ponownie zabrzmiał śmiech.

– No i wtedy on mi mówi, że trzeba iść z tym do kapłana – kontynuował opowieść jeden z nowych dezertersów imieniem



Zakkariash. – Najlepiej zaraz. A ja na to: Tak, już biegnę w środku nocy budzić Lasotę.

– O czym wy mówicie? – Leo wrócił się, kiedy usłyszał, że rozmowa dotyczyła wielebnego.

Jaspis pospieszył z odpowiedzią.

– Tej nocy przybiegł do bramy ten nowy handlarz z bandy Scotta. Ten, jak mu tam... No ten, co się wszystkiego cyka.

– Filon – podpowiedział Reiven, słuchając opowieści z boku.

– No właśnie – kontynuował Jaspis, nawet nie patrząc na fałszerza. – Staliśmy z Zakkim na warcie jak zwykle. A ten facet przybiegł cały zziębnięty i mówi, że widział ducha.

Leo wiedział, że każda historia była dla jego ludzi dwukrotnie śmieszniejsza, jeśli dotyczyła jakiegoś oprycha Carlosa albo członka bandy Reivena.

– Nie do końca – poprawił kolegę Zakkariash. – Powiedział, że w chacie straszy.

– W jego chacie? – dopytał Leo, ale Jaspis szybko zaprzeczył.

– Chodziło mu o ten stary dom przy jeziorze. Ten przy górach.

Z każdym kolejnym słowem dowódca był coraz bardziej przekonany o tym, że historia Filona mało go interesowała. Reiven słuchał z większą uwagą, ale w końcu chodziło o jego człowieka.

– Więc kazał się prowadzić w tej sprawie do wielebnego? – Leo zapytał o jedyną rzecz, która była dla niego istotna.

Syrius pokiwał głową, a Zakk podjął temat.

– Oczywiście kazaliśmy mu spierdalać. Mało brakowało, a dostałby w mordę, bo już stawał się męczący.

Reivena zainteresowała inna kwestia.

– Skąd on się znalazł w tej chacie? Przecież wszyscy przybiegli tu wczoraj w obawie przed pajakami.

Jaspis wyglądał, jakby niekoniecznie miał ochotę odpowiadać na pytanie zadane przez Reivena. Reszta dezertów nie była tak uprzedzona.

– Z tego, co mówił, trochę za późno zaczął wracać i noc go zastała. Chyba zamierzał przespać się w tej chacie.

Po minie Reivena trudno było odczytać, jak się ustosunkował do tych informacji, ale widać było, że intensywnie o czymś myślał.

– Co takiego zobaczył?

Jaspis wzruszył ramionami.

– Podobno słyszał czyjeś jęki czy coś takiego. No i znalazł jakąś szmatę przy drzwiach. Ale w środku nic nie było.

– Szmatę?

– Nie wiem dokładnie. Pokazywał nam, ale było ciemno. Taki skrawek materiału. – Palcem w powietrzu niedbale narysował, jakie były rozmiary tego kawałka. – Taka... ciemna...

– Czerwona – sprecyzował Zakk. – Niewiele o tym mówił. Od razu chciał biec do Lasoty. Powiedziałem, że nie potrzeba wielebnego, bo sami możemy go utulić do snu. Na przykład prawnym sierpowym.

Dezertrzy się zaśmiali. Leo założył ręce na piersi.

– W porządku – powiedział w końcu zniecierpliwiony. – Ale może warto sprawdzić, co z tą chatą.

Reiven prychnął.

– Filon to leń śmierdzący – stwierdził, wzruszając ramionami. – Pewnie przespał cały dzień, zamiast handlować, a potem nie chciał wracać na pusto, więc wymyślił tę bajeczkę.

– Leń to może on i jest, ale nie taki śmierdzący – wtrącił Bruce. – Co rusz smaruje się tymi sokami, co to je odciąga z roślin. Ostatnio coś iglastego dorwał i się za nim unosił... jak on to nazwał?

– *Powiew zachodniego lasu* – przypomniał mu Pitter, który siedział najdalej i odzywał się najmniej.

Dezerterzy zaśmiali się na te słowa.

– Tak – przyznał Bruce. – Ten cały Filon to dziwna persona.

Leo zniecierpliwiał się dyskusją, która prowadziła w jego mniemaniu donikąd.

– Panowie, uprzedźcie, żeby nadal nikt nie wychodził z obozu, dopóki Lasota nie zrobi świeżego antidotum na pajęczy jad – rzucił na odchodne i ruszył do siebie. – Bruce, pamiętaj, żeby przyjść do mnie zaraz.

– No wiecie – mruknął wspomniany dezerter do swoich kompanów. – Tak jakbym kiedyś zapomniał.

\* \* \*

Przyjemny chłód w ciągu dnia zamienił się w przejmujące zimno wieczorem, które doskwierało wszystkim strażnikom pełniącym wartę. Wiedząc o tym, Anatol zapewne nie wychyliłby nosa ze swojej kanciapy, w której przyjemnie żarzyło się w piecyku. Jednak sprawa, która wyciągnęła go na dziedziniec, była zbyt istotna, by wolno mu było przejmować się pogodą.

Poszedł prosto do bramy i skinął głową na strażnika. Ten drzemał przy ognisku z szeroko otwartymi ustami, z których w rytm chrapania buchała para.

– Markez. – Anatol szarpnął strażnika za ramię. – Markez, rusz dupę.

Wywołany zachrapał głośniej i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na kolegę.

– Co do kurwy? – warknął w odpowiedzi.

Anatol wyprostował się i szturchnął go nogą.

– Wstawaj – mruknął znudzony. – Nikk pyta o tego skazańca, którego miałeś mu znaleźć. Jak mu tam? Fix czy tam Fax.

Markez nieco oprzytomniał i się przeciągnął.

– Fox, debilu. Trzyliterowe imię i nadal masz problem z zapamiętaniem?

Anatol kopnął go mocniej.

– Jakbym miał zapamiętywać imiona całego tego robactwa, to by mi chyba łeb wyjebało w powietrze.

– W to nie wątpię – zakpił Markez.

Usiadł nieco wygodniej i szczerzej okrył się kocem. Nie wyglądało, żeby zamierzał się podnieść.

– No to gdzie ten Fox? – zniecierpliwił się Anatol.

– Kurwa, przecież mówiłem, że w Trzeciej Kopalni, nie? – warknął tamten i zamknął oczy, choć widać było, że senność mu przeszła.

– Miałeś go ściągnąć do Twierdzy. Nikk się wścieka.

Markez sapnął zniecierpliwiony.

– No i będzie go miał u siebie jutro. Przekazałem wiadomość. Co mu się tak spieszy do wążania tego brudasza?

Anatol zaklął siarczyście.

– Miałeś go przyprowadzić, a nie wysyłać mu zaproszenie – warknął. – Pojebało cię? Jak myślisz, po co Nikkowi jakiś wieśniak z kopalni? Pewnie coś przeszkrobał i teraz, jak został ostrzeżony, to da nogę, a tobie obetną jaja.

Po raz pierwszy na twarzy Markeza pojawiło się zainteresowanie. Spojrzał na rozmówcę niepewnie.

– Może i tak – przyznał. – Jeśli to prawda, to już po mnie – jęknął.

Wstał nagle i otrzepał spodnie z błota i śniegu.

– Komu przekazałeś wiadomość dla Focha?

Markez przez chwilę zastanawiał się nerwowo, zanim odpowiedział.

– Yyy... Temu bez dwóch zębów z przodu.

– A, to wiem. Trafił swój na swego. To jeszcze większy kretyn niż ty. Jak masz trochę szczęścia, to zapomniał dać znać skazańcowi, że ktoś czegoś od niego chce. Oni tam na dole mają w dupie rozkazy.

Markez przytaknął i klepnął Anatola w ramię.

– Powiedz Nikkowi, że...

– ...że zjebałeś?

– Zamknij ryj – mruknął tamten niezadowolony, ale myślami był już gdzie indziej. – Idę po tego gościa. Jakby Nikk pytał, to powiedz mu, że Gerton robił problemy i dlatego zeszło z tym dłużej.

Anatol fuknął pod nosem.

– Tak, kurwa. Gerton przez cały dzień i noc wzbraniał ci zabrać skazańca, bo tak ich, kurwa, wszystkich lubi.

Ale Markez już nie słyszał tych słów. Minął bramę, przeciął zewnętrzny pierścień obozu i ruszył do kopalni.

\* \* \*

– Nie chcę kłopotów – powiedział Filon z niepokojem w głosie.

Stał naprzeciwko Reivena. Fałszerz usadowił się wygodnie na krześle przy swoim stole i uważnie przyglądał się mężczyźnie.

– Naprawdę, to pierwsza rzecz, jaką masz mi do powiedzenia? – Jego ton był wyważony, co wcale nie uspokajało rozmówcy. – Chcę wiedzieć, co się wydarzyło w nocy.

Filon nie był pewny, co odpowiedzieć.

– Nie sądziłem, że interesujesz się aż tak sprawami swoich ludzi. Gdybym wiedział, nie szarpałbym się z tymi przygłupami w bramie, tylko od razu przyszedł do ciebie.

Reiven uniósł nieco brew.

– Zasadniczo wolę, kiedy nie zawraca mi się dupy pierdołami. Więc lepiej tego nie rób – ostrzegł. – Ale ta sprawa mnie zaciękała. Drogi Filonie... Jesteś w mojej bandzie niecałe trzy miesiące, a średnio raz w tygodniu wychodzi jakaś sprawa z twoim udziałem. Przyznasz, że to zastanawiające? Do rzeczy. Co się zjebało?

Filon wyglądał na nieco zmieszanego, ale w końcu zaczął tłumaczyć.

– Handlowałem, w końcu to moja robota. Przyznaję, że trochę zabalowałem na posterunku i kiedy wracałem, było już ciemno. Jak mijałem tę chatę, to coś usłyszałem...

– Dobra – przerwał mu zniecierpliwiony Reiven. – Nie o to pytałem.

Filon spojrzał na niego z niepokojem, a dowódca pochylił się lekko do przodu.

– Dużo przegrałeś?

– Yyy... eee... – zmieszał się mężczyzna. – Skąd...?

– Nigdy nie pytaj mnie, skąd coś wiem. To strasznie wkurzające. Przecież i tak ci nie powiem, kto mi doniósł. Wiesz co? Gdybyś po prostu zabrał się i stąd spieprzył, to pół biedy. Ale z tego, co mi wiadomo, nie zamierzałeś nas opuścić bez pamiętek.

Filon wyglądał na przerażonego i zaskoczonego jednocześnie.

– Ja nie... nic nie zrobiłem – zająknął się.

Reiven zmarszczył brwi i tym razem wyszło mu to naprawdę groźnie.

– Chciałeś się dostać do Lasoty, tak? A najlepiej do jego laboratorium?

Filon zaczął lekko panikować.

– Nie! W żadnym wypadku!

– Pochwaliłeś się kolegom strażnikom, debilowi. A choćbyś i tego nie zrobił, to twoje działania były tak ewidentne, że nawet Imbo Szczekacz by się w nich połapał. Zjebałeś – skwitował fałszerz i roz-

łożył bezradnie ręce. – Nie da się ukryć. Miałbyś u mnie ciepłą fuchę, gdybyś robił swoje i nie pozwolił sobie obić mordy za te pachnidła. Szczerze mówiąc, w dupie mam twoje długi, dopóki moja dola się zgadza. Własne pieniądze możesz przepijać albo przegrywać. Choć niewielu jest takich, którzy długo na tym ujadą.

Filon nieco się uspokoił.

– Przyznaję, że nie jestem bez skazy. Ale z tą chatą to szczerza prawda. Ona jest nawiedzona. Słowo honoru!

Reiven zaśmiał się z politowaniem.

– Twoje słowo i honor są raczej gównem warte. Chcesz mi powiedzieć, że nie zmyśliłeś tego, żeby spróbować się dostać do Lasoty?

Wyglądało na to, że również Filon się zirytował.

– Faktycznie szkoda, że o tym wcześniej nie pomyślałem – warknął obrażonym tonem. – Ale jeśli miałbym taki plan, to zrobiłbym chyba cokolwiek, żeby się udał? Przede wszystkim nie uderzałbym do dezertarów w środku nocy.

– Tak... to było głupie – przyznał Reiven. – Tym bardziej nie ufam twojemu rozsądkowi.

– No dobra. Przegrałem zarobek na posterunku i chciałem zmyć się do Twierdzy zaraz po ogłoszeniu przez Verrada nowych porządków króla. Ale szybko zorientowałem się, że można tu żyć, nawet będąc mną. W zasadzie dobrze mi tu jako handlarzowi. – Wzruszył ramionami. – Sam wiesz, że mam masę znajomych na posterunku, który mi przydzieliłeś. No i już prawie odrobiłem dług. Nie jestem hazardzistą. Sprułem się raz i wcale nie ciągnie mnie do tego gówna. Mogą tam mną gardzić, ale jak przychodzi co do czego, to okazuje się, że tylko ode mnie dostają towar, którego potrzebują.

Reiven uśmiechnął się lekko. Zaczynał przekonywać się do handlarza.

– Rozumiem. Czy na tej samej zasadzie urządziłeś się tutaj? Z tego, co wiem, wszyscy mają cię za frajera, który ucieka z pi-skim na widok myszy.

Filon przełknął tę zniewagę, ale mina mu zrzedła.

– W zasadzie tak – przyznał niechętnie. – Może i jestem dla nich frajerem, ale kiedy potrzebują czegoś, czego nie mają inni handlarze, to nagle nie przeszkadza im ani mój sposób bycia, ani... piszczenie na widok myszy.

Reiven podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

– Wiec mówisz, że to ci wystarcza?

Filon wzruszył ramionami.

– A to mało?

Jego szef zaśmiał się cicho.

– Nie. W zasadzie nie.

Nie był zaskoczony postawą swojego człowieka, a raczej tym, że najwidoczniej pomylił się co do niego.

– Niech ci będzie – stwierdził w końcu. – Od dziś moja dola zwiększa się dwukrotnie.

Filon spojrzał na niego i jęknął bardzo niemęsko.

– Co? Ale przecież to będzie prawie połowa mojego zysku.

– Jeszcze nie do końca ci wybaczyłem, że chciałeś uciec do Verrada – powiedział fałszerz z przekąsem.

Filon wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć na ten temat, ale w końcu zrezygnował i poruszył inną kwestię.

– Co do tej chaty...

Reiven uniósł rękę, przerywając mu.

– Mówiłem, że nie lubię, jak mi się zawraca głowę pierdołami.

Filon nie dawał za wygraną.

– Mówiłem poważnie. Tam ktoś był.

– Tak. Słyszałem, że jakiś duch – zakpił buntownik. – Zamknij drzwi od drugiej strony.



Mężczyzna oparł dłonie na blacie stołu i odezwał się żywo:

– A właśnie, że faktycznie jakieś лихо albo stwór – tłumaczył z przejęciem. – Na zewnątrz znalazłem zakrwawioną szmatę i słyszałem dziwne jęki. Jakby ktoś dogorywał. A jak zajrzałem przez okno do środka, to zobaczyłem ślady krwi na podłodze, ale nikogo nie było – opowiadał uparcie. – Księżyc jasno świecił, to widziałem.

– Swoją drogą, gratulacje dla ciebie, że od razu nie uciekłeś w popłochu – sarknął Reiven i dodał: – Tylko chwilę później.

Filon się skrzywił.

– Nikt mi nie wierzy, a ja tam uważam, że coś złego w tej chacie siedzi. Krew jest, jęki są, a nic nie widać. To nie jest normalne. No i jeszcze ten nóż wbity w drzwi.

Reiven założył ręce na piersi, a wzrok mu spoważniał.

– Nóż?

Filon sięgnął do kieszeni i wyciągnął ostrze. Położył je przed przełożonym i pogładził się po czole w zamyśleniu.

Reiven patrzył na ostrze i czuł, że serce zabiło mu mocniej. Filon coś jeszcze mówił, ale buntownik już go nie słuchał. Znał tę broń. Widział ten myśliwski nóż dawno temu. Mimo to czuł, że to nie była pomyłka. Miał pamięć to kształtów i kolorów.

To był nóż Sheili.

– Załatwiliśmy sprawę – powiedział nagle obcym, chłodnym tonem. – Nie chcę więcej słyszeć, że rozpowiadasz brednie o tej chacie. Dezerterzy i tak się z ciebie nabijają. Jasne?

Mężczyzna nie wyglądał na zadowolonego, ale niechętnie skinął głową.

Reiven zabrał nóż ze stołu i powoli obracał go w dłoniach.

– Teraz się wynoś. I jeszcze jedno – rzucił, kiedy Filon otworzył już drzwi. – Przynieś mi więcej tego zapachowego mydła co ostatnio.

Rozwalająca się chata znajdowała się nad jeziorkiem, niedaleko Wolnej Kompanii. Reiven szedł niespiesznie w stronę pomostu i stojącego na nim drewnianego domu. Lustrował okolicę, ale nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Starał się zachowywać cicho. Z jednej strony chciał usłyszeć jęki, o których wspominał Filon. Z drugiej jednak próbował jak najdłużej pozostać nieodkrytym, jeśli ktoś faktycznie przebywał w domu.

Dopiero kiedy był kilka metrów od lichego budynku, zobaczył na jego ścianie krwawy odcisk ręki. Podeszedł bliżej. Była to drobna, szczupła dłoń.

Z tej odległości słyszał niewyraźne odgłosy dobiegające z domu. Nie mógł tego jednak nazwać jękami czy zawodzeniem. Prędeż szuraniem i sapaniem. Wyciągnął duży nóż, który zawsze nosił przy pasie, i skradając się, okrążył chatę. Nasłuchiwał. Kiedy mijał jedyne okno budynku, bardzo ostrożnie zajrzał do środka. Jedna ze ścian była ubrudzona krwią, ale nic więcej nie dało się dostrzec. Zrobił jeszcze kilka kroków i zobaczył, że rozpadające się drzwi były uchylone. W jednej z desek faktycznie była dziura, która wielkością pasowała do noża Sheili.

Wstrzymując oddech, podeszedł bliżej i zajrzał do środka. Prawie od razu musiał zakryć usta, bo o mało nie zwymiotował na widok, który zastał.

W kącie leżał wielki, martwy pająk, z którego odwłoka wylewały się wnętrzności. Obok, tyłem do buntownika kuczał niezwykle zarośnięty mężczyzna. Plecy osłonięte miał tylko postrzępioną koszulą. Nie posiadał żadnego cieplejszego okrycia, a jego jedynym atrybutem był łuk. Reiven od razu go rozpoznał.

Nie czekał dłużej. Z łoskotem otworzył drzwi i dopadł mężczyznę. Jednym ruchem odwrócił go do siebie i przycisnął do

ściany. Sekundę później wielki nóż lśnił przy krtani nieznajomego. Dopiero wtedy Reiven skrzywił się, czując odór brodacza. Niewielki skrawek twarzy, którego nie pokrywał ciemny zarost, wyrażał jedynie panikę. Reszta umazana była galaretowatymi wnętrznościami martwego zwierzęcia. Małe, świńskie oczka mężczyzny łypały we wszystkie strony. Od razu było widać, że nie do końca orientował się w rzeczywistości.

– Coś ty za jeden? – warknął Reiven.

Odpowiedziało mu pojękiwanie i rżenie. Zniecierpliwiony szarpnął dziwką i uderzył nim o ścianę. Ten kaszlnął i zaczął się osłaniać, ale nóż szybko go uspokoił.

– Skąd masz ten łuk?

Z niewyraźnej paplaniny zaczęły wyłaniać się poszczególne słowa. Fałszerz wyteżył uwagę i słuch.

– Ja pomogłem... Nie wiem, nie wiem, nie wiem... pomogłem... Nic, nic, nic... – mamrotał nieznajomy i wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz.

Reiven nieco zwolnił uścisk, ale jego wyraz twarzy nie łagodniał.

– Skup się, jeśli nie chcesz oberwać – wycodził przez zęby. – Komu pomogłeś?

Mamrotanie nabrało prędkości.

– Nic, nic, nic...

– Słuchaj, szajbusie! Patrz na mnie! Zobacz, odkładam nóż. – Schował ostrze do tylnej kieszeni i chwycił mężczyznę za kolnierze obiema rękami. Koszula była w tak złym stanie, że Reiven obawiał się, że rozerwie mu się w dłoniach. – Skup się. Wzięłeś ten łuk od dziewczyny?

Oczy nieznajomego na chwilę zdawały się odzyskać świadomość. Powtórzył słowo *dziewczyna* bezgłośnie, kilka razy. Reiven pokiwał głową.

– Tak. Dziewczyna. Gdzie ona jest?

– Ja pomogłem – mruknął tamten.

– Dobrze. – Reiven silił się na spokój. – Dobrze, że pomogłeś. A teraz powiedz, gdzie ona jest.

Mężczyzna po raz pierwszy spojrział prosto na buntownika. Wzrok miał zamglony. Następnie powoli przyłożył sobie palec do ust.

– Ciii... – wyszeptał konspiracyjnie.

Reiven warknął przekleństwo i puścił mężczyznę.

– Ja też chcę jej pomóc – powiedział pojednawczo, gdy tamten kulił się pod ścianą. – Rozumiesz? Coś ty za jeden? – Ostatnie zdanie wypowiedział bardziej do siebie, bo nie spodziewał się odpowiedzi.

Mężczyzna zasłonił twarz dłońmi i mamrotał bez przerwy. Reiven z rezygnacją usiadł na rozpadającym się, spróchniałym krześle, które stało przy stole. Czując smród, jaki bił od świra, zatęsknił za wymyślnymi mieszankami Filona.

– Moja, moja, moja...

Buntownik wyteżył słuch, kiedy mamrotanie znowu przybrało formę konkretnych słów.

– Co twoja? – dopytał z nadzieją.

– Ja pomogłem. Moja dziewczyna.

Reiven ostrożnie przykucnął przy niezrównoważonym mężczyźnie i starał się mówić łagodnie.

– Gdzie jest teraz twoja dziewczyna? – zapytał. – Nic jej nie jest?

– Pomogłem! – krzyknął nagle zdenerwowany mężczyzna, a Reiven uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– W porządku. Więc jest zdrowa? Chcę tylko wiedzieć, czy nie jest ranna.

Mężczyzna zbliżył twarz do twarzy Reivena i wyszeptał powoli:

– MOJA.

Zaraz potem zupełnie niespodziewanie zamachnął się i uderzył fałszerza kawałkiem drewna, który luźno leżał na podłodze. Fałszerz złapał się za głowę i zaklął siarczyście.

– Wracaj tu, szajbusie!

Ale jego już nie było.

\* \* \*

Wszechogarniający ból. Właśnie to było pierwsze uczucie, z jakiego Sheila zdała sobie sprawę.

Jęknęła.

Płuca dziewczyny wypełniał intensywny, duszący i... znajomy zapach. W głowie jej pulsowało, a każdy mięsień buntował się przeciwko próbie poruszenia.

Otworzyła oczy.

Znajdowała się w jamie skalnej, w której śmierdziało zgniłym mięsem. Przestrzeń jaskini gęsto przetykały stalagnaty. Obok Sheili powoli zwęślały się jakieś suszone łodygi. Leniwie sączyły się z nich cienkie wstążki dymu. Właśnie to musiało wydawać ten specyficzny zapach.

Z trudem usiadła i od razu oparła się o kamienną ścianę, bo zakręciło jej się w głowie. Próbowwała sobie przypomnieć, co się wydarzyło.

– Te pieprzone pająki... – syknęła ze złością i schowała twarz w dłonie. – Niedźwiedź. Ruma... – Słowa ugrzęzły jej w gardle.

Spadła ze skały. Była tego pewna. I w zasadzie to by było na tyle ze wspomnień.

A nie – przypomniawszy sobie. – Chata nad jeziorem. Byłam tam? W jej głowie pojawiały się niejasne przebliski.

Gdy się poruszyła, odrętwiały ból zaczął nieśmiało ustępować. Powoli ujawniały się miejsca, które były najpoważniej rane. Od razu zwróciła uwagę na dwa palce u lewej ręki. Wyglądały na zwichnięte albo złamane. Spuchły i zsiniały. Ból w łopatce przypominał jej o uderzeniu w skałę podczas wiszenia na linie, za to kolana miała dotkliwie zbite i obdrapane od upadku z wysokości.

Nagle gdzieś na zewnątrz rozległy się kroki. Rozejrzała się. Nigdzie nie widziała swojego łuku. Czułaby się lepiej, mogąc trzymać intruza na dystans. Podniosła się i syknęła z bólu, ale nie pozwoliła, by to ją zatrzymało. Już tyle razy była ranna i poobjana, że zdążyła się przyzwyczaić do zaciskania zębów.

Podeszła niezgrabnie do grubego stalagnatu i się za nim skryła. Uniosła luźny kamień w pogotowiu, nasłuchując uważnie i próbując zapanować nad strachem.

Kroki stały się głośniejsze, kiedy intruz wszedł do pierwszej części jaskini. Ewidentnie starał się zachowywać cicho, ale echo nie działało na jego korzyść. Sheila mocniej zacisnęła dłonie na małym skalnym odłamku.

Najpierw pojawił się niewyraźny cień. Po trzech sekundach, w których serce dziewczyny łomotało jak oszalałe, Sheila zobaczyła sylwetkę. Zareagowała instynktownie i zdzieliła męczyznę z całej siły w głowę.

Nieco od niej wyższy człowiek zakotłosał się i odkręcił w jej stronę. Wtedy dopiero zobaczyła, że to był Reiven.

– Popieprzyło cię?! – syknął przez zęby, łapiąc się za głowę. – Do reszty... Cholera. – Nagle zrobił zaskoczoną minę i spojrzał na nią, jakby ją zobaczył po raz pierwszy.

Następnie runął na ziemię.

Sheila odrzuciła kamień i upadła koło Reivena na bolące kolana. Poklepała go po policzku, a kiedy to nic nie dało, uderzyła

raz, ale za to mocno. Nie przyniosło to żadnego efektu. Zmieniła pozycję, żeby odciążyć ranne fragmenty swojego ciała, i popatrzyła na nieprzytomnego buntownika. Odgarnęła mu włosy z czoła i westchnęła.

– Będiesz mi to wypominał do końca życia – jęknęła, patrząc, jak na jego głowie rósł dorodny siniak.

Rozejrzała się, ale w jaskini nie było nic przydatnego. Właściwie poza ogryzionymi kośćmi i paroma suchymi łodygami nie było niczego.

– Wstań – zachęciła mężczyznę naiwnie.

Przypomniało jej się, jak prawie półtora roku wcześniej siedziała w zupełnie innej jamie. Wtedy ranny był Leo, a ona drżała o jego stan.

– No, ale on był poważnie chory, nie to co ty – powiedziała i spojrzała znacząco na fałszerza. Następnie uśmiechnęła się złośliwie. – Wiesz... jesteś znacznie znośniejszym rozmówcą, kiedy nie wtrącasz tych swoich arcymądrych komentarzy.

Leo był wtedy na skraju śmierci. Miał gorączkę i wielką dziurę w brzuchu. No i mnóstwo szczęścia, że wyszedł z tego cały. Obecność Sheili miała w tym wszystkim decydujące znaczenie. Dla niego zakasała rękawy i dźwigała jego ciało przez kilkaset metrów w poszukiwaniu schronienia.

– Pewnie zakpiłbyś teraz, mówiąc: „jakie to romantyczne” – zaczęła go przedrzeźniać. – A ja bym odpysknęła coś w stylu... hm... „zamknij się”. A ty na to: „O nie. Cóż za trafna riposta. Odebrało mi mowę”. A ja...

Przerwała. Była pewna, że znowu coś usłyszała na zewnątrz. Może to Leo.

Skrzywiła się, gdy uświadomiła sobie bezdenną głupotę tej myśli. Sięgnęła po odrzucony wcześniej kamień, ale był za daleko. Zanim się do niego dostała, kolejny mężczyzna wbiegł do

środku. Ten nie dał jej czasu na przygotowanie. Poruszał się szybko i mamrotał pod nosem.

– Moja, moja, moja... Zdechł. – Stał jak wryty, gdy zobaczył leżącego na ziemi Reivena.

Sheila przyglądała się nieznajomemu. Nigdy w życiu nie widziała tak oryginalnej postaci. Jego dziki wygląd potęgował ogromny, nieokiełznany zarost i ubranie, z którego zostały tylko strzępy.

– Nie zbliżaj się – ostrzegła i wysoko uniosła dłoń z kamieniem.

– Ja pomogłem – zawołał dzikus i osłonił się rękami.

Drżał, ale nie zrobiło to na dziewczynie wrażenia.

– Kim jesteś? – zapytała ostro.

Wskazał na siebie ręką.

– Ja – odparł powoli i zamasyście kiwnął głową – pomogłem.

Zawahała się. Obserwowała nerwowe ruchy nieznajomego. Skrzywiła się na widok jego umazanych we krwi brody i rąk. Postanowiła się opanować. Wolną dłonią wskazała na siebie.

– Rozumiesz mnie? – mówiła łagodnie, ale głos jej drżał.

Mężczyzna nie patrzył na nią. W rękę trzymał pęk takich samych łysych łodyg jak te, które węgliły się w głębi jamy.

– Co to jest? – zapytała podejrzliwie.

Nieznajomy uśmiechnął się, ukazując gruntowne braki w uzębieniu.

– Pomaga. – Wskazał na suche łodyżki. Przyłożył sobie pęk roślin do nosa i głośno wciągnął powietrze. – Dobra – skwitował z lubością.

Sheila uznała, że należało jak najszybciej ocucić Reivena. Wciąż podejrzliwie zerknęła na zarośniętego człowieka, który mrużąc, majstrował coś przy dymiącym stosiku. Przykucnęła obok bezwładnego ciała.

Nie wiedziała, jak poważny był stan buntownika. Całe szczęście nie uderzyła go zbyt mocno. Siniak na głowie nabrzmiał okazałe, ale Reiven oddychał spokojnie.



Sheila ponownie poklepała go po policzkach. Nic to nie dało. Rozejrzała się, ale po raz kolejny doszło do niej, że w jaskini nie było nic pożytecznego.

– Dym pomoże – zaproponował nieco głośniejszy owłosiony dziwak, nieustannie mamrocząc.

– Tak, tak. – Sheila przytaknęła od niechcienia i go zignorowała.

Jej wzrok trafił na torbę, którą Reiven miał ze sobą. Wyciągnęła ją spod płaszcza mężczyzny i zajrzała do środka. Od razu natrafiła na zawiniątko z jedzeniem, a także trzy ciemne butelki.

Odkorkowała jedną z nich i powąchała, ale szybko zorientowała się, że to była wódka pokrzywowa. Podejrzliwie otworzyła drugi napój. Ten pachniał...

– Reiven – sapnęła zaskoczona.

Napój pachniał Reivenem. A przynajmniej jedną z woni, które zazwyczaj od niego wyczuwała. Była to wyraźnie pieprzowa nuta.

Sheila nie miała czasu zastanawiać się nad swoim znaleziskiem. Sięgnęła po ostatnią butelkę. Tym razem napój nie miał zapachu, więc niepewnie zanurzyła palec w cieczy i dotknęła nim końca języka.

– Woda – odetchnęła głęboko z ulgą, a następnie wylała całą zawartość naczynia na twarz nieprzytomnego.

Poskutkowało. Falszerz zakaszłał i zaczął osłaniać się rękami. Sheila uśmiechnęła się i odrzuciła butelkę na bok.

– Rei! – Tak się ucieszyła, że natychmiast go objęła, mocząc policzek o jego twarz. – Nic ci nie jest?

Kiedy go puściła, spróbował przez chwilę zorientować się w sytuacji, a potem spojrział na nią i zmarszczył czoło.

– Czy ty zawsze musisz mnie budzić w tak drastyczny sposób? – zapytał lekko ochryplym głosem.

Odchrząknął, a Sheila pomogła mu oprzeć się o stalagnat, za którym wcześniej się przed nim chowała.

– Ale mnie rąbnęłaś – syknął, macając sobie tył głowy. – A nawet jeszcze nic nie powiedziałem.

Spojrzała na niego znacząco i usiadła obok. Mamrotanie dziwaka nieco się wzmogło i Reiven odwrócił głowę, żeby dojrzeć pomiędzy stalaktytami znajomą postać. Oboje zobaczyli, że mężczyzna kulił się, ale jednocześnie patrzył na obudzonego buntownika wrogo.

– To jakieś jaja – skomentował Reiven. – Znasz go?

Sheila pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, kto to jest. Co mu zrobiłeś, że patrzy na ciebie wilkiem?

Odpowiedziało jej pełne oburzenia sarknięcie.

– Co JA mu zrobiłem? Wiesz, jak mnie załatwił? Czemu dałaś mu mój łuk?

Sheila zmarszczyła brwi.

– To nie jest twój... Zaraz, co? On ma mój łuk?

Spojrzała na nieznanego mężczyznę i dopiero wtedy zauważyła, że Reiven miał rację.

– Nie wiedziałaś? – oburzył się jeszcze bardziej. – Cholera jasna. Znowu go zgubiłaś – rzucił oskarżycielsko. – W ogóle nie szanujesz mojej własności.

Posłała mu mordercze spojrzenie.

– Twojej szczęki też nie uszanuję, jeśli się nie przymkniesz. A tak w ogóle... Co ty tu robisz?

– No... w zasadzie to chyba cię ratuję.

Spojrzeli na siebie, a potem oboje uśmiechnęli się krzywo.

– Nieźle ci idzie – zakpiła dziewczyna. – Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Ja sama nie wiem, jak tu trafiłam.

Reiven uśmiechnął się złośliwie.

– Zgaduję, że twój nowy adorator maczał w tym palce. Swoją drogą, przytulnie tu. Jak na leże psychola.

Szturchnęła go w bok, ale niechcący uraziła palec i syknęła z bólu.

Buntownik spojrział na jej dłoń i od razu przyciągnął ją do siebie.

– Zamierzałaś z tym chodzić, aż samo odpadnie?

Zaśmiała się przez grymas bólu.

– Tyle się dzieje. Jeszcze nie do końca się orientuję.

– Ja pomogłem! – krzyknął dziwak, który podbiegł do nich ze zwęgloną łodygą.

– Tak, wiemy – wycedził buntownik przez zęby. – Zjeżdżaj.

– Pomoże. Dobry liść. On pomoże. Dobry, dobry, dobry...

Sheila westchnęła i wzięła płonąca łodyżkę z dłoni nieznajomego. Wyglądał na zadowolonego. Reiven machnął mu ręką, kładąc odejść, ale ona go powstrzymała.

– Poczekaj. – Przełknęła ślinę i odezwała się stanowczo. – Oddaj łuk.

Mina mężczyzny wyraźnie zrzędnęła. Sheila wyciągnęła dłoń i czekała, patrząc na brodacza nieubłaganie. W końcu z ociąganiem zdjął z pleców broń i oddał w jej ręce.

Kiedy odchodził, zauważyła, że mocno się garbił i lekko kołysał na boki.

– Nie jest taki zły. – Wzruszyła ramionami. – Chyba da się z nim dogadać.

Wzrok Reivena wyrażał jedynie politowanie.

– Ty po prostu musisz mieć kogoś do niańczenia, co? – Posłała mu zaskoczone spojrzenie, więc kontynuował: – Całe życie zajmowałaś się Saebe. Potem trzymałaś się z Etainem. Nawet nad Rigiem się litowałaś, zamiast dać mu w mordę. Teraz ten oszołom. Sieroty życiowe i ofiary losu to twój żywioł.

Wzruszyła ramionami.

– Już dawno ustaliliśmy, że jestem miłą dziewczyną.

Reiven uśmiechnął się i spojrział jej w oczy. W tym samym momencie niespodziewanie pociągnął za palec serdeczny Sheili i go nastawił.

Jej krzyk poniósł się echem po jaskini. Nieznajomy przestał na chwilę mamrotać i podbiegł do niej z paniką w oczach.

– Nienawidzę cię – syknęła do Reivena, zaciskając zęby.

Czuła, że nagły ból zaczynał odpływać.

– Skoro teraz mnie nienawidzisz, to co powiesz na to?

Nastawił jej środkowy palec.

Tym razem odrobinę stłumiła krzyk.

– Na co się gapisz? – zniecierpliwił się fałszerz, patrząc prosto na brodacza. – Powiedz mu, żeby spadał.

Sheila posłała Reivenowi karcące spojrzenie.

– Czemu taki jesteś? – mruknęła, rozmasowując sobie dłoń. – Nic mi nie jest – zwróciła się do nieznajomego i uśmiechnęła się krzywo.

Niezbyt chętnie się oddalił, a na jego usta powróciło szybkie mamrotanie.

– To jakaś paranoja – zdenerwował się buntownik. – Nie wiesz nawet, kim jest i co ci zrobił, a lubisz go bardziej ode mnie.

Przez chwilę obserwowali, jak brodacz układał ładny stosik ze swoich ukochanych łodyg. Reiven sięgnął po dymiącą koło nich roślinę i ją ugasił. Sheila posłała mu kolejne karcące spojrzenie.

– Daj spokój. Nawet nie zauważy. Strasznie duszny ten zapach. – Jego mina spoważniała. – Powiedz lepiej, co się właściwie stało.

Oparła się o kamienną skałę i odetchnęła kilka razy.

– Szukałam śladów ekspedycji Kazamy. No i przez przypadek obudziłam niedźwiedzia. I wkurzyłam stado dzikich pająków.

– Więc to ty – ożywił się jej rozmówca. – Dark wrócił do Wolnej Kompanii z pełnymi gaciami, jak ustrzelił jednego insekta. Buntownicy nie ruszają się z obozu, a Lasota próbuje uwarzyć antidotum na jad.

– Niedźwiedź wrócił na Zarzecze – powiedziała dziewczyna bezbarwnie i opuściła głowę. – Zmasakrował Rumaczka. Musiałam go dobić.

Reiven taktownie milczał, dopóki Sheila nie podniosła wzroku.

– A jak znalazłaś się w chacie nad jeziorem? – zapytał łagodnie.

Dziewczyna posłała mu zaniepokojone spojrzenie.

– Ja... nie pamiętam. To znaczy... mam wrażenie, że tam byłam. Ale to wszystko. Nie rozumiem. Musiałam być mocno zamroczona.

Reiven opowiedział jej o tym, jak sam dowiedział się o niewiedzonej chacie, oraz o swoim pierwszym spotkaniu z brodaczem. Sheila nie pamiętała, żeby zostawiała nóż w drzwiach albo żeby odciskała zakrwawioną rękę na ścianie domu.

– Faktycznie cię zamroczyło. Czasem tak bywa. Pamięć powinna wrócić, jak wypoczniesz.

– Mam nadzieję. To okropne uczucie nic nie pamiętać. Nie nawidzę tego – dodała z odrazą.

Zobaczyła, jak na twarzy towarzysza wykwitł wredny uśmieszek.

– Daj spokój. To przecież nie jest twój pierwszy raz.

Odwzajemniła uśmiech.

– Odchorowałam tamto. Jeśli zamierzasz mi wypominać jedną popijawę do końca życia, to wiedz, że mnie to nie rusza. Nie jestem tak wstydliva jak kiedyś.

Reiven zaśmiał się pogodnie.

– A to kiedyś byłaś wstydliva? Tej nocy, o której mówimy, nie wydawałaś się...

– O czym ty mówisz? – zaatakowała go ze złością, ale po jego minie poznała, że tylko się z nią droczył. – To nie jest śmieszne.

– A podobno cię to nie rusza – zauważył z satysfakcją.

Dziwak zaczął nucić jakąś piosenkę, której nie znali. Popatrzyli na niego i zapomnieli o poprzednim temacie.

– Masz jakiś pomysł, co mu się mogło stać? – zapytała Sheila, podciągając kolana pod brodę.

Reiven wzruszył ramionami.

– Obstawiam, że któregoś dnia naprawdę mocno walnął się w łeb. Nie patrz tak na mnie. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Z ubioru przypomina trochę skazańca z którejś kopalni. I to po przejściach.

– Może stamtąd uciekł. – Nagle przyszło jej coś do głowy. – Może Fester go pobił. Saebe też miał pewne problemy, bo ojciec go tłukł.

Reiven uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Przestań zwać całe zło świata na tego biednego Festera.

Sheila posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Może od zawsze taki był – powiedział buntownik po chwili. – Może za to tu trafił.

– Jakby zsyłali tu za bycie... – prychnęła dziewczyna.

– O cholera – przerwał jej Reiven, a jego głos nabrał powagi. – Wynosimy się stąd – rozkazał i natychmiast się podniósł.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, wyciągnął rękę, by jej pomóc.

– O co chodzi?

– Cholera jasna, czy nie możesz raz w życiu posłuchać kogoś bez dyskusji?

Z trudem podniosła się na nogi i pozwoliła, by Reiven prowadził ją do wyjścia.

– Wszystko ci powiem, tylko nie świruj – rzucił ostrzegawczo, bacznie obserwując dziewczynę. – Nic ci nie będzie. Ale to chyba irmiza.

Sheila zatrzymała się jak wryta, ale Reiven był na to przygotowany, bo objął ją ramieniem i pomógł ruszyć dalej pomimo szoku.

– Irmiza? – jęknęła, czując narastającą panikę. – Poznałabym. To znaczy... poznałam. – Przypomniała sobie, że duszący zapach od razu wydawał jej się z czymś kojarzyć.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Reiven wciągnął głęboko mroźne powietrze.

– Kopciłaś tylko świeże kwiaty. Te tutaj były suche.

Sheila posłała mu wystraszone spojrzenie, a Reiven pochylił się do niej i ujął chudą twarz dziewczyny w dłoń.

– Nic ci nie będzie, obiecuję – zapewnił.

Pokręciła zamaszycie głową.

– Przecież to badyle dymiły przy mnie przez... nawet nie wiem, jak długo – jęknęła.

Mężczyzna pokiwał ze zrozumieniem głową i westchnął smutno.

– Przykro mi. Wspomnienia raczej same nie wrócą.

Sheila poczuła, że ma w oczach łzy, ale Reiven nie pozwolił jej się załamać.

– Hej! Nigdy cię nie oszukałem – powiedział ostro. – Nic ci nie będzie, rozumiesz? Jeśli tak ci zależy na tych kilku straconych godzinach leżenia w rozwalającej się chacie i tej przytulnej jaskini, to odzyskamy je. Lasota sobie poradzi. Zna się na takich specyfikach.

Sheila oddychała powoli, starając się dopuścić słowa Reivena do swojej głowy.

– Jesteś pewien – zaczęła drżącym głosem – że to nie zrobiło mi nic gorszego?

Reiven nie zdążył odpowiedzieć.

– Moja! Moja! – zawołał brodac, wybiegając koślawo z jaskini.

Buntownik syknął na ten widok.

– Twój chłopak chyba jest zazdrosny.

Sheila odepchnęła lekko buntownika, ale szybko ponownie potrzebowała pomocy w ustaniu na nogach.

– Myślisz, że dużo tego wypalił? – zastanowiła się głośno.

– Widziałeś zapasy, jakie sobie zrobił? To ćpun z przeżartym mózgiem. Masz swoją przyczynę. Może kiedyś nieświadomie dorzucił sobie to do ogniska i spodobał mu się odlot.

– Moja! – jęknął nieznajomy i podszedł do nich.

Wyciągnął rękę i chciał odciągnąć Sheilę od Reivena. Ten jednak zagroził mu drogę ramieniem.

– Niestety, gościu, dziewczyna już się z tobą nie bawi – powiedział spokojnie. – Znajdź sobie inną.

Dziwak posłał mu wrogie spojrzenie.

– Chyba mnie nie lubi.

Sheila nieco ochłonęła i uśmiechnęła się do swojego towarzysza.

– Trzeba było nie straszyć go nożem na dzień dobry. – Odechnęła i odezwała się głośniejszym głosem do brodacza: – Dziękuję za pomoc.

– Ja pomogłem – powiedział szybko tamten, wskazując na siebie.

– Tak... no właśnie. Dziękuję. Ale teraz muszę iść.

Dziwak pokręcił głową i wskazał na wejście do jaskini. Reiven zaśmiał się na ten widok, ku rozdrażnieniu Sheili.

– Zamknij się – syknęła, a potem pokręciła głową do nieznanego człowieka i pomachała mu na odchodne. – Po prostu idźmy. Może odpuści.

Reiven nie powstrzymał się od komentarza.

– No wiesz? Jeżeli ma trochę honoru, to nie pozwoli odejść swojej dziewczynie z obcym facetem.

– To przestało być... Nie, to nigdy nie było zabawne.

– No dobra. Jak dla mnie możemy iść, tylko powiedz dokąd.

Sheila ruszyła powoli, a Reiven podtrzymywał ją z boku.

– Na razie do tej chaty przy jeziorze – zdecydowała w końcu. – Wspominałeś, że są tam moje rzeczy.



– Kołczan, jakiś tobolek i ta twoja bezcenna chustka, którą podarował ci Leo.

Dziewczyna zignorowała ewidentną zaczepkę.

– Twój nóż mam w kieszeni. Przypomnij mi, żebym ci go dał, zanim odejdę. – Reiven nagle spowaźniał. – Co zamierzasz?

Zastanawiała się przez chwilę, ale trudno jej było zebrać myśli po tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Nie mogę na razie wrócić na Zarzecze. Muszę się podkurować. I dać znać Willowi. – Spojrzała nieśmiało na towarzysza i się nie zawiodła.

– Załatwię to – powiedział krótko, ale bez entuzjazmu.

– Dziękuję – mruknęła najcieplej, jak potrafiła. – Na razie zatrzymam się w chacie i pomyślę, co zrobić. Może Will będzie miał jakiś pomysł. Nie zabawię tu długo... do tego domu może ktoś zajrzeć.

– Na przykład ten wypłosz?

– Nie nazywaj go tak.

– Po prostu dziwię się, że chcesz tam zostać.

– A niby gdzie mam pójść w tym stanie?

Nie odpowiedział, ale była pewna, że pomyśleli o tym samym. Była tak blisko Wolnej Kompanii.

– Tak naprawdę... – Reiven westchnął i dodał nieco ciszej: – Nie musisz się obawiać. Dotychczas pająki zatrzymały buntowników w obozie.

Sheila zawahała się, ale szybko postanowiła powiedzieć przyjacielowi prawdę.

– Już ich nie ma. W chacie jest jeden martwy, a drugiego upolował Dark i zabrał do obozu. Z tego, co wiem, tylko dwa zeszły razem ze mną.

Reiven nie od razu skomentował te nowiny.

– Powiem o tym buntownikom dopiero za jakiś czas.

Sheila spojrzała na towarzysza z wdzięcznością i się zamyśliła.

– Co u niego słychać? – zapytała cicho.

Reiven wzruszył ramionami.

– Nic nowego. Siedzi w laboratorium, czyta książki i waży te swoje miksturki. – Spojrzał na jej minę i uśmiechnął się niewinnie. – Nie o Lasotę pytałaś? Ech... Leo jak to Leo. Opieprza ludzi, dużo trenuje i zdecydowanie za mało się bawi.

    Nie dopytywała o nic więcej. Tęskniła za nimi wszystkimi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Więc mówisz, że widziałeś dokładnie? – Nikk starał się zachować spokój, ale skulony skazaniec działał mu na nerwy.

– N-no – przytaknął tamten niewyraźnie. – Taka cienka, jasna blizna na ustach. O tu. – Wskazał na swoją dolną wargę.

Znajdowali się w gabinecie Nikka. Łącznik siedział w swoim miękkim, wygodnym fotelu, a Fox garbił się przed nim i rzucał nerwowe spojrzenia na boki.

– A łuk? – Nikk drażył temat. – Miał łuk?

Fox zamasyżył pokiwał głową.

– Miał i to nie byle jaki. – Śmielej uniósł spojrzenie. – Ustrzelił gońca. Nie zdążyłem się przyjrzeć, ale zieloniona była ta jego broń i taka... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – nietutejsza.

Nikk spojrzał na rozmówcę i upił łyk wina z kielicha stojącego na biurku.

– Rideadańska?

Fox wzruszył ramionami i struchlał.

– Aż tak to się nie znam – wymamrotał. – Ale nie wojskowy, to na pewno.

Skazaniec się bał. I faktycznie miał powody do obaw. Kiedy dzielił się swoim odkryciem z kolegami, nie skojarzył, że przecież to Nikkolai – zamkowy łącznik geszefciarzy – poświadczał o tym, jaką śmiercią zginął więzień z Wolnej Kompanii. Rozповідаjąc o tym, że widział chłopaka żywego, tym samym podważał wiarygodność jednego z najpotężniejszych ludzi w Twierdzy.

– Skąd pewność, że to ten sam typ?

Fox zmieszał się i spuścił wzrok.

– W zasadzie... to nie jestem tego pewny. Ja... byłem wtedy spanikowany.

– Dobrze. Już dobrze – uspokoił go Nikk i pogładził się po kocznej bródce. – Nie martw się. Chcę poznać szczegóły. Nie narobię ci kłopotów.

Skazaniec niechętnie opowiadał, za to łącznik słuchał bardzo uważnie. Wszystko wskazywało na to, że sługus kapłanów go oszukał. Najchętniej przetrąciłby za to Willowi kark, ale musiał się powstrzymać. Najpierw należało dowiedzieć się, gdzie ten młokos ukrył dziewczynę. To nie mogła być Wolna Kompania. Nikk miał tam swojego człowieka i od razu wiedziałby coś na ten temat.

Nie ukryła się też u szcurzych myśliwych – miał co do tego pewność. Co jakiś czas kazał sprawdzać ich stanowiska.

Zaszyła się w dziczy? – zastanawiał się. – Poradziłaby sobie sama w lesie? Może jednak ktoś jej pomagał? Ktoś poza Williamem, którego przy najbliższej okazji zamierzał wypatroszyć.

\* \* \*

Kolejne dni przyniosły Sheili kilka niespodzianek.

Reiven pomógł jej pozbyć się pajęczej padliny, którą nieznamy dziwak przytaszczył do przegnionej chaty nad jeziorkiem.

Budynek nie był najprzytulniejszym miejscem, w jakim przyszło dziewczynie nocować. Jaskinia na Zarzeczcu nie tylko niosła mniejsze ryzyko zaważenia się na głowę, ale też nie śmierdziała tak potwornie zgnilizną. W chacie znajdował się jedynie stół, liचे krzesło i połamane łóżko. Mimo nerwów i bólu Sheili udało się zasnąć już pierwszej nocy. Koszmary nie dręczyły jej bardziej niż zwykle, co ostatecznie uznała za spory pozytywny. Prawą rękę cały czas trzymała na gryfie łuku, bo zapomniała poprosić fałszerza o swój nóż. Wcześniej pobierała w jeden kąt wszystkie

drobiazgi z rozsypanego tobołka. Żałowała, że tak niewiele zapasów wzięła ze sobą na wędrowkę po kamiennym żlebie.

Pierwsza niespodzianka czekała przy wejściu. Sheila wstała o świcie i wyszła przed dom, żeby sprawdzić pogodę. Na mroźnym powietrzu kołysał się porwany z drzew i ziemi śnieg. Niewiele zostało go już na ziemi, która w ciągu dnia coraz bardziej przypominała błotnistą breję. Jednak przed wschodem słońca na niedługi czas pokrywał ją szron, dodając otoczeniu surowego, ale urokliwego charakteru.

Amator irmizy już na nią czekał. W pierwszej chwili wystraszyła się i machinalnie sięgnęła po broń. Potem zobaczyła, że nieznajomy przyniósł drewno.

– Yyy... Dzięki – mruknęła. – To miłe. Ale nie mogę tu rozpalic ogniska, bo ktoś z Wolnej Kompanii zauważy.

Mimo wszystko ostrożnie przejęła prezent z jego chudych rami i zrzuciła wilgotny stosik obok wejścia. Nieznajomy stał przez chwilę i patrzył na nią wyczekująco. Nie mając pomysłu na to, jak się zachować, Sheila po prostu pokazała w jego stronę kciuk do góry. Ewidentnie mu się to spodobało, bo powtórzył gest ze szczerbatym uśmiechem.

– Jesteś głodny? – zapytała niepewnie.

Weszła do domu, a zaraz potem wyniosła z niego wędzoną rybę, którą wieczorem zostawił jej buntownik.

– Reiven powiedziałby, że bym cię nie karmiła, bo będziesz wracał – mruknęła. – Pewnie miałby rację.

Przełamała rybkę na pół i podała mniejszą część nieznajomemu, bacznie obserwując jego reakcję. Miała nadzieję, że mężczyzna skusi się na coś poza surową padliną. Wtedy o wiele łatwiej byłoby z nim sympatyzować.

Mężczyzna przyjrzał się rybnemu ogonowi w swoich pokrzywionych dłoniach, a potem cisnął posiłek do wody z wyraźnie zadowoloną miną.

– Nie! To było... – zaczęła Sheila, ale zaraz potem machnęła ręką i westchnęła. – Ty serio masz nierówno pod sufitem, co?

Dzikus kręcił się koło niej cały dzień, ale nie pozwoliła mu wejść do domu. Mówił niewiele. Głównie mamrotał lub powtarzał wielokrotnie swoje ulubione słowa takie jak „moja” oraz wszystkie zwroty pochodzące od wyrazu „pomoc”.

Okazało się, że przyniósł również lodygi suszonej irmizy. Kiedy jednak nie patrzył, Sheila wyrzuciła je do jeziora.

Po południu czekała na nią druga niespodzianka.

– Coś ty znowu narobiła?

To było pierwsze zdanie, jakim przywitał ją Will. Kiedy go zobaczyła, miała ochotę podbiec i rzucić mu się na szyję, ale nie pozwalał na to jej stan. Nadal nie kontrolowała zawrotów głowy i wymiotów, które napadały ją z nienacką. Ale nie tylko z tego powodu wciąż nie wracała na Zarzecze.

– No tak. Zostawić mnie tylko na rok samą i od razu coś spartolę – rzuciła z ironią.

William pomógł jej wstać i razem weszli do chylącego się ku ziemi domu. Adept skrzywił się na widok warunków, w jakich przebywała jego siostra, ale powstrzymał się od komentarza.

W pierwszej kolejności wypytał ją o wszystko, co się wydarzyło. Jak zwykle był dobrym słuchaczem. Zupełnie zrezygnował z upierdliwości i irytacji rządzącej ich poprzednią rozmową. Sheila z ulgą i rozczuleniem przywitała starego, dobrego Willa, którego tak dobrze znała i lubiła.

Adept rozpakował i rozłożył przed nią przyniesione przez siebie zapasy. Prócz szynki i pieczonego kurczęcia znalazły się wśród produktów najprawdziwsze czekoladki. Sheila nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek jadłam coś tak wykwintnego – przyznała. – Ciekawe, co Reiven na to powie.

William rzucił jej czujne spojrzenie.

– Mówiłaś, że ma się tu za często nie pokazywać.

Sheila zaczęła jeść mięso, które przyniósł jej brat.

– No tak – odparła, nie przejmując się, że usta miała pełne. – Ale w końcu kiedyś mnie odwiedzi. Nie martw się – mruknęła uspokajająco, widząc niepewną minę kompana. – Rei mnie nie zdradzi. Obiecał, że nikomu nic nie powie. Choć to faktycznie musi być dla niego męczące. I wcale się nie dziwię, że nie chce tu za często przychodzić – dodała z wyraźnym rozgoryczeniem.

William popatrzył na nią z politowaniem.

– Nie bierz mnie pod włos. – Pogroził jej palcem i posłał rozbijający uśmiech. – No a jak teraz się czujesz? – zapytał nieco poważniej, ewidentnie unikając wzroku dziewczyny.

– Pytasz o to, kiedy będę w stanie wrócić na Zarzecze? – sprecyzowała to, do czego najprawdopodobniej dążył rozmówca. Po jego minie widziała, że się nie pomyliła.

Poczuła ukłucie w żołądku na myśl o ponownym zaszcyciu się w dziczy. William zauważył jej minę i położył rękę na ramieniu dziewczyny.

– Przykro mi. Może zjedz czekoladkę.

Zaśmiała się cicho i pokręciła głową.

– Jak to jest, że wystarczyło mi kilka tygodni, żeby pogodzić się z trafieniem do Kazamatów i rozłąką z bliskimi, za to przez ponad rok wciąż czuję tęsknotę za jakimiś skazańcami?

William uśmiechnął się łagodnie.

– Sęk w tym, że to nie są „jacyś tam” skazańcy. Zdaje mi się, że tęsknisz za całkiem konkretnym dowódcą.

Położyła się na łóżku, sycząc z bólu.

– Nie tylko. Skręca mnie na myśl, że nie mogę odwiedzić Lasoty. Adept się zamyslił.

– Pytanie tylko, czy to nie jest spowodowane po prostu poczuciem winy. Zaopiekował się tobą. Nie twierdzę, że nie stał ci się bliski, ale wyrzuty sumienia, które w tobie wzbudza ta sytuacja, chyba też robią swoje.

Odgryzł kawałek jabłka, pozostawiając dla Sheili przyniesione bardziej kaloryczne dania. Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona, ale gdzieś w środku wiedziała, że w jego słowach było dużo racji. Nie chciała się do tego przyznać, jednak odcięcie się od Lasoty i współpraca z Atayem była trochę jak... zdrada.

– Czasem żałuję, że nie zbuntowałam się przeciwko temu zmyślaniu – wyznała, patrząc w sufit. – Mogłabym przecież mieszkać na Zarzeczu, ale powiedzieć o tym Lasocie, Reivenowi i... reszcie – dodała zmieszana.

Will przerwał na chwilę jedzenie owocu i popatrzył na nią wyrozumiale.

– Mnie też wcale nie nudzi się ten temat – powiedział znacząco, ale ton miał ciepły. – Chętnie podejmę go z tobą kolejne pięćdziesiąt razy.

To wywołało w niej bunt i nie uśmiechnęła się na żart.

– Przecież to są rozumni ludzie. Nie rozniesliby wieści o mnie.

Założyła ręce na piersi, a adept spojrzał na nią przyjaźnie. Skończył jeść i schował ogryzek do kieszeni płaszcza.

– Proszę cię – rzucił z politowaniem. – Zobacz, co się stało, jak tylko odzyskałaś kontakt z Reivenem. Wszystko posypało się jak domek z kart.

Sheila zmarszczyła brwi, coraz bardziej zirytowana.

– A właśnie, że nic się nie stało – powiedziała z przekonaniem. – On poszedł w swoją stronę, ja w swoją i nie kontaktowaliśmy się więcej.

Adept podniósł się spokojnie z krzesła i usiadł koło niej na zdewastowanym łóżku, które zaskrzypiało niebezpiecznie.



– Właśnie o tym mówię – rzekł pojednawczo. – Nawet jeśli ludzie dotrzymują tajemnic, to one i tak wyłażą na światło dzienne, kiedy nie zachowuje się ostrożności. Będę z tobą szczery. Moim zdaniem jedynie szukasz wymówek. Chcesz ze mną podyskutować? Nie ma sprawy. Możemy się nawet o to pokłócić, bylebyś tylko nie straciła jasnej oceny sytuacji.

Sheila przez dłuższy czas milczała.

Smród w chacie szybko wygonił ich na zewnątrz, gdzie znacznie łatwiej przychodziło im snuć optymistyczne wizje.

– Myślałam, że to było wyżej – powiedziała Sheila, gdy siedzieli na pomoście i zadzierali głowy, by dojrzeć półkę skalną, z której spadła razem z Rumaczkciem.

– To tam? – upewnił się William, wskazując palcem na opisane przez dziewczynę miejsce. – Cholera, mistrz Atay powinien cię zbadać.

Sheila skrzywiła się i pomasowała po poobijanych zębach.

– Miałam amortyzację – mruknęła smutno. – Ale jasne, lepiej dmuchać na zimne. Jak tylko wrócę na Zarzecze, przyda mi się gruntowny przegląd. Tylko wiesz, nie będzie łatwo przeżyć tam bez Rumaczka – przyznała szczerze. – On odstraszał mniejsze drapieżniki i był naprawdę dobry w ucieczkach przed większymi. Zazwyczaj – dodała ciszej i westchnęła przeciągle. – Tak mi... głupio – wyznała nagle i spojrzała adeptowi prosto w oczy. – Zabrałam go ze sobą i użyłam do transportu Leo. Przez to trafił w ręce Dziadka i został zneutralizowany. Wszystko, co go spotkało...

– Jest twoją winą? – wtrącił William z nieukrywaną drwiną. – Stanowczo przeceniasz znaczenie swoich czynów.

Sheila spojrzała na niego szczerze zaskoczona. Takie uwagi znacznie bardziej pasowały do Reivena, ale nie spodziewała się usłyszeć ich od brata.

– Po pierwsze – zaczął adept, prostując się. – Z tego, co wiem, to uratowałaś tego dzika, kiedy dopadła go chmara wielkich pajaków. Po drugie, czy naprawdę uważasz, że życie Leo nie było warte wykorzystania na chwilę Rumaczka do przeniesienia go w bezpieczne miejsce? To chyba nie aż taka zbrodnia, co? Nie ty podjęłaś decyzję o zneutralizowaniu go przez Dziadka. Jedynie samowola i eksperymenty staruszka zrujnowały instynkt tego zwierzaka. I przecież nie ciągnęłaś go ze sobą na Zarzecze siłą. Poszedł dobrowolnie. Zresztą nie dziwię się temu, skoro sam nie był w stanie sobie poradzić. Gdybyś się nim nie zajmowała, zdechłby kilka dni po uwolnieniu z Twierdzy.

Sheila opuściła wzrok i myślała o tym, co usłyszała. Nie była pewna, czy zbyt szybko zaakceptowanie argumentów Willa świadczyłoby o niej dobrze, ale trudno było odmówić jego słowom logiki.

– Pogadam z mistrzem Atayem o tym, co dalej – podjął adept po chwili. – List od Reivena Scotta niezłe go ruszył.

Sheila uniosła wysoko brwi i otworzyła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Will uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Taaa. Twój kolega podszył się pod Lasotę i napisał list w jego imieniu. W zasadzie dziwię się, że wcześniej na to nie wpadł, skoro tak bardzo chciał się ze mną skontaktować.

Sheila pokręciła głową.

– Na pewno wpadł – stwierdziła z przekonaniem. – Widocznie nie zależało mu na kontakcie z tobą aż tak bardzo. Jeżeli jest na tym świecie ktoś, kogo Rei naprawdę szanuje, to jest to właśnie Lasota. Myślę, że czekał z tym pomysłem na ostateczność.

Poczuła kolejną falę wyrzutów sumienia na myśl o tym, ile problemów sprawiała buntownikowi.

– Tak czy siak – William wzdrygnął się od chłodu – nie można zwlekać z rozwiązaniem tej niekomfortowej sytuacji, jaką jest twój pobyt tutaj.

Sheila była pewna, że adept właśnie zacytował słowo w słowo swojego mistrza.

– Jeden z myśliwych trafił w lesie na pająka, który uciekł przed niedźwiedziem. To na kilka dni przytrzyma buntowników w obozie – wyjaśniła. – I da mi czas na dojście do siebie. Przeszanę rzygać i wróć na Zarzecze. Teraz i tak nie dam rady się wspinać, a tylko Igliczką mogę dostać się do jaskini bez napotkania drapieżników.

William wiedział, że miała rację, ale to nie zmniejszyło jego obaw. Kiwnął głową i schował zmarznięte dłonie do kieszeni płaszcza. Natrafił tam na ogryzek po zjedzonym jabłku. Bez zastanowienia cisnął nim w pobliskie krzaki, w tym samym momencie, gdy wyszedł zza nich brodaty nieznajomy. Owocowy pocisk trafił w jego pierś, co spowodowało, że ze strachem zaczął się osłaniać i kulić.

Adept wzdrygnął się na widok mężczyzny i odruchowo osłonił Sheilę ramieniem. Dziewczyna przewróciła oczami i odsunęła rękę przyjaciela. Podniosła się z jęknięciem.

– Spokojnie. Znam go – powiedziała do brata. – To jest... po niekąd... Eee... niejako...

Will spojrzał na nią, jakby był pewny, że postradała zmysły.

– Jest nieokrzesany, ale nie wydaje się groźny – kontynuowała, podchodząc nieco bliżej potwornie zarośniętego dziwaka. – Pomógł mi... chyba. A przynajmniej tak twierdzi. Co prawda nafaszerował mnie irmizą, przez co nie pamiętam dokładnie części zdarzeń, ale z tego, jak zachowuje się teraz, wnioskuję, że nie zależy mu na mojej krzywdzie.

– Ja pomogłem – wymamrotał niezrównoważony mężczyzna i przestał się kulić.

Wyraz twarzy Williama był trudny do określenia. Przyglądał się przybyszowi nieufnie z założonymi na piersi rękami.

– Chyba podczas upadku walnęło cię mocniej, niż sądziłem – skomentował w końcu skrzywiony.

Sheila wzruszyła ramionami.

– Poczekaj. Dam mu coś do jedzenia i zaraz wracam.

Adept fuknął z zaskoczeniem.

– Lepiej go nie dokarmiaj, bo się nie odzepi.

– To człowiek, a nie kundel – warknęła Sheila, kuśtykając w stronę chaty.

Wyciągnęła w stronę dzikusa jabłko, pamiętając, że mógł zmarnować cenniejszy posiłek. Dziwak przyjął je i powąchał ostrożnie. Następnie oddalił się, szarpiąc owoc resztką uzębienia i schował się w krzakach, z których wcześniej wyszedł.

– Po prostu nie zwracaj na niego uwagi. – Machnęła ręką i usiadła z powrotem na pomoście obok oniemiałego adepta. – Jego mamrotanie jest wkurzające, ale idzie wytrzymać.

Will wciąż patrzył na nią niepewnym wzrokiem, jakby bał się o jej zdrowie psychiczne. Sheila była pewna, że zastanawiał się, od czego zacząć reprimendę o tym, jak nierozważne było zadawanie się z nieznanym. Argumentów miał na pewno sporo. Dziewczyna sama była w stanie wymyślić kilka.

– Ty naprawdę jesteś spragniona towarzystwa, co? – spytał w końcu jej rozmówca. – Sheila, przejrzyj na oczy. To jakiś świr. Nie wiesz, co mu strzeli do głowy.

Chociaż była na to przygotowana, poczuła się głupio. Will i Reiven mieli rację. Dziwaczny mężczyzna powinien być ją niepokoić bardziej, niż to miało miejsce.

– Ja też już świruję – przyznała. Przy Willu mogła być szczera. – Faktycznie, odkąd spotkałam Reivena, znacznie trudniej mi przychodzi znoszenie samotności. Zaczęłam częściej wspominać Wolną Kompanię. A teraz jestem tak blisko – jęknęła. – Wiesz... w Srebrną Noc śniłam o Velde, znajomych... o Bennie.

William nie zrobił przestraszonej miny i nie zaczął jej od razu przywoływać do porządku. Była mu wdzięczna za to, jak tym razem panował nad stresem. Spojrzał na nią łagodnie.

– Chciałem ci zapewnić bezpieczeństwo – wyznał. – Ale nigdy nie zależało mi, żeby wyłączyć twoją empatię i emocje. A mam wrażenie, że właśnie to sobie zrobiłaś, żeby przetrwać na Zarzeczu. – Kiwnął głową w kierunku, w którym poszedł obcy brodac. – Nie podoba mi się ten gość, ale z drugiej strony dobrze wiedzieć, że nie straciłaś jeszcze całkiem opiekuńczości wobec ludzi.

– Reiven powiedział mi to samo, ale bardziej wrednie – zaśmiała się. – Uważasz, że mam tendencję do niańczenia sierot życiowych?

Adept odwzajemnił uśmiech.

– No jasne – przytaknął. – A niby czemu się ze mną z marszu zaprzyjaźniłaś?

Sheila spojrzała w oczy brata, a potem oparła głowę na jego ramieniu. Znowu było przyjemnie i spokojnie. Choć wiedziała, że to potrwa tylko moment – bo niedługo znowu przyjdzie jej mierzyć się z losem – to była wdzięczna za tę chwilę.

– Trochę mi wstyd – powiedział chłopak miękko, ale w jego głosie brzmiała niepewność. Przełknął ślinę i kontynuował: – Bo podejrzewam, jak to wszystko się skończy. Czuję, że usilnie lejemy kubek wody na próg, kiedy ogniem zdążył się już zająć cały dom. I chyba część mnie nie może się doczekać, kiedy ta cała konspiracja pieprznie.

Sheila objęła brata mocniej.

– To nie twoja wina – szepnęła, bezbłędnie odgadując, do czego zmierzał. – Moja sytuacja nie pogorszyła się przez to, że za mało się starasz albo podświadomie nie wierzysz w sprawę. Po prostu... to ja w nią nie wierzę.

Nie widziała twarzy brata, ale była pewna, że oczy adepta się zaszklily. Zbyt dobrze znała jego pragnienie okazania się godnym zakonu. Zbyt wiele razy doświadczyła jego bólu, gdy był sobą rozczarowany. Za często widziała jego wrażliwość, by podejrzewać, że w tym momencie mógł powstrzymać łzy.

– Coś poradzimy, siostrzyczko – głos mu nieznacznie drżał. – Jak zawsze.

– Nawet jeśli pieprznie? – zapytała cicho.

– Raczej: KIEDY pieprznie – sprostował bezlitośnie.

Nie martwiła się. Przez kilka następnych chwil, gdy siedzieli razem w milczeniu, naprawdę o nic się nie martwiła.

\* \* \*

Reiven przyszedł wieczorem. Nie był zaskoczony widokiem brodacza, ale nie omieszkał skomentować jego zachowania kilka razy. Dorzucił trochę zapasów do sterty od Willa i bez pytania sięgnął po czekoladki. Pogoda nie sprzyjała siedzeniu na pomoście, bo ocieplenie zamieniło śnieg w błotnistą pluchę. Tylko dlatego zostali w zatęchłym wnętrzu chaty.

Fałszerz usiadł na łóżku, które Sheila naprawiła z Willem, podkładając w newralgicznych miejscach drewno od nieznanego.

– Nie podzieliłaś się tymi dobrociami z Wypłoszem? – zapytał, wskazując na czekoladki.

Dziewczyna rzuciła mu spojrzenie spode łba.

– Nie nazywaj go tak.

– O matko. – Mężczyzna zamruczał z zadowoleniem, kiedy spróbował pierwszej praliny. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem czekoladę w ustach. Coś wspomniałem. Szlag mnie trafia,

jak pomyśle, że te świnie na zamku jedzą takie rzeczy codziennie. Mam nadzieję, że Nikkolai się kiedyś udławi.

Sheila się zaśmiała – z zadowoleniem przyjmując fakt, że zebra coraz mniej ją bolały podczas tej czynności – i usiadła obok towarzysza. Sięgnęła do pudełka.

– Kiedyś Benn przywiózł z miasta bombonierę, ale jakoś nie specjalnie mi podeszła. Oboje stwierdziliśmy, że nie ma się czym zachwycać. Choć przyznam, że wyglądała ona mniej okazale od tej.

– Żartujesz? To egzemplarz ze stolicy. Kapłani zawsze dostają osobną paczkę z Rossabergu.

– W takim razie Nikk pewnie nie jada takich przysmaków codziennie – pocieszyła go.

Reiven wzruszył ramionami.

– Nie bój się, słodczy mu nie brakuje. Może nie takich jak te, ale mimo wszystko. Mmm... Dla nich mógłbym rzucić palenie.

Sheila wzięła do ust czekoladkę, która już zdążyła pobrudzić jej palce, i od razu zrozumiała zachwyty towarzysza.

– Cholera, faktycznie – powiedziała z pełnymi ustami.

Reiven uśmiechnął się i dziewczyna przypomniała sobie, jak był przystojny pomimo blizny na prawym policzku.

– Kocham Williama – stwierdziła, oblizując sobie palce. – Mam dwadzieścia pięć lat, ale dopiero teraz poznałam, co to prawdziwa rozkosz.

Reiven parsknął, a Sheila poczuła, że policzki jej zapłonęły.

– Nieźle to zabrzmiało – przyznała i zaśmiała się sama z siebie.

Nie odezwał się, ale przez chwilę oczy mu błyszczały z rozbawienia. Sheila postanowiła zostawić sobie resztę na później, choć Reiven jadł już trzecią sztukę.

– Przypominają mi się czasy sprzed Kazamatów – westchnął, oblizując wargę.

Sheila spojrzała na niego z zaciekawiona.

– Jadałeś takie rzeczy na co dzień?

Falszerz odłożył pergaminowe opakowanie obok siebie i zaczął oblizywać palce. Robił to z gracją, której wydawał się całkowicie świadom.

– Nie codziennie, ale wystarczająco często, by móc nazwać życie pięknym. – Wstał i pochylił się do dziewczyny, uśmiechając się tajemniczo. – I tak jak teraz, to nigdy nie były moje czekoladki. – Dał jej pstryczka w nos i podszedł do otwartych drzwi.

Oparł się o futrynę i zapalił papierosa.

– Mogłam się tego spodziewać – rzuciła Sheila z przekąsem.

– Już pewnie sobie pomyślałaś, że je kradłem.

Dziewczyna zachichotała i oparła głowę o drewnianą ścianę.

– Dlaczego niby miałabym sobie tak pomyśleć? – zapytała z dobitną ironią.

Reiven odwrócił się do niej i schował rękę do kieszeni. Z jego ust wydobył się szary dym.

– Bo w moim przypadku zawsze obierasz najczarniejsze wytłumaczenie.

Powiedziawszy to, wyszedł niespiesznie na zewnątrz. Sheila poszła za nim, utykając mniej niż poprzedniego dnia.

– No wiesz – oburzyła się ze śmiechem. – To ty pilnujesz, żebym czasem przez przypadek nie pomyślała o tobie czegoś dobrego. – Szli w stronę powalonego drzewa. – Powiesz mi, jak to było z tymi czekoladkami?

Usiadł na wilgotnym pniu.

– Nawet nie próbujesz mnie podejść – stwierdził niezadowolony. – O wszystko pytasz prosto z mostu. Czekam, kiedy wreszcie posłużysz się bardziej wysublimowanymi metodami wyciągnięcia ze mnie informacji. Jakieś pochlebstwo rzucone mimochodem, krążenie wokół tematu, tak bym się nie zorientował. Cokolwiek.



Sheila zrobiła zmartwioną minę.

– Łatwo ci powiedzieć. Przecież wiem, z kim mam do czynienia – mruknęła pochmurno. – Znam twoje zdolności negocjacyjne. Od razu byś mnie rozgryzł i jeszcze tak zakręcił, że to ja bym zaczęła śpiewać.

Reiven usiadł wygodniej na konarze i zaciągnął się papierosem.

– Nieźle – przyznał. – Ale odrobinę przesadziłaś z tym komplem. Następnym razem zatrzymaj się na trzecim zdaniu.

Uśmiechnęła się i przysiadła obok niego.

– Po raz pierwszy powiedziałeś mi coś o swojej przeszłości – zauważyła.

Wzruszył ramionami.

– Na to wygląda.

– I nic więcej z ciebie nie wyciągnę?

Nadal się uśmiechał, ale w jego oczach pojawiły się jakieś inne ogniki.

– Nie.

Przez chwilę wdychali wilgotne powietrze. Konar był mokry, ale dopóki nie padało i tak woleli zostać na zewnątrz.

– Masz już jakieś plany na przyszłość? – zapytał, bacznie obserwując jej twarz. – Może zamieszkas z Wypłozem w jego jaskini?

– Nie nazywaj go tak. Sama nie wiem. To znaczy: wiem – poprawiła się niechętnie. – Zmywam się na Zarzecze, póki to jeszcze ma jakiś sens.

Reiven myślał o czymś intensywnie, a potem odetchnął głęboko i wyłożył swoją propozycję:

– Co byś powiedziała na zostanie tutaj? – Widząc jej minę, szybko ciągnął dalej: – Wiem, wiem. Ktoś cię zobaczy i co wtedy? A gdybym powiedział buntownikom, że jesteś nowym myśliwym, który zajął tę chatkę? Nikogo nie obchodzą łowczy spoza obozu. Będiesz mogła palić ognisko i wałęsać się po okolicy.

Udawanie mężczyzny i tak już weszło ci w krew. W Twierdzy nikt się nie połapał.

– Poza Nikkiem – zauważyła Sheila.

– On cię znał wcześniej.

– W Wolnej Kompanii też mnie znają.

– No tak, ale mówię ci, że nikt tu nie zajrzy. Powiem, że zatrudniłem uciekiniera z Twierdzy, i sprawa rozejdzie się po kościach.

Sheila skrzywiła się lekko.

– To jednak blisko obozu... – mruknęła nieprzekonana.

– No właśnie – podjął Reiven żywiej. – W razie problemów nie będziesz zdana na siebie.

Wstała i założyła ręce na piersi. Przez chwilę kopała butem grudkę mokrej ziemi i nie wiedziała, czy jest bardziej zirytowana niemożnością przyjęcia propozycji, czy samą propozycją w momencie, gdy było wiadomo, że jej nie przyjmie.

– Nie zrozum mnie źle – zaczęła, odwracając się i patrząc fałszerzowi w oczy. – To nie tak, że nie chcę... po prostu...

Reiven rozłożył ręce i nie czekał, aż jego towarzyszka się wysłowi.

– Nie musisz już teraz podpisywać umowy na dzierżawę – próbował nieco załagodzić atmosferę. – Pogadaj z Willem. Idziemy na czekoladki?

Sheila uśmiechnęła się blado, wdzięczna za zmianę tematu. Reiven zgniótł papierosa na mokrej korze i powoli ruszył za dziewczyną do jej tymczasowego domu.

– W idealnym momencie to zrobiliśmy – stwierdził, gdy weszli na pomost. – Zaczyna padać. O nie. Ja chyba śnię – dodał, gdy zajrzeli do domu.

Sheila wciągnęła głośno powietrze na widok pokracznego mężczyzny, który pochylał się nad czekoladkami i wpychał je sobie do ust.

– Wypłosz! – zawołała ze złością dziewczyna, a wywołany mężczyzna wyprostował się wystraszony, na ile tylko pozwalały mu zgarbione plecy. Twarz i brodę miał umazane czekoladą. – Wynocha z domu! – Wskazała ręką drzwi.

Mężczyzna posłusznie opuścił izbę, garbiąc się i kołysząc na boki.

Reiven podszedł do łóżka i podniósł pogniecione pudełko.

– Zjadł wszystkie – skwitował niepotrzebnie, bo Sheila dobrze widziała stan deseru. Podeszła bliżej, nie kryjąc rozczarowania. – Przynajmniej Wypłosz miał ucztę życia.

– Powiedziałam to z pośpiechu. Nie mów tak na niego.

Reiven uśmiechnął się z satysfakcją i Sheila wiedziała, że szaleniec został już nazwany i nic tego nie zmieni.

\* \* \*

William otarł pot z czoła, ale nowe krople natychmiast zrosiły jego skórę. Drżącymi rękami zmiął zwitek pergaminu, który znalazł pod drzwiami swojego małego pokoiku. Wiedział, że powinien natychmiast iść do mistrza Ataya, ale wołał jeszcze przez chwilę unikać konfrontacji.

Rozwinął korespondencję kolejny raz i przeczytał znaną treść tak, jakby tym razem mogła okazać się mniej przerażająca.

*Sprytnie. Prawie jestem pod wrażeniem.*

*Ale zjechałeś z Foxem. Takie sprawy załatwia się od razu.*

Will opadł na swoje łóżko, po czym jęknął bezsilnie i przeciągle:

– Kurwa mać!

Zbliżał się wieczór, kiedy Reiven wrócił do Wolnej Kompanii. Przez chwilę zastanawiał się nad wejściem do karczmy i napiciem się w towarzystwie, co nie było jego codziennym zwyczajem. Ostatecznie jednak zrezygnował z tego przedsięwzięcia i ruszył dalej.

Wiedział, że odwiedzanie Sheili było ryzykowne. Im częściej się z nią widywał, tym bardziej narażał jej sekret, a przy okazji również siebie.

– Szefie – odezwał się Desmont, kiedy fałszerz go minął. – Lipa jest z tym przeniesieniem chłopaków w centrum obozu. Wosk i glina nie trzymają. Ci ochlańcy spierdolili remont chat. Matteo jęczy, że mu na nos kapie.

Reiven zwolnił i wzruszył ramionami.

– Więc bandziory Carlosa spierdoliły prostą robotę? Faktycznie, nikt nie mógł się tego spodziewać – zakpił. – I co ja mam z tym zrobić? Rozgnieść dla Matteo glinę czy nałożyć mu wosk na drewno?

Desmont nie zmieszał się odpowiedzią przełożonego. Przyzwyczał się do tego, że Reiven Scott nie tykał się niczego, co choć odrobinę wykraczało poza jego obowiązki. Jednak wiedział też, że szef lubił wiedzieć o wszystkim, co miało miejsce w Wolnej Kompanii i nie tylko. Dlatego jego ludzie serwowali mu każdą, nawet najmniej istotną informację, nie zwracając uwagi na to, jak nonszalancko na nią reagował. Wiedzieli, że nie należało brać tych odpowiedzi do siebie, bo Reiven zawsze sprawiał wrażenie, jakby niewiele go interesowały wieści. Jego banda domyślała się, że po prostu nie chciał pokazać prawdziwej wagi tych informacji, nawet swoim ludziom.

– Nie no, szefie – odparł dziarsko Desmont. – Proste, że nie. Ale szkoda go trochę, co? Tak się cieszył na tę chałupę.

Reiven uśmiechnął się pod nosem.

– Bardziej byłoby szkoda, gdyby to na nasze nosy kapąło, nie sądzisz?

Desmont zaśmiał się głośniej, pokiwał głową i wrócił do strugania miski w kawałku drewna.

Ostatnie metry Reiven pokonał truchtem, bo zobaczył, że drzwi jego domu były otwarte. Wpadł do środka i zobaczył Diksona dyskutującego z Franckiem.

Fałszerz spojrział na przyjaciela i serce zabiło mu mocniej, kiedy spostrzegł, że w jego rękę znajdował się myśliwski nóż Sheili.

Wzrok Leo był twardszy niż zwykle.

– Musimy pogadać – zakomunikował dowódca i wskazał na ostrze.

Reiven odprawił zdenerwowanego Diksona skinieniem głowy. Ten z ulgą opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi.

– No to pogadajmy – rzucił niedbale fałszerz, sprawnie omijając bałagan, by dostać się do swojego krzesła za stołem. Czuł, że Leo bacznie go obserwował i tylko sekundy dzieliły go od wybuchu.

– Zgaduję, że masz do mnie jakąś ważną sprawę – powiedział Reiven wyważonym głosem. – Skoro próbowałeś ją załatwić nawet pod moją nieobecność – dodał z nutą kpiny.

Skroń jego rozmówcy zadrżała niebezpiecznie.

– Nieszczęśliwie – odparł dowódca. – Przyszedłem towarzysko. Skąd to masz?

Reiven nawet nie spojrział na broń.

– Nóż Sheili?

– Nie. Gacie Verrada – warknął Leo i zamasyżuje odłożył narzędzie na zagracony blat.

Reiven nie dał się przestraszyć. Usiadł wygodnie i wzruszył ramionami.

– Od jakiegoś czasu próbowałem dopaść w Twierdzy pewien przedmiot. Ostatnie miesiące spędzałem na poruszaniu wszelkich kontaktów i pociąganiu za każdy możliwy sznurek, żeby to zdobyć. Przy okazji wpadło mi w ręce kilka ciekawostek. Między innymi ten nóż – wyjaśnił spokojnie.

Leo patrzył na niego nieufnie, a potem zapytał bez ogródek:

– Co takiego próbujesz kupić w Twierdzy?

Falszeryz nie zawahał się z odpowiedzią.

– Chciałem odzyskać swój łuk.

Zapadła cisza. Dowódca już znacznie spokojniej podniósł ostrze i przez chwilę się nim bawił.

– Mówiłeś, że ten nowy też nie jest najgorszy – zauważył i spojrzał czujnie na Reivena, który na te słowa uśmiechnął się pod nosem.

– Kłamałem. Zaskoczony?

– Owszem. Zazwyczaj coś kręcisz, ale nie zwykłeś mnie oszukiwać wprost. Po co ci ten nóż?

Buntownik zmarszczył brwi i wyjaśnił, jakby to była oczywistość:

– Ty nie chciałeś po niej żadnych pamiątek, więc pomyślałem, że to też cię nie zainteresuje.

Dłoń dowódcy mocniej zacisnęła się za trzonku.

– Nie o to pytałem. – Głos miał stonowany, ale wybrzmiewało w nim wyraźne napięcie.

Reiven wiedział, co miał na myśli przyjaciel. Spojrzał mu w oczy i zaczął mówić swobodniej:

– Przyjaźniłem się z nią. Traktuję to jako pamiątkę po osobie, która nie była mi obojętna.

Leo prychnął prawie niezauważalnie.

– Pytanie tylko, jak bardzo nie była ci obojętna – mruknął, patrząc na towarzysza chłodno.

Reiven się wyprostował.

– Pytanie to już mi kiedyś zadałeś. Odpowiedziałem. Nie zamierzam się powtarzać.

Leo usiadł naprzeciwko fałszerza i spojrzał na niego badawczo.

– Właściwie to nie – zaczął powoli. – Powiedziałeś, że nic między wami nie było, ale to nie znaczy, że byś tego nie chciał.

Scott pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole.

– To cholernie smutne – powiedział cicho. – Jeśli już czyjeś uczucia powinny cię interesować, to jej, a nie moje.

Leo zmarszczył czoło.

– Daruj sobie te pseudomądrości – warknął zniecierpliwiony. – Wszystkie pamiątki po dawnych przyjaciółach trzymasz w łóżku?

Reiven pomyślał, że Lasota jednak miał rację, wypominając mu spanie w dziennych ubraniach.

– Tylko po przyjaciółkach – mruknął fałszerz z uśmiechem, spodziewając się dokładnie takiej reakcji. Nie przejął się jednak kolejnym ostrym spojrzeniem przyjaciela. – Daj spokój, żartowałem. – Machnął ręką. – Trzymałem go w kieszeni. Musiał upaść przez przypadek.

Leo wyglądał, jakby chciał pociągnąć tę dyskusję, ale coś go powstrzymywało.

– Zatrzymaj go – powiedział Scott z przekonaniem. – Mówię poważnie. I naprawdę przestań... zresztą nieważne. Miałeś do mnie jakąś sprawę towarzyską. Już mi się podoba.

Podczas dalszej rozmowy z Franckiem Reiven myślał tylko o tym, że trzeba było jednak wstąpić do karczmy.

\* \* \*

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem – powiedziała Sheila, kiedy następnego dnia Reiven opowiedział jej o rozmowie z Leo.

Siedzieli na łóżku i jedli kruche ciastka, które zostały z paczki od Willa. Nie były już tak smaczne jak obłudne czekoladki, ale i tak trudno było się od nich oderwać.

– I to wszystko wymyśliłeś na poczekaniu?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie podoba mi się ten zaskoczony ton. – Pogroził jej palcem i bez ociągania sięgnął po kolejne ciastko. – Nie doceniasz mnie. Jak zwykle.

Dziewczyna przewróciła oczami, ale po chwili spoważniała.

– Więc teraz Leo ma mój nóż?

Reiven pokiwał głową.

– Nie miałem wyjścia. I tak już nie mógłbym ci go oddać. Jeśli nie dałbym broni jemu, to sam musiałbym go zatrzymać. Jak ni-  
by wyjaśniłbym jego zniknięcie?

– Och, kto jak kto, ale ty? Na pewno coś byś wymyślił – odparła z przesadną pieśczołliwością.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo, parodiując jej minę.

Nie miała do niego pretensji o to, jak załatwił sprawę. Właściwie to cieszyła ją myśl, że Leo miał po niej pamiątkę.

– Dobrze, że się udało – dodała. – Ale czuję, że to wszystko zaraz runie. Will miał rację. To się spieprzy.

Reiven nieco spoważniał i pokiwał głową.

– Chyba masz rację – przyznał. – Moje spacerowanie do ciebie też nie uszły uwadze buntowników.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Stawiał na szali swoje kontakty z Leo i Lasotą, a wiedziała, że zależało mu na ich przyjaźni.

Zostało ostanie ciastko i oboje sięgnęli po nie jednocześnie. Przez chwilę każde trzymało swoją część. Spojrzeli na siebie wyzywająco.

– Jestem twoim gościem. Powinnaś mi ustąpić – powiedział Reiven, unosząc zawadiacko brew.



– Spadłam ze skały i potrzebuję pożywienia dla odzyskania sił – odbiła Sheila rozczulająco.

Reiven pokręcił głową z niezadowoleniem i puścił ciastko.

– Wyciągnęłaś poważną artylerię.

Zadowolona otworzyła usta, ale towarzysz szybkim ruchem podbił jej dłoń od dołu, przez co ciastko poleciało do góry. Buntownik zwinnie złapał je w locie i wsadził do ust, uśmiechając się szeroko.

– Udław się. – Walnęła go dłonią w ramię.

– Frajerka – skwitował i podłożył ręce pod głowę, układając się wygodniej.

Westchnęła z udawanym niezadowoleniem, ale tak naprawdę Reiven ją rozbawił. Jak zwykle.

– Wracając do tematu – zaczął, kiedy strząsał ostatnie okruszki z koszuli. – Co zamierzasz?

Wzruszyła ramionami.

– Martwię się o Willa – wyznała i oparła się o drewnianą ścianę izby. – Na odchodne powiedział mi, że bym nie ruszała się stąd, dopóki nie wróci. Miał być dzisiaj.

– Na szczęście masz towarzystwo – zauważył mężczyzna.

Uśmiechnęła się.

– No tak. Jestem wdzięczna, że przychodzisz...

– Miałem na myśli Wypłosza – wszedł jej w słowo.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni papierosa.

Dość często było słychać mamrotanie w okolicy chaty, przez co Sheila wiedziała, że nie jest sama.

– Znowu przyniósł mi drewno – zaśmiała się i schowała twarz w dłonie. – Robi się z tego ładny stosik.

– Może planuje zrobić ognisko, na którym cię upiecze – zgadywał Reiven przesadnie przejętym głosem.

– Zamknij się! – zaśmiała się głośniej. – Muszę się stąd zabrać, kiedy go nie będzie. Nie jest zbyt dyskretny.

– Nie powiedziałbym – stwierdził mężczyzna poważnie. – Ostatecznie nikt go nie przyuważał od... w zasadzie to nie wiadomo od kiedy.

– Może masz rację – zastanowiła się Sheila.

Oczy Reivena błysnęły złośliwie.

– Miałabyś nowe zwierzątko.

Dziewczyna nie mogła powstrzymać śmiechu, choć czuła się z tym podle.

– Jesteś najgorszy ze... po prostu najgorszy. Tak ogólnie.

Reiven zaciągnął się papierosem i spojrzał na nią badawczo.

– Cokolwiek zdecydujesz, to pamiętaj, że ja...

– Nie będziesz mnie niańczył – dokończyła dziewczyna. – Spokojnie. Nie zamierzam ci o sobie przypominać. I tak zrobiłeś dla mnie dużo.

Reiven zamyślił się i powoli wypuścił z ust szary dym.

– Właściwie to chciałem powiedzieć, że możesz na mnie liczyć.

Sheila spojrzała na niego szczerze zaskoczona. Nie od razu wiedziała, co odpowiedzieć.

– Myślałam, że nie chcesz się w to mieszać.

Reiven fuknął cicho.

– Zdaje się, że moment na niemieszanie się minął, kiedy postanowiłem pobiec za tobą nad rzekę. Gdzieś pod skórą wiedziałem, że będą z tego same kłopoty.

Sheila uśmiechnęła się delikatnie i przez chwilę patrzyła, jak palił.

– Dlaczego to robisz? – zapytała. – Skąd to nagłe zaangażowanie?

Spojrzał na nią niepewnie, a potem zmiażdżył papierosa na ścianie i odrzucił go w kąt.

– Możesz mi tu nie śmiecić? – mruknęła spokojnie, choć wiedziała, że nic to nie da.

– Wybacz, że niszczę ten unikalny wystrój, ale myślę, że mój wypalony śmieć idealnie wpisuje się w klimat tej aranżacji.

Objęła kolana ramionami.

– Odpowiesz mi?

Przez chwilę wyglądał, jakby bił się z myślami, a potem zaczął mówić niezbyt przekonanym głosem:

– Być może... istnieje taka możliwość, że... odrobinę czuję się odpowiedzialny za to, co się stało.

Zaskoczył ją i to natychmiast wymalowało się na jej twarzy.

– O czym ty mówisz?

Postanowił ciągnąć, co zaczął:

– Kiedy polazłaś do Twierdzy jak ostatnia kretynka i ostatecznie, co oczywiście było do przewidzenia, trafiłaś do lochu Verrada, Leo był nieobecny i ja podejmowałem decyzje odnośnie do twojej sytuacji. Gdy cię zabili... gdy MYŚLAŁEM, że cię zabili, to... trochę mi się zrobiło przykro.

Przez chwilę nie mogła wyjść z osłupienia, dlatego nic nie mówiła.

– Tylko nie zawracaj mi głowy pierdołami – dodał szybko, bo zobaczył, że jego słowa zrobiły na niej wrażenie.

Sheila uśmiechnęła się lekko na widok nieporadności, z jaką fałszerz wypowiedział ostatnie zdania. Położyła palce na jego dłoni i krótko ją ścisnęła.

– Masz ochotę na chrupkie rurki? – zagaiła nagle i podniosła się z łóżka.

– Dawaj. – Fałszerz machnął zachęcająco ręką.

Nie powiedzieli już ani słowa na poprzedni temat, co ewidentnie sprawiło Reivenowi ulgę.

Kiedy Sheila szukała w tobołku od Williama resztek jedzenia, na zewnątrz coś się poruszyło. Spojrzeli na siebie z Reivenem i zamarli.

– Kroki – wypowiedziała prawie bezgłośnie, a jej towarzysz potwierdził to kiwnięciem głowy.

– Bez mamrotania – dodał.

Sheila po cichu sięgnęła po łuk. Reiven też już zdążył się podnieść i uzbroić. Kiedy podeszła do drzwi, intruz był już na pomoście. Gdy zrobiła krok do przodu, Reiven chwycił ją w pasie i przesunął do tyłu. Sam za to, słysząc, że przybysz zmierza prosto do chaty, wyszedł mu na spotkanie z wyciągniętym mieczem.

Sheila wstrzymała oddech, kiedy Reiven zamarł, patrząc na tego, kto przyszedł. Widziała w otwartych drzwiach zaskoczoną minę fałszerza. Po chwili opuścił ostrze i odetchnął głęboko. Spojrzał na dziewczynę i rozłożył bezradnie ręce.

Serce zabiło jej mocniej. Domyśliła się, kto stał za ścianą, zanim jeszcze wysoki mężczyzna zrobił krok do przodu i spojrzął na nią z wejścia.

– Widzę, że znalazłeś swój łuk – powiedział Leo, a Sheila pomimo problematycznej sytuacji o mało nie uśmiechnęła się na znajomy chłodny ton.

\* \* \*

Przez ponad rok Sheila wielokrotnie wyobrażała sobie, jak mogłoby wyglądać jej spotkanie z Leo. Miała nadzieję, że okoliczności tego zdarzenia odciągną jego uwagę od zdenerwowania na nią. W głowie zawsze pisała scenariusze, w których atakowało ich coś wielkiego i niebezpiecznego. Widząc, że coś jej grozi, Leo – w jej marzeniach – był znacznie bardziej skłonny do wybaczenia.

Stojąc naprzeciwko niego w zatęchłej chacie, wiedziała, że dowódca dowiedział się o niej w najgorszy z możliwych sposobów. Siłą woli próbowała wymazać wszystkie domysły, które rodziły się zapewne w jego głowie.

Dowódca wszedł do pomieszczenia i stanął naprzeciwko dziewczyny. Nie była pewna, jak nazwać to, co wyrażał jego wzrok, ale nie było to nic, co mogłoby dać dziewczynie nadzieję na ciepłe przywitanie.

– Leo... – zaczęła, ale to było wszystko, co przyszło jej do głowy.

Chciała, żeby wiedział, jak bardzo cieszyła się na ich spotkanie, ale takie wyznanie w sytuacji, w jakiej się znaleźli, tylko by go rozdrażniło. Mogłaby zacząć od razu mu wszystko wyjaśniać, ale zupełnie nie miała pomysłu, od czego zacząć. Czy najpierw wzbudzić litość? Czy lepiej przykuć jego uwagę jakimś szokującym faktem?

Leo podszedł do stołu i bez słowa położył na nim jej nóż.

Przymknęła na chwilę oczy i spuściła głowę. Po kilku wolnych wdechach spojrzała na niego i przyznała gorzko:

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Wiem, że jesteś wściekły, ale jeśli dasz mi chwilę, to wszystko ci wyjaśnię.

Leo Franck spojrzał na nią kamiennym wzrokiem, a potem odezwał się obco i obojętnie:

– Nie jestem wściekły. Nie musisz się tłumaczyć. – Jego opamiętanie było nie do zniesienia. Sheila wołała, żeby zaczął krzyczeć. Potrafiła sobie z tym poradzić. – William wiedział? – rzucił chłodno.

Zawahała się.

– Głupie pytanie – stwierdził. – Jasne, że wiedział. – Odwrócił głowę i rzucił nieprzyjemne spojrzenie Reivenowi.

– Proszę, wysłuchaj mnie. – Sheila zrobiła krok w jego stronę. – Musiałam się ukryć...

Leo założył ręce na piersi i mierzył dziewczynę spojrzeniem surowego sędziego.

– Nie jestem idiotą – powiedział twardo. – To oczywiste, że miałaś powód, by urządzić tę farsę. I naprawdę nie musisz mnie wtajemniczać w szczegóły.

– Ale ja chcę ci wytłumaczyć...

– Ale ja nie chcę – warknął.

Sheila poczuła ucisk w żołądku, kiedy w jego oczach błysnęła złość. Zdawała sobie sprawę, że najgorsze, co mogła teraz zrobić, to się rozplakać. Jednak właśnie do tego dążył jej organizm.

– Nie chcę słuchać tłumaczeń – powiedział Leo, usilnie próbując się uspokoić. – Już mnie nie potrzebujesz. To dobrze, bo ja nie mam czasu, żeby cię niańczyć.

Mówiąc to, odsunął od siebie nóż na blacie stołu i skierował się do wyjścia. Bez słowa minął Reivena, który zdążył zapalić papierosa na pomoście.

Sheila stała jak osłupiała i patrzyła przed siebie. Nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie stało. Mogłaby pogodzić się ze złością, z krzykami i obrażaniem jej osoby. Ale na obojętność nie była przygotowana. Poczula się jak skończona idiotka. Cały czas bała się reakcji Leo, bo była przekonana, że ta sprawa go obchodziła.

– Pogadam z nim – odezwał się Reiven i rzucił niedokończono skręta w taflę wody.

– C-co? – zająknęła się, wyrwana z rozmyślań. – Nie. Daj mu chwilę.

Reiven spojrział na nią znacząco.

– Nie sądzę, żeby chwila cokolwiek zmieniła – stwierdził szczerze. – Raczej nie liczyłbym na zbyt wiele. Chcę jedynie upewnić się, że Leo nie wygada nic Lasocie. Sheila... przykro mi.

Spojrzała na niego mało przytomnie i pokiwała głową.

– To było do przewidzenia – powiedziała, wzruszając ramionami.

Obawiała się, że uczulenie Leo na to, żeby nikomu o niej nie powiedział, mogło go tylko mocniej rozdrażnić, ale wiedziała, że nie było innego wyjścia. Kiedy Reiven wyszedł, podeszła do prowizorycznego łóżka i usiadła na twardym materacu ze słomy i szmat.

To dobrze, że się dowiedział – pomyślała. – Kiedyś mi wybaczy. Nie ma tego złego. Przynajmniej już mija czas, w którym rany się zablizniają i... Jakie niby rany? Jest zły, bo Reiven go okłamał. Nawet jedna iskierka w jego oczach nie zdradziła tego, że ucieszył się na mój widok.

Sheila zwinęła się w kłębek i poczuła, że ciepłe łzy przeorały jej policzki.

\* \* \*

Leo słyszał, że Reiven za nim szedł.

– Wiesz, że nie mogłem ci powiedzieć – odezwał się fałszerz. Dowódca zatrzymał się, a zaraz potem ucichły też kroki z tyłu.

– Domyślam się – wycedził i odwrócił się w stronę fałszerza. Reiven podszedł bliżej.

– Spotkaliśmy się przez przypadek. Jak mnie zobaczyła, to zaczęła uciekać. Nie wybrała mnie na powiernika swojego sekretu. To, że się dowiedziałem, tylko narobiło jej kłopotów.

– Od razu domyśliłem się, że coś jest nie tak. Zbyt chętnie odpowiadałeś na pytania.

– Posłuchaj, to naprawdę ważne, żeby nikt się nie dowiedział... Oczy Leo błysnęły wrogo.

– Myślisz, że będę o tym rozповідаł? – warknął. – Mylisz się. Zamierzam zapomnieć o całej sprawie. Jak dla mnie to ona może nadal nie żyć. Ale ty mnie oszukałeś. Nie wiem, jak mamy współpracować, skoro nie mogę być pewny twojej lojalności.

Mina Reivena wyrażała już jedynie politowanie.

– A tam, pieprzenie. To nie pierwszy raz. Wiesz, że nie mówię ci o wszystkich problemach, jakie mam w Wolnej Kompanii. I jakoś do tej pory nie przeszkadzało ci, że nie zwierzam się ze wszystkiego. Nie miałaś też problemu z tym, że kręcę w sprawie Matteo. Nasza współpraca nigdy nie opierała się na wylewności. A mimo to nie mieliśmy problemów z lojalnością. Przestań udawać, że jesteś zaskoczony albo zawiedziony moją postawą. – Założył ręce na piersi. – Sprawa Sheili nie dotyczy Wolnej Kompanii. Poprosiła o dyskrecję, więc to oczywiste, że nic nie powiedziałem. Przyznaj, że wkurza cię co innego.

– Ty mnie wkurzasz – rzucił Leo i również założył ręce na piersi.

Reiven nie przejął się tymi słowami.

– Ależ z ciebie dzieciak – fuknął, tracąc cierpliwość. – Gadaj sobie dalej, że masz to w dupie i takie tam. Gówno prawda. Skręca cię z ciekawości, dlaczego Sheila musiała to wszystko zrobić, ale jesteś za bardzo obrażony, żeby zapytać.

– Nie – powiedział Leo krótko i zaczął się zbliżać do kompana. – Wiesz, nad czym tak naprawdę się zastanawiam? – Przystanął, kiedy znalazł się tuż przed Reivenem. – Zachodzę, kurwa, w głowę, jakim cudem przez te dziewięć lat jeszcze ani razu nie dostałeś ode mnie w mordę.

– No to może dajmy sobie po razie i zobaczymy, czy to coś pomoże?

Leo rzucił mu wrogie spojrzenie.

– Powiedz Sheili, że nie musi się obawiać. Dla mnie wszystko jest po staremu. – Dowódca się odwrócił.

– Dlaczego mnie dziś śledziłeś? – Głos Reivena skutecznie powstrzymał Leo przed odejściem. Franck zatrzymał się, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Reiven kontynuował swoją myśl, idąc niespiesznie w kierunku rozmówcy: – Moje spacerki do lasu cię



nie interesowały, dopóki nie zobaczyłeś u mnie tego noża. Ale znalazłeś go i miałeś nadzieję, że to wszystko ma z nią coś wspólnego.

Oczy Leo się zmieniły. Błysnęły satysfakcją, gdy utkwił je w przyjacielu i zadał ostatnie pytanie przed odejściem:

– A ty, Reiv? – Uśmiechnął się krzywo i brzydko. – Dlaczego pozwoliłeś mi się śledzić?

\* \* \*

William nie przyszedł przez cały dzień. Po zejściu z Leo nie pokazał się również Reiven. Sheila zastanawiała się, czy buntownikom udało się porozumieć. O jedno mogła być spokojna. Leo nie narazi jej kryjówki na odkrycie, bo zapewne już nigdy się u niej nie pojawi.

Noc upłynęła dziewczynie na rozmyślaniach. Gdzieś w oddali słyhać było wycie wilków. Przed Kazamatami Sheili nie przeszkadzało to w spaniu. Całe życie mieszkała w leśniczówce na skraju lasu i co wieczór jej zaśnięciu towarzyszyły odgłosy zwierząt. Na polowaniach z Bennem również spędzali noce przy akompaniamencie przeróżnych stworzeń, ale wtedy było inaczej. Tamta leśna muzyka brzmiała kojąco w porównaniu z jazgotem gońców.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w przeciągłe, odległe wycie. Starła się odciąć od tego, co było na Zarzeczcu. Jednak lasy w Kazamatach różniły się od tych obok jej domu. Wyjąłowione ze zwierzyny łownej tereny wypełniały drapieźniki. Ich złowrogie warczenie słyszała nawet podczas mieszkania w szałasie z Loganem i Marsonem. Już wtedy tęskniła za otumaniającą zielenią zagajników, które okalały jej dom.

Przekręciła się na prawy bok.

Materac, na którym leżała, śmierdział zmurszałymi szmatami i zawilgotniałym, przegniłym aż do środka sianem.

Westchnęła, wspominając futra, które zostały w jaskini. Pokażne zapasy trofeów ułatwiały dziewczynie życie przez ponad rok. Worków z pieniędzmi nie było Sheili szkoda – i tak nie miała gdzie ich wydać. To, czego naprawdę jej brakowało w tej obmierzłej chacie, to zapach zarzecznego powietrza, rześkiego i krystalicznego. Wiosną niosło woń ziół, których było tam pod dostatkiem. Zimą przesiąknięte było wilgotną korą drzew.

Dopiero leżąc w tej starej myśliwskiej chacie, Sheila zdała sobie sprawę, że gdziekolwiek by w Kazamatach nie spała, nigdzie nie pachniało tak ładnie, jak na Zarzeczu.

Przekręciła się na drugi bok i schowała twarz w dłoń.

Jakimś cudem usnęła tej nocy. Zdawało jej się, że minęło raptem kilka minut, zanim obudził ją hałas przy chacie. Zerwała się i rozejrzała nieprzytomnie. Dopiero po chwili nasłuchiwania zdała sobie sprawę, że to Wypłosz z łoskotem zrzucił kolejną porcję drewna.

– Cholera – mruknęła i opadła z powrotem na zmurszały materac.

Na zewnątrz było już jasno. Mamrotanie niepożądanego towarzysza stawało się to głośniejsze, to cichsze, w zależności od tego, jak blisko kręcił się mężczyzna. Szybko okazało się, że to mruczenie skutecznie wytrąciło Sheilę ze stanu odpoczynku.

Wstała. Oczy ją piekły. Była pewna, że śniło jej się coś paskudnego, ale nie pamiętała dokładnie co. Wyjrzała na zewnątrz, po drodze łapiąc kawałek czerstwego chleba. Po zapasach zostały już tylko resztki. Wypłosz spojrział na nią krótko i podszedł, po swojemu kiwając się i garbiąc.

– No cześć – rzuciła. – Will mnie zostawił. Reiven też. Ale coś czuję, że ty nie dasz mi spokoju, co?

Wypłosz spojrział na nią z dołu i niespodziewanie wyrwał chleb z jej ręki.

– Ej! To dla mnie!

Odbiegł parę kroków i zanurzył kilka chybotliwych zębów w pieczywie. Kiedy zorientował się, że jest dla niego za twarde, skrzywił się i cisnął nim w jezioro.

– EJ!!! – zawołała dziewczyna i podbiegła do niego, ignorując pobołowające nadal kolana. – Cholera! To moje resztki. Od dziś sam sobie organizujesz jedzenie. Rozumiesz, co mówię?

Wypłosz popatrzył na nią i skulił się nieco. Sarknęła zniecierpliwiona.

– Poważnie, mam cię dość.

Z rezygnacją machnęła ręką i wróciła do chaty, gdzie nakryła wielkiego szczura dobierającego się do ostatniego kawałka kwaśnego sera, który jej został. Przepędzony intruz porwał zdobycz ze sobą i w ten sposób Sheila została bez posiłku.

Trzeba było jeszcze bardziej się obżerać z Reivenem – jęknęła w duchu, zła na siebie.

Do południa przejrzała wszystkie zakamarki z okolicy. Nie znalazła jednak nic zjadliwego.

Miała problem. Nie mogła beczynn timer czekać na ratunek, dlatego podjęła decyzję o zapolowaniu. Za cel obrała ryby w jeziorze. Nigdy nie była zainteresowana łowieniem, dlatego obawiała się efektów. Nie za bardzo jednak miała alternatywę, bo napięcie łuku przy obecnym stanie zdrowia nadal było wyzwaniem.

Kiedy zabrała się za ostrzenie kija, jej myśli nieco się rozpogodziły. Wypłosz pojawiał się i znikał, jak to miał w zwyczaju, a Sheila czuła, jak rośnie w niej optymizm. Gdy broń na ryby była gotowa, Wypłosz postanowił jednak zainteresować się jej poczynaniami.

– Spadaj stąd – rzuciła mu ostrzegawczo. – Nie można hałasować, bo ryby nie podpłyną blisko.

Cicho weszła na pomost i przyjrzała się wodzie. Wciąż było zbyt ciepło, żeby pojawił się na niej lód. Dziewczyna poczuła ulgę, gdy szybko dostrzegła przemykające zwierzątka.

– To łatwizna. – Wzruszyła ramionami i skupiła wzrok na wodzie. – Nudne... ale łatwe.

Po godzinie bolała ją kark, ramię i kolana, a złowić udało jej się jedynie kilka obślizgłych roślin. Zła i głodna, rzuciła w końcu drewnianą włócznię na błotnistą trawę i zakląła głośno.

– To jakieś jaja – jęknęła. – Jestem beznadziejna.

Wypłosz podszedł i nieśmiało usiadł metr od niej. Spojrzała na niego i zobaczyła, że coś jadł. Szybko zorientowała się, że był to surowy szczur, który jeszcze kilka godzin wcześniej buszował po chacie.

Poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Odwróciła wzrok, starając się nie słuchać mlaskania mężczyzny.

– Nawet ty sobie lepiej radzisz ode mnie. Cholera, jak ty potwornie cuchniesz – powiedziała rozdrażniona, krzywiąc się i zakrywając nos dłonią. – Jak masz tu przebywać, to musimy cię umyć.

Wypłosz wciągnął ogon szczura z obrzydliwym mlaśnięciem i spojrzał na Sheilę wyczekująco.

– Do wody – rozkazała dziewczyna, wstając i pokazując wyprostowaną ręką jezioro.

Mężczyzna wstał i zaczął pospiesznie odchodzić.

– Ooo... na pewno nie! – zawołała za nim. – Wypłosz! – krzyknęła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Mężczyzna zatrzymał się i skulił. Sheila podeszła do niego.

– Powiedziałam coś – dodała ciszej, ale jej ton nie stracił na stanowczości. Zatrzymała się naprzeciwko mężczyzny i nadal wskazywała na wodę. – Chodź ze mną. Pomogę ci.

Musiała chwycić za jego wychudzone ramię, które zdradzało resztki dawnego umięśnienia. Poprowadziła go do brzegu i nie zważając na opór, wciągnęła do wody, sycząc i klnąc z zimna.

– Spokojnie – powiedziała po chwili łagodniej, szcękając zębami. – Obojgu nam to wyjdzie na dobre. Co ty masz na głowie?

Po raz pierwszy zobaczyła z bliska jego poplątane włosy i brodę. Były lepkie od potu i brudu.

Zatrzymali się w momencie, kiedy woda sięgała im do pasa. Sheila ostrożnie ochlapowała Wypłosa po torsie, co skutkowało jego strachliwym popiskiwaniem. Zdjęła mu koszulę, z której zostało już niewiele materiału.

– Dam ci nową – powiedziała. – Widziałam, że William przyniósł mi coś swojego na zmianę. Ale ja sobie poradzę, a twoje szmaty już się do niczego nie nadają.

Woda w miejscu, gdzie stali, straciła na przejrzystości. Sheila, widząc to, uśmiechnęła się.

– Zaraz te ryby same wypłyną na wierzch, tyle że do góry brzuchami. Że też o tym wcześniej nie pomyślałam.

Wypłosz uśmiechnął się, ukazując cztery zęby. Sheila zaśmiała się na ten widok. Spojrzała na jego twarz. Jedyne ciemne, świńskie oczy wyłaniały się z gęstwiny posiwiałych włosów. Wzrok ten nie wyrażał niczego szczególnego. Wydawał się jakby pusty i nieobecny. Sheila poczuła współczucie dla tego człowieka.

– Coś ty ze sobą zrobił? No dobra – otrząsnęła się szybko – czas na najgorsze.

Zanurzyła głowę Wypłosa w wodzie i bagatelizując wstręt na myśl o tłustych i zarobaczonych kudłach, zaczęła je czym prędzej masować dłońmi. Potrzebowali dziesięciu podejść, żeby ten bezład dało się jakkolwiek przeczesać palcami.

Kiedy jej kompan po raz kolejny wynurzył się z jeziora, Sheila się zaśmiała. Wszystkie jego włosy się wyprostowały, przez co sięgały mu do połowy pleców i brzucha.

– Pięknie – skomentowała zadowolona.

Pomogła Wypłoszowi wrócić na brzeg i poszła po koszulę, którą przyniósł jej William. Kiedy wyszła z nią na zewnątrz, Wypłosz wyżył swoją brodę oraz chlastał nią na boki, warcząc z zimna.

Wyglądał kuriozalnie z długimi, mokrymi strąkami oraz w jasnej koszuli z kompletem guzików. Szczekał zębami jeszcze bardziej niż Sheila, więc dziewczyna pozwoliła mu wyschnąć w chacie.

– Tylko te portki nie pasują – spojrzała na podziurawione nogawki towarzysza, sadowiąc się na łóżku. – No trudno. Od razu inaczej. Teraz możesz siedzieć koło mnie.

Myślenie o głodzie nie opuszczało jej ani na chwilę, jednak starała się odwrócić od tego uwagę, obserwując Wyplosza, któremu schły ciemne włosy. Kiedy po południu były już prawie suche, nie skręcały się w grube, zmierzwione kudły. Odświeżone pasma zakręciły się jak poprzednio, ale stały się puszyste, co wyglądało dosyć zabawnie. Nagle całą twarz Wyplosza jakby opatulili ciemna owcza wełna. Przez to jeszcze mniej widoczne stały się jego małe oczka.

– Siwiejesz, staruszkule – powiedziała, kiedy przyjrzała się z bliska jego suchym lokom. – Pewnie ze stresu. Straszny cykor z ciebie.

Kiedy nastał wieczór, Sheila wiedziała, że musi pójść dalej. Póki nie zrobiło się całkiem ciemno, założyła na głowę kaptur i ruszyła w las, oddalając się od chaty oraz Wolnej Kompanii. Postanowiła wybrać się w kierunku jaskini Wyplosza, wiedząc, że musiał się on do tej pory czymś żywić.

Jej towarzysz kołysał się koło niej, kiedy intensywnie wpatrywała się w ściółkę.

– Nie jest źle – mówiła co jakiś czas, a wtedy on przerywał mruczenie. – Mamy bocznika. Jutro coś z niego wykombinuję i będzie wspaniałe śniadanie. Dzisiejsza kolacja, pytasz? Hmm... Podobno nie powinno się objadać na noc, bo wtedy się ciężko śpi. A ja nie za dobrze sypiam, wiesz? Ale może coś jesz-

cze znajdziemy. Chyba że już zdążyłeś wyjść wszystko z tej okolicy. O, zobacz! A nie, to korzeń.

Szli powoli przy akompaniamencie burczenia w brzuchu. Słońce zachodziło już za lasem, kiedy zawrócili. Sheila była coraz bardziej zrezygnowana. Kiedy po raz kolejny skręciło ją w żołądku, przystanęła i westchnęła z rezygnacją.

– Dobra. Dawaj mi tego szczura – mruknęła. – Widziałam, że nie zjadłeś całego.

Wypłosz patrzył na nią wyczekująco.

– No dalej – zachęciła go. – Mniam, mniam.

Nie spotkało się to jednak z żadną reakcją.

– Cholera. Że też nie ma do ciebie jakiegoś klucza. – Ruszyła w dalszą drogę. – Co to jest w ogóle za las, w którym nie ma jedzenia? – warknęła zirytowana. – Tak, wiem. Za późno wyszliśmy.

Ruszyła w stronę chaty, tym razem bez ociągania. Wypłosz podskakiwał koślavo tuż za nią.

\* \* \*

Następnego dnia obudził ją znajomy dźwięk zrzucanego drewna. Tym razem była równie niewyspana, co poprzedniego ranka. Głód nie pozwalał jej zasnąć do późna, więc zjadła surowego bocznika i odchorowywała to potem przez kilka godzin. Dziewczynie udało się nie zwymiotować posiłku, co odczytywała jako spory sukces.

Kiedy po południu wreszcie złowiła pierwszą rybę, była tak szczęśliwa, że wykonała kilka koślawych tanecznych ruchów, nie zważając na pobolewające kolana. Wypłosz podbiegł do niej przerażony, jakby obawiał się, że coś jej się stało. Sheila podsunęła mu swoją zdobycz pod nos.

– Widzisz? – zapytała, tak jakby istniała możliwość, by nie widział. – Sama ją złapałam. Mówiłam, że łowienie to prościzna.

Zaśmiała się i chciała ucałować rybę, ale Wypłosz zamachnął się i wytrącił jej zwierzątko z dłoni. Rybka upadła w ostatni skrawek mokrego śniegu, który nie zdążył się zamienić w błoto, i wierzgała desperacko, podskakując jak oszalała.

– O nie, nie, nie! – jęknęła Sheila i rzuciła się na kolana, starając się złapać stworzenie, zanim, podskakując, wpadnie do jeziora. – Trzymaj się z daleka. Tego posiłku mi nie spieszysz.

Chwyciła najbliższy kamień i już miała dobić rybę, gdy coś przykuło jej uwagę. Mokry śnieg zmienił kolor i pojawiły się na nim ciemnozielone plamy. Sheila przyjrzała się i zobaczyła, że płyn wydzielał się spomiędzy łusek stworzenia tym intensywniej, im bardziej zwierzę walczyło.

– No jasne, że jesteś trująca – prychnęła dziewczyna i zaśmiała się gorzko. – Byłoby za łatwo.

Po wrzuceniu szamoczącej się ryby z powrotem do jeziora Sheila usiadła na pomoście całkowicie zrezygnowana.

– O mało jej nie zeżarłam – powiedziała do Wypłosza. – Co się ze mną dzieje? Nie wiem, czy specjalnie mnie ostrzegłeś, czy po prostu lubisz wywalać mi jedzenie z rąk. Ale jeśli to pierwsze, to...

Urwała, bo zorientowała się, że Wypłosz jej nie słyszał. Pobiegł do krzaków, w których trzymał swoje dziwne znaleziska, i grzebał w nich przez chwilę. Gdy wrócił, w ręku trzymał zakrwawioną głowę szczura, rozłupaną na pół. Sheila cofnęła się na widok wystającego z niej mózgu.

Przez pół godziny broniła się przed wzięciem prezentu do ręki, ale pozwoliła, żeby Wypłosz odłożył go obok niej. Kolejną godzinę spędziła na przyglądaniu się gryzoniowi i zastanawianiu się, czy aby na pewno była aż tak głodna. Czasu, którego potrzebowała na



zjedzenie posiłku, nie liczyła. Gorzki, galaretowaty mózg był obśli-  
zgły i nieprzyjemny w dotyku. Sheila zamknęła oczy i odgryzła po-  
łowę, przełykając ją bez przeżuwania. Bardzo długo nie mogła się  
zmusić do zjedzenia reszty, ale i to jej się w końcu udało.

– Widzisz. Nie porzygałam się – pochwaliła się Wypłoszowi,  
który łapał śnieżynki kilka metrów dalej.

– Ptaszki! – zawołał uradowany.

– Znowu pada – mruknęła niezadowolona, wiedząc, że było zbyt  
ciepło i śnieg powiększał jedynie błotnistą breję, jaka ją otaczała.

Zamknęła oczy i starała się oczyścić umysł. Jedna myśl jednak  
ciągle wypływała na wierzch.

Gdzie się podziewał William?

\* \* \*

Reiven przyszedł wieczorem. Sheila tak ucieszyła się na jego wi-  
dok, że wyszła mu na spotkanie, kiedy tylko mignął jej między  
drzewami. W odróżnieniu od niej Wypłosz nie był zachwycony  
nowym towarzystwem. Spojrzał na mężczyznę spode łba i odsu-  
nął się w stronę chatki.

– Coś ty z nim zrobiła? – Fałszerz szczerze się zdziwił na wi-  
dok puszystej fryzury dzikusa.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i uściskała Reivena, który  
spojrzał na nią zaskoczony.

– Chyba nie paliłaś tych jego łodyg? – zapytał podejrzliwie,  
a następnie skrzywił się, czując jej oddech. – Coś ty jadła?

Zaśmiała się nerwowo.

– Prawdopodobnie nigdy w życiu ci tego nie powiem.

Wciąż patrząc na nią z ukosa, Reiven ruszył w stronę pomostu.

– Myślałem, że kto jak kto, ale ty poradzisz sobie w lesie. Jak-  
bym wiedział, że głodujesz, przyniosłbym ci coś.

Spojrzała na niego zrozpaczona.

– Chyba żartujesz – jęknęła.

Wyszczrzył zęby.

– Chyba tak.

Odetchnęła i szturchnęła go w ramię. Przejęła tobołek, który przyniósł. W środku znalazła kawałek pieczonego gońca.

Od razu zanurzyła zęby w posiłku i zamruczała z zadowoleniem. Żyłaste mięso zdziczałych psów nigdy nie było tak smaczne.

Reiven obserwował ją w milczeniu, a Wypłosz mamrotał pod nosem, układając z drewna zgrabny stosik. Było to jedno z jego ulubionych zajęć.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna, kiedy tylko skończyła jeść. – Potrzebowałam tego.

– Zgaduję, że William się nie pokazał.

Zmarszczyła czoło i otarła usta.

– Martwię się. Minęło kilka dni. Ale nie o tym chcę teraz mówić.

Reiven odetchnął głęboko.

– Domyślam się.

Sheila spojrzała mu w oczy i przez chwilę zastanawiała się, czy na pewno chciała znać odpowiedź na pytanie, które planowała zadać. Zanim się zdecydowała, Reiven sam podjął temat Leo.

– Nie rozmawiałem z nim od tamtego dnia – powiedział ostrożnie. – Nie żebym specjalnie go szukał. Najważniejsze, że się nie wygada.

Odetchnęła głęboko.

– Co dokładnie o mnie mówił?

Reiven nie był skory do odpowiadania.

– Nie rób ze mnie pośrednika waszych amorów.

Nie pozwoliła sobie na zażenowanie, które próbowało ją ogarniać.

– Po prostu mi powiedz.

Przez chwilę udawał zamyślenie, a ona wiedziała, że w jego głowie rodziło się coś wrednego.

– W porządku – rzucił w końcu ze złowieszczym uśmiechem. – Ale pod jednym warunkiem.

Fuknęła i oparła policzek na łokciu.

– Czego chcesz?

Pochylił się do jej twarzy i wyszeptał konspiracyjnie:

– Przyznaj się, co zjadłaś.

Nie powstrzymała śmiechu. Na chwilę zakryła twarz rozpostartą dłonią, czując, że policzki jej poczerwieniały.

– Mózg szczura. Surowy – powiedziała zrezygnowana. – Zadowolony?

Posłał dziewczynie skrzywiony uśmiech.

– Ble – skomentował. – Jak było?

Szturchnęła go w ramię, ale znowu zachichotała.

– Nie najgorzej – skłamała, ale rozmówca nie dawał za wygraną.

– Obślizgło? – drażył temat. – Obleśnie mlaskał ci w ustach?

Posłała mu podejrzliwe spojrzenie i założyła ręce na piersi.

– Nieźle się orientujesz.

Jego zawadiacki uśmiezek nie zniknął, dopóki nie zobaczył, że jej mina spoważniała. Westchnął i wyciągnął papierosa.

– Nie będziesz zachwycona. Ale pewnie się tego domyślasz.

– Wypuścił pierwszy kłęb dymu. – Leo nie zamierza cię wydać, odwiedzać ani w żaden sposób zaprzętać sobie głowy twoją osobą. Znaczy... tak twierdzi. Nie żebym w to wierzył.

– To chyba dobrze. – Sheila próbowała mówić swobodnie. – W tej sytuacji. Zatem... nie chce mnie znać. – Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to tak dramatycznie, jak się czuła.

– Powiedział, że dla niego nic się nie zmieniło – rzekł fałszem nieco łagodniej.

Sheila poczuła szarpnięcie w żołądku.

– Tak, jakbym nadal nie żyła?

Reiven nie odpowiedział, ale nie musiał tego robić.

Dobrze – pomyślała dziewczyna. – Przynajmniej nie będzie mnie tu nic trzymało.

– Po zmroku odchodzę – podjęła decyzję.

Kiedy powiedziała to na głos, zdała sobie sprawę, że naprawdę nie dało się inaczej, a ona jedynie odciągała nieuniknione.

Reiven nie wyglądał na zaskoczonego. Pokiwał głową.

– Co z Williamem? Przekazać mu wiadomość?

Uśmiechnęła się z trudem.

– Tak. Dzięki. Daj mi trochę czasu. Możesz jeszcze przyjść?

Wahał się, ale tylko przez chwilę.

\* \* \*

– Wypłosz, zostaw to! – zawołała, kiedy jej towarzysz po raz kolejny zainteresował się zostawioną przez Reivena butelką. – I tak masz już mocno w czubie.

Wyrwała mu z ręki ciemne naczynie i odstawiła na stół.

– Idź połapać ptaszki. – Machnęła ręką.

Wyglądało jednak na to, że zamiast śnieżynek Wypłosz tym razem upodobał sobie ryby. Pochylał się nad jeziorem i chlapał ręką, odganiając kolorowe zwierzątka, które po chwili z powrotem podpływały do pomostu. Mamrotał przy tym nieustannie, do czego Sheila zdołała się już przyzwyczaić.

Odkąd oszedł Reiven, nie myślała o Leo. Przynajmniej nie cały czas. Zastanawiała się za to, którą drogą należało wrócić na Zarzecze. Ostatecznie doszła do wniosku, że nocą łatwiej przemknąć niezauważoną obok ludzi, niż uniknąć wykrycia przez drapieżniki. Dlatego postanowiła trzymać się jak najbliżej zewnętrznych posterunków.

Była w trakcie pisania do Williama zwięzłej wiadomości, szybko rozrastającej się jednak od kolejnych zdań, które chciała mu przekazać.

Kochany Willu,

martwi mnie ta cisza z Twojej strony. Mam nadzieję, że nic Ci się nie stało i Reiven bez problemu do Ciebie dotrze.

Sporo się wydarzyło, odkąd się widzieliśmy. Przede wszystkim Lee (nie denerwuj się) Leo dowiedział się o tym, że żyję. Ale nie wydał mi. W ogóle nie chce mnie znać, więc nie ma problemu.

Ruszam z powrotem na Zarzecze. W obecnej sytuacji chyba nie ma innego wyjścia, jak umówić się na spotkanie wedle naszego poprzedniego schematu. Będę czekała tam, gdzie zwykle.

Mam nadzieję, że Wypłosz nie pójdzie za mną. Nie wiem, czy uda mi się sprawnie poruszyć

Gdy napisała o Wypłoszu, nagle uświadomiła sobie, że coś było nie tak. Zaczęła nasłuchiwać, ale na zewnątrz panowała cisza. Nie słychać było ani chlupotania wody, ani cichego mamrotania.

Wstała powoli. niespiesznie podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła Wypłosza leżącego na pomoście. Z czoła ściekała mu krew, a obok leżał umazany nią kamień. Ręka bezwładnie zwisała mu nad wodą tak, że palce puszczały kółka w tafli jeziora.

Sekundę po tym, jak Sheila zobaczyła ciało mężczyzny, poczuła uderzenie w głowę.

Dziewczyny nie zamroczyło całkowicie, po pierwszym jęku bólu udało jej się powstrzymać kolejny. Uderzenie było niepre-

czyjne, bo zdążyła zrobić krok do przodu. Dzięki temu zachowała przytomność, ale nie zamierzała się z tym ujawniać.

Zamknęła oczy i z trudem rozluźniła mięśnie. Już po chwili ktoś ją podnosił. Leżała w szerokich ramionach mężczyzny, którego zapach był niespodziewanie przyjemny. Wniósł ją do domu i położył na łóżku. Poczowała, że usiadł tuż obok niej. A potem zaskakująco gładka ręka pogłaskała ją po policzku. Następnie ta sama dłoń lekko klepnęła w jedną i drugą stronę jej twarzy. Sheila zmarszczyła czoło bardziej z zaskoczenia niż bólu.

Nie było odwrotu. Z łękiem otworzyła oczy, a zaraz potem również usta.

– Dzień dobry, księżniczko – powiedział Nikk, świdrując ją ciemnymi oczami, które w panującym półmroku zdawały się czarne. – Dawno się nie widzieliśmy.

Sheila podciągnęła się na łokciach i usiadła.

– Czego chcesz? – warknęła.

Nikk uśmiechnął się, ale jego oczy pozostawały chłodne.

– Po pierwsze, chciałem wyrazić moją szczerą radość na wieść, że jednak żyjesz. Szkoda, że dowiedziałem się o tym dopiero teraz. Nie musiałybyś gnić w tej norze.

Sheila mimo strachu wykrzesła z siebie parsknięcie.

– Miałam się odezwać, ale jakoś wyleciało mi z głowy.

Nikk nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy bez skrępowania wodził wzrokiem po krótkich włosach dziewczyny. Potem zbadał spojrzeniem bliznę na wardze. Sheila miała wrażenie, jakby przez chwilę szrama zapiekła ją na nowo, choć była już przecież całkiem zasklepiona. Najdłużej wpatrywał się w jej oczy, co było najbardziej niekomfortowe.

Mężczyzna wyciągnął rękę do twarzy dziewczyny, na co Sheila odruchowo się odsunęła. Nikk zamarł.

– Czego ode mnie chcesz? – Była zła na siebie, że łamiący się głos zdradzał jej zestresowanie.

– Powiem ci – mruknął nisko. – Niedługo. Na razie, jeszcze przez moment nie będę pozbywał się karty przetargowej. – Posłała mu pytające spojrzenie, a on cierpliwie kontynuował: – Mam coś, co gwarantuje, że będziesz posłuszna i nie sprawisz mi więcej takiego zawodu jak ostatnio. – Pochylił się do niej i mówił coraz ciszej: – Martwiłem się.

Po plecach dziewczyny przebiegł dreszcz, kiedy ciemne oczy wwierały się w jej źrenice.

– Co takiego masz? – zapytała, siłąc się na hardy głos.

Uśmiechnął się, co w zestawieniu z jego zimnym wzrokiem wyglądało groteskowo.

– Informacje – powiedział, a jego dłoń powędrowała do jej nadgarstka. Schwytał go w żelazny uścisk. – William nie zbliży się do rozszyfrowania prawdy o tobie. Atay nic mu nie powie. – Spojrzał Sheili w oczy. – Masz tylko mnie.

Próbowała wyrwać mu swoją rękę, ale dopiero po chwili na to pozwolił. Wstał i zaczął niespiesznie przechadzać się po izdebce. Jego wzrok padł na niedokończony list. Podniósł go i przeczytał po cichu.

– Urocze – zakpił. – Więc ten gnojek miał zanieść list Willovi? Już nie ma potrzeby go fatygować. Sam przekażę naszemu znajomemu najnowsze wieści. – Przeczytał kolejny fragment tekstu i wyglądał na szczerze zaskoczony tym, co w nim znalazł. – Zarzecz? Przyznam, że tego się nie spodziewałem. Ale po zastanowieniu faktycznie ma to sens. Chociaż nie sądzę...

– Nie interesuje mnie twoje zdanie – weszła mu w słowo. Znacznie łatwiej było jej zachować hardość, kiedy stał nieco dalej. – Do tej pory radziłam sobie bez twoich rad.

– I pewnie świetnie na tym wychodziłaś – zadrwił, ale potem jego ton się wyostrzył. – Posłuchaj mnie. Gdyby Will miał choć

odrobinę oleju w głowie, wiedziałby, że to nie przede mną trzeba cię chronić.

– Dobrze. Przekażę mu to, jak przyjdzie. Coś jeszcze? Może kogoś pozdrowić?

Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem.

– William raczej nieprędko cię odwiedzi.

Sheila natychmiast wstała.

– Co mu zrobiłeś? – warknęła, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

Nikk wzruszył ramionami.

– Siadaj – poprosił łagodnie. – Nic mu nie zrobiłem. Choć kiedyś zapłaci za ten numer, który wywinęliście. To na pewno. – Spojrzała na nią nieco zniecierpliwiony. – Po prostu myśli, że zamierzam go śledzić, żeby dowiedzieć się, gdzie jesteś. Odkąd dostał moją małą pogroźkę, zaszył się na zamku. Atay śle paniczne listy do wielebnego Lasoty, ale wszystkie przechwyciłem. – Uśmiechnął się brzydko na widok jej zdziwienia. – Nie rozumiesz? Skoro i tak wiem, że żyjesz, trzymanie cię w dziczy mija się z celem, prawda? Chcieli, żeby przejął cię ktoś z Wolnej Kompanii. Zdaje się, że adepcik właśnie na to liczył, zostawiając cię tu na pastwę losu. A jednak udało ci się nie pobiec od razu do przyjaciół. Masz mój szacunek.

Sheila założyła ręce na piersi. Po pierwszym szoku na widok mężczyzny wróciła jej pewność siebie.

– Chyba nie muszę mówić, jak mało mnie obchodzi, co o mnie myślisz? Możesz skończyć z tymi podchodami i powiedzieć, czego chcesz?

Odrzucił kartkę i odpowiedział:

– Chcę ci zapewnić bezpieczeństwo.

Nie powstrzymała prychnięcia.

– Dziwi cię to?



– Raczej wzrusza – zakpiła.

Zignorował jej zachowanie i podszedł jeszcze bliżej.

– Zastanów się. Proponuję ci najcenniejszy dar. Wiedzę o samej sobie. Zapewniam cię, że nikt nie pomoże ci w tej kwestii.

– Skąd wiesz cokolwiek na mój temat? – Żałowała, że nie mogła powstrzymać się od zadania tego pytania.

Uśmiechnął się z politowaniem.

– Mówiłem już, że nie zamierzam się pozbywać mojej karty przetargowej zbyt szybko. Ale uznajmy, że po prostu od dziecka jestem zaznajomiony z pewnymi nadnaturalnymi sprawami.

– I mam uwierzyć, że wiesz więcej od wykwalifikowanego kapłana?

Nie wyglądał na zbitego z tropu.

– Ależ ja nigdy nie powiedziałem, że Atay wie mniej ode mnie – powiedział poważnie. – On po prostu nigdy się tym z wami nie podzieli.

Sheila podeszła jeszcze jeden krok do przodu. Wydawało się, że to usatysfakcjonowało jej rozmówcę.

– Dlaczego Atay nic nie powie?

Nikk był wyraźnie zadowolony, że zdobył ciekawość dziewczyny.

– Bo jest naukowcem – wyjaśnił lakonicznie, jakby to rozwiewało wszelkie wątpliwości. – W dodatku to pasjonat, a może powinienem powiedzieć: fanatyk.

– Dziwne, że w takim razie się nie dogadaliście – syknęła Sheila nieprzyjemnie i zrobiła jeszcze jeden niepewny krok w stronę mężczyzny.

Nikk uśmiechnął się, tym razem całkiem ludzko.

– Koniec uciekania – odparł miękko. – Nikt ci nie zagrozi. Jestem w stanie ochronić cię przed wszystkim, co czyha na cie-

bie w Kazamatach i nie tylko – zawahał się, a potem powiedział dobitniej: – Williamowi nie spadnie włos z głowy.

– Muszę wiedzieć – powiedziała cicho, ale stanowczo, robiąc jeszcze jeden mały krok w jego stronę. – Do czego ci jestem potrzebna?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Tego nie da się wytłumaczyć jednym zdaniem. To znaczy... – po raz pierwszy okazał zmieszanie i Sheila musiała przyznać, że przez moment nie wyglądał jak psychopata. – Da się. Ale pewnie mi nie uwierzysz. Do niczego mi nie jesteś potrzebna. Nie w takim sensie, jak myślisz.

Spojrzała mu w oczy.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co myślę. A twoje zagadki nie ułatwiają mi sprawy – wycodziła.

– Po prostu obawiam się, że nie uwierzysz mi na słowo. Przy najmniej nie od razu. Ale wszystko, co mam ci do powiedzenia, mogę udowodnić. Potrzebuję jedynie twojej krwi.

Sheila cicho fuknęła. Doszli więc do sedna i jak mogła przewidzieć, cały ten cikliwy wywód prowadził do tego, czego spodziewała się od początku.

– Jeśli się zgodzę, obiecujesz, że nie zemścisz się na Williamie? Jego oczy błysnęły zadowoleniem.

– Nie znoszę typu, ale ani jeden rudy włos nie spadnie mu z tej jego tępej głowy.

Teraz albo nigdy – usłyszała w głowie i natychmiast zareagowała.

Chwyciła butelkę rumianówki od Reivena, do której sukcesywnie przybliżała się podczas rozmowy z Nikkiem, i uderzyła nią prosto w jego twarz. Mężczyzna zachwiał się i złapał za kant stołu, ale niewiele mu to dało. Zaklął siarczyście i otarł krew z czoła. Alkohol zalał mu oczy, przez co na chwilę stracił panowanie nad zmysłem wzroku.

– Robisz cholerną głupotę! – wykrzyczał wściekły. – Znajdę cię wszędzie!

– W takim razie do zobaczenia.

Wybiegła na zewnątrz i chwyciła swój łuk, który upadł na post. Na całe szczęście Wypłosz zaczął pojękiwać, co oznaczało, że odzyskiwał przytomność. Sheila podniosła go z trudem do pionu i zachęcała do biegu.

Ku jej uldze, mężczyzna posłuchał i kiwając się chaotycznie, gnał przed siebie obok niej.

Wiedziała, że w tej chwili ją spowalniał. Zabieranie go było głupie, ale nie chciała, żeby zostawał ranny przy wściekłym Nikku.

Biegli między krzakami. Sheila bez wahania wybrała kierunek. Pomimo całej swojej sytuacji i stresu, który napędzał szaleńczy rytm jej serca, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

Bieg szybko dał się we znaki Wypłoszowi, którego oddech stał się urywany i głośny. Sheila zerknęła na niego z niepokojem.

– Już niedaleko – dodawała mu otuchy, ale niewiele to dało.

Kiedy mężczyzna przewrócił się po raz kolejny, widziała, że nie mógł już wstać.

– Jesteśmy prawie na miejscu – jęknęła. – Widać już bramę.

Wypłosz złapał się za głowę. Kulił się, mamrocząc w zawrotnym tempie. Sheila westchnęła i przykucnęła przy nim.

– Pokaż to – rozkazała, odgarniając jego pokręcone włosy umazane krwią. – To tylko zadrapanie. Pewnie boli, ale nic ci nie będzie.

Przycisnęła dłoń do jego rany i rozejrzała się za opatrunkiem. Sięgnęła po ubłocony liść i otrzepała go na kolanie. Zanim jednak przyłożyła go do rozcięcia, poczuła, że zakręciło jej się w głowie. Zaskoczona spojrzała na pojękującego Wypłosza.

Ale jego nie było.

Nie znajdowała się już przy wejściu do Wolnej Kompanii, tylko przy opuszczonej chacie, z której dopiero co uciekła. W pierw-

szej chwili przestraszyła się, że to jakieś sztuczki Nikka. Po kilku sekundach zorientowała się jednak, że chodziło o coś innego.

Widziała siebie samą, opartą o drzwi domu na pomoście. Krwawiła i trzymała się za żebra. Krzywiła się przy każdym ruchu i pokasywała chaotycznie.

Kilka metrów od niej czał się dziki pająk, jakby zastanawiał się, czy była już dostatecznie pokiereszowana, by ryzykować samotny atak. Sheila patrzyła na niego z ukosa i sięgnęła do kołczanu po strzałę. Zrobiła to w ostatnim momencie, bo insekt jednak zdecydował się na atak. Podbiegł do niej, ale grot strzały, którą trzymała w rękach, ugrzązł w jego odwłoku. Odnóża stwora zatrzęsły się w agonii, a potem zwierzę znieruchomiło. Sheila wytarła z twarzy krople jadu, które pająk zdążył wypluć w jej kierunku.

Zza rogu chaty zerkał na to wszystko wystraszony Wypłosz, ale Sheila ze wspomnienia go nie dostrzegała. Nie miała siły wstać, dlatego wyciągnęła z kieszeni nóż i wbiła go w drzwi. Następnie podciągnęła się z jękiem, trzymając za rękojeść broni. Prawie jej się udało, lecz zachwiała się i upadła z powrotem na ziemię.

Wypłosz wyskoczył zza rogu i podbiegł, by pomóc dziewczynie się podnieść. Krzyknęła na jego widok i zaczęła się osłaniać, jednak chwilę później straciła przytomność. Mężczyzna popatrzył na jej twarz z bliska i przeciągnął brudnym palcem po nosie Sheili.

– Moja – mruknął cicho. – Ja pomogę – zaczął mamrotać coraz głośniej. – Nie, nie, nie. Nie umrze. Ja pomogę.

Zaczął przeszukiwać jej kieszenie i wyrzucać z nich wszystko, co mu wpadło w ręce. Potem otworzył drzwi i cały dobytek cisnął do środka chaty. Ją samą z niemałym trudem chwycił na ręce i sapiąc oraz przystając co chwila dla złapania oddechu, zaczął transportować w stronę swojej jaskini.

Sheila zamrugnęła szybko, kiedy wróciła do teraźniejszości. Wypłosz jęczał jeszcze głośniej niż poprzednio.

– Boli, boli, boli. – Tylko to dało się zrozumieć z jego szybkiej paplaniny.

– T-tak, wiem – zająknęła się dziewczyna. – Musimy iść. TO POMOŻE. – Wskazała na mokry liść, mając nadzieję, że akurat to słowo mężczyzna powinien zrozumieć.

Zerknął zainteresowany, a potem syknął, gdy przycisnęła mu roślinę do czoła. Wytarła zakrwawione ręce o kurtkę i podźwignęła się z kolan. Obejrzała się przez ramię i dostrzegła, że między drzewami chaotycznie przedzierał się Nikk. Na ten widok Sheila szarpnęła Wypłosza, który zamiast przytrzymać sobie liść przy głowie, patrzył na niego zainteresowany.

– Pomoże? – zapytał.

– Rusz się! – ponagliła go i ponownie docisnęła mu prowizoryczny opatrunek do rany. – TU TRZYMAJ! – powiedziała dobitnie.

Biegli dalej. Kiedy wyłonili się z zagajnika, od bramy obozu dzieliło ich już tylko kilkaset metrów.

– Jesteśmy – sapnęła Sheila i uśmiechnęła się do towarzysza. Ten tymczasem zaciśniętą pięścią przybijał sobie liść do głowy.

Nie zatrzymywali się już ani na chwilę. Buntownicy, którzy pilnowali bramy, zauważyli ich z daleka i wymienili ze sobą zaskoczony spojrzenia.

Sheila obejrzała się przez ramię ostatni raz. Nikk skrył się w cieniu drzewa i obserwował ich, pocierając podrażnione od alkoholu oczy. Następnie dziewczyna przeniosła wzrok na buntowników. Jednego pamiętała z widzenia. Zanim którykolwiek się odezwał, upadła na kolana, a obok niej przystanął Wypłosz.

Była w Wolnej Kompanii. Miała ochotę się rozplakać.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Sheila stała na moście w Wolnej Kompanii i próbowała ignorować wwiercające się w nią spojrzenia dwóch buntowników. Najchętniej od razu pobiegłaby do Reivena, ale uniemożliwił jej to Wypłosz, który spanikował na widok tylu ludzi w jednym miejscu. Kiedy przechodzili przez bramę, trzymał się kurczowo kurtki dziewczyny i pojękiwał niespokojnie. Jednak na widok leśnej wioski stanął jak wryty, następnie zaczął wić się i kulić, a potem kręcić w kółko i mamrotać szybko bez ładu i składu.

– W porządku – mruknęła niezadowolona Sheila do buntowników. – Idźcie po Reivena Scotta. – Mężczyźni spojrzeli najpierw na nią, a potem na siebie. – Powiedźcie, że przysłała Sheila – dodała.

Nadal nie wyglądali na przekonanych. Buntownik, którego kojarzyła z widzenia, łytał na nią głupkowato i Sheila była przekonana, że jej nie poznawał.

– Możecie też iść do Leo – stwierdziła niepewnie i wyciągnęła swoje myśliwskie ostrze. – Albo lepiej do dezertarów. Pokażcie im ten nóż. Przeprowadźcie Pittera. Lub kogokolwiek, kto nie jest wami – zakończyła błagalnie.

– To jakiś śmieć – stwierdził nieznajomy buntownik, krzywiąc się na widok broni. – Scott każe nam z tym wypierdalać.

Sheila zmierzyła mężczyznę zaskoczonym spojrzeniem.

– Ty nadażasz w ogóle za tym, co do ciebie mówię? – rzuciła z westchnieniem, a potem przeniosła wzrok na drugiego rozmówcę. – Jak myślisz, co się stanie, jak nie dacie znać waszym dowódcom o tym, że do obozu przysłała dziewczyna? Z tego, co pamiętam, to chyba nie jest zbyt częsty widok w Kazamatach? – Spojrzała na Wyplosza, który kulił się za nią. – Chyba że wolicie popilnować mojego kolegi, a ja sama skoczę...

– Nie – zaprzeczył nagle znajomy z widzenia. – Rozejrzę się za kimś, a ty zajmij się swoim... nim – dokończył skrzywiony i ruszył w stronę drewnianych chatek.

Wypłosz jęknął głośno i ścisnął rękę Sheili aż do bólu, kiedy na most wszedł kolejny mężczyzna. Dziewczyna nie przejęła się jednak zachowaniem towarzysza, bo zbyt zaskoczył ją widok nowo przybyłego.

– Ty tutaj? – zawołała.

Osobnik zatrzymał się i rzucił jej zaskoczone spojrzenie. Buntownik do tej pory stał obok Sheili, teraz jednak patrzył to na jedno, to na drugie, ale za nic nie mógł zorientować się w sytuacji.

– Znamy się? – Przybysz wyglądał na szczerze zdziwionego i niepewnie ruszył w stronę dziewczyny.

Sheila poczuła piekącą złość. Nie spodziewała się, że spotka w Wolnej Kompanii jednego ze strażników powołanego ze skazańców przez Verrada. I to takiego, który przez jakiś czas był bohaterem jej koszmarów.

– Fester – wycodziła przez zęby. – Nie pamiętasz mnie?

Ruszyła w jego stronę, nie kryjąc wściekłości. Mężczyzna zatrzymał się i rozejrzał. Wyglądał na kompletnie skołowanego.

– Ejejej! – zawołał drugi buntownik i skoczył w stronę kolegi. – Gdzie z tym nożem? Czego chcesz od Dreina?

– Drein? – Sheila zatrzymała się, ale nadal patrzyła na przybysza ze złością. – Tak się nazywasz? Drein Fester? I mówisz, że mnie nie pamiętasz?

Były strażnik Verrada po pierwszym zaskoczeniu odzyskał pewność siebie i przybrał bardziej bojową postawę.

– Co ci się usrało we łbie? – warknął i zacisnął pięści. – W życiu cię na oczy nie widziałem. Zjeżdżaj, chudeuszu, albo błysnę ci prawdziwym ostrzem.

Sheila ze złością schowała nóż za pasek, wiedząc, że powinna była nad sobą zapanować. Skrzywiła się i zakłęta pod nosem.

– A Etaina pamiętasz? – zapytała znacznie ciszej.

Fester nieco się zmieszał, ale nie stracił rezonu.

– Zejdź mi z drogi, przybłędo, albo...

Nie dane mu było dokończyć. Wypłosz zerwał z czoła zakrwawiony liść i cisnął nim w wygrażającego dziewczynie byłego strażnika, brudząc mu spodnie. Wściekły mężczyzna ryknął na dzikusa i wyciągnął nóż zza pazuchy. To ostrze faktycznie zrobiło większe wrażenie niż myśliwskie narzędzie Sheili.

– Co jest, kurwa? – warknął Drein Fester. – Pilnuj swojego pokraki!

– Schowaj to, bo go straszysz.

Sheila w ogóle nie siliła się na spokój. Stała naprzeciwko byłego strażnika, zasłaniając Wypłosza, który całkiem stracił na sobą panowanie i jazgotał płaczliwie.

– Ucisz go albo ja to zrobię – zagroził Fester i splunął na bok.

– Spokojnie – wtrącił się jego kolega, ale wyglądało na to, że tamten nie zamierzał odpuścić.

Drein pchnął Sheilę do tyłu z taką siłą, że upadła na barierkę mostu. Drugi buntownik złapał kolegę za ramię, ale tamten strzepnął jego palce i chwycił Wypłosza za koszulę. Nóż błysnął złowrogo przy krtani skulonego człowieczka.

– Przeprós – wycedził Fester przez zęby, a potem uderzył Wypłosza rękojęścią swojej broni.

Sheila usłyszała płaczliwe jęknięcie i poczuła, że krew się w niej zagotowała. Niespodziewanie dla byłego strażnika chwyciła go za nadgarstek i wykręciła boleśnie do tyłu. Ostrze i koszula Wypłosza wyszłygnęły się z jego ręki.

– Ty jebany...

Nie zdążył dokończyć. Sheila z całej siły kopnęła go w krocze. Była poobijana, ale nadal wysportowana, a mężczyzna stał przy krawędzi mostu, której nie zabezpieczała barierka. Dziewczyna



nie miała problemu z postaniem go do wody jednym, mocnym pchnięciem w czasie, gdy mężczyzna kulił się od kopniaka.

Nie dane jej było długo smakować zwycięstwa, bo Wypłosz, wykorzystując odzyskaną wolność, zamierzał się nią nacieszyć z dala od tego dziwnego miejsca, jakim był dla niego obóz Wolnej Kompanii.

– Zaczekaj! – Sheila zawołała za nim, ale ten zbiegał już niezgrabnie w dół ścieżki i rzucił się w stronę bramy, mamrocząc nie bardziej niż zazwyczaj. Uciekając, odganiał się od otoczenia jak od natrętnego stada much.

– Już nie żyjesz! – warknął Fester, wynurzając się z wody. – Słyszysz?! Jesteś trupem! Zapierdo... – Kolejne słowa utonęły w głośnym plusku, kiedy Drein próbował nieporadnie dopłynąć do mostu.

Sheila rzuciła mu szybkie spojrzenie i odwróciła się na pięcie.

Drugi z buntowników przez chwilę wyglądał, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić, ale w końcu zdecydował się pójść za nią.

– Nie denerwuj się, ale muszę zapytać – zaczął nieśmiało.

– Może nie teraz – ucięła, krocząc przez znajomy teren.

– Kim ty jesteś, co? I wiesz... Scott wcale nie musi cię przyjąć. Zignorowała go.

Uległa pokusie rozglądania się na boki. Otaczały ją drewniane domki, wyrastające z ziemi oraz przyklejone do grubych pni drzew, połączonych linowymi mostami i kamiennymi ścieżkami.

Serce biło jej jak oszalałe. Dookoła kręcili się członkowie obozu, ale mało kto w ogóle zwrócił uwagę na niewyróżniającego się przechodnia. Sheila nie dostrzegła takich buntowników, z którymi chciałyby od razu się przywitać.

Przecięli obóz i najkrótszą drogą dotarli do zaułka. Na jego końcu, przytulona do wysokiej góry, stała chata Reivena. Jeden z członków bandy Scotta wstał na widok zbliżających się ludzi. Minę miał znudzoną.

– Nic z tego, Mellick. – Wyciągnął rękę, zatrzymując przyby-  
szów kilka metrów przed drzwiami. – Szef powiedział, że dzisiaj  
już mam nikogo do niego nie wpuszczać.

Sheila stanęła naprzeciwko buntownika i zignorowała Mellicka,  
który mruknął zza jej pleców:

– A nie mówiłem?

– Cześć, Ursus – powiedziała spokojniejszym głosem. – Mo-  
że jakoś się dogadamy?

Buntownik popatrzył na nią z politowaniem i już miał ją od-  
prawić mniej uprzejmie, ale nagle otworzył usta ze zdziwienia.

Sheila uśmiechnęła się krzywo. Wiedziała, że ten człowiek ją  
rozpozna. Widział ją po ostrzyżeniu, jej ostatniego dnia w Wol-  
nej Kompanii przed felerną wyprawą do Twierdzy.

– Cholera – sapnął. – Myślałem, że nie żyjesz.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Długa historia. Wpuścisz mnie? Wiem, że Rei kazał sobie nie  
przeszkadzać, ale chyba zgodzisz się, że to nietypowa sytuacja?

Ursus odwzajemnił niemrawy uśmiech.

– A niech mnie – stęknął, wciąż zaskoczony. – Widziałeś to? –  
zagaił do kolegi. Ten najwyraźniej wciąż nie miał pojęcia, kim  
w zasadzie była Sheila.

Dziewczyna zniecierpliwiła się lekko. Emocje wciąż w niej buzowały.

– No to jak będzie?

Ursus założył ręce na piersi.

– Z mojej strony nie ma problemu. – Wzruszył ramionami. –  
Reiven kiedyś powiedział, że masz do niego wstęp o każdej po-  
rze, i w zasadzie nigdy tego nie cofnął.

Sheila klepnęła mężczyznę w ramię i już miała iść w stronę  
drzwi, ale strażnik Scotta ją przytrzymał.

– Tylko że... – powiedział ciszej. – Nie wiem, czy będziesz  
miała z niego teraz jakiś pożytek.

Wszystko wyczytała z jego znaczącej miny. Kiwnęła głową.

– Rozumiem. Jakoś sobie poradzę.

Podbiegła kilka kroków, kiedy Ursus zawołał ją po raz ostatni:

– Hej, Sheila! Chyba już to mówiłem, ale: pasuje ci ta fryzurka.

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi i uniosła dłoń, by zapukać. Nagle drzwi przed nią otworzyły się zamasyście, zanim zdążyła przyłożyć knykcie do drewna.

Naprzeciwko niej stanął Reiven.

– Eee... ja... – zaczęła zmieszana. – Wychodzisz?

Uznała, że było to głupie pytanie, ale fałszerz jej nie wyśmiał. Wyglądał, jakby nie do końca wiedział, co się działo.

– Usłyszałem twoje imię – wyjaśnił. – I pomyślałem, że...

– Nikk mnie znalazł – przerwała mu cicho.

Jego wzrok nieco się wyostrzył i mężczyzna bez słowa odsunął się, by wpuścić ją do środka.

Poczuła znajomy zapach alkoholu, tytoniu i pieprzu.

Niewiele się zmieniło w jego mieszkaniu. Tak jak zapamiętała, stół i półki zavalone były drobiazgami. Łóżko, o dziwo, wyglądało całkiem schludnie, ale obok niego jak zwykle stało kilka butelek.

– Nie jesteś pijany – zauważyła Sheila z zaskoczeniem.

Reiven prychnął i usiadł na krześle za stołem.

– Milutka jesteś – mruknął.

Poczuła, że uszy jej poczerwieniały.

– Po prostu – próbowała się wytłumaczyć, omijając rozgardiasz na podłodze i siadając naprzeciwko rozmówcy – Ursus powiedział, że mogę nie mieć z ciebie pożytku, więc uznałam, że...

– Że nawaliłem się w trupa – dokończył i westchnął. – Zawsze kiedy każę sobie nie przeszkadzać, wszyscy myślą, że chcę pić w spokoju.

– A co innego chciałeś robić?

Reiven pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Poważnie? Nikomu nie przyszło do głowy, że ja też czasem pracuję?

Spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

– Szczerze: to nie – przyznała.

Machnął ręką i sięgnął do kieszeni.

– Dla mnie jeszcze za wcześnie – powiedział, wsadzając sobie papierosa do ust. – Prawdę powiedziawszy, rzadko piję przed wieczorem. Jeśli szukasz u mnie pomocy, to na razie kiepsko ci idzie wzbudzanie mojej sympatii.

Sheila na chwilę schowała twarz w dłoń, a potem spojrzała na Reivena przeproszająco.

– Wiem, że miałam ci nie zawracać głowy...

– Ani nie zdradzać całemu światu, że żyjesz. Widzę, że można na tobie polegać, nie ma co.

Zignorowała tę uwagę i pochyliła się do przodu, odsuwając pogięte papiery na bok. Oparła ręce na blacie stołu.

– Nikk przyszedł do chaty – powtórzyła.

Reiven wydmuchał szarawy dym i popatrzył na nią uważnie.

– Powiedział, czego od ciebie chce?

Pokręciła głową.

– Udało mi się uciec, ale... – jęknęła i splotła dłonie. – Musiałam się schować gdzieś, gdzie on nie może wejść. – Spojrzała na Reivena wyczekująco.

Nie odrywał od niej wzroku, powoli pałac skręta.

– Ani chwili spokoju. – Odetchnął głęboko. – Od razu mówiłem, żebyś wracała, a nie chowała się po zatęchłych chatach. Dobrze, że chociaż nie wzięłaś ze sobą Wypłosza...

Przerwał, widząc jej zakłopotaną minę.

– Jaja sobie robisz – jęknął.

– Nie ma go tu – wyjaśniła szybko. – Ale był. Musiałam go zabrać, bo Nikk go zranił.

– No jasne, że MUSIAŁAŚ go zabrać – rzucił mężczyzna sarkastycznie. – Kiedy się wreszcie nauczysz, że spowalniających kretynów zostawia się jako kłodę pod nogi przeciwnika?

Otworzyła usta i zamierzała mu ostro odpowiedzieć, ale on machnął ręką.

– Dobra. Nie gorączkuj się. Nie mówiłem poważnie. Przynajmniej nie do końca.

Założyła ręce na piersi.

– Wypłosza tu nie ma – powtórzyła. – Uciekł po tym, jak zaatakował go Fester.

Reiven podrapał się po czole.

– I co ja mam z tym niby zrobić?

– Najlepiej wypieprzyć Dreina na zbity pysk – warknęła. – Chodzi mi o to, że... – Opanowała się trochę. – Wiem, że to tak nie działa. Ale uważajcie na niego. Jest niewyżyty i do tego nie robi mu różnicy płeć osoby, do której się doбира.

Spojrzenie Reivena nabrało bystrości. Nie skomentował jednak jej słów. Zgniół papierosa w popielnicy, a potem splótł szczupłe palce i pokręcił głową w zamyśleniu.

– Nie przesadzam – ciągnęła Sheila ciszej. – Wiem o nim trochę i naprawdę każda kolejna rzecz, jaka wychodzi na jego temat, jest gorsza od poprzedniej.

– Wierzę ci – powiedział w końcu fałszierz łagodnie. – Nie musisz się wdawać w szczegóły, jeśli nie chcesz.

Sheila kiwnęła głową z wdzięcznością, a po chwili wstała i zaczęła relacjonować to, co wydarzyło się chwilę wcześniej.

– Kopnęłam go i wpadł do jeziora. Chyba teraz jest na mnie wściekły – zakończyła i posłała rozmówcy wyczekujące spojrzenie.

Oczy Reivena błysnęły zabawnie.

– Gdzie go kopnęłaś?

Mimo wszystko Sheila nie powstrzymała krótkiego śmiechu.

– Właśnie tam, gdzie myślisz.

Sarknął pod nosem i się uśmiechnął.

– Cholera. Tylko wróciłaś i już unieszkodliwiasz nam ludzi. – Spojrzał na nią nieco poważniej. – Jeśli myślisz, że jestem w stanie sprawić, by buntownicy byli mili dla Wypłosza, to jesteś cholernie naiwna.

– Domyślam się, że w tej kwestii nie mogę liczyć na pomoc. – Machnęła ręką, bagatelizując jego minę. – Ale... mógłbyś mieć oko na Dreina?

Reiven westchnął.

– Pogadam z Carlosem, ale nie licz na cuda.

Sheila opuściła wzrok na swoje dłonie i przez chwilę biła się z myślami.

– Tym razem Leo raczej nie będzie skory do zapewnienia mi ochrony.

Falszerz wstał powoli i podszedł do niej.

– Zapytajmy go – zaproponował po chwili.

Sheila poczuła nagły przyływ adrenaliny.

– A co, jeśli nie pozwoli mi tu zostać? Może lepiej nie pytajmy. Jak sądzisz, kiedy zauważy moją obecność w obozie?

Reiven uśmiechnął się i poklepał ją pokrzepiająco po ramieniu.

– Zabawne. Nie martw się. Poradzimy sobie. Leo nie sprzeciwi się Lasocie. A ten pewnie nie zostawi swojej ulubienicy.

– Nie byłabym tego taka pewna. – Sheila pokręciła głową. – Reiven, jest mi tak strasznie wstyd. Szkoda, że nie ma tu Willa.

– Ej! Staram się, jak mogę, a ty i tak wolisz swojego adepcika? – udał urażonego.

Dziewczyna się zaśmiała.

– To nie tak. Po prostu wołałabym, żeby to on się tłumaczył z tego wszystkiego.

Zanim wyszli, Sheila zażartowała po raz ostatni.

– A może najpierw spotkam się Dreinem Festerem? Jakby mnie trochę poobijał, to wzbudziłabym więcej litości w Leo. Wiesz, myślę, że to był główny problem naszego ostatniego spotkania. Byłam za mało umierająca.

Wbrew jej oczekiwaniom Reiven nie zaśmiał się, tylko zamyslił na chwilę.

– Skoro o tym mowa – zaczął ostrożnie, starając się odpowiednio dobierać ton i słowa. – Pamiętaj, że mimo szczerych chęci protekcja Leo nie uchroniła cię przed wszystkim. – Sheila poczuła gorzki posmak w ustach, a jej towarzysz kontynuował cicho i łagodnie: – Po prostu bez względu na to, ilu będziesz miała sprzymierzeńców i jak wielkie zastępy obrońców za sobą, przede wszystkim ty sama nie daj się Dreinowi zaskoczyć... i skrzywdzić.

\* \* \*

Leo nie spieszył się z powrotem. Tego dnia Bruce zajął mu sporo czasu i na trening mógł się wybrać dopiero po południu. Chłód jak zwykle mu nie przeszkadzał, ale śliskie podłoże utrudniało zejście ze skałki.

Ćwiczył dla formy, nie była to jednak jego jedyna motywacja. Miał nadzieję, że wraz z każdym napięciem mięśnia, każdym wypchnięciem broni i każdym powtórzeniem uniku z jego ciała będzie ulatywała złość. Chciał odreagować rozdrażnienie, które towarzyszyło mu od dwóch dni. Dopóki miał zajęcie, znosił wszystko znacznie lepiej. Dlatego znajdował sobie sposoby na zabicie czasu, choć momentami miał ochotę zabić coś bardziej konkretnego.

Wykonał ostatnie pchnięcie, które mogłoby zakończyć się dla przeciwnika śmiercią na miejscu, i zamarł na chwilę w tej pozycji. Oddychał głęboko. Schował broń do pokrowca przy

pasie i otarł pot z twarzy. Sięgnął po bukłak z wodą i opróżnił go jednym długim łykiem.

Schodząc ze swojej skałki w stronę obozu, czuł, że jego mięśnie nadal były napięte. Nie pozbył się też całego mętliku z głowy, choć wydawało mu się, że żądza mordu nieco w nim złagodniała.

Wszystko było w porządku, dopóki nie wracały myśli związane z Sheilą i Reivenem. Kiedy tylko wspomniął o tym, co się stało, od razu pojawiała się w jego głowie pytanie – jak doszło do obecnej, tak drażniącej go sytuacji? Zawsze pilnował, żeby we współpracownikach wzbudzać w pierwszej kolejności respekt. Takie podejście gwarantowało mu spokój i stabilność. Natomiast zachowanie Reivena od początku ich znajomości balansowało na granicy cierpliwości dowódcy. Leo zdał sobie sprawę, że zbyt długo nie chciał wiedzieć, ile rzeczy Reiven przed nim ukrywał.

Dowódca wszedł po kamiennych schodach i skierował się do swojej chaty. Zatrzymał się nagle, gdy podniósł wzrok i zobaczył, co się działo pod jego drzwiami.

Sheila stała z Syriusem i Sveinem. Wyglądało na to, że cała trójka pogrążona była w emocjonującej dyskusji. Kiedy spojrzenie dziewczyny padło na dowódcę, w pierwszej chwili oczy jej błysnęły, ale błyskawicznie spoważniała.

Buntownicy zdawali się nie mieć pojęcia, jak napięta atmosfera panowała między tą dwójką, i z uśmiechem czekali na reakcję szefa. Svein klepnął Sheilę w ramię i jako pierwszy oddalił się od towarzystwa. Kilkanaście metrów dalej stał Reiven i przyglądał się całej sytuacji oparty o skałę.

Leo odetchnął głęboko i gestem zaprosił Sheilę do środka. Z ulgą przyjął fakt, że Reiven nie zamierzał im towarzyszyć, tylko ruszył w górę schodów, by odwiedzić Lasotę.

Dowódca od razu skierował się w stronę stołu i zajął swoje krzesło. Z rozważą nie wskazał gościowi miejsca do siedzenia.



Uznał, że należała mu się ta mała chwila rozkoszowania się niepewnością dziewczyny.

– Nie muszę chyba mówić, że zaskoczyła mnie twoja wizyta – rzekł, kładąc łokcie na bocznych oparciach, przez co wyglądał jednocześnie poważnie i swobodnie. Właśnie na tym mu zależało. – Masz do mnie jakąś sprawę?

Sheila nie wyglądała na zagubioną ani zawstydzoną. Widział, że starała się zachować pozory pewności siebie. Rzuciła na niego spokojne spojrzenia. Przez chwilę zatrzymał wzrok na jej twarzy. Poznawał ją, a jednocześnie nie mógł się pozbyć uczucia zaskoczenia, gdy obserwował zmiany, jakie w niej zaszły przez ostatni rok.

Pierwsze, co rzucało się w oczy, to włosy. Pamiętał piękne, długie fale. Spływały jej po ramionach i plecach, kiedy rozplatała warkocz. Teraz na głowie dziewczyny sterczała krótka, postrzępiona fryzurka, która nie dodawała uroku.

– Dziękuję, że możemy porozmawiać – powiedziała Sheila spokojnie, ale w jej głosie dało się wyczuć stanowczość. – Wysłuchasz mnie?

Rozłożył ręce w oczekującym geście i oparł się wygodniej. Z satysfakcją zarejestrował, że wzrok dziewczyny na chwilę padł na krzesło naprzeciwko niego, ale postanowiła z niego nie korzystać.

– Chcę ci powiedzieć, dlaczego się ukrywałam. Powiem ci prawdę. Nie tę historyjkę, którą sprzedawałam buntownikom.

– Czuję się zaszczycony – mruknął z ironią.

Zdusiła w sobie chęć odpowiedzi na zaczepkę. Mówiła niespiesznie, ale Leo miał wrażenie, że umyślnie pomijała wiele szczegółów. Nie wiedział, czy to dlatego, że chciała skupić się na konkretnych, czy zwyczajnie mu nie ufała. Słuchał jej uważnie, ale jego twarz nadal zdradzała nieprzystępność.

– Rozumiem – skwitował tę opowieść lakonicznie.

Oczy dziewczyny przygasły.

– Jeśli wróciłabym wtedy do Wolnej Kompanii to...

– Rozumiem – rzekł dobitniej, przerywając jej.

Przez chwilę milczeli, a potem Sheila spojrzała na swoje dłonie.

– Spędziłam ponad rok na Zarzeczcu – wyznała cicho.

Nie udało mu się ukryć zaskoczenia na tę wieść, ale nadal milczał.

– Przetrwiałam, ale to był najgorszy okres w moim życiu.

Wierz mi, że każdego dnia żałowałam, że nie mogę słuchać grania Matteo i zaczepek Imbo Szczekacza. – Odetchnęła głęboko. – Ale nie o tym chciałam mówić – ciągnęła mocniejszym głosem. – Chcę ci powiedzieć, że gdyby to zależało tylko ode mnie, to ty i Lasota bylibyście pierwszymi ludźmi, jakich poinformowałam bym o mojej sytuacji. Ale to nie takie proste.

Podeszła do stołu i oparła się na blacie, patrząc dowódcy prosto w oczy. Zauważył, że mimo poobijania wyglądała nieco zdrowiej niż przed rokiem. Była też bardziej umięśniona.

– A teraz powiedz, jak bardzo mnie nienawidzisz i co mogę zrobić, żebyś nienawidził mnie trochę mniej.

\* \* \*

To, co powiedziała, wywarło na Leo jakieś wrażenie, ale Sheila nie była pewna, czy pozytywne. Miała nadzieję, że nie zorientował się, jak wiele informacji starała się pominąć w swojej krótkiej opowieści. Zwłaszcza tych dotyczących jej nadnaturalnych zdolności.

Leo w końcu się odezwał, co przyniosło Sheili ulgę i jednocześnie mocno zmieszało.

– Dlaczego się zdradziłaś? Skoro to takie ważne, żebyś się ukrywała, to czemu postanowiłaś przyjść?

Zawahała się. Serce zabiło jej szybciej, bo wiedziała, że odpowiedź, której udzieli, może być wybawieniem albo gwoździem do trumny. Dziewczynie przemknęła myśl, by skłamać i powiedzieć, że to on był jedynym powodem jej powrotu. Gdy wahała

się nad odpowiedzią, Leo wstał i podszedł do niej. Cofnęła się o krok, a on oparł się tyłem o stół i założył ręce na piersi.

– Dlaczego zrezygnowałaś z ponad rocznych starań i przyszłaś dziś do mnie?

Jęknęła w duchu, a Leo sapnął zniecierpliwiony.

– Sheila – zaczął swoim typowym, chłodnym tonem. – Nie za bardzo lubię zgadywanki. Mogę zrozumieć, co tobą kierowało przez te wszystkie miesiące. Ale nie mam ochoty na podchody i zastanawianie się, czego od siebie chcemy. – Zrobił krok w stronę dziewczyny, a ona wstrzymała oddech. – Załatwmy to tu i teraz.

Może by się nie dowiedział – pomyślała.

Wystarczyło, żeby Reiven jej nie zdradził. Nikt inny nie wiedział o tym, że Nikk ją znalazł.

Leo stał naprzeciwko niej i oczekiwał odpowiedzi. Ale ona nie chciała dalej brnąć w niedomówienia.

– Chciałam cię zobaczyć od dawna – zaczęła z ociąganiem. – Odkąd zniknęłam – sprecyzowała. – Ale przyznaję, że wydarzyło się coś jeszcze i nie mogłam już czekać.

Spojrzała na mężczyznę badawczo. Dopiero po kilku sekundach jego wzrok wyostrzył się, a na twarz wstąpiła złość.

– Cholera. Twoja kryjówka została odkryta. – Ukrył twarz w dłoniach i zaklął kilka razy. – No jasne. Przyszłaś tu, bo nie miałaś innego wyjścia. To wyjaśnia, czemu nagle chcesz się pogodzić.

– Nieprawda – jęknęła. – To, co mówiłam...

– To, co mówiłaś, miało wzbudzić moje współczucie? – warknął. Chciała się wytłumaczyć, ale nie dał jej dojść do słowa. Walnął pięścią w stół. – Kurwa mać. Ale ze mnie idiota. Trzeba było przeszyć mnie strzałą, zamiast pozwolić, żebym mówił to... Czego ty właściwie chcesz, co? – Rzucił dziewczynie wrogie spojrzenie. – Po co ja pytam? Przecież to oczywiste, że potrzebujesz nowej kryjówki.

Sheila wiedziała, że to wszystko wyglądało w oczach dowódcy okropnie. Nie dziwiła więc jej jego złość.

– To, co mówiłeś, nie jest dla mnie bez znaczenia. – Próbowała sprowadzić go z powrotem na poprzednie tory, ale uciszył ją zamaszystym gestem dłoni.

– Nie chcę nic słyszeć na ten temat – wycedził. – W ogóle mam już dość słuchania czegokolwiek, więc się wynoś.

Sheila otworzyła usta z zaskoczenia i poczuła, że irytacja zaczęła przejmować nad nią kontrolę.

– Rozumiem, że jesteś rozgoryczony, ale możesz nie zachowywać się jak smarkacz?

Zmierzyli się nieprzyjemnymi spojrzeniami.

– Mylisz się. Nie jestem rozgoryczony, tylko wściekły, że zawracasz mi głowę.

Dziewczyna zrobiła krok w jego stronę i założyła ręce na piersi.

– No to powinieneś być wniebowzięty, że przez rok tego nie robiłam – podniosła głos.

Wyglądało na to, że Leo również przestał nad sobą panować.

– Faktycznie, wolałem, jak nie żyłaś.

Przykrość, którą jej sprawił, Sheila od razu przetopila w jeszcze większą złość.

– Zapomniałam już, jakim potrafisz być dupkiem.

Leo syknął, a oczy błysnęły mu wściekłością.

– Na szczęście nie będziesz musiała mnie znosić, bo w moim obozie nie ma dla ciebie miejsca.

Sheila zaśmiała się ostentacyjnie, czując, jakby złość wypalała gorycz w jej gardle, co przynosiło chwilową ulgę.

– W TWOIM obozie? Ha! Ciekawe. Od kiedy to masz coś do gadania w tej sprawie? – zakpiła, wiedząc, że przekroczyła już granicę, przed którą miała szansę się zatrzymać. – Ile to się na-

słuchałam o tym, że w Wolnej Kompanii panuje swoboda i nikt nie odsyła z kwitkiem?

Leo zmrzążył oczy i podszedł do niej powoli.

– Może już zapomniałaś, ale w przeciwieństwie do Reivena ja panuję nad moimi ludźmi i to ja decyduję, kto się znajduje w ich szeregach. Dlatego...

Przerwała mu parsknięciem i udała rozbawioną jego słowami.

– A po jaką cholere miałabym się zaciągać do dezertów?

– No to może od razu idź się zatrudnij u Reivena albo Carlosa! – zadrwił, a oczy płonęły mu niebezpiecznie.

– Żebyś wiedział, że tak zrobię. Oni przynajmniej nie dostają wściekizny na mój widok.

Leo w ostatniej chwili powstrzymał się od jakiegoś naprawdę paskudnego przekleństwa. Przymknął oczy i oddychał przez chwilę głęboko, a potem spojrzał na dziewczynę ostro.

– Wynos się – wycedził przez zęby.

Sheila uniosła podbródek i wzruszyła ramionami. Bez słowa minęła zszokowanych buntowników, którzy czekali pod domem dowódcy i słyszeli najgłośniejszy fragment kłótni. Po drodze do Reivena mruczała pod nosem złowrogo.

– Cholera. Chyba mi się udzieliło od Wypłosa.

Ursus machnął ręką na znak, że może przejść. Zastukała zamasyście, starając się uspokoić oddech.

– Wejdz – usłyszała znudzony głos z wewnątrz. – Widzę, że poszło jak po maśle – rzucił fałsz na jej widok. – Niech zgadnę: pokłóciliście się.

Sheila usiadła naprzeciwko niego i podciągnęła nogi pod samą brodę.

– Owszem – przyznała, czując, że jej emocje powoli opadały.

Reiven odłożył pergamin, który trzymał w dłoni, i utkwiał w dziewczynie badawcze spojrzenie.

– No to chyba powinnaś się cieszyć. Przecież chciałaś, żeby było między wami tak jak dawniej.

Sheila posłała mu krzywy grymas.

– Bardzo zabawne. Pękam ze śmiechu.

Reiven westchnął i pokręcił głową.

– Naprawdę musiałaś? – zapytał poważniej. – Przecież miałaś tam pójść, być miła i słodka, błagać go o wybaczenie, okazać skruchę, obiecać poprawę i tak dalej.

– O czym ty mówisz?

– Myślałem, że to oczywiste.

Sięgnął po butelkę, która stała obok, i upił duży łyk. Sheila nie wytrzymała i zadała pytanie:

– Przyjmiesz mnie do swojej bandy?

Zakrztusił się i przez chwilę nie mógł wydobyć słowa.

– Cholera. Wy się naprawdę pokłóciliście – wychrypiał, starając się odchrząknąć. – Dlaczego ja? Czy moja wieloletnia przyjaźń z Leo nic dla ciebie nie znaczy? Chcesz ją zniszczyć doszczętnie?

Dziewczyna przewróciła oczami.

– No przecież nie pójdę do Carlosa.

Mężczyzna uniósł brew, jak miał w zwyczaju, i spojrzał na nią oburzony.

– No wiesz! Wolałbym usłyszeć, że zawsze marzyłaś o byciu moją podwładną. Albo że moje zdolności przywódcze cię fascynują. Albo chociaż że lubisz ze mną pić. Ale porównanie z tymi ochlejusami to kiepski komplement.

Nie powstrzymała uśmiechu.

– Jakoś nigdy nie umieliśmy sobie prawić komplementów – powiedziała z nutką nostalgii w głosie. – Ale faktycznie lubię z tobą pić. Dobra, teraz poważnie. Nie będę darmożjadem. Przydam ci się. Mogę polować...

– Przecież musisz siedzieć w miejscu, do którego Nikk nie może wejść – przypomniał Reiven.

Zmarszczyła czoło.

– No tak. Ale przecież polowanie to nie jedyna z moich umiejętności, która może ci się przydać.

– Wymieć choć jedną. – Spojrzał na nią znacząco.

– Coś sobie znajdę – obiecała. – W ostateczności będę ci sprzątać.

Fałszerz pokręcił głową.

– Nawet nie myśl, że pozwolę ci tu czegoś dotknąć.

Zakłęta cicho.

– Reiven, obiecuję, że nie sprawię ci kłopotów.

Popatrzył na nią badawczo, opierając się wygodnie na krześle.

– Nie wierzę w takie cuda – zakpił, a potem złagodniał. – Sheila, ochłoń. Nikt cię stąd nie wywali. Ale do mojej bandy cię nie przyjmę.

– Czyli co?

Reiven wzruszył ramionami.

– Zawsze możesz zostać biedakiem z Dołów. Wtedy Drein Fester nie będzie mógł cię ruszyć. Takie są tu zasady, pamiętasz?

Sheila pamiętała, ale wiedziała też, że wcale nie musiało to powstrzymać Festera przed atakiem. Niezbyt mocno pocieszy ją fakt, że została skrzywdzona nielegalnie. Mimo wszystko udało jej się odrobinę uspokoić.

– Tylko nie wiem, gdzie będziesz spać – podjął po chwili rozmówca. – Może załatwimy ci jedną z odnowionych chat w centrum obozu. Normalnie buntownicy objijają sobie za nie mordy. Lubię tę prostotę i klarowność, jaką się kierują ci chłopcy. Jest już ciemno – dodał poważniej.

– Poradzę sobie – zapewniła go.

– Może pogadaj z Pittem – zaproponował z lekkim uśmiechem. – Albo pozbądź się dumy i załatw to z Lasotą.

Poczuła, że uszy jej poczerwieniały.

– Porozmawiam z nim. Ale nie mogłabym przyjąć od niego pomocy. Muszę sobie poradzić. Nie zapominaj, że trochę się u mnie pozmieniało przez te miesiące. Umiem o sobie zadbać.

– Dlatego przybiegłaś tu błagać mnie o pomoc?

Przewróciła oczami i wstała niespiesznie.

– Jak już popłaczecie sobie z dziadkiem Lasotą ze wzruszenia, to odwiedź mnie. Trzeba opić twój powrót do domu.

Uśmiechnęła się sympatycznie na te słowa.

– Dzięki. Pewnie tak zrobię. Przy odrobinie szczęścia upiję się w trupa i dzisiejszy nocleg będę miała z głowy.

\* \* \*

– Lasota – mruknęła Sheila, osłaniając twarz dłonią. – Przestań się tak we mnie wpatrywać.

Kapłan uśmiechnął się jeszcze szerzej, choć wydawało się to niemożliwe. Oczy błyszczały mu od łez, gdy patrzył na podopieczną. Mocniej ścisnął jej dłoń, której nie wypuszczał, odkąd usiedli przy stole w laboratorium. Sheila wciąż czuła się nieswojo pod czułym spojrzeniem, jakim obdarzał ją wielebny.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. – Kapłan zaśmiał się i niedbale otarł powieki. – Co było dalej?

Sheila wzruszyła ramionami.

– W zasadzie to tyle – odparła z wahaniem.

Postanowiła jeszcze nie mówić Lasocie o wszystkim, co przeszła na Zarzeczcu. Opowiedziała kapłanowi niewiele więcej niż Leo. Nie wspomniała o swoich koszmarach i całkowicie pomięła fakt, że zdarzyło jej się zajrzeć w cudze wspomnienia już dwa razy. Chciała chociaż przez chwilę porozmawiać z Lasotą jak z przyjacielem, a nie naukowcem.

– Co się stało z tym... jak mu było?



– Wypłosz? – Poczuli się zażenowana, kiedy zobaczyła mi-  
nę Lasoty. – To Rei go tak nazwał – mruknęła. – Niejaki Drein  
Fester go wystraszył. Myślę, że sobie poradzi.

Wiedziała, że do tej pory jakoś udawało mu się przetrwać sa-  
memu, ale miała świadomość, że Wypłosz przywiązał się do niej  
i mógł przyjść w okolice Wolnej Kompanii. Lepiej, żeby nie trafił  
wtedy na oprychów Carlosa.

– Sheila – zaczął Lasota, poważniejąc. – Nie potrafię sobie  
wyobrazić, jak się musiałś czuć. Ani jak teraz się czujesz. W  
końcu powrót tutaj nie załatwia wszystkich twoich problemów.  
Śmiem podejrzewać, że wręcz zwielokrotnia ich ilość.

Dziewczyna ułożyła dłoń na pomarszczonej ręce rozmówcy  
i uśmiechnęła się ciepło.

Kochany Lasota – pomyślała z rozczeniem.

– Wiedz, że zawsze możesz na mnie liczyć – ciągnął kapłan  
łagodnie, ale w jego głosie czuć było nutę stanowczości. – Jed-  
nak chcę powiedzieć, że... nie będę cię namawiał na żadne ba-  
dania ani analizy nadnaturalnych rzeczy, które się z tobą dzieją.

Zaskoczył ją i to natychmiast wymalowało się na jej twarzy.  
Uśmiechnęła się nerwowo i pokiwała głową.

– Jasne – rzuciła, marszcząc brwi. – Wiesz, że nie musisz  
mnie zniechęcać do tych spraw.

Lasota nie wyglądał na przekonanego.

– Zdaję sobie sprawę, że nie mam prawa cię o to prosić –  
kontynuował z ewidentną skruchą. – Wybacz mi, że jednak to  
zrobię, ale jeśli uznasz, że to dla ciebie możliwe, to zakończ  
współpracę z wielebnym Atayem.

Sheila zamrugnęła szybko na te słowa, ale zanim zdążyła odpo-  
wiedzieć, Lasota westchnął i wyjaśnił swoje stanowisko.

– Zdołałem co nieco odczytać między wierszami twojej krót-  
kiej opowieści – wyjaśnił nieśmiało. – Sęk w tym, że niewiele

mi się udało odkryć po badaniach, które przeprowadziłem na tobie rok temu. Z pomocą Reivena sprawdziłem, że twoja krew działa na zmyry... nazwijmy to... uspokajająco.

Dziewczyna przypomniała sobie, że Dziadek mówił jej to samo podczas kopania gliny.

– Niewiele więcej osiągnąłem z tą niewielką próbką, którą miałem do dyspozycji po twoim zniknięciu – ciągnął wielebny, masując sobie czoło i starając się trafnie dobierać słowa. – Ale już to jedno odkrycie zniechęciło mnie do dalszych poszukiwań.

Sheila nie wytrzymała i się wtrąciła.

– Jesteś absolutnym unikatem – zauważyła ciepło. – Każdego innego naukowca takie odkrycie jedynie popchnęłoby do dalszych badań.

Lasota uśmiechnął się skromnie.

– Schlebiam sobie, że żaden inny naukowiec nie miał okazji obdarzyć cię tak silnym przywiązaniem jak ja.

Sheila zarumieniła się, ale było to przyjemne uczucie.

– Jednak nie przypisujemy mi zbyt wielkiego altruizmu. – Mężczyzna ponownie spoważniał. – To, że w taki sposób pomagasz w poskromieniu zmór, jest wystarczającym powodem, by większość ludzi w Kazamatach zechciała zrobić sobie z ciebie prywatny worek z krwią. Nie chcę, żeby mistrz Atay odkrył coś, co spowodzi na ciebie niebezpieczeństwo. Ale chyba jeszcze bardziej nie chciałbym ja tego odkryć. Widzisz... wybac mi, ale nie chcę się przekonać, czy naprawdę jestem tak pogodzony z losem, jak mi się wydaje. Nie chcę... – Głos mu się załamał, a w jego oczach pojawiły się kolejne łzy. – Nie chcę mieć alternatywy, rozumiesz?

Wyznanie Lasoty zrobiło na Sheili ogromne wrażenie. Poczuli się nieswojo i machinalnie uwolniła dłonie z jego uścisku.

– Tak. Chyba tak – mruknęła zaskoczona. Gorycz momentalnie wypełniła płuca dziewczyny. – Dziękuję za szczerłość.

Miała wrażenie, że to ostatnie zdanie złagodziło jej zawód. Spojrzała w błyszczące oczy rozmówcy i poczuła, że nagły chłód, który ją ogarnął, jeszcze szybciej stopniał od rozczulenia, które wzbudziła w niej uczciwość kapłana. Schyliła się do niego i objęła mocno.

– Nikt mnie nigdy tak nie szanował jak ty – szepnęła i zaciśnęła powieki. – Ufam ci bezgranicznie. Ty też zacznij.

Kapłan nie był w stanie odwzajemnić uścisku, bo wstrząsnął nim szloch.

– Roztkliwiam się na starość. – Zaśmiał się i otarł oczy, gdy już zdołał się uspokoić. – Sam nie wiem, dlaczego nie mogę się dziś pozbierać. Chyba to zaskoczenie, że żyjesz, tak mnie rozchwiało emocjonalnie. Dobrze, że Reiven mnie uprzedził i przygotował, bo inaczej jak nic padłbym tu trupem na twój widok. Moja dzielna dziewczynka – zamruczał i ponownie ujął w dłonie jej palce. – Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. Nie wiem, jak mogłem w ogóle pomyśleć... – Zamilkł na chwilę i się opanował. – Możesz przyjść do mnie ze wszystkim – powiedział nieco spokojniej. – Zrobię co w mojej mocy, żeby ulżyć ci w każdej trosce.

Sheila uśmiechnęła się i ucałowała pomarszczoną dłoń kapłana.

Lasota potrząsnął głową, starając się pozbyć obezwładniających emocji.

– Dostyc tego – nakazał sobie, a jego wzrok nabrał stanowczości. – Wybacz, że przywitałem cię w taki sposób. Obiecałem ci ulżyć, a zamiast tego dodaję trosk. Na pewno padasz ze zmęczenia. – Wstał i się otrzepał. – Musisz się porządnie wyspać. Naszykuję ci miejsce w szpitalu. Na szczęście nie mamy tu żadnego rannego...

– Proszę. – Sheila mu przerwała. – Poradzę sobie. Nie chcę od razu ładować się tutaj i sprawiać ci kłopotu.

Lasota spojrział na nią z ukosa.

– Stanowczo dopraszam się, byś ładowała się tutaj i sprawiała mi każdy kłopot, jaki przyjdzie ci do głowy.

Sheila podeszła do kapłana. Ucałowała go w policzek i wyszczerzyła zęby.

– Tęskniłam za tobą jak cholera – wyznała. – Nie bój się, jeszcze będziesz miał mnie dosyć.

– Żebyśmy mieli jasność – powiedział rzeczowo kapłan. – Nic, co powiedziałem, nie zmienia faktu, że jestem na ciebie wściekły. Nigdy więcej mi tego nie rób.

Sheila przestraszyła się, że tym razem to ona się rozplacze ze wzruszenia, dlatego zmrużyła oczy i uśmiechnęła się zawadiacko.

– Skoro nadal mnie lubisz, to mogę liczyć, że nie pozwolisz Leo mnie stąd wyrzucić?

– Pokłóciliście się? – Lasota odetchnął głęboko i założył ręce na piersi.

Sheila zmarszczyła brwi.

– Widzę, że nikogo to nie dziwi.

– No cóż... – Kapłan się uśmiechnął. – W końcu łączyło was...

– Stop! – Dziewczyna uniosła rękę w uciszającym geście. – Nasłuchałeś się głupot od Reivena.

Ruszyła w stronę wyjścia, ignorując rozbawienie na twarzy rozmówcy. Odpowiedział jej chichot i głębokie westchnienie. Wyszła z laboratorium z lekkim sercem.

\* \* \*

William opuścił zamkową piwnicę w złym nastroju. Ostatnimi czasy w zasadzie nie miał dobrego. W rękach dzierżył butelkę wina, którą zażyczył sobie mistrz Atay. Kapłan dobrze skrywał napięcie. Will podziwiał, z jaką wytrwałością jego mentor poskramiał emocje. On sam nie był w stanie jeść i pić, wiedząc, jak drastycznie posypała się cała maskarada z udziałem Sheili. Adept w zasadzie tylko się modlił, czy to w kaplicy, czy leżąc w łóżku i spędzając bezsenne

noce na przewracaniu się z boku na bok. Żałował tego, co powiedział podczas ostatniego spotkania z siostrą. Jednak nie wolał sytuacji, która nastąpiła po spektakularnym spieprzeniu się wszystkich starań i wyrzeczeń podjętych z dziewczyną w ciągu ostatniego roku.

Zdażył zamknąć drzwi do piwniczki winnej i przejść kilka kroków ciemnym korytarzem na parterze zamku, gdy dopadł go z tyłu znajomy głos.

– Pozwól tu, adeptyku.

Sługa zmarszczył brwi i zignorował zaczepkę Nikka. Mężczyzna zrównał się z nim krokiem i mruknął prawie bezgłośnie:

– Świetnie zadbałeś o nasze maleństwo.

Adept nie przystanął. Wciąż patrzył prosto przed siebie. Nie wiedział, czy Nikk blefował, czy faktycznie już odnalazł Sheilę.

– Szkoda dziewczyny – ciągnął łącznik geszefciarzy. – Taka brzydka blizna. Ale przynajmniej nie jest już wychudzona. Tylko to towarzystwo... – Skrzywił się ostentacyjnie. – Czemu pozwalasz jej się zadawać z tym obdartusem?

William przystanął i rzucił Nikkowi zaskoczone spojrzenie. Łącznik zbliżył się do niego.

– Teraz chcesz ze mną gadać? – syknął mu w twarz.

– Gdzie ona jest? – warknął adept, ale szybko rozejrzał się w obawie, czy ktoś zauważył jego wybuch złości.

Nikk uśmiechnął się z satysfakcją i nagłym ruchem przygwoździł Willa do ściany. Butelka wypadła z rąk adepta i rozbiła się pod jego nogami.

– Powinienem cię zabić – wycodził Nikkolai przez zęby. – Ale nie zrobię tego. W każdym razie nie od razu.

William nie poruszył się i nie próbował uwolnić. Nikk wydał się tym nieco zaskoczony. Zwolnił uścisk, ale wciąż pozostawał blisko młodego mężczyzny.

– Nie jesteś ciekaw, jak przebiegło nasze spotkanie? – zapytał wreszcie, nie odrywając ciemnego wzroku od adepta.

William się wzdrygnął. Coś zawsze go niepokoiło w spojrzeniu łącznika. Miał wrażenie, że bez względu na to, jak dobrze Nikk kontrolował się na zewnątrz, nigdy nie potrafił zapanować nad iskierką wściekłego obłądu, która tliła się w jego ciemnych źrenicach. To go zdradzało.

– Myślę, że i bez pytania mi powiesz – mruknął adept, nieco odzyskując panowanie nad nerwami i wskazał na szramę szpeczącą czoło rozmówcy. – Mam nadzieję, że to od Sheili.

Nikk się uśmiechnął.

– Niezbyt to przystoi przyszlęmu kapłanowi.

– Czego chcesz? – jęknął Will, czując, że jego irytacja próbowała przedrzeć się przez strach.

W spojrzeniu Nikka błysnęła groźba.

– Chcę skrócić ci kark gołymi rękami – powiedział spokojnie, co dało bardziej niepokojący efekt, niż gdyby warknął.

William nie odpowiedział, ale nie wyglądało, jakby Nikkowi to przeszkadzało.

– Nie zabiję cię teraz, bo Sheilaia domyśliłaby się, że to moja sprawa – wytłumaczył łącznik i założył ręce na piersi. – Zależy mi na jej współpracy.

William nie powstrzymał prychnięcia.

– Myślisz, że jesteś w stanie ją do siebie przekonać?

– Owszem. Oczywiście nie bez twojej pomocy.

Will pokręcił głową i otworzył usta szczerze oniemiały.

– Tracisz czas. Skoro nie masz jak się do niej dostać, to zgaduję, że trafiła do Wolnej Kompanii. Zatem mogę być spokojny.

– Spokojny? – Nikk warknął zirytowany i pochylił się do chłopaka. – Już raz spotkała ją tam krzywda.

William chciał odpowiedzieć, ale zaniemówił i spojrzał na rozmówcę zaskoczony.

– Skąd...? – Urwał, bo sprawa wyglądała na oczywistą.

Łącznik musiał mieć szpiega wśród buntowników, dlatego dobrze wiedział, co się działo w obozie wroga. Will był przekonany, że Wolna Kompania była poinformowana o sprawach Twierdzy co najmniej równie dobrze.

Nikk powoli kiwnął głową i wyglądało na to, że specjalnie doprowadził do odkrycia tej karty.

– Teraz rozumiesz, że dowiem się, jeżeli ona opuści obóz. I wiesz, że jeśli spróbujesz ją jeszcze raz przede mną ukryć, to bez względu na to, czy dziewczyna mnie znienawidzi i czy będę miał problemy z kapłanami, skręcę ci kark.

Przez długą chwilę milczeli. Łącznik wyprostował się i poprawił kołnierzyk przy znoszonym dublecie. Will niepewnie rozejrzał się po korytarzu, ale nadal byli sami.

– Czemu tak naprawdę ma służyć ta rozmowa? – zapytał w końcu adept, zakładając ręce na piersi.

Nikk uśmiechnął się niepokojąco i wyciągnął zza pazuchy plik listów. William poznał w nich pisma, które mistrz Atay wysyłał w ciągu ostatnich dni do Lasoty. Łącznik wepchnął je chłopakowi w ręce.

– Napisz do niej. Pewnie się martwi tym długim milczeniem – rzucił Nikkolai nieco łagodniej. – Ona nie chce mnie słuchać, ale ty w końcu to zrobisz. A wtedy przekonasz ją do mnie.

William zmarszczył brwi i westchnął.

– Wysłucham cię – powiedział spokojnie. – Bo już naprawdę zżera mnie ciekawość.

\* \* \*

Sheila obudziła się nagle i o mało nie spadła z krzesła, na którym spędziła tę noc. Obok niej poturlała się kartka zmięta w ciasną

kulkę. Ten sam pocisk sekundę wcześniej odbił się od czoła dziewczyny, wyrывая ją ze snu.

Rozejrzała się. Czuła ciepło i to natychmiast wywołało uśmiech na jej twarzy. Następną myślą było to, że kark bolał ją nieznośnie od niewygodnej pozycji, w jakiej odpłynęła. Spojrzała na Reivena, który wciąż trzymał uniesioną rękę po celnym rzucie. Sheila potrzebowała kilku sekund, żeby połączyć fakty. Falszerz siedział dokładnie tam, gdzie widziała go przed zaśnięciem, na swoim stałym miejscu za stołem. Zerknęła na niego, a potem na papierową kulkę. Zmarszczyła czoło.

– Rzuciłeś tym we mnie? – zapytała ochryple i odchrząknęła.

– Mamrotałeś przez sen. Rozpraszało mnie to – wytłumaczył niedbale mężczyzna i wrócił do pracy nad jakimś dokumentem.

Sheila przetarła twarz i ziewnęła przeciągle. Potem skuliła się i objęła kolana ramionami. Spojrzała na Reivena badawczo.

– Spałeś chociaż przez chwilę? – zapytała, przeciągając się z jękiem bólu.

Zarejestrowała, że oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia, gdy posłał dziewczynie przelotne spojrzenie.

– Nie.

Jej butelka była opróżniona, za to naczynie Reivena pozostało prawie nietknięte.

– Więc to nie był sen – zażartowała. – Naprawdę wczoraj nie piłeś.

– Mówiłem, że mam zajęcie.

Sheila pochyliła się, żeby podejrzeć, co pisał jej towarzysz, ale niewiele zdołała dostrzec.

– Tak, coś wspominałeś. To jakieś fałszerstwo? – spytała z ciekawiona.

– Już o to pytałaś – mruknął nieco zniecierpliwiony, skupiając się na kaligrafii. – Tak jak o moje okulary.



Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem. Pamiętała swoją reakcję na widok fałszerza uzbrojonego w odrutowane szkła. Wtedy usprawiedliwiła zachwyty upojeniem alkoholowym. Musiała jednak przyznać, że na kacu ten widok na niczym nie tracił.

Gdy Reiven znowu podniósł na nią wzrok, natychmiast spoważniała i wzruszyła ramionami. Udała, że ściera kurz ze swojej pustej butelki.

– Być może – rzuciła niedbale. – Mogłam zapomnieć. Byłam zmęczona.

Reiven zaśmiał się, tym razem bez oznak zdenerwowania. Sheilę to ośmieliło i uspokoiło.

– Ale że ty sobie darowałaś popijawę? Dobrze wiedzieć, że jeszcze nad tym panujesz.

Mężczyzna zmarszczył brwi i odłożył pióro do kałamarza.

– Za kogo ty mnie masz? – zapytał, jakby faktycznie go to ciekawiło.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Za pijaka? – rzuciła ironicznie.

Fałszerz splótł dłonie i oparł się wygodniej, lustrując ją baczny spojrzeniem.

– Mam bardzo konkretny i dokładnie sprecyzowany powód do picia – wyjaśnił i chwycił pióro w szczupłą dłoń.

– Niech zgadnę. – Sheila założyła ręce na piersi i udała głębokie zamyślenie. – Leczysz w ten sposób swoje kompleksy?

Reiven uśmiechnął się, ustawiając odpowiednio rękę nad pergaminem.

– A jaką ty masz wymówkę? – odbił piłeczkę.

Otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła i się zastanowiła.

– W sumie tę samą – przyznała w końcu. – No i chcę poprawić sobie humor.

Reiven wykonał precyzyjny ruch ręką i nakreślił kolejną literę.

– Działa – przyznał. – Po alkoholu jesteś znacznie przyjemniejsza. Ponownie się przeciągnęła.

– Może i tak. Ale ja nie upijam się co noc. Naprawdę podoba ci się taka egzystencja?

Mężczyzna odetchnął głęboko i pochylił się nad pergaminem.

– Piję w nocy, bo w dzień nie mogę – mruknął cicho.

– Czemu?

– Odsypiam picie w nocy.

Sheila prychnęła, a Reiven posłał jej złośliwe spojrzenie.

– Dobra. Nie wiem, po co w ogóle zaczęłam tę dyskusję. Chcesz się staczać, twoja sprawa.

Fałszerz wykonał kolejny precyzyjny ruch i spod jego ręki wyłoniła się koślawa litera, która idealnie pasowała do pozostałych.

– Jestem skazańcem z wyrokiem dożywocia – zaczął tłumaczyć bez pośpiechu. – Poszukiwano mnie w trzech krajach. Robiłem ludziom świństwa i przekręcałem ich na tyle sposobów, że wstyd o tym mówić przy kobiecie. A ty myślisz, że rusza mnie chłanie wody? Kochana, stoczenie się mam już dawno za sobą.

Sheila nie powstrzymała śmiechu, ale nie dała się zwieść swobodzie rozmówcy.

– To nie moja sprawa – odparła w końcu.

– To prawda. A swoją drogą, nie wiedziałem, że tak się o mnie martwisz.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i zmieniła temat.

– Skoro i tak nie spałeś, to znaczy, że niepotrzebnie męczyłam się na tym krześle? Mogłam nie łamać kręgosłupa, tylko wyciągnąć się wygodnie na poduszce?

Reiven nie podniósł wzroku.

– Żaden parszywy biedak z Dołów nie będzie spał w moim łóżku – mruknął, nie dostrzegł jednak tego, że Sheila wystawiła do niego język.

– A tak na poważnie – zaczęła uprzejmym tonem i wstała z krzesła, masując bark. – Dzięki za przechowanie mnie tej nocy.

Reiven odłożył pióro i dmuchnął na swoje dzieło.

– Nie ma sprawy. Ale dzisiaj zamierzam się wyspać, więc musisz radzić sobie sama.

– Jasne. Mam nadzieję, że nie byłam zbyt uciążliwym gościem. Spojrzał na nią znacząco.

– Nie zniosę kolejnej tyrady na temat Leo.

Sheila czuła, jak rumieniec wypłynął na jej twarz i nic nie mogła na to poradzić.

– Aż tyle na niego nie narzekałam – burknęła, unikając spojrzenia towarzysza. – Skończyłeś? – zmieniła raźnie temat.

– W zasadzie tak.

– Powiesz mi co to?

– Raczej nie – odparł krótko.

Jego wyraz twarzy pozostawał uprzejmie neutralny. Zdjął okulary i zaczął czyścić je skrawkiem koszuli.

Sheila kiwnęła głową i schyliła się po łuk. W milczeniu zebrała swój niewielki dobytek w ramiona i podeszła do drzwi. Położyła rękę na klamce i się zawahała. W ostatniej chwili odwróciła się i spojrzała na Reivena.

– Myślisz, że mógłbyś porozmawiać... – bąknęła nieśmiało, ale przenikliwy wzrok mężczyzny sprawił, że głupio jej było dokończyć zdanie.

– Załatwcie to między sobą. – Jego ton zdawał się swobodny, ale w oczach czaił się niepokój. – Mówię poważnie. ZAŁATWCIE TO.

\* \* \*

Sheila naprawdę chętnie wykonałaby polecenie Reivena, ale wiedziała, że w tej sprawie jej zdanie liczyło się tylko połowicznie. Mi-

mo wszystko postanowiła pomóc szczęściu i po wyjściu od fałszerza udała się prosto w stronę kamiennych schodów prowadzących do siedziby Leo Francka. Miała nadzieję, że nie zmienił swoich zwyczajów i jak zawsze wyjdzie o świcie poćwiczyć na swojej skałce.

Poranek był chłodny i wilgotny. Sheila usiadła na dużym kamieniu u podnóża schodów i patrzyła na jezioro. Początkowo wyliczała w głowie osoby, z którymi chciała się zobaczyć, ale szybko okazało się, że grono jej znajomych nie było aż tak duże, jak się wydawało. Następnie zajęła myśli planowaniem przyszłości. W tym wypadku jednak rozczarowanie przyszło jeszcze szybciej. Nie wiedziała, w jaki sposób mogła realnie przydać się buntownikom bez wychodzenia do lasu na polowanie. Nie chciała być na łasce Lasoty nie tylko z powodu wyrzutów sumienia wobec niego, ale przede wszystkim, by nie dawać Leo argumentów przeciwko niej.

Jako pierwszego tego dnia Sheila zobaczyła Vincenta. Chudy jak większość biedaków z Dołów nosił charakterystyczny kapełusz z dziurą w rondzie. Siwy brodacze minął ją z oddali i zmierzzał w stronę jezior znajdujących się w wąskiej dolince za skałami. Nie musiała widzieć w jego ręku wędki, by wiedzieć, jaki był cel tej wyprawy. Kiedy zerknął w stronę dziewczyny, natychmiast odwróciła wzrok. Zrobiło jej się głupio z powodu tego odruchu. To nie była wina Vincenta, że kojarzył się Sheili z ludźmi i sytuacjami, które tak bardzo chciała wymazać z pamięci.

Zamknęła oczy i odetchnęła kilka razy, by odpędzić niechciane myśli i wspomnienia.

Usłyszała za sobą kroki, które nagle ucichły. Odwróciła się i zobaczyła Leo. Zamarł na jej widok, z mieczem na ramieniu. Szybko jednak wziął się w garść i bez słowa ruszył w dół ścieżki. Kiedy ją minął, dziewczyna wciąż się zastanawiała, czy nie za wcześnie na próbę załagodzenia sytuacji.

– Siedziałaś tu całą noc? – Sheila usłyszała głos Leo kilka metrów za swoimi plecami, zanim zdążyła zdecydować, czy za nim pójść.

Odwróciła się.

– To poprawiłoby ci humor? – zapytała łagodnie.

– Trochę. – Wzruszył ramionami.

Prychnęła prawie niezauważalnie. Zrozumiała, że rzeczywiście, było jeszcze zbyt wcześnie.

– W takim razie z przyjemnością cię zawiodę. – Jej głos był spokojny i trochę znudzony. Nie zamierzała prowokować Francka. Miała nadzieję, że odejdzie i spróbują porozmawiać za jakiś czas.

Spojrzenie dowódcy jeszcze bardziej się ochłodziło.

– Nie pierwszy raz – stwierdził cicho.

Sheila westchnęła nieco zniecierpliwiona.

– Chyba gdzieś szedłeś – mruknęła bez emocji i odwróciła się z powrotem w stronę jeziora.

Ku jej zaskoczeniu Leo nie odszedł, tylko zbliżył się do kamienia, na którym siedziała.

– Czego chcesz? – Nie ukryła niepokoju w głosie. – Proszę cię... nie mam siły się kłócić.

Leo oparł się o kamień. Przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć, aż w końcu spojrzał na nią chłodno i odetchnął głęboko.

– Ja też – przyznał. – To, co powiedziałem wczoraj, o tym, że wolałem myśleć, że nie żyjesz... To prawda.

Poczuła ukłucie w klatce piersiowej, ale nie dała tego po sobie poznać. Uniosła nieco brodę i zacisnęła zęby.

– Zrozumiałam za pierwszym razem – powiedziała sucho. – Coś jeszcze?

– Tak – odpowiedział, a jego ton balansował na granicy szorstkości i obojętności. – Oczywiście możesz zostać w Wolnej Kompanii. Spróbuj jednak nie wyskakiwać z nożem na każdego, kto się krzywo na ciebie spojrzy.

Zaskoczył ją.

– No wiesz – zaczęła oburzona, ale szybko struchlała i uspokoiła ton. – Drein Fester nie jest w tym układzie ofiarą. Ale niech mnie nafaszerują eliksirami, jeśli będę się starała o spotkanie z nim. Masz moje słowo, że sama nie zacznę sprzeczeki.

Leo wyglądał na nieco zmieszanego jej zapewnieniem. Widocznie spodziewał się ostrej wymiany zdań. Mruknął coś niezrozumiałego i wzruszył szerokimi ramionami. Sheila usiadła wygodniej na zimnym kamieniu. Dowódca odsunął się machinalnie, gdy o mało nie musnęła go przy tej czynności w łokieć. Nie skomentowała takiego zachowania. Ani tego, że dłuższy czas przyglądał jej się bez skrępowania.

– Zmieniłaś się – stwierdził po chwili.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Ursusowi podoba się moja nowa fryzura. – Przeczesała czuprynę, której od dawna nie strzygła.

Leo nie stracił ani grama powagi.

– Nie miałem na myśli wyglądu – wyjaśnił nieprzyjemnie.

– Faktycznie. Kiedyś z charakteru byłam aniołem – Sheila nie powstrzymała ironii.

– Zawsze domagałaś się poszanowania swojej suwerenności. – Nie dał się wciągnąć w przepychankę słowną, tylko kontynuował swoją myśl. – Ale kiedyś faktycznie na to zasługiwałaś.

Dziewczyna spojrzała na niego ze złością. Jeśli chciał ją sprowokować, szło mu wyśmienicie.

– A może jednak wyjmiesz ten kij z... – Przymknęła powieki i odetchnęła głęboko, po czym powiedziała spokojniej: – Może dasz sobie spokój i skończymy to obrażanie się nawzajem?

Dowódca zmarszczył lekko czoło i założył ręce na piersi.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym ci cokolwiek ułatwiać. Tym razem Sheila nie wytrzymała i zaśmiała się gorzko.

– Ułatwiać? A z tobą cokolwiek może być łatwe?

Zrobił krok w jej stronę, a jego oczy zapłonęły niebezpiecznie.

– Więc może mam jaśnie pani unikać? – warknął.

Sheila spojrzała na rozmówcę wyzywająco.

– Perspektywa unikania się to dla nas obojga gwarancja zachowania zdrowia psychicznego – powiedziała dobitnie. – Budowanie jakiegokolwiek relacji z rozchwianym emocjonalnie facetem takim jak ty na pewno nie ułatwi mi życia.

– Dobrze, że ty jesteś taka stabilna emocjonalnie – burknął sarkastycznie, co wprawiło Sheilę w zaskoczenie. Musiała przyznać, że mężczyzna rzucił niezwykle celną ripostę, która ukłuła ją, ale i rozbawiła. Leo jednak szybko wrócił do poprzedniego tonu: – Skoro tak, to może dajmy sobie z tym spokój.

– To ty podszedłeś – zauważyła. – Ja mam znacznie ciekawsze zajęcie niż słuchanie twoich pretensji. Na przykład... patrznie na tamten kamień.

– Lepiej pójde...

– Tak, idź poćwiczyc – prychnęła z lekkim uśmiechem. – Powalcz sobie z powietrzem. Może wygrasz i poprawi ci się humor.

Jego irytacja rosła, ale Sheila nie zamierzała dać się stłamsić.

– Więc tak to ma wyglądać? – zapytał oschle.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

– Przeprosiłam cię – powiedziała poważnie. – Nie przyjąłeś tego. Mam się przed tobą płaszczyc? Jak to jest, że wszyscy inni rozumieją, dlaczego zniknęłam, a ty jeden masz z tym problem?

– Ponownie spojrzała na jezioro. – To jest pytanie retoryczne. Tak naprawdę wiem dlaczego.

– Tak? To może zechcesz się tym podzielić?

Wstała, podniosła z ziemi płaski kamyk, wycelowwała i rzuciła nim w wodę. Z zadowoleniem zarejestrowała, ile kaczek udało jej się wykonać.

– Uważasz, że zlekceważyłam to, że pomagałeś mi tak długo. – Odwróciła się z powrotem do Leo. – Uznałeś, że nic dla mnie nie znaczysz, i zabolalo cię to. Wiesz, że swoim zachowaniem potwierdzasz to wszystko i jeszcze bardziej cię to irytuje. Błędne koło. No i jesteś wściekły, bo wczoraj myślałeś, że wróciłam z twojego powodu. Ale okazało się, że po prostu nie miałam wyjścia, i w twoich oczach straciłam już resztki szacunku.

Leo patrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

– Co jeszcze twierdzi wszystkowiedzący Reiven?

Sheila nie powstrzymała wątego uśmiechu.

– Biedak nie mógł już słuchać mojego narzekania. Zawsze cię broni. To wkurzające.

Oparła się o kamień tuż obok dowódcy i westchnęła głęboko.

– Jesteś trudnym człowiekiem, Leo – powiedziała spokojnie, patrząc przed siebie.

Nie odpowiedział od razu. Poruszył się niespokojnie i znalazł się nieco bliżej niej. Poczula ciepło, które od niego było.

– Wiem – mruknął cicho.

Przez chwilę milczeli, nie chcąc popełnić jakiegoś błędu, który przekreśliłby ich rozejm, równie niespodziewany, co niestabilny.

– Mogłaś mi powiedzieć. – Leo odezwał się pierwszy. W jego głosie zabrzmiało coś, czego Sheila tego dnia jeszcze nie słyszała. Żal.

Dziewczyna spojrzała na jego profil, który zawsze jej się podobał.

– Chciałam.

Kiedy Leo odwrócił się do niej, ich twarze znalazły się nagle bardzo blisko siebie.

– Nie wierzę – rzekł twardo. – To nie jedyna ważna rzecz, w którą mnie nie wtajemniczyłaś. – Przez chwilę się wahał, a potem wyjaśnił: – Po twoim zniknięciu znalazłem pożegnalny list, który napisałaś do Lasoty.

Pomimo przejmującego chłodu Sheili zrobiło się gorąco.



– Rozumiem – przytaknęła i przelknęła ślinę. – Nie mam nic na swoją obronę. Ale to już przeszłość. Teraz jest inaczej.

– Lepiej?

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się smutno.

– Jest do bani. Ale nie zamierzam skakać ze skały.

Po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się coś, co mogło przypominać rozbawienie.

– Więc chyba jest lepiej?

Wzruszyła ramionami.

– Czy ja wiem? Chyba po prostu przywykłam.

Leo założył ręce na piersi i spojrzał przed siebie.

– Mogliśmy od razu tak porozmawiać – stwierdziła Sheila z przekąsem. – Gdybyś nie był taki obraźliwy.

Kącik jego ust drgnął. A może tylko jej się przywidziało. Gorzka gula, która na zmianę rosła i malała w gardle dziewczyny, wydawała się powoli znikać.

– Co zamierzasz? – zapytał mężczyzna, z wyraźną ulgą obierając bardziej neutralny temat.

Sheila zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Muszę znaleźć sobie jakieś zajęcie, podkurować się, ale przede wszystkim skontaktować się z Willem i sprawdzić, czy...

Przerwała, bo Leo poruszył się niespokojnie na wspomnienie o adeptach.

– Nie było pytania – uciął.

Dziewczyna pokręciła głową z niedowierzaniem i szczerym rozbawieniem.

– Wiesz, że to twoje uprzedzenie do Williama jest irracjonalne?

Uniósł rękę, uciszając ją. Zacisnęła wargi, ale kąciki jej ust jeszcze przez chwilę były uniesione.

Milczeli długo, a potem Leo schylił się po swój miecz.

– Jest w porządku? – zapytała go na odchodne. – Między nami.

Leo oparł broń na ramieniu i spojrział na dziewczynę z ukosa.  
– Czy mam się jednak trochę popłaszyc? – dodała zadziornie.  
Kącik jego ust drgnął. Tym razem była pewna.

\* \* \*

Shela!

Wiem już, że Nikk Cię znalazł. Popetrnitem błęd. Należało od razu Cię ostrzec, ale myślałem, że zechce przeze mnie dojść do Twojej kryjówki. Okazało się, że wystużył się szpiegiem. Nie wiem tylko, kto nim jest i skąd miał informacje o Tobie. Jeżeli Reiven Cię nie zdradził, to zostaje tylko Wyptosz. Ale żeby donieść komukolwiek o Tobie, musiałby najpierw nauczyć się odróżniać kamień od patyka, a to chyba jest poza jego zasięgiem.

Wiem już, że dotarłaś do Wolnej Kompanii. Zapewne nie podzielasz moich obaw i jesteś przeszczęśliwa w objęciach przyjaciół. No cóż, mimo wszystko mam nadzieję, że przyjęli Cię ciepło i odnalazłaś w nich wsparcie. Przynajmniej nie będziesz już spędzać czasu tylko z Wyptoszem.

Plan jest taki:

1. Ja szpieguję Nikka (co zdaje się proste, bo sam do mnie przychodzi i skamle o uwagę);
2. Ty siedzisz w obozie i nie narażasz się na niebezpieczeństwo;
3. Zatawiamy drania i wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

Wiem, że Ci się to nie spodoba, ale muszę poprosić, żebyś nie zdradzała się ze swoimi zdolnościami. I to nie tylko przed Lasotą. Szpiegiem jest pewnie któryś z postaćów Kapańskich. Na nich zawsze pada pierwsze po-

dejrzenie, wiadomo. Ale pewności nie mamy, dlatego należy zachować ostrożność.

Napisz mi jak najszybciej, co się u Ciebie dzieje.  
Kocham Cię, siostrzyczko.

W.K.

PS Jeszcze jedna sprawa. Kojarzysz, żeby ktoś kiedyś nazywał Cię SHEILIA?

Kochany bracie,

na początku napiszę o tym, co najbardziej Cię niepokoi. Nie powiedziałam Lasocie o zaglądaniu w pamięć. A skoro już o tym mowa, powinienes chyba wiedzieć, że Fox nie był jedynym, któremu przeczytałam myśli wspomnienia. Podczas ucieczki przed Nikkiem zdarzyła się taka sama sytuacja z Wypłozzem. Próbuje znaleźć jakieś powiązania tych zdarzeń. Jedyne, co skojarzyłam, to silne emocje zarówno moje, jak i obu tych mężczyzn.

Skoro jestem tutaj, nie będziemy już mogli się swobodnie widywać. Ale masz rację. Cieszę się, że wróciłam do Wolnej Kompanii. Chociaż to taka trochę wypłowiata radość. Lasota przyjął mnie cieplej, niż na to zasłużyłam. Za to Leo wściekł się jak wariat. Myślę, że w końcu zażegnamy ten spór. Ale nie liczę, że kiedykolwiek pozwoli swojej dumnej głowie cieszyć się na mój widok bez wypominania mi moich win.

Cały dzisiejszy dzień trzymałam się na uboczu. Buntownicy zagadywali mnie przy każdej okazji. Jestem tu bohaterką. Po

dziesiątym razie odechciało mi się już tłumaczyć, że to nie ja spaliłam stajnię Verradowi. Muszę trochę oszukiwać w sprawie mojej ponad rocznej nieobecności, ale nie jest źle.

Gorzej wygląda kwestia utrzymania. Chyba moja głowa też jest dumna, bo po roku życia na Żarzeczcu nie chcę nagle być na czyimś garnuszku albo uzależniać się od Lasoty i innych przyjaciół. Jednak prawda jest taka, że kiedy piszę te słowa, donośnie burczy mi w brzuchu. Chyba zaraz zjem robala, który kręci się po kamieniu.

Kocham Cię i niecierpliwie czekam na odpowiedź.

SHEILA

PS Nigdy nie słyszałam imienia Sheilaia.

Ledwo skończyła pisać, kiedy kątem oka zobaczyła zbliżającego się mężczyznę. Uniosła głowę i na widok znajomej twarzy prychnęła donośnie. Wstała, wciskając pergamin do kieszeni i zdejmując kaptur z głowy.

– No nieźle... Przyszedłeś po zaległe obicie mordy? – zapytała, stając naprzeciw podchodzącego Gasthona.

Jej znajomy trzymał ręce w kieszeni i kulił się z zimna. Z boku dyndała mu skórzana torba. Zatrzymał się i spojrzał na Sheilę niewinnie. Niezbyt się zmienił przez rok. Twarz miał chudą i przyszczatą, a włosy tradycyjnie związane w cienki koński ogon.

– Dobrze cię widzieć – powiedział dziarsko.

– Jesteś niemożliwy – odparła, ale nie mogła powstrzymać rozbawienia na widok jego nieporadnego zachowania.

– Co mam powiedzieć? Naprawdę się cieszę, że nic ci nie jest.

Sheila zrobiła krok w jego stronę, na co mężczyzna cofnął się z niepokojem.

– Miałam wszystko dogadane z sierżantem – zaczęła z wyrzutem. – Gdyby nie ty...

Gasthon uniósł dłonie w obronnym geście.

– Właśnie miałem powiedzieć, że jest mi cholernie przykro z powodu Harisa. Normalnie od razu bym po ciebie wrócił, gdyby...

– Gdybyś nie był śmierdzącym tchórzem? – dokończyła za niego, zakładając ręce na piersi.

– Przyszedłem tutaj dopiero, kiedy dowiedziałem się o twojej śmierci.

Sheila zaśmiała się sarkastycznie.

– No jasne, że tu nie wróciłeś od razu. Gdybym przyszła niedługo po tobie, wszyscy mogliby się dowiedzieć, że wpakowałeś mnie w tarapaty. Wolałeś złapać mnie po drodze i błagać o niewyjawianie, czyja to była wina. Zgadłam?

Gasthon zrobił urażoną minę.

– No wiesz! W tym pieprzonym grajdole jesteś jedyną osobą, na której mi zależy – wyznał płomiennie. – Nie jestem ideałem, ale mam uczucia.

Sheila spojrzała na niego zaskoczona, a Gasthon wyprostował się i spoważniał.

– Możesz mi nie wierzyć, ale wciąż nie wybaczyłem sobie tego, że przeze mnie tu trafiłaś.

– I okazujesz to, zostawiając mnie na pastwę każdego napotkanego przeciwnika – powiedziała, tym razem wyraźnie rozbażwiona.

Gasthon westchnął. Wyglądało, jakby faktycznie było mu przykro.

– Masz prawo się złościć. Naprawdę zależy mi na twoim bezpieczeństwie. Jesteś jedyną osobą...

– Tak, wiem. Już to mówiłeś – rzuciła znudzona.

Mężczyzna stał na tyle blisko, że bez trudu położył dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko ci wynagrodzę – obiecał z teatralnym dramatyзмом. – Tylko mi wybacz.

Popatrzyła mu w oczy i się zawahała.

– Przejdzie mi.

Gasthon się rozpogodził.

– Cudownie – zawołał z wyraźną ulgą. – Czyli nie powiesz nikomu, że to ja cię w to wszystko wpakowałem?

Sheila parsknęła z niedowierzaniem i strząsnęła jego dłoń z ramienia.

– Jesteś niemożliwy! – powtórzyła głośniej.

Ruszyła w stronę obozu. Gasthon zaśmiał się i ją dogonił.

– Daj spokój. Naprawdę cię lubię. I cieszę się, że żyjesz.

– Spadaj. Trzeba było się jeszcze popłakać – wycodziła z przekąsem.

Nie tracił humoru, kiedy szli ramię w ramię w stronę domu Reivena.

– Nie złość się. Jak będziesz czegoś potrzebować, wal śmiało. A żeby pokazać ci moją dobrą wolę, już załagodziłem tę sprawę z Festerem. Był nieźle wkurwiony i przysięgał, że cię dorwie, a potem... no, miał kilka pomysłów. Na szczęście Carlos go ustawił. Mimo wszystko lepiej na razie nie wchodzić Festerowi w drogę. Niech ochłonie.

– Nie rozumiem.

Gasthon zamrugnął zaskoczony jej tępotą.

– No... – zaczął powoli i wyraźnie. – Chodzi o to, że Drein się zdenerwował...

– Nie, to zrozumiałam – przerwała mu. – Nie wiem, gdzie w tej historii to TY załagodzisz sprawę.

Gasthon rzucił jej urażone spojrzenie i już otwierał usta do odpowiedzi, ale Sheila go ubiegła:

– Masz pomysł, skąd wziąć trochę jedzenia? Za darmo.

Mężczyzna tym razem odpowiedział od razu.

– Jasne. Załatwi się. Musi być świeże? Przyjdź o zachodzie na most – powiedział dziarsko i pomachał jej ręką na odchodne. – Świetnie, że znowu gramy w jednej drużynie.

Przewróciła oczami, ale nie skomentowała jego słów.

Z jednej strony Gasthon wywoływał w niej usilną chęć walenia głową w ścianę, ale z drugiej nie mogła się oprzeć wrażeniu, że choć tego nie chciała, w jakiś sposób ich los był związany.

Zapukała krótko i weszła do chaty Reivena.

– Mam list dla Wi...

Przerwała, bo okazało się, że nikt jej nie słuchał. Reiven spał na brzuchu, a koc, którym był przykryty, prawie w całości zsunął się z niego na ziemię. Sheila w pierwszej chwili planowała zostawić wiadomość na stole. Stwierdziła jednak, że było na nim zbyt wiele bałaganu i łatwo mógł się zapodziać. Podeszła więc ostrożnie do fałszerza i spróbowała znaleźć miejsce na wciśnięcie mu pergaminu pod poduszkę. Kiedy delikatnie manipulowała palcami obok brody mężczyzny, ten, nie otwierając oczu, odezwał się cicho.

– Muszę powiedzieć chłopakom, żeby przestali cię tu wpuszczać.

Wystraszyła się i zaklęła szeptem.

Reiven otworzył jedno oko, przez co wyglądał trochę komicznie. Sheila uśmiechnęła się i usiadła na podłodze obok łóżka.

– Przyniosłam list do Williama. I kilka informacji.

– Wśród moich ludzi jest szpieg. Też mi nowość. – Poprawił głowę na poduszce i westchnął, jakby zaraz miał znowu usnąć.

Sheila pokiwała powoli głową.

– No tak. Rozmawialiśmy o tym. Dam ci spać – szepnęła, widząc, że fałszerz odpywał.

Wcisnęła mu wiadomość pod poduszkę i się podniosła. Reiven natychmiast odwrócił się do niej plecami. Wychodząc, Sheila rozejrzała się ukradkiem. Uśmiechnęła się i pokręciła głową na widok kolejnych hałd ubrań i papierów walających się po kątach. Gdy po raz ostatni spojrzała na kolegę, jej wzrok padł również na małą, ciemną buteleczkę stojącą przy łóżku wśród innych naczyń. Poznała, że była to ta sama, której zawartość pachniała pieprzem.

Kiedy Sheila wyszła z ciepłej chaty, natychmiast przeszył ją dreszcz. Powietrze było wilgotne i mroźne.

– Hej, młoda – zawołał za nią Ursus. – Coś ci się przyczepiło.

Wskazał na jej pośladki i pomyślała, że się nabijał, ale kiedy dotknęła ręką tylnej kieszeni skórzanych spodni, poczuła mokry papier. Odkleiła go i powąchała ostrożnie. Skrzywiła się od zapachu alkoholu. Świstek musiał się przykleić, kiedy siedziała przy łóżku Reivena. Spojrzała na drobne bazygroły i zmrużyła oczy.

Wiem, co robisz. A skoro ja już się domyśliłem, na pewno wie o tym również Verrad. Uważaj. Nawet Twoje szczęście ma limit. Jak długo uda Ci się tak bezczelnie kpić ze strażników? Nic nie wyspiewam ze względu na starą znajomość. Ale to ostatni raz, kiedy trzymam głowę na kłódkę. Zdecydowałem, że wracam do Twierdzy i nie będę wam więcej robił za postać. To moja ostatnia rada dla Ciebie: **POZBĄDŹ SIĘ TEGO KARUSIA!** Jakoś z Foxem nie miałeś skrupułów. No bo zapewne to Ty go zatatwilesz? Nie wierzę, że przypadkowo rozwalili mu teb zaraz po tym, jak prosilesz mnie o ucieszenie go.

Mimo wszystko trzymaj się. No i przypilnuj Francka, żeby nie odwalil jakiejś durnoty.

\* \* \*



Oparta o drewnianą barierę mostka Sheila skubała wędzoną rybę, którą przyniósł jej Gasthon. Mięso śmierdziało podejrzanie i nie można było mieć pewności, czy faktycznie porządnie się zamarynowało.

Otaczała ją cisza, przerywana jedynie pluskaniem wody w jeziorze. Sheila myślała o notce, którą przeczytała. Nie była zła ani tym bardziej zaskoczona. Jedyne, co ją irytowało, to fakt, że nie potrafiła całkowicie współczuć Foxowi. Ostatecznie obiecał, że jej nie wyda, a potem od razu zaczął chlapać jęzorem po całej Twierdzy.

Nie chciała tak myśleć. Ale myślała.

Skończyła jeść niewielką rybkę. Kiedy wrzucała resztkę ości do wody, pierwsze krople deszczu zaczęły nieśmiało uderzać o drewniany most. Dziewczyna odetchnęła głęboko i spojrzała w górę. Zmrożona mżawka szybko gęstniała.

Sheila nie chciała zwracać się po pomoc do dezertersów, bo z całą pewnością powiedzieliby o tym Leo. Cierpliwości Reivena lepiej było nie wystawiać na próbę, a do Lasoty iść nie mogła, bo wtedy ugrzęzłaby w jaskini za wodospadem na dobre.

Ruszyła w przeciwnym kierunku, po raz pierwszy zaglądając na drugą stronę jeziora, gdzie sypiali słynni biedacy z Dołów. Szybko zrozumiała, skąd ta nazwa, gdy po kilkunastu metrach schodziła po niewygodnie usypanej ścieżce w nisko położony przekop służący jako ochronna ziemianka.

Sheila uznała, że umieszczenie w tym prowizorycznym schronie najmniej zdolnych do walki członków Wolnej Kompanii było aktem dużej dobroci i wrażliwości. Nawet jeśli komuś faktycznie przyświecał taki cel, to nie dało się nie zauważyć, że warunki życia biedaków były gorsze do tych, które mieli koczownicy w Północnej Puszczy. Nazwać je trudnymi, to tak, jakby powiedzieć, że Drein Fester nie jest całkowicie przyzwoitym człowiekiem. Sheila zajrzała do ciemnego środka i pomiędzy kilkoma drzemiącymi ludźmi dojrzała jedynie niewielkie sterty słomy.

Nie zdecydowała się na wejście, ale usiadła na skraju rowu, gdzie przed deszczem chroniło ją kilka desek z zabezpieczeń. Ostatecznie niejako została biedakiem z Dołów, więc to miejsce zdawało jej się odpowiednie do odpoczynku.

Westchnęła cicho i przymknęła oczy. Denerwowało ją, że dopóki była sama, mimo wszystko dawała sobie radę. Wbrew przeciwnościom przetrwała na surowym Zarzeczcu. Dorobiła się nawet małej fortuny, za którą mogłaby żyć spokojnie przez kilka tygodni, a przy odpowiednim zarządzaniu finansami może i miesięcy. W jej jaskini na Zarzeczcu znajdowało się też kilka cennych trofeów, które zapewniłyby ciepło i wygodę. Ale gdy tylko pojawiła się na starym terenie, jej pozycja spadła do zera i jedyne, na co mogła liczyć, to litość. Wolała zwyczajnie zapłacić za spanie i jedzenie, by nie musieć zdawać się na łaskę i niełaskę otaczających ją mężczyzn.

Oparła głowę na ramieniu i zamknęła oczy. Za chwilę jednak otworzyła je na nowo, bo coś sobie uświadomiła. Jeśli opuściłaby Wolną Kompanię na stałe, Zarzeczce byłoby pierwszym miejscem, w którym Nikk by jej szukał. Ale jeśli wyszłaby tylko na kilka godzin i wróciła przed świtem, to zapewne nikt nie zdążyłby o tym donieść Nikkowi na czas, nawet jeśli by to zniknięcie zauważył.

Sheila poczuła narastające podniecenie mieszające się z niepokojem. W głowie dziewczyny kiełkował bardzo głupi pomysł.

\* \* \*

Sheila miała sześć lat, gdy po raz pierwszy spotkała Benna w mieście i nie minął nawet miesiąc, gdy chłopak trafił do ich domu mocno poszarpany przez kazamackie gońce. Pamiętała, że ojciec bardzo niechętnie zgodził się go przyjąć i co chwilę powtarzał, że to tylko na jedną noc, potem na kolejną i jeszcze następną...

Dłuższy czas stała za drzwiami, zaglądając do leśniczówki tylko jednym okiem. Wyglądało na to, że Benn śpi, ale gdy zawias skrzypnął cicho pod naporem dziewczynki, młody myśliwy odwrócił do niej głowę.

Ojciec przyszytył mu jasne włosy, dzięki czemu twarz chłopaka nie wydawała się już taka okrągła, jak Sheila zapamiętała. Uśmiechnął się blado.

– Czemu mnie podglądasz, złośnico?

– Nie podglądam! Tylko sobie patrzę. Mam cię pilnować, żebyś nie umarł.

Zaśmiał się słabo, nie podnosząc się z poduszki.

– Czyli... – sapnął i na chwilę przymknął powieki z bólu. – Tata kazał ci się mną opiekować?

Potrząsnęła głową i poprawiła włosy opadające na twarz.

– Nie. Mówił, że mam pilnować. Kazał zerkać, czy nie zechcesz za szybko wstawać. Nie wolno ci, bo... wtedy umrzesz, tak?

Nieznacznie wzruszył ramionami, na ile pozwalał mu jego stan.

– To chyba mi już nie grozi – sapnął. – Czyli będziesz tak się na mnie gapić cały dzień?

Skrzywiła się i pokręciła głową.

– Nie. Strasznie nudno leżysz.

Zaśmiał się i natychmiast tego pożałował. Położył rękę na piersi okrytej kocem i przez moment wyrównywał oddech.

– Rozumiem – odparł, gdy opanował sytuację. – Mnie też to już trochę męczy. Chciałbym chociaż poczytać.

– Mamy jedną książkę o leśnych zwierzętach, ale w ogóle nie ma obrazków – odparła, wychodząc zza drzwi.

– No cóż... to chyba nie przeszkodzi mi w czytaniu.

– Ale nie wolno jej dotykać – zakomunikowała stanowczo.

Benn zamyślił się teatralnie.

– Moje bestiariusze zostały w dolinie. Też są o zwierzętach, mają bardzo dużo ilustracji.

Sheila otworzyła szerzej oczy.

– Są tam wilki? – szepnęła z przejęciem.

Przytaknął.

– Wilki, niedźwiedzie i cała strona z rysiami. Widziałas kiedyś rysia?

Pokręciła główką i znowu machinalnie poprawiła fryzurę.

– A sówki tam są?

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Moja droga, mam całą osobną książkę o ptakach. Ech, to najcenniejsze rzeczy, jakie posiadałem. Mam nadzieję, że nie przepadły pod moją nieobecność.

Sheila nie kryła wrażenia, jakie na niej zrobił. Otworzyła buzię i usiadła na krześle, tuż obok otwartych drzwi.

– Mój tata umie rysować – podjęła po chwili, odkręcając się do stołu i sięgając po brudny kawałek pergaminu. – Pokazywał mi zwierzątka na kartkach. Uczę się z nich, jak wyglądają.

– Pokażesz mi? – poprosił, ale natychmiast pokręciła głową.

– Nie – odparła swobodnie, ale stanowczo. – Są moje. Od taty.

– Rozumiem. – Chłopak ostrożnie poprawił ułożenie głowy. – Chociaż miałem nadzieję, że pomożesz mi w ten sposób z nudą. Ty sobie coś rysujesz – wskazał na węgielek, który chwyciła w dłoń – a ja, biedny, nawet tego nie mogę.

Spojrzała na niego z ukosa i pomachała raźnie nóżkami.

– Możesz wymyślać, co mam rysować – zaproponowała. – Tylko ciekawe.

– No dobrze. Hmm... Narysuj...

– Może konika? – weszła mu w słowo.

Udał niezadowolonego.

– To ja miałem wybrać.

– No to ty teraz się zastanów, żebyś się nie nudził, a ja w tym czasie będę rysowała konika.

– Cwaniara z ciebie, nie ma co – zaśmiał się. – To może chociaż coś mi opowiesz w międzyczasie?

Przerwała na chwilę i się zawahała.

– Ale co?

Wzruszył ramionami, krótko się krzywiąc.

– Jakąś ciekawą historię. Może o tym chłopaczku, z którym się skradaliście tam, między skrzynkami. – Wskazał na wąski otwór pod sufitem prowadzący do komórki.

Sheila wypuściła węgielek z dłoni i wyglądała na przestraszoną.

– Widziałeś?! – jęknęła. – Ale to on chciał podsłuchiwać! Ja w ogóle go nie lubię, bo mnie przezywał, że jestem kurdupel i cykor! Twierdził, że ten... że trzęsę portkami, a ja mu mówiłam, że przecież nie mam portek, tylko sukienkę, a on się ze mnie śmiał, że jestem dziewczucha i nic nie rozumiem. Więc mu pokazałam, że... no że umiem się wspiąć na sam szczyt skrzynek w komórce. Ale prawie w ogóle nie słyszałam, co mówiliście z tatą. Powiedziałaś mu? – zakończyła z przejęciem.

– Nie martw się. Nie zdradziłem was. A ten twój kolega to niezły gagatek.

Sheila uniosła nieco podbródek.

– To nie jest mój kolega – zachnęła się. – Powiedział, że chłopacy nie kolegują się z dziewczuchami, ale przyjmie mnie do swojej bandy jako tą... czuwajkę.

– Czujkę – poprawił ją Benn i pokręcił głową. – Chcesz stać na czatach, gdy oni będą rozrabiać?

Zmarszczyła brwi i się zawstydzila. Nie chciała zdradzić, że nie wiedziała dotąd, co znaczyło to słowo. Myślała, że zaimponowała starszemu od niej sąsiadowi zwinnością i sprytem. Zaciśnęła wargi i przez chwilę udawała, że skupia się na rysunku.

– To co z moją historią? – Benn nie dawał za wygraną. – Opowiesz mi coś ciekawego?

Pokręciła główką, na co cicho się zaśmiał.

– W porządku, złośnico. Może być coś bardzo nudnego, to wtedy usnę i nie będzie mi się tak dłużyło.

Nadal usilnie go ignorowała. Podniósł się z jękiem i niezgrabnie oparł na łokciu.

– Mówiłaś, że będziesz pilnować, żebym przeżył, a zaraz umrę z nudów.

– Od tego się nie umiera – powiedziała stanowczo. – W ogóle nic nie wiesz.

– No to zaraz zobaczysz.

Opadł na poduszkę i jęknął głucho. Przez chwilę leżał nieruchomo, a Sheila zerknęła na niego badawczo. Oddychał spokojnie i co jakiś czas rzucał jej krótkie spojrzenia z ukosa. Wtedy szybko odwracała wzrok na swoją kartkę. Rozbawił ją tym droczeniem się. W pewnym momencie wyprostowała się i pokazała mu swój rysunek.

– Ładny? – zapytała słodko.

– Śliczny konik – mruknął z uznaniem, a ona na te słowa odrzuciła kartkę na bok i zrobiła zaciętą minę.

– Jesteś oszukaniec – wypaliła oskarżycielsko. – Myślisz, że się nie znam na niczym. To jest krowa, a to był sprawdzian.

Z trudem powstrzymywał rozbawienie.

– Wybacz – powiedział z przesadną powagą. – Masz rację. Nie mówiłem prawdy. Ten rysunek wcale mi się nie podobał. Faktycznie, przechytryłaś mnie. Nie doceniłem twojego sprytu. Powinnaś założyć własną bandę, zamiast robić za czujkę w grupie rozrabiaków.

Zadarła lekko brodę i nie odpowiedziała. Potem pochyliła się nad pergaminem tak nisko, że prawie dotykała go nosem. Znowu machała nogami, co dało chłopakowi znać, że trochę ją udobruchał.

– Nie chcesz, żebym cię zagadywał? – zapytał po chwili już całkiem poważnie. – Powiedz słowo, to przestanę.

Zawahała się.

– Możesz – mruknęła w końcu.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Dziękuję. – Westchnął i znowu poprawił swoją pozycję. – Zwykle nie jestem gadułą. Wolę słuchać innych. Ale niełatwo coś z ciebie wyciągnąć.

– Tata mówi, że lepiej powiedzieć za mało niż za dużo – wypaliła natychmiast. – I że mam nie opowiadać o sobie nieznanym.

Myśliwy pokiwał głową.

– Rozumiem – rzekł spokojnie. – Skoro tata tak chce, to nie będę cię już wypytywał. W takim razie opowiedz mi bajkę.

Wzruszyła ramionami.

– Bajki są dla dzieci, a nie dla dorosłych.

Benn zaśmiał się cicho.

– Kto tak powiedział?

– No... to wiadomo przecież, nie? – bąknęła, odwracając się do niego.

– I co się złego stanie, jak dorosły usłyszy bajkę dla dzieci? – zapytał podchwytliwie.

Otworzyła usta i przez chwilę myślała nad odpowiedzią.

– No... nie wiem – przyznała w końcu. – Ale ja nie znam bajek... znaczy: znam tylko jedną.

– W porządku. – Kiwnął głową. – Jak mi ją opowiesz, to z wdzięczności ja nauczę cię kolejnej. Umowa stoi?

Wahała się przez chwilę.

– A jeśli to ta sama, którą już znam? – jęknęła podejrzliwie.

– Och, nie martw się – uspokoił ją ciepło. – Znam dużo bajek. Na pewno zaskoczę cię czymś nowym.

Jeszcze chwilę się namyślała, ale w końcu odłożyła węgielek i poprawiła się na krześle.

– Pan Olaf z Dolnego Velde opowiedział mi kiedyś o królowej Rossie – zaczęła, patrząc na niego badawczo.

– To smutna historia – zauważył.  
– Znasz ją? – przejęła się. – Ale i tak opowiesz mi to, co obiecałeś?

Kiwnął i się uśmiechnął.

– Umowa to umowa – stwierdził i puścił jej oczko. – Nie przejmuj się. Bajek można słuchać w kółko tych samych.

– Hmm... w porządku. Ale nie wiem, czy dobrze pamiętam.

Wzruszył ramionami.

– To użyj wyobraźni i wymyśl swoją wersję – zaproponował.

Dziewczynka spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie można tak sobie zmyślać – powiedziała tak, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie.

– No tak – zachichotał. – Mogłem się domyślić.

Odchrząknęła i podrapała się w policzek.

– No to tak... – zaczęła, skupiając się. – To się działo dawno, dawno temu. Na kontynencie było wiele krain i były też góry. Największe i najszersze na świecie. I tam żyli bardzo dzielni ludzie, bo... nie pamiętam, ale pewnie chodziło o to, że nie bali się wysokości.

– To ma sens – potwierdził z powagą mężczyzna.

– No ale góry były straszne i tam było bardzo trudno żyć. Więc dzielni ludzie postanowili zejść na jedną ze stron i zamieszkać na nizinie. Tylko że tam już byli inni i strasznie się zdenerwowali na tych z gór. Wygonili ich do domu, a żeby już nigdy nie wrócili, rzucili wielkie zaklęcie na te góry i przez to tam było tak bardzo, bardzo zimno. Tak zimno, że nawet dzielny lud nie dał rady tam wytrzymać, więc uciekł na drugą stronę. No i to była ziemia, która się nazywała Livia. I tam też żyli już inni, ale oni nie byli źli jak tamci wcześniej. Iii... – Przez chwilę zastanawiała się nad dalszym ciągiem, a Benn cierpliwie czekał. – A, no bo tam było dużo lasów i ogólnie było ładnie. I władca górskiego ludu chodził po tych lasach i podziwiał ten teren, i jak



tak chodził, to widział dużo nowych rzeczy, których nie było w górach. I kiedyś zaszedł do takiej wioski, gdzie był taki domek, a przy nim taki jakby... no ogród, a w nim dużo, dużo róż. Władca się zachwycił, bo takich róż nie widział w górach. I zobaczył dziewczynę, która opiekowała się różami, i ona się nazywała Rossa, tak jak te kwiaty. Władca powiedział, że skoro nosi imię po najcudowniejszej roślinie, to ona też musi być najcudowniejsza. I się ożenili. W ten sposób jego lud i tubylcy zawsze już mieli się lubić. Król i królowa wybudowali sobie taki piękny zamek i mieli zawsze rządzić tą krainą.

Benn z powodzeniem ukrywał lekkie rozbawienie. Dziewczynka wytarła palce w fartuszek i skrzyżowała nogi na siedzeniu.

– Ale tam była bardzo zła wiedźma, która... A nie, to zaraz – ciągnęła po krótkiej przerwie. – Bo ten król dbał o swoje ziemie i pilnował, żeby wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Ale była tam taka wiedźma, która wszystkim robiła brzydkie rzeczy. Używała czarów, żeby... nie pamiętam, co dokładnie mówił pan Olaf, ale nikt jej nie lubił. Król ją ukarał i zakazał używania magii, a ona się zdenerwowała i chciała się zemścić. Dlatego poszła do skraju zaklętych gór... no wiesz, tam, gdzie była ta straszna zima.

Benn kiwnął ze zrozumieniem, więc po chwili kontynuowała:

– No, to ona tam poszła i zabrała stamtąd trochę przeklętego śniegu, a jak wróciła do zamku, to obsypała nim królową... A, bo ja zapomniałam powiedzieć, że królowa Rossa urodziła córkę. Bardzo ją kochali z królem i nadali jej imię Livia, tak jak ich królestwo. To na znak, że ona tak jakby... no połączyła te ich ludy? Dziwne to trochę. No ale ta zła wiedźma wróciła z tym złym śniegiem i obsypała nim królową Livię. Przez to ona zachorowała i nikt jej nie mógł pomóc, bo te czary były strasznie straszne. Umarła i wszyscy bardzo płakali. A najbardziej królowa, która tak bardzo płakała, że z jej płakania popłynęła wielka rzeka, którą od tego nazwano... też Livia. Czemu wszystko nazywali tak samo? – zapytała nagle zacie-

kawiona. – Przecież przez to w ogóle nie wiadomo, o czym się mówi, skoro na każdym kroku jest to samo. Zapytałam pana Olafa, ale powiedział, że nie wie i że bym nie przerywała.

Benn się zamyślił.

– Obawiam się, że również nie znam odpowiedzi.

Sheila skrzywiła się i westchnęła.

– Szkoda. No ale ogólnie to królowa Rossa tak płakała, że aż umarła i dzięki temu mogła być z córką już na zawsze. Król też rozpaczał i nie chciał, żeby inni cierpieli jak on, dlatego przysiągł na grób żony i córki, że pozbędzie się całej magii z królestwa. I dzięki temu dzisiaj możemy żyć w spokoju. Koniec.

Wyprostowała się w oczekiwaniu na reakcję słuchacza. Ten natomiast przymknął powieki i przez chwilę wyglądał na bardzo zamyślonego. W końcu spojrzał na nią z uznaniem.

– Dziękuję. Opowiedziałaś to bardzo rzeczowo i w ogóle nic nie musiałaś wymyślać.

Po jej minie zobaczył, że idealnie trafił tym komplementem w jej gust. Uśmiechnęła się i spuściła nogi, by nimi swobodnie pomachać.

– Ale wiesz... – podjął po chwili. – To w zasadzie nie jest bajka, tylko legenda.

Zmarszczyła brwi.

– Czyli że co?

– To znaczy, że w tej historii jest trochę prawdy.

Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

– Tak? – szepnęła przenikliwie i szeroko otworzyła oczy. – Ale co?

– Choćby to, że nasz naród faktycznie zszedł z gór i osiedlił się na terenie Livii kilkaset lat temu. A z kronik, które mamy z tamtych czasów, jasno wynika, że żoną pierwszego króla była miejscowa dziewczyna o imieniu Rossa. No a co najważniejsze, Góry Graniczne faktycznie są przeklęte.

– Znowu mnie oszukujesz? – zapytała podejrzliwie.

– Gdzież bym cię oszukał? – oburzył się na pokaz. – Przecież już wiem, że nie da się ciebie nabrać. Byłem tam i widziałem na własne oczy.

Z podniecenia zaczęła jeszcze zamasyżyciej machać nogami.

– I tam jest naprawdę trujący śnieg? – Zakryła usta dłońmi.

Pokręcił głową.

– Nie do końca – odparł z pogodną powagą. – Śnieg jest całkiem zwykły, poza tym, że nigdy nie topnieje, a nieco głębiej w pasmach górskich nie da się przetrwać.

– Aaa... czyli to dlatego zła wiedźma dała radę zanieść go stamtąd do zamku?

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Usłyszeli kroki i do pomieszczenia wszedł ojciec Sheili. Zlustrował spojrzeniem oboje rozmówców.

– Wszystko w porządku? – zapytał córkę.

Pokiwała głową.

– Nie umarł – pochwaliła się, a Benn nie powstrzymał krótkiego parsknięcia śmiechem na te słowa.

– Tak – sapnął, znowu łapiąc oddech po nagłym ukłuciu bólu. – Potwierdzam, że spisała się na medal.

Joahim mruknął cicho, ale nie skomentował tej wypowiedzi.

– Wychodzę, bo mam małą robótkę u sołtysa – zaczęła inny temat. – Widzę, że czujesz się lepiej, więc wytrzymasz do wieczora ze zmianą opatrunków. – Następnie zwrócił się do córki: – Chodź, poczekaś w sadzie Vittosów, aż skończę.

Sheila spojrzała na Benna i się zmartwiła.

– A nie mogę być tu?

– Zejdzie mi trochę – odparł ojciec szybko. – Nie możesz zostać tyle czasu sama.

Na twarzy rannego wymalowało się zrozumienie dla decyzji gospodarza. Zauważył już, że mężczyzna był bardzo nieufny względem obcych i niewiele zmieniał fakt, że młodzieniec ledwo siedział, nie mówiąc już o wstawaniu.

– Ale Benn się tu będzie bardzo nudził – powiedziała dziewczynka z niepokojem, zabierając ze stołu węgielek i czystą kartkę.

– Od tego się nie umiera – rzucił Joahim. Na te słowa Sheila zrobiła do Bennu znaczącą minę. – Prześpij się albo poczytaj – zwrócił się do chłopaka. – Niewiele tu mam, ale to raczej twoje tematy.

Sięgnął na półkę po jedyną książkę w ich chacie i podał ją choremu. Ten skinął głową w podziękowaniu, a potem spojrzął na dziewczynkę. Natychmiast pożałował tego, co się stało.

Sheila zacisnęła wargi i wyglądała, jakby miała się rozpląkać. Po chwili jednak na jej twarzy wymalowała się hardość. Posłała Bennowi twarde spojrzenie i chłopak wiedział już, że cała sympatia, którą zdołali tego popołudnia wypracować, legła w gruzach w chwili, gdy Joahim tak lekko oddał w jego ręce książkę, której Sheili nie wolno było dotykać pod żadnym pozorem.

Dziewczynka zacisnęła zęby, zadarła lekko nos i wyszła z chatki, zostawiając w niej całe współczucie, które miała dla chłopaka.

\* \* \*

– Ej, młoda. To nie gospoda.

Sheila zacisnęła mocno powieki, zanim obudziła się na dobre i spojrzała nieprzytomnie na pochylającego się do niej mężczyznę. Po sekundzie odzyskała świadomość i zerwała się na równe nogi. Wychudły człowiek z nierównym, szarym zarostem patrzył na nią podejrzliwie.

– Daj jej spokój, Morm – rzucił mijający ich stary Vincent.

– Rozpadało się i tu miałam najbliżej – mruknęła dziewczyna niepewna, co robić.

Wzdrygnęła się od przejmującego chłodu poranka.

Nie chciała się zbyt tłumaczyć. Starła się jak najszybciej odzyskać bystrość umysłu.

– W porządku. – Vincent machnął ręką. – Nieraz już zasypiali tu pijani bandyci Carlosa, jeśli naszła ich fantazja pobalowania nad jeziorem.

Chudy blondyn wychylił głowę zza ramienia staruszka i zaśmiał się krótko.

– Taaa... Ty przynajmniej nie zarzygałaś wejścia – rzucił raźnie. Morm nie wyglądał na przekonanego.

– Jak Fester ją tu dorwie, to nie będzie przyjemnie – stwierdził gburowato.

Vincent prychnął głośno.

– I co nam niby zrobi?

– Jest nowy i ma w dupie zasadę nietykalności słabszych. – Morm wywarczał napastliwie odpowiedź. – Powinieneś już zauważyć. Zresztą ona sama z nim zaczęła.

Blondyn podszedł do niego.

– Daj spokój. Pomyśl sobie, że jak Drein znowu po coś przyjdzie, to przekupimy go, oddając dziewczynę.

Sheila zmarszczyła brwi.

– On żartuje – wyjaśnił spokojnie Vincent, który również podszedł do nich w drodze ku stromemu podejściu do jeziora. Na ramieniu zawiesił wędkę.

– Dzięki za dach nad głową – odezwała się Sheila do starca.

Ten spojrzął na nią uprzejmie.

– Jeśli nie masz co ze sobą zrobić, to możesz się tu zatrzymać...

– Ale nie licz, że podzielimy się jedzeniem. – Blondyn wtrącił się w jego wypowiedź. – Sami mamy mniej, niż potrzebujemy.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– W porządku. Nie będę wam przeszkadzać, nie martwcie się. Schroniłam się przed deszczem, to wszystko.

Kiedy mężczyźni odeszli, Sheila nieco się rozluźniła i dopiero wtedy poczuła nieprzyjemny zapach, który się od niej wydobywał. Od razu pomyślała, że to jej palce zapamiętały okropną woń zjedzonej wieczorem ryby. Po chwili doszła jednak do wniosku, że nie była to jedyna przyczyna odoru. Deszcz rozpuścił kurz w jej włosach i na ciele. Przez to skóra lepiała się nieprzyjemnie. Głowa swędziała ją coraz mocniej i Sheila wołała nie myśleć, co się w niej zalegnie, jeśli nie zadba w porę o higienę.

Odetchnęła i ruszyła w stronę błotnistego podejścia. Mżawka nadal nie odpuszczała. Nie przeszkadzała jednak Sheili, bo dzięki niej niewiele osób kręciło się po okolicy. Był to zawsze ważny czynnik, gdy dziewczyna planowała się kąpać. Miała już na to upatrzone miejsce – cichy zaułek, niewidoczny z drogi do jaskini Lasoty. To tam skierowała swoje kroki.

\* \* \*

Leo wstawał o świcie, odkąd pamiętał, ale tym razem nie czuł się wypoczęty. Sporą część nocy spędził na niepotrzebnym rozmyślaniu. Irytowało go to, więc jeszcze trudniej było mu usnąć. Zastanawiał się, gdzie była Sheila. A jeszcze bardziej, z kim była. Oczywiście mógłby się tego dowiedzieć, ale nie zamierzał zdradzać się przed nikim ze swoim irracjonalnym zainteresowaniem dziewczyną.

Chciał pozbyć się stresu w sprawdzony sposób, czyli po prostu wypocić wszystko na swojej skałce podczas intensywnego treningu. Kiedy jednak zorientował się, że na zewnątrz padało, poczuł ucisk zawodu. Nie dlatego, że pogoda przeszkadzała mu w ćwiczeniach. Uważał złe warunki za dodatkowe utrudnienie

do pokonania, co było w tym wypadku plusem. Jednak zanim powstrzymał tę myśl, doszło do niego, że w takich okolicznościach Sheila nie zechce zapewne przysiąc na kamieniu, który zawsze mijał w drodze na skałkę. Przez to nie miał wielkich szans spotkać jej, tak jak to miało miejsce poprzedniego ranka. Mimo to Leo nie mógł się powstrzymać, żeby ukradkiem nie zerkać na boki.

Piął się w górę, czując, że jego koszula nasiąkała szybko od drobnych kropel i zaczęła przyklejać mu się do ciała. Znał trasę na pamięć, dlatego swobodnie rozglądał się po okolicy. Co jakiś czas zerkał bez większej nadziei w stronę oddalającego się jeziora.

I wtedy ją zobaczył. Szła otulona ramionami, a jej szybki marsz sugerował konkretny cel. Zanim pomyślał, co robi, Leo ruszył górą w tym samym kierunku. Dziewczyna zniknęła na chwilę za skałami, ale szybko pojawiła się nieco bliżej, nad jednym z mniejszych jezierek za obozem.

Leo zatrzymał się i przywarł do drzewa wystającego nad przepaścią. Obserwował Sheilę, która przez chwilę rozglądała się na boki. Krótkie kędziorki przykleiły jej się do czoła i szyi. Bez pośpiechu ściągnęła wysokie do kolan skórzane buty. Odgarnęła włosy z twarzy i wstała. Następnie sięgnęła do guzików koszuli.

Leo wstrzymał oddech.

– Pieprzony podglądacz – powiedział do siebie. – To poniżej twojej godności, człowieku.

Mimo to nie ruszył się z miejsca.

Gdybym zbyt gwałtownie odszedł, mogłaby mnie usłyszeć, przestraszyć się i zawstydzic – pomyślał. – Cholera. Niewiarygodne, jak szybko wytłumaczyłem sobie to świństwo.

Koszula luźno zwisała Sheili z ramion, kiedy podeszła do brzegu jeziora i się pochyliła. Dopiero wtedy zdjęła ją całkiem i zanurzyła w wodzie. Kilka razy potrząsnęła nią i wypłukała.

Dziewczyna była pochylona tak mocno, że Leo widział jedynie jej plecy. Zmarszczył brwi na widok czerwonych szram, które przecinały siny od zimna bark Sheili. Mężczyzna poczuł nutkę współczucia na myśl o tym, z czym musiała zmagać się na Zarczcu. Szybko jednak zdusił w sobie tę myśl.

Dziewczyna wyprostowała się, a on odruchowo odwrócił głowę.  
– To dobre dla bandytów Carlosa – zbeształ sam siebie.

Zanim Leo zdecydował się, co zrobić, usłyszał plusk. Spojrzał na pływającą dziewczynę. Całkowicie zanurzyła się w wodzie, a następnie szybko potarła twarz dłońmi. Chaotyczne odgłosy, które z siebie wydawała, bezbłędnie oznajmiały, że ogarniały ją lodowate dreszcze. Z czasem jednak uspokajała się i w końcu kompletnie ucichła. Nawet z tej odległości dało się bez trudu zorientować, że zimna kąpiel, po pierwszym szoku, była dla niej w jakiś sposób przyjemnością. Oddychała głęboko, ale już znacznie spokojniej. Powoli poruszała się w wodzie, pozwalając, aby fale masowały jej ciało. Wszystkie należące do niej ubrania leżały na brzegu. To sprawiało, że wyobrażnia Leo zaczęła żyć własnym życiem. Jeszcze mocniej przyłgął do drzewa i oparł głowę o pień.

Wiedział, że to koniec. Przepadł. Czuł palący wstyd, ale w tym momencie nic nie było w stanie odciągnąć go od patrzenia na Sheilę. Zapragnął się zdradzić, byle tylko podejść bliżej. Wtedy jednak dziewczyna postanowiła wyjść z wody.

Leo wiedział, że powinien odwrócić wzrok. Nie tylko ze względu na pogardę, jaką wzbudzało w nim podglądanie tej kąpieli. Przede wszystkim miał świadomość, że ten obraz długo nie da mu spokoju. Nie uwolni się od niej.

Jednak Sheila postąpiła inaczej, niż przewidział. Nie wyłoniła się całkiem z jeziora, ale podpłynęła do brzegu i zanurzona po szyję sięgnęła po koszulę. Leo o mało nie zaśmiał się głośno na ten widok. W ostatniej chwili ograniczył się jednak do uśmiešku.



Za dobrze zna Kazamaty – pomyślał z czymś na kształt podziwu.

Patrzył, jak ubierała się pod wodą, a potem dźwigając się na półce skalnej, wynurza się na brzeg. Ociekająca wodą koszula sięgała jej do połowy ud i oblepiła ciało dziewczyny tak szczelnie, że pozostawiała niewiele pola wyobraźni. Eksponowała wszystkie krągłości i wcięcia szczupłego ciała. Leo pomyślał, że gdyby do tego widoku dołączyły jeszcze długie włosy Sheili, to padłby przed nią całkowicie bezbronny. Ale krótka fryzurka była po prostu brzydka i nic nie mógł poradzić na to, że nie działa na niego jak piękne pukle, które pamiętał.

Leo schował twarz w dłonie. Czuł się jak zwykły szczeniak. Wiedział, że tym razem trening będzie musiał być naprawdę intensywny, jeśli miał pomóc mu odreagować.

\* \* \*

Sheila cały dzień prawie nie ruszała się z Dołów. Powodem była pogoda. Drobny, ale nieustanny deszcz nie pozwalał wyschnąć jej ciuchom i koszula za bardzo oklejała ciało. Mimo wszystko czuła narastający optymizm. Była umyta, miała plan i wreszcie po ponad roku mogła bez obawy rozpaścić ognisko. Dzięki ciepłu zapomniała nieco o głodzie. A kiedy po południu jej ciuchy wyschły dostatecznie, zaczęła nieśmiało kręcić się w okolicy mostu i głównego obozu Wolnej Kompanii. To właśnie tam spotkała starego znajomego.

– Matteo! – zawołała z uśmiechem i uniosła rękę na przywitanie.

Mężczyzna odwzajemnił gest i podszedł do niej.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytał i uściskał ją.

Mimo sympatii, jaką czuła do tego człowieka, zaskoczyła ją ta otwartość. Nigdy nie byli ze sobą specjalnie blisko.

– Tu i tam – odparła, wiedząc, że jego pytanie było czysto grzecznościowe. – Mogłabym zapytać cię o to samo. – Niedbale wskazała kierunek, z którego przyszedł. – Gdzie łazisz w taką pogodę?

– Wracam od Glorii.

Sheila zmarszczyła brwi.

– Nie było mnie raptem rok i już znaleźliście sobie dla mnie damskie zastępstwo? – zażartowała, ale ta kwestia naprawdę ją zainteresowała.

– Owszem – przyznał z przekąsem. – Do tego piękną i posłuszną.

Przez chwilę Sheila naprawdę była skłonna uwierzyć, że buntownicy dorobili się wreszcie własnej kurtyzany. Nie wiedziała, jak kulturalnie o to zapytać, ale na szczęście posłaniec nie kazał jej się dłużej niczego domyślać.

– To klacz ze stajni Verrada – wyjaśnił. – Dostał kilka lichych chabet po twoim zeszłorocznym wybryku. Ale jednej nie upilnował. Teraz ją jej muszę strzec, bo niektórzy chcieli ją nadziać na ruszt.

Sheila otworzyła szeroko oczy.

– Poważnie? Rozumiem głód, ale pomijając wszystkie inne rzeczy, to przecież koń może się wam zwyczajnie przydać.

Matteo wzruszył ramionami.

– Prawdę powiedziawszy: niekoniecznie. Wiesz, Gloria jest naprawdę słaba i schorowana. Nie za bardzo pozwalam ją zaprzęgać do pracy, chyba że w nadzwyczajnych przypadkach. Pojeździć też mogą na niej góra dwie osoby, jak to na koniu. Nic więc dziwnego, że tak dużo obwiesiów Carlosa wołałoby ją prostacko zeżreć.

Sheila pokiwała głową.

– Czemu tobie przypadła opieka nad nią?

Matteo zmieszał się lekko, ale szybko dało się poznać, że spowodowane to był kiepsko ukrywaną dumą.

– To ja ją zdobyłem – powiedział w końcu z lekkim uśmiechem. – Na chwilę stałem się tu bohaterem. Żałuj, że cię nie było.

– Poważnie? – Sheila z przyjemnością okazała Matteo swoje uznanie, widząc, jak dobrze to na niego zadziało. – Jakim cudem udało ci się ją uchronić przy życiu?

Mężczyzna rozejrzył się konspiracyjnie.

– Myślą, że jest chora i nie chcą od niej dostać jakiegoś paskudztwa – zdradził ściszym głosem. – Dzięki temu ma spokój i biedactwo. Jeśli masz ochotę, możemy do niej pójść.

Sheila chętnie przystała na tę propozycję. Ruszyli w górę ścieżki. Zaraz za kamiennymi schodkami skręcili w lewo, w niewielki zagajnik. Koń pał się niedaleko.

– Faktycznie, bidulka z niej – skomentowała Sheila ze współczuciem.

Podeszła do kłaczy i ostrożnie pogłaskała ją po pysku.

– Mam jeszcze marchewki, jak chcesz – zaproponował Matteo i sięgnął do kieszeni. – Wziąłem sporo, ale jakoś nie miała dziś na nie ochoty.

Sheila ochoczo przejęła kilka miękkich warzyw od posłańca. Jedno z nich podała szarobrazowej Glorii, ale ta powąchała tylko podarek i odwróciła niechętnie łeb.

– Dopiero co jadła – wyjaśnił mężczyzna, jakby tłumaczył się z niegrzecznego zachowania swojego dziecka. Wyglądało to uroczo i Sheila zaśmiała się przyjemnie. – Ale i bez tego jest jakaś osowiała ostatnio.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i sama zjadła kawałek marchewki. Resztę wsunęła do kieszeni spodni. Matteo zauważył to i posłał Sheili zaskoczone spojrzenie.

– Nie odzyskasz ich – powiedziała spokojnie.

– Nie są mi potrzebne – stwierdził niepewnie.

Sheila najchętniej pochłonęłaby wszystko naraz, ale postanowiła wydzielać sobie porcje do końca dnia. Wiedziała też, że Matteo będzie pierwszym człowiekiem, któremu odda część swojego zarzecznego zarobku, gdy już go odzyska. Nie zamierzała okradać z jedzenia ani jego, ani jego konia.

– Nadal śpiewacie po pijaku sprośne piosenki? – podjęła po chwili, chcąc zmienić temat.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Pewnie niedługo sama się przekonasz. Pogoda taka, że nikomu nic się nie chce. A jak się tutejsi ludzie nie zmęczą, to nie śpią. Proste. Czuję, że lada dzień zrobią jakąś popijawę.

– Wyciągniesz swoją lutnię i dasz popis? – zaśmiała się dziewczyna. – Twoje wyczyny śnią mi się po nocach.

Matteo wzruszył ramionami.

– Chłopakom tam się podobało.

Oparł się o drzewo, niedbale głaszcząc Głorię po grzbiecie.

– Zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie. Po lutnię idę tylko wtedy, gdy sobie o niej przypomnę i jeszcze trzymam się na nogach. I o ile mam na tyle świadomości, że Vincent się mnie boi i ją pożycza.

– Vincent? – Sheila spojrzała na kompana zaskoczona. – Więc to jego instrument?

– Pożycza mi ją tylko dlatego, że nie ma wyjścia. Zasada nietykalności nie dotyczy instrumentów, a po pijaku i w złości chłopaki mogliby mu rozwalić ten sprzęt. Woli więc dać go po dobroci.

Dziewczyna spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Myślałam, że takie zachowanie to domena oprychów Carlosa.

– Banda Scotta też daje popalić. Jedyna różnica jest taka, że robią to rzadziej. Zbierajmy się, mam zajęcie.

Drogę powrotną pokonali znacznie szybciej.

– Naprawdę chcesz się zaciągnąć do dezertarów? – zapytała Sheila, gdy Matteo podzielił się z nią swoimi planami.

– To takie dziwne?

Zastanowiła się przez chwilę.

– A czy nie powinno się być... no wiesz... DEZERTEREM?

Matteo na moment spochmurniał, ale zaraz nieco się roz-pogodził.

– To tylko nazwa. – Wzruszył ramionami. – Pitter nigdy nie był w wojsku, a mimo to buja się z nimi od dawna. Ostatnio też sporo osób od Carlosa się tam przeniosło. Przestają być już tacy elitarni.

– No to dlaczego chcesz się do nich przenieść? – zapytała ze śmiechem.

Matteo odwzajemnił jej sympatyczne spojrzenie i się zamyślił.

– Tobie powiem – mruknął po chwili. – Chodzi o Glorię. Od-  
kąd tu jest, nie uśmiecha mi się tyle łązić do Twierdzy. No i...  
szczerze mówiąc, teraz to stało się jeszcze bardziej niebezpieczne.  
Kolejny powód jest może trochę naiwny, ale w sumie najważniej-  
szy. Cenię wielebnego Lasotę i chcę przyczynić się do rozwoju je-  
go pracy tutaj, na miejscu. Chronić Wolną Kompanię teraz, kiedy  
wyszedł dekret królewski. Pewnie to brzmi słabo, ale...

– Żartujesz? – przerwała mu Sheila ze śmiechem. – To nic w po-  
równaniu z rzeczami, które ja wygłaszam. Dobrze wiedzieć, że nie  
jestem sama z moimi ideami. Myślisz, że Leo cię przyjmie?

– Jak z nim rozmawiałem, wydawał się nie mieć nic przeciw-  
ko. Ale potem jakoś temat przycichł. Muszę mu się chyba przy-  
pomnieć, i to jak najszybciej, zanim Scott znowu mnie z czymś  
wyśle. Mało kto naprawdę rozumie delikatną naturę tego zawo-  
du, dlatego od dawna kursujemy głównie ja i Marson.

Mijali duże jezioro przy obozie.

– Więc zostawisz kolegę z całą robotą? – zapytała Sheila z prze-  
kąsem.

Mężczyzna machnął ręką.

– A niech zapierdala. Nigdy go nie lubiłem.

Dziewczyna zaśmiała się głośniej.

– Może ja zajmę twoje miejsce? – zaproponowała. – Pasowałoby mi, że kurierzy są nie do ruszenia w Twierdzy.

Miał to być żart, ale gdy niedługo potem rozstawała się z Matteo, pomyślała, że perspektywa wkroczenia do Twierdzy jako nietykalny posłaniec z immunitetem była niezwykle przyjemna. Zwłaszcza gdy pozostawała w sferze wyidealizowanych marzeń.

\* \* \*

Wieczorem Sheila przykucnęła w pobliżu Dołów. Nie ukrywała się. Co jakiś czas wymieniała spojrzenie z siedzącym przy wejściu do ziemianki Vincentem. Tak jak się spodziewała, w końcu wstał i podszedł do niej niespiesznie.

– Mogę ci jakoś pomóc, moja droga? – zapytał uprzejmie.

Siwawe włosy przykleiły mu się do czoła.

– W zasadzie tak. Od razu przejdę do rzeczy. Niewiele o tobie wiem, ale jedno jest pewne: szanują cię tutaj. Ten większy bied... – zawahała się, bo nie była pewna, jak biedacy nazywali sami siebie – ten twój towarzysz odpuścił mi ze względu na ciebie. Wiem, że nie jesteście zabijakami jak ludzie Carlosa, ale może któryś z was potrafi trochę walczyć? Mógłbyś poprosić, żeby dał mi parę lekcji?

Jasne, jakby wypłowiecie oczy biedaka patrzyły na nią przenikliwie.

– Po co ci to? – zapytał spokojnie.

– Żartujesz?

Założył ręce na piersi. Nie wyglądało, jakby było mu do śmiechu.

– Jestem pacyfistą – odrzekł bez ogródek. – Nie będę nikogo prosił o uczenie cię, jak zabijać.

Sheila poczuła gulę w gardle.

– Nie chcę zabijać – powiedziała bezbarwnie. – Chcę po prostu umieć się bronić.

Starzec milczał przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie mogę ci pomóc – powtórzył. – Nie chcę mieć już nic wspólnego z tymi rzeczami.

– Świetnie – rzuciła jego rozmówczyni z rezygnacją. – Więc kiedy Drein Fester mnie dorwie, ty zaśniesz zadowolony i z czystym sumieniem, bo nie pomogłeś mi w zgłębieniu tej podłej i niegodziwej sztuki obrony.

– Fester nie jest idiotą – zdiagnozował rzeczowo zniecierpliwiony Vincent. – Dla niego ta gra nie jest warta świeczki. – Spojrzał na dziewczynę i wyglądało, że nieco się uspokajał. – Widać, że masz krzepę, ale tak naprawdę przewagę możesz zdobyć tylko techniką. I bronią. Ale wtedy licz się z tym, że możesz go zabić.

– Wiem o tym aż za dobrze – mruknęła bardziej do siebie niż do niego.

– Nie mogę ci pomóc – rzekł po chwili z przykrością, która wyglądała na szczerą. – Przynajmniej nie w taki sposób. Ale może w inny. Mogę zapytać, dlaczego unikasz przyjaciół? Czemu nie jesteś teraz z nimi? Przecież mogliby cię chronić.

Sheila posłała mu zaskoczone spojrzenie.

– O co ci chodzi? – bąknęła niepewnie.

– Mam na myśli Reivena, wielebnego Lasotę, Leo i dezerterów. Przecież kiedyś poczuwali się do skoczenia za tobą z odsieczą.

– Tak. Ale jakoś im to nie wyszło. – Sheila stwierdziła z nadzieją, że może ten argument przekona Vincenta. – Nieważne, ile osób ci sprzyja. Przychodzi taki moment, kiedy zostajesz sam i wszystko zależy od ciebie.

Vincent spojrział na nią z rozwagą.

– Pewnie tak – przyznał. – Ale to nie sprawia, że warto się odsuwać.

Odwróciła się i zmarszczyła brwi.

– Nie potrzebuję analizy mojej psychiki, tylko kilku dobrych ciosów w zanadru.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, ale nie odpowiedział.

Opuściła nieco wzrok. Od strony obozu dobiegło ich odległe przekleństwo rzucone przez Imbo Szczekacza. Tej nocy buntownicy się bawili, co potwierdzała jasna luna bijąca od Wolnej Kompanii.

– Czuję, że dziś długo nie pójną spać – westchnął stary biedak. – Dawno aż tak się nie rozochocili.

– Raczej nie mam chęci świętować z nimi – stwierdziła Sheila, co nie do końca było zgodne z prawdą.

Tęskniła za dezerterami, ale nie chciała iść do nich z pustymi rękami. Dodatkowo miała już plan na tę noc.

– W takim razie ponawiam zaproszenie – ożywił się Vincent, ruszając w stronę swojego schronu. – Czujesz? Folio parzy mięteę z surfilisem. Dobrze robi na przemarznęte kości.

Sheila faktycznie czuła przyjemny zapach dobiegający z otworu w ziemi. Kiedy weszli tam razem z Vincentem, młody chudzielec o blond włosach opowiadał coś reszcie. Zobaczywszy przybyłych, urwał na chwilę, jakby stracił wątek. Obok niego nad ogniem wisiał garnek, a w nim bulgotała woda z ziołami.

– Co ona tu robi? – mruknął Morm, obrzucając dziewczynę nieprzyjemnym spojrzeniem.

Vincent zignorował to pytanie.

– Folio, daj jej spróbować swoich specyfików.

Młody blondyn z ochotą napełnił kubek, który – jak się wydawało – przed chwilą sam opróżnił, i podał Sheili parujący napój. Ta powąchała go i od razu zamknęła oczy. Silna woń mięty natychmiast ją ożywiła.



– Uważaj. Cholernie gorące – ostrzegł ją chłopak.

Vincent usiadł przy ognisku. Sheila nie zauważyła, kiedy w jego dłoniach znalazł się skrawek pergaminu i węgielek. Zanim zaczął się rozpisywać, wskazał na pozostałych mężczyzn, którzy ciasno obsiedli wyściełane suszonym zielskiem klepisko.

– Poznajcie się z naszą towarzyszką wieczoru – powiedział grzecznie i zaczął przedstawiać Sheili swoich kolegów.

Nie było to specjalnie przydatne, bo po chwili dziewczyna nie pamiętała już żadnego z imion, a sami mężczyźni nie zwracali na nią zbyt wiele uwagi. Przynajmniej większość z nich.

– Niezłe – przyznała chwilę później, udając, że bierze napar do ust. Nie zamierzała przyjmować żadnych nieznanym sobie specyfików.

Folio uśmiechnął się zadowolony.

– Znam się na tym.

Kilku biedaków prychnęło znacząco na te słowa. Sheila popatrzyła na nich pytająco. Odpowiedział jej jednak sam blondyn.

– Wiesz, kiedyś zawodowo zajmowałem się roślinami. Sprzedawałem różne uspokajające mieszanki.

Sheila pogratulowała sobie w duchu ostrożności. Spojrzała na niego z ironią.

– Takie mieszanki, za które w końcu tu trafiłeś?

– Bystra dziewczyna – stwierdził Vincent, nie podnosząc wzroku znad pergaminu.

Folio wzruszył ramionami, a Sheila skrzywiła się lekko.

– Nie mogę pojąć, dlaczego ludzie z własnej woli sięgają po takie rzeczy – mruknęła, mając w pamięci swoje kiepskie doświadczenia z alchemią.

Folio pokręcił głową i usiadł obok niej.

– Skończyłem z tym – powiedział i oparł łokcie na kolanach. – Chociaż kazamacki rynek byłby dla mnie wymarzony.

Atmosfera w schronie zmieniła się w jednej chwili, gdy kilku mężczyzn zawiesiło na Folio ciężkie, wyczekujące spojrzenia pełne obawy. Folio poczerwieniał lekko i się zmieszał. Przełknął ślinę i rzucił Sheili krzywy uśmiech.

– Pilnują mnie – wyjaśnił jej półgłosem.

– Wspieramy – sprostował Vincent, który podniósł na chłopaka ciepły wzrok. – Żeby było ci łatwiej wytrwać w postanowieniu.

– A ja tam go pilnuję – wtrącił się Morm, na co kilku jego towarzyszy, łącznie z Folio, się zaśmiało.

To rozładowało nagłe napięcie i sprawiło, że Sheila zapałała do Morma większą sympatią. Postanowiła pomóc w oczyszczeniu atmosfery i podjęła inny temat, zwracając się do Vincenta.

– Matteo mówił, że grasz na lutni.

– Gra, a jakże – podchwycił Folio. – I to nie byle jak. Dalej, Vini. Pokaż, co potrafisz.

Wezwany wydawał się niezainteresowany spełnieniem tej prośby.

– Lubi, jak się go prosi – wyjaśnił cichaczem Folio.

– No weź – zachęcił kolegę biedak siedzący pod ziemistą skałą. – Pokaż dziewczynie, jaki z siebie artysta.

Vincent odetchnął głęboko i odłożył pergamin. Mężczyźni zaklaskali z zadowoleniem i usiedli wygodniej na swoich miejscach. Morm westchnął zniecierpliwiony, podobnie jak mężczyzna, który położył się już spać.

Grajek wychylił się i wygrzebał swój instrument spod luźnej sterty słomy. Następnie kilka razy uderzył w struny, by sprawdzić, czy wszystko brzmiało, jak należy. W końcu spojrzął na towarzyszy wyczekująco.

– Oj, już dobrze wiesz, co zagrać – powiedział znacząco Folio.

Nastąpiła zupełna cisza, w której Vincent przez chwilę skupiał się i układał w dłoni instrument. Następnie delikatnie szarpnął struny i pomieszczenie wypełniło się muzyką.

Sheila znieruchomiła. Powykrzywiane dłonie biedaka były porane zmarszczkami, ranami i zgrubieniami, ale palce w kontakcie z instrumentem stały się nagle giętkie i elastyczne. Ich płynny tańiec wydobywał głębokie, wysublimowane dźwięki. Zupełnie nie przystawało to do sposobu, w jaki próbował grać Matteo.

O ile wcześniej podejrzewała, że biedacy trochę naśmiewali się z kolegi, to w tym momencie widziała, że traktowali jego talent z pełną powagą. Nawet Morm zmienił wyraz twarzy i słuchał muzyki.

Delikatna, liryczna melodia narastała, aż wreszcie połączyła się z ciepłym głosem Vincenta.

*Wiatr ze wschodu gnie dziś drzewa,  
my kulimy w chatach karki.  
Król w swym zamku się ukrywa,  
nie chce widzieć naszej walki.*

*Bo nie mieczem wojujemy,  
nie zwozimy z bitwy łupów.  
Każdy suchy okruch jemy,  
wygrzebany z płaszczy trupów.*

*Wojna nasza jest z sąsiadem  
o ostatnią kroplę wody,  
o dach i o jakąś strawę  
na czas wschodniej niepogody.*

*Król w pieleszach myśli hardo,  
jak nie oddać więcej pola.  
Nas ratować już nie warto,  
nie taka królewska wola.*

*W swoim zamku, w swej komnacie  
siedzi na złoconym tronie.  
Nam jedno zostaje, bracie:  
giąć się w przeklętym ukłonie.*

Vincent skończył grać, ale przez chwilę nikt się nie odzywał. Dopiero kiedy muzyk podniósł na nich wzrok, Folio uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Teraz widzisz, jakiego tu mamy artystę – zwrócił się do Sheili.

– Cholera, faktycznie – przyznała i ponownie udała, że bierze łyk ziołowego naparu. – Mocna rzecz. Ty naprawdę jesteś pacyfistą, co? Nigdy tak nie myślałam o wojnie.

Vincent uśmiechnął się łagodnie.

– Nic dziwnego. Nigdy nie widziałas tego na własne oczy. Za to ja wiele lat temu mieszkałam na linii głównego frontu. Kiedy zrównali moją wieś z ziemią, przez chwilę byliśmy niewolnikami, ale gdy ostatni członek mojej rodziny skończył w ziemi, uciekłem i na chwilę znalazłem schronienie.

Sheila nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać mężczyzny o to, co ją zaniepokoiło.

– Wybacz, ale... jakim cudem ktoś taki jak ty trafił do Kaza-matów?

Ku jej zaskoczeniu Vincent zaśmiał się krótko, było w tym jednak coś sztucznego. Wyraźnie tylko udawał obojętność, gdy mówił o tych sprawach.

– Chyba nie powinienem był tego śpiewać w stolicy, przy straży królewskiej.

Kilka osób również zaśmiało się gorzko.

– Czyli mamy tu więźnia politycznego – mruknęła Sheila z niedowierzaniem. – Naprawdę zamknęli cię za śpiewanie piosenek?

Vincent fuknął lekko.

– To nie były zwykłe piosenki. Uznali, że sieją zbrodniczą propagandę, która miała na celu zdusić w narodzie chęć walki o Pogranicze. No cóż... każdy ma prawo do swojego zdania. A właściwie wyszło na to, że król ma prawo, ale ja już nie bardzo.

Morm po raz pierwszy w obecności Sheili zaśmiał się krótko.

– Dobrze wiemy, że nie chodziło tylko o *Wiatr ze wschodu*. Vincent nie pochwalił ci się jeszcze innymi dziełami, jakie śpiewali z kolegami.

Muzyk machnął ręką, ale twarz mu spąsowiała.

– To były głupoty. Śpiewaliśmy prześmiewcze kawałki o królu, ale to tylko, żeby rozładować złość, jaką wobec niego czuliśmy. No ale ludziom się to spodobało i faktycznie zaczęło się nas cytować na ulicach. To wtedy odkryłem, jaką potężną bronią jest propaganda i jaką siłę ma człowiek umiejący kierować tłumem. Przyznaję, że postanowiliśmy wykorzystać tę moc, którą niechcący nabyliśmy. Oczywiście do słusznego celu, jakim było zaprzestanie wojny. A to mogło się stać między innymi dzięki buntowaniu poddanych króla. Zatem śpiewaliśmy o wszystkim, co spartolił. Szczerze mówiąc, tematów nigdy nie brakowało, a to już świadczy gorzej o nim niż o nas. A, no i śpiewaliśmy o wychodkach.

Sheila słuchała go z zainteresowaniem. Zdała sobie sprawę, jak mało wiedziała o tym, co działo się na kontynencie. Wyspa zdawała się żyć własnym życiem, zupełnie obojętna na tragedię reszty kraju.

Vincent dał się namówić na zagranie kilku innych kawałków, ale w końcu Morm i usypiający mężczyzna warknęli, żeby dał już spokój na ten jeden wieczór. Sheila podziękowała za gościnę i się oddaliła. Wiedziała, że to najlepszy moment na wdrożenie w życie swojego planu.

Obóz wciąż jarzył się ogniskami, kiedy szła w stronę mostu. Zdawało się, że dookoła nikogo nie było. Dopiero kiedy weszła

na drewnianą konstrukcję, zobaczyła mężczyznę opartego o barierkę i patrzącego w stronę jaskini Lasoty. Kiedy usłyszał kroki, odwrócił głowę w jej stronę.

– Leo? – Sheila przystanęła zaskoczona.

– Jak widać. – Z powrotem spojrzął przed siebie.

Potrzebowała tego terenu pustego.

– Długo zamierzasz tu stać? – Starła się mówić swobodnie, ale miała świadomość, że i tak wyszło to głupio.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Sheila podeszła nieco bliżej.

– Miałam na myśli... Czemu nie jesteś u siebie?

To wcale nie zabrzmiało lepiej – przyznała w myślach.

– Zawsze uwielbiałem popijawy buntowników – stwierdził z sarkazmem.

Zastanawiała się, co zrobić, żeby się go pozbyć. Mogłaby się z nim o coś pokłócić. Jakby go porządnie wkurzyła, to może odszedłby zdenerwowany.

– Przyznaj, że po prostu miałeś nadzieję mnie tu spotkać – powiedziała wyzywająco.

Ku jej zaskoczeniu Leo uśmiechnął się pod nosem.

– Może – mruknął.

Sheila niepewnie podeszła do barierki i stanęła obok dowódcy.

– To jakiś wstęp do obrażenia mnie? – zapytała podejrzliwie. – Coś w stylu: „Może tak, może nie, ale ogólnie to wolałam, jak nie żyłaś”?

Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

– Nie to miałem wtedy na myśli. Po prostu... wcześniej przynajmniej wiedziałem, na czym stoję. A teraz nie do końca.

– Teraz stoisz na moście. I szczerze mówiąc, wołałabym, żebyś przestał na nim stać, bo mam coś do załatwienia.

– Niby co? – prychnął.

Sheila wzruszyła ramionami.

– Nie muszę ci się tłumaczyć.

Wyprostował się i założył ręce na piersi.

– Zostaję. Idź załatwiać swoje sprawy gdzie indziej.

– Mam tu schadzkę. Nie chcę, żebyś nam przeszkadzał – powiedziała, czując coraz większe rozbawienie.

Leo zmarszczył czoło i pochylił się do niej.

– Nawet nie starasz się być wiarygodna – zauważył cicho.

Dziewczyna odetchnęła swobodnie i spojrzała w stronę lasu, który rozpościerał się za jeziorem i palisadą Wolnej Kompanii.

– W porządku. W sumie i tak pewnie byś mnie nie zatrzymywała. Zamierzam wyjść z obozu. Nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział. Zadowolony?

– Przypomnij mi, jak długo tu jesteś? – rzucił, a ona wywróciła oczami i uśmiechnęła się lekko. – Już ci się znudziło? Dokąd idziesz? – zapytał kategorycznym tonem.

– A jak powiem, że na Zarzecze, to uwierzysz?

Przez chwilę milczał, patrząc na nią intensywnie, a potem pogładził się po brodzie.

– Co z Nikkiem?

Wzruszyła ramionami.

– Wrócę przed świtem. Uprzedzając kolejne pytanie, idę po swoje rzeczy. Zostawiłam tam spory dobytek. Zamierzam zabrać go z powrotem. Jeśli przeżyję i mi się powiedzie, to nigdy więcej nie będę musiała jeść zatęchłej ryby od Gasthona. A jak zginę, to... też nie będę musiała jeść zatęchłej ryby, więc tak czy siak, wyjdę na plus.

Twarz dowódcy pozostała kamienna. Przez chwilę oboje milczeli, a potem Leo sztywno kiwnął głową.

– W porządku – stwierdził. – Pójdę z tobą.

Sheila spojrzała na niego z udawaną obojętnością.

– Wcale o to nie prosiłam.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Przestań, bo się rozmyślę. No dobra, zrobimy tak...

Przerwała mu gestem dłoni i pokręciła głową.

– Mam już plan.

Wskazała na jezioro.

– Kąpałam się dzisiaj – zaczęła. Była tak skupiona na pokazywaniu mężczyźnie miejsca, które ją interesowało, że nie zauważyła jego nagłego zmieszania. – I wtedy wpadłam na ten pomysł. Jeśli podpłyniemy pod wodą do palisady i wyjdziemy na brzeg koło tamtego drzewa, to powinniśmy przeskoczyć górą niezauważeni. Z tej strony da się to zrobić, a rano możemy wejść bramą, bo i tak nie będzie to miało już takiego znaczenia.

Leo w zamyśleniu pokiwał głową, a potem westchnął i uniósł dłoń.

– Panie przodem.

To jedynie fragment powieści.

Całość znajdziesz na stronie:

<https://www.strefa-cichosza.pl/sklep-online/>